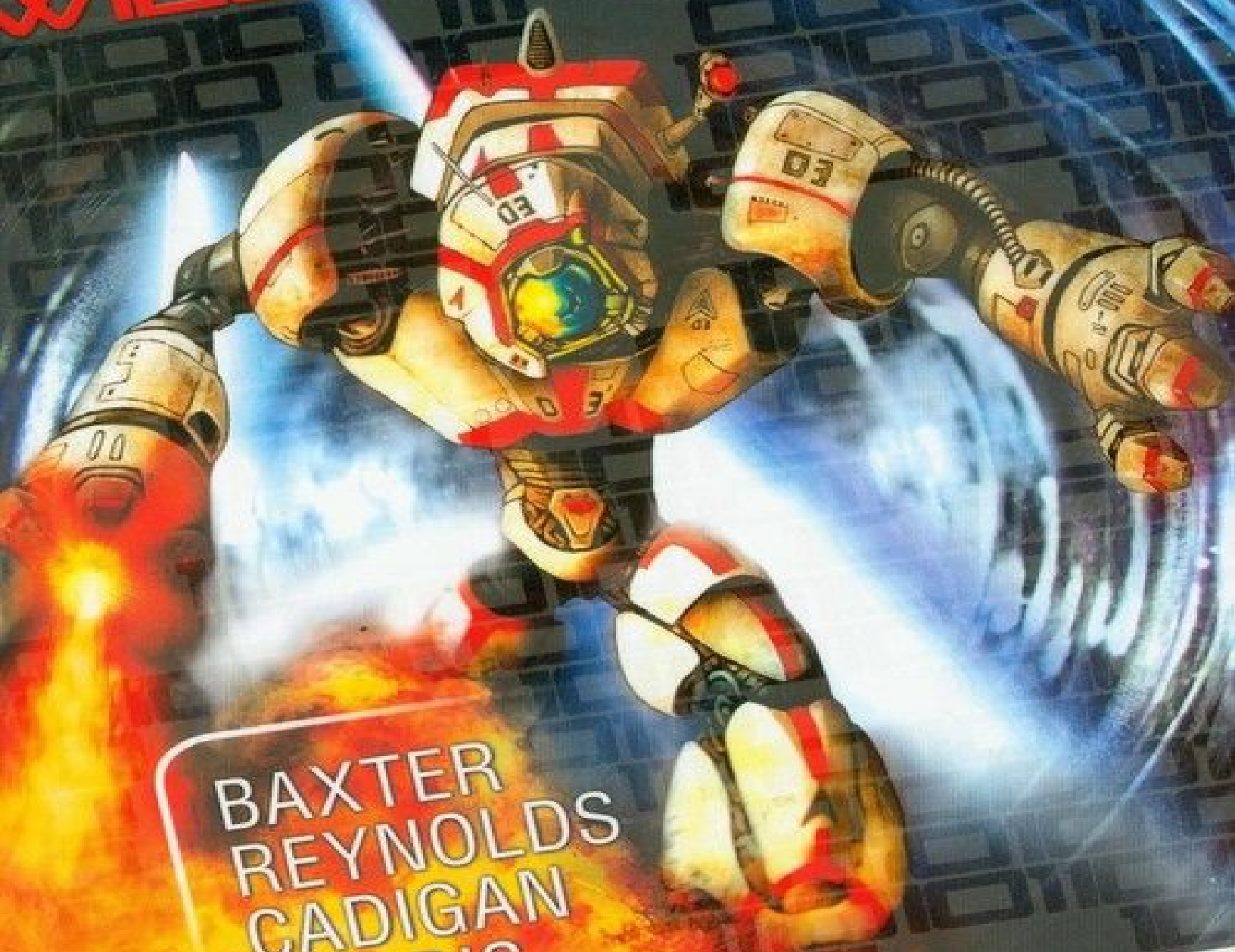


OPRACOWAŁ MIKE ASHLEY

WIELKA HISTORIA



BAXTER
REYNOLDS
CADIGAN
LANDIS

EHSTREMALNEGO

STF



fabryka słów

Spis treści

Karta tytułowa

Ekstremalne science fiction

Gregory Benford: Anomalie

Paul Di Filippo: I tak oto obiad uciekł razem z łyżką

Lawrence Person: Warianty Zmartwychwstania

Stephen Baxter: Zagadka Pacyfiku

Cory Doctorow i Charles Stross: Kwiaty od Alicji

Alastair Reynolds: Działo Merlina

Pat Cadigan: Śmierć w ziemi obiecanej

Geoffrey A. Landis: Długi pościg

Stephen L. Gillett i Jerry Oltion: Wodny Świat

Robert Reed: Hoop Benzol

WIELKA KSIĘGA EKSTREMALNEGO SCIENCE FICTION

TOM 1

Opracował Mike Ashley

Przekład: Marcin Mortka



fabryka słów
2011

Ekstremalne science fiction

Jeśli science fiction jest literaturą przedstawiającą pomysły, ekstremalne science fiction przedstawia pomysły ekstremalne. W tej antologii natkniecie się na cudowne wizje, które mogą być same w sobie bardzo proste bądź niezmiernie złożone, ale pewne jest, że ich autor sięgnął jakiegoś ekstremum. Być może opisał ekstremalne okoliczności, być może umieścił opowieść w ekstremalnym miejscu, sięgnął po ekstremalną naukę lub oparł całość na ekstremalnym pomysle.

Istnieją granice! Zamieszczone tu opowiadania mogą je przekraczać, rzucać wyzwanie wierzeniom i teoriom, ale nie za wszelką cenę. Każdy z utworów jest porządną, poukładaną historią – nie ma tu nic eksperymentalnego czy też awangardowego – nie trzeba również dyplomu ukończenia wydziału nauk ścisłych czy IQ powyżej 200, by je zrozumieć. Nie o to w tym wszystkim chodzi. Chodzi tu o zabawę pomysłem, wizją. Science fiction to najlepsza zabawa, a najlepsza science fiction to taka, która przekracza granice.

Pozwólcie, że uchylę rąbka tajemnicy i zdradzę, co zawiera ta antologia: – Ziemię z Pacyfikiem, którego nigdy nie przekroczone, bo planeta nie łączy się w całość, – przestępstwa popełniane w rzeczywistości wirtualnej, – sprzęty użytku domowego, które stają się inteligentne i przejmują władzę, – świat z wody, – kogoś zagubionego w czasie, próbującego wrócić do miejsca, skąd wyruszył, – konsekwencje zaprzestania jedzenia.

To tylko kilka pomysłów zawartych w dziewiętnastu opowiadaniach tworzących ten zbiór. Nie wszystkie są ekstremalne same w sobie, ekstremalne jest to, co czyni z pomysłem autor.

W większości to dzieła stosunkowo świeże, napisane w ciągu ostatnich dziesięciu, dwunastu lat (trzy z nich właśnie w tej antologii ujrzały światło dzienne). Wybierałem takie, które prezentowały nowe wizje nauki i społeczeństwa. Przez ostatnie dwadzieścia lat byliśmy świadkami kolosalnych zmian w technologii, a tempo rozwoju jest doprawdy oszałamiające. Wybierałem więc opowiadania, które uwzględniały tempo przemian i przedstawiały jak najwięcej współczesnej techniki i nowoczesnego myślenia.

Nie chciałem jednak zatrzęsnać drzwi przed starszymi opowiadaniem. Ba, można przecież założyć, że science fiction w latach swego niemowlęctwa była najbardziej ekstremalna. Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo rewolucyjnym utworem okazał się w 1818 roku *Frankenstein* Mary Shelley lub w 1859 roku *Wehikuł czasu* H.G. Wellsa. Książka ta zabrała nas w przyszłość najpierw o 800 tysięcy lat, a potem o kolejne miliony. Do tej samej kategorii zaliczyć można powieść *Flatland* Edwina Abbota z 1884 roku, w której znajduje się opis świata składającego się z jedynie dwóch wymiarów. Zaskakujący filozof Olaf Stapledon w 1937 roku opublikował powieść pod tytułem *Star Maker*, która jest bodaj najbardziej ekstremalną pozycją science fiction w historii gatunku. Opisuje człowieka przyglądającego się historii Wszechświata, w której rola odegrana przez ludzkość ogranicza się zaledwie do pierwszych kilku stron. Jak na czasy, w których zostały napisane, wszystkie te powieści zasługują na miano ekstremalnych.

Niektóre z opowiadań nieco już się postarzały, ale i tak miło je przeczytać. Wiele z nich mogłoby się zmieścić w tej antologii, więc musiałem być bardzo krytyczny przy wyborze pozycji z ostatnich trzydziestu lat. Sądzę jednak, że będziecie zadowoleni z lektury.

Przez lata na rynku pojawiło się wiele czasopism i antologii, które usiłowały przełamać bariery i zwalczyć tabu. Dominującą pozycję wśród nich odgrywa *Dangerous Visions* Harlana Ellisona, a w niniejszym zbiorze znajdzie się wiele podobnego rodzaju opowiadań. Zadaniem tej antologii nie jest jednak walka z tabu. Została ona stworzona, by pokazać, czego może dokonać science fiction, gdy uwolni się drzemiący w niej potencjał. Oznacza to, że zaraz wsiądziecie do kolejki górskiej, by wyruszyć w trasę pełną dziwów i cudów.

Ułożyłem ten zbiór tak, by rozpoczął się od pozycji najłagodniejszych i stopniowo gromadził napięcie aż do najbardziej ekstremalnych, choć ostatnie opowiadanie pozwoli nam odetchnąć intelektualnie. A więc trzymajcie się. Hamulce właśnie zostały zwolnione.

Mike Ashley grudzień 2005

Gregory Benford Mógłbym wypełnić tę antologię wyłącznie opowiadaniem Grega Benforda, który przez ostatnie lata napisał wiele ekstremalnie fantastycznych opowiadań. Wystarczy zerknąć do jego zbiorku *Worlds Vast and Various* (2000). Benford (ur. 1946) jest profesorem fizyki na Uniwersytecie Kalifornijskim, doradcą NASA i członkiem marsjańskiego programu badawczego. Jego powieści *The Martian Race* (1999) oraz *The Sunborn* (2005) są uważane za najbardziej autentyczne rozważania o eksploracji Marsa. W 1995 roku otrzymał nagrodę *Lord Foundation* za osiągnięcia naukowe.

Za science fiction otrzymał również wiele nagród – jak *Nebula* za *Timescape* (1980). Jego najśłynniejszym cyklem jest *Saga Centrum Galaktyki*, opisująca konflikt między organicznymi formami życia a sztuczną inteligencją. Najbardziej ekstremalną pozycją wśród ostatnich dzieł jest *Cosm* (1998) o sztucznym mikroszechświecie.

Tę antologię Benford otwiera opowiadaniem napisanym z lekkim przymrużeniem oka.

Gregory Benford

ANOMALIE

Uwadze Królewskiego Astronoma bynajmniej nie umknęło, że największego odkrycia naukowego wszech czasów dokonał stolarz oraz astronom amator z sąsiedniego miasta katedralnego o nazwie Ely. Stolarz, a nie profesjonalista z Cambridge.

Geoffreya Carlisle'a cechowała zwykła, naturalna bezpośredniość, którą wypracował zapewne, wykonując swój zawód – a zajmował się robieniem szafek. Dzięki niej udało mu się minąć doświadczonego w zbywaniu patentów recepcjonistę Instytutu Astronomii, a potem Asystenta Dyrektora, który miał jeszcze większe doświadczenie w tej materii, i wreszcie dostać się do biura Królewskiego Astronoma.

Pokonanie tych przeszkód trwało jednak dość długo i Geoffrey dotarł do celu dopiero wczesnym popołudniem, gdy promienie słońca przebiły się przez siąpiące deszczem chmury. Nie marnował już czasu. Położył na biurku Królewskiego Astronoma mapę nieba z ręcznie naniesionymi poprawkami i oznajmił: – Księżyc przesunął się na orbicie o ponad jeden stopień.

– Dokładnie pan wymierzył, jak sędzę?

Królewski Astronom już dawno odkrył, że czasami przypadkowym dziwakiem udawało się przedostać przez system zabezpieczeń Instytutu, a w takich sytuacjach najlepszą metodą postępowania jest natychmiastowe przejście do ich odkryć. Gdy potraktować ich jak kolegów po fachu, natychmiast miękli i

spuszczali z tonu. W rzeczy samej astronomia była jedyną nauką, która nadal czerpała korzyści z dokonań amatorów. Odkrywali komety i zbłąkane asteroidy, dostrzegali nieznane supernowe i całkowicie dominowali na polu zwanym przez profesjonalistów lokalną astronomią, czyli sztuką oglądania nieba za pomocą teleskopów mniejszych od domu.

Ów Geoffrey swą dokładnością przewyższał innych sobie podobnych, co oznaczało, że jego odkrycie mogło być autentyczne.

– Dobrze, przyjrzyjmy się więc temu wspólnie – rzekł Królewski Astronom. Spożywał właśnie na biurku drugie śniadanie, stąd też nie mógł się wymówić pilnym spotkaniem na uniwersytecie. Postanowił więc, że przerobi tę dziwaczną wizytę w zabawną dykteryjkę.

Jakąś godzinę później porzucił zamysł układania jakichkolwiek anegdot. Po naradzie z bibliotekarzem, który znał niebo jak własną kieszeń, okazało się, że Geoffrey nie pomylił się w podstawowych wyliczeniach. Dysponował fotografiami oraz dokładnymi obliczeniami, precyzyjnymi niczym praca ciesielska, które co do jednego wykazywały, że zeszłej nocy około dwudziestej trzeciej księżyc znalazł się poza swoją pozycją orbitalną.

– Może doszło do błędu systematycznego? – bibliotekarz zapytał cierpliwie stojącego przed nim wysokiego, muskularnego stolarza.

– Sam pan sprawdź. Miałem nadzieję, że wam uda się wykombinować jakieś wyjaśnienie.

Księżyc nie było jeszcze na niebie, więc Królewski Astronom wysłał e-maila na Hawaje. Tamtejsi badacze uznali to za żart, lecz mimo to poszli się przyjrzeć. Wrócili podekscytowani. Ich

zespół potwierdził odkrycie Geoffreya, a w ich ślady poszły zaalarmowane ośrodki badawcze w Japonii i Australii.

– Przesunął się o odległość równą kilku własnym średnicom – rozmyślał Królewski Astronom. – Wyprzedził swoją pozycję na orbicie.

– Pływy również się zmieniły – skomentował z namysłem bibliotekarz. – Dokładnie tak, jak wymagałaby tego nowa pozycja księżycy. Wedle raportów ich zmiana była niespodziewana.

– Nie mam pojęcia, dlaczego się to wszystko dzieje – rzekł cicho Geoffrey.

– Ja też nie – odparł Królewski Astronom. Znany był z niedomówień, które mogły uchodzić za skromność, ale w tej sytuacji w istocie nie był w stanie wymyślić niczego, co by mogło wywołać taki rezultat.

– Ktoś inny pewno też to zauważył – dodał Geoffrey, mnąc czapkę w dłoniach.

– W rzeczy samej – przyznał ostrożnie Królewski Astronom w obawie, że nie dosłyszał ukrytej złośliwości.

– Sęk w tym, że chciałem się tylko upewnić, psze pana, czy moje odkrycie zostanie docenione.

– Och, ależ oczywiście, że zostanie!

Komety czy asteroidy były w podzięce za wysiłki nazywane imionami odkrywców amatorów, ale teraz sytuacja przedstawiała się inaczej.

– Trzeba będzie skontaktować się z MZA, Międzynarodowym Związkiem Astronomicznym. – Królewski Astronom miał w głowie istny mętlik. – Wedle procedur należy powiadomić wszystkich zainteresowanych obserwatorów. No i ustalić, w jaki sposób wynagrodzimy odkrycie.

Geoffrey zbył jego słowa machnięciem dłoni.

– Ja jestem tylko prostym człowieczkiem, nic ponad to. Gdzieś mam korzyści, starczy mi, że zostanę uznany odkrywcą. Tak naprawdę to interesuje mnie tylko jedno – o co w tym chodzi?

Wkrótce, gdy tylko poniosły się wieści, a księżyc wypłynął ponad europejskie horyzonty, wszędzie rozbrzmiało to samo płaczliwe pytanie. Nie trzeba było specjalisty, by wiedzieć, że działo się coś ważnego.

– Wszystko się zgadza – rzekł Królewski Astronom przed lasem kamer i mikrofonów. – Specjaliści od oceanografii na całym świecie również potwierdzili zmiany pływów. W jakiś sposób wczorajszej nocy około jedenastej czasu Greenwich nasz księżyc przyspieszył na orbicie. W chwili obecnej jednakże przemieszcza się ze zwykłą prędkością.

– Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał któryś z przenikliwych, dociekliwych dziennikarzy.

– Nie wydaje mi się – wykręcił się łagodnie Królewski Astronom. – Nie potrzeba nam żadnych nagłówków nawołujących do paniki.

– A co jest tego przyczyną? – ponad gwar wzbil się kobiecy głos.

– W pobliżu księżycyca nie widać żadnego innego obiektu – przyznał Królewski Astronom.

– A z czego korzystacie?

– Skanujemy cały obszar na wszystkich falach, od radiowych aż po promienie gamma.

Najprawdopodobniej była to nadmierna rozrzutność, ale Królewski Astronom znał cenę, którą zapłaciłby za nieokazywanie należytej troski. Załamywanie rąk było konieczne na każdym etapie przedstawienia.

– Czy takie rzeczy miały miejsce w przeszłości? – zapytał ostro

ktoś inny. – Może po prostu nam nie mówiono?

– Nie mamy dokumentów poświadczających, że podobne zdarzenie miało już miejsce – rzekł Królewski Astronom. – Cóż, mogło dojść do takich sytuacji tysiące lat temu, ale któż by wówczas to zauważył? Supernowa, po której pozostała Mgławica Kraba, nie została dostrzeżona w Europie, choć była doskonale widoczna. Zauważono ją natomiast w Chinach.

– A co pan sądzi, panie Carlisle? – zapytał jakiś reporter. – Jako amator?

Geoffrey trzymał się z daleka od konferencji prasowej, którą tłumy wymusiły na Instytucie. Miała ona miejsce na zielonym, bujnym trawniku przed starym budynkiem Obserwatorium.

– Mnie się tam tylko udało, że byłem pierwszy – stwierdził. – Tak się księżyc zapędził, że trudno było nie zauważyć.

Starym wyjadaczom z mediów bardzo się to spodobało i przycisnęli Geoffreya mocniej.

– No, ja niewiele wiem o jakiejś tam sile, której by potrzeba, żeby wszystko to wyjaśnić. No a skoro się nie wie wszystkiego, to równie dobrze można sobie pomyśleć, że to nadprzyrodzone jakieś.

Tłum z miejsca pokochał tę wypowiedź. *NADPRZECIĘTNY AMATOR I NADPRZYRODZONY KSIĘŻYC* oraz *TO JASNE JAK SŁOŃCE, MÓWI GEOFFREY*, wołały nagłówki w tabloidach, dzięki czemu Carlisle błyskawicznie stał się sławny. „London Times” zamieścił na całą stronę przedruk jego kalendarza, z którego wraz z Królewskim Astronomem wyliczyli przyspieszenie, jakie musiało nastąpić około dziesiątej i trwać przez krótką chwilę, skoro nikt na wschodzie nie zarejestrował niczego dziwnego.

Tej nocy nad większością Europy zalegały chmury, więc Geoffrey był jednym z pierwszych, którzy mogli się przyjrzeć

temu, co gazety ochrzciły Anomalią i odmieniły na wszelkie sposoby w nagłówkach, jak choćby: *ODKRYWCA ANOMALII WPRAWIA ASTRONOMÓW W OSŁUPIENIE*.

Z kilkunastu tysięcy profesjonalnych astronomów na świecie niewielu zwracało sobie głowę lokalnymi wydarzeniami, a już zwłaszcza nie tymi, które można było wypatrzeć gołym okiem. Teraz jednak setki specjalistów rzuciły się do obserwacji Anomalii i dzięki koordynatom z Cambridge, przekazanych przez Królewskiego Astronoma, szybko nakreśliły ramy zjawiska. Doszło też wówczas do drugiego odkrycia.

W promieniu około dwóch stopni od miejsca, gdzie księżyc przyspieszył, coś się stało z gwiazdami. Ich pozycje uległy losowym zmianom, jak gdyby światło załamywało się w ogromnej niewidocznej soczewce.

Nowoczesna astronomia polega na ostrym współzawodnictwie – albo dokonuje się odkryć szybko, albo ginie, a w rezultacie jakiś czas później traci posadę.

Pięciu spośród tych, którzy zaliczali się do niezwykle szybkich, odkryło Drugą Anomalię. Wystarczyło, by przeszukali wyniki bieżących obserwacji i odnaleźli te, które obejmowały część nieba, gdzie ubiegłej nocy wystąpiła Pierwsza Anomalia. Media, które rozkręciły się na dobre, zamieściły fotografie porównujące stan obecny i poprzedni na pierwszych stronach gazet. Niewyraźne plamki światła naraz stały się słynne, gdy okazało się, że przez jakąś godzinę po dziesiątej wieczór – w Momencie Anomalii – przeskoczyły o szerokość palca na nocnym niebie.

– Czy to się zgadza z waszymi obserwacjami? – zapytał komentator o mocno zarysowanej szczęce na konferencji pospiesznie zorganizowanej dzień później w auli Instytutu Astronomii. Pytanie skierowane było do Geoffreya, którego

dziennikarze zawsze wypytywali jako pierwszego – był dla nich niczym punkt oparcia wśród wartkich potoków astronomicznych wywodów.

Trąbienie samochodów stojących w korku na Madingley Road niemalże zagłuszyło odpowiedź Geoffreya: – A bo ja tam wiem. Ja wolę zajmować się planetami.

Już nawet w wiadomościach nadawanych późną porą nie pominięto, że niespotykane zachowanie sporej partii nieba zwiastuje ogromną tajemnicę, ale jak dotąd żaden astronom, choćby nie wiadomo jak śmiały, nie przedstawił żadnego wyjaśnienia. Stary, dobry i jakże prawdziwy dowcip głoszący, iż teoretyk jest w stanie wyjaśnić rezultaty każdego eksperymentu pod warunkiem, że zna je z góry, zyskał na aktualności i był coraz częściej powtarzany. Wszędzie aż się roiło od domysłów i spekulacji.

Niemniej nadal nie było wyników. Całe dni intensywnej obserwacji na wszystkich częstotliwościach nie przyniosły żadnych rezultatów.

Tymczasem księżyc pełzył po swej elipsie precyzyjnie wedle tego, co wyliczył Newton, choć milę dalej, a rozdrażniony Królewski Astronom nadal w towarzystwie Geoffreya nie wiedział, co z tym począć.

– Pewien znany mi wykładowca Kolegium Jezuickiego chciałby nas zobaczyć – rzekł Królewski Astronom. – Obu.

– Mnie też? – zmarszczył brwi Geoffrey. – Przecież to wszystko od początku mnie przerasta.

– Powiedział mi, że chyba ma pomysł. Co więcej, taki, który da się sprawdzić.

Musieli przedsięwziąć szczególne środki ostrożności, by wymknąć się psom gończym mediów. Działanie Instytutu

słynął z szerokich trawników i wielkiej obfitości krzewów, teraz niemal całkiem zdeptanych przez tłum. Gdyby pojechali samochodem, na pewno by ich śledzono. Królewski Astronom już dawno zdecydował, że woli urzędować tutaj niż na swojej uczelni, kierując się niechęcią do zgiełku i hałasu centrum miasta, lecz teraz swej decyzji żałował. Czuł się jak w potrzasku. Geoffrey znalazł jednak rozwiązanie. Instytut trzymał bowiem rowery dla gości, więc obaj wskoczyli na siodelka i wyjechali wąską, ocienioną drzewami ścieżką na tyłach Instytutu i skierowali się ku miastu. Zjeżdżali brukowaną uliczką między starymi, wspaniale utrzymanymi budynkami uczelni, ignorowani zarówno przez studentów, jak i zakupowiczów. Kolegium Jezuickie było znakomicie wyposażoną uczelnią leżącą nad rzeką Cam. Dotrzeć tam można było tylko przez rozległe tereny sportowe. Królewski Astronom czuł się z początku jak idiota, pedałując niczym studencina, ale wysiłek fizyczny pomógł mu zebrać myśli. Na miejscu profesor Wright, dziekan wydziału astronomii, podjął ich w swoim gabinecie herbatą i ulubioną przekąską – kanapkami bez skórek.

Wright był filozofem postmodernistą, energicznym człowiekiem z piskliwym głosem. Z werwą, acz zwięźle wyjaśnił, że wedle współcześnie panujących przekonań rzeczywistość można było z pożytkiem postrzegać jako wynik obliczeń.

Urażony Geoffrey zmierzył go niechętnym spojrzeniem spod nastroszonych krzaczastych brwi.

– To nie żadne głupkowate wyliczenia. To się dzieje naprawdę!

Wright celowo go zignorował, odwracając się ku Królewskiemu Astronomowi.

– Martin, z pewnością zgodzisz się z założeniem, że szukając Teorii Wszystkiego, to tak naprawdę zdradzacie się z

przekonaniem, że istnieje skrótowy sposób na wyrażenie logiki wszechświata, wzór możliwy do zapisania przez człowieka?

– Oczywiście – przyznał Królewski Astronom, choć z niechęcią, a potem z lojalności wobec Geoffreya dodał: – Tak czy owak, nie zgodzę się jednak z teorią, jakoby rzeczywistość można było postrzegać jako swego rodzaju organizm komórkowy działający wedle określonego programu.

Wright uśmiechnął się sceptycznie.

– Można by powiedzieć, że nie odrzuca cię sam pomysł, jakoby wszechświat był komputerem, ale oczywisty fakt, że wszyscy z niego korzystają.

– Przykro mi, ale chyba nie kapuję, o czym panowie gadają – wtrącił Geoffrey.

– Problem tkwi w tym, w jaki sposób wyrażają się prawa fizyki – rzucił Wright tonem wykładowcy. – Rzecz jasna, atomy nie znają swych równań różniczkowych – zachichotał uprzejmie. – Niemniej aby ustalić, gdzie księżyc powinien się za chwilę znaleźć, wszechświat w jakiś sposób musi to obliczyć. Dzięki Newtonowi my także potrafimy to wyliczyć.

Królewski Astronom zorientował się, że Wright skorzystał z tego uproszczenia na użytek Geoffreya i przeczuwał, że amator odkrywca nie przyjmie tego z pokorą. By ponaglić Wrighta, odezwał się sam: – Ale nie umiemy sprawić, żeby księżyc się przesunął...

– Tak, tego nie wiemy. Nie mamy pojęcia, jak przesunąć ciało niebieskie. Nie wiemy, jak tchnąć ogień w równania, jak to ujął Hawking.

– Przecież natura nie zna matematyki – dobitnie stwierdził Geoffrey. – Na pewno nie lepiej ode mnie.

– Ale coś musi ją znać, sam pan rozumie – zapewnił serdecznie

Wright i poprosił, by się poczęstowali z kolejnej tacy pełnej małych kanapek. Sam zręcznie otworzył butelkę sherry. – Rzecz jasna, wykorzystuję ludzki sposób formułowania problemu naturalnego porządku. Świat został dobrze opisany przez matematykę, a więc w naszym mniemaniu matematyka musi być w niego wpisana, wkomponowana.

– A więc Bóg to, cholera, jakiś matematyk? – skrzywił się Geoffrey.

Królewski Astronom pochylił się nad antyczną ławą z dębowego drewna.

– To tylko jeden ze sposobów ujęcia zagadnienia – oznajmił.

– Moim zdaniem, jest tylko jeden powód, dla którego gwiazdy się pomekły – oznajmił Geoffrey, patrząc to na jednego, to na drugiego eksperta. – Coś je poprzesuwało i to coś pochodzi z nieba.

– Słusznie – Królewski Astronom zasznurował usta. – Ale tylko sygnał osiągający prędkość światła byłby w stanie poprzestawiać gwiazdy i przyspieszyć księżyc.

– A więc znaleźliśmy się na skraju zasięgu czegoś stamtąd – skonstatował Geoffrey.

– Długa, cienka fala zakłóceń biegnąca od odległych gwiazd. Bardzo wąski promień... No właśnie, czego? Promień błędu? Ale skąd miałby pochodzić? – Królewski Astronom nie zaznał wiele snu od chwili, gdy ujawniono odkrycie Geoffreya, i było to po nim widać.

– Owe poprzesuwane gwiazdy nadal nie wróciły do stanu normalnego, tak? – zapytał powoli profesor Wright.

Królewski Astronom pokiwał głową.

– Nie pojawiło się to w naszym oficjalnym oświadczeniu, ale każdy obserwator, wyposażony choćby w tani teleskop –

przepraszam, Geoffrey, nie miałem oczywiście ciebie na myśli – będzie w stanie dojrzeć, że księżyc, który powrócił do poprzedniej prędkości, pozostawił za sobą krąg poprzestawianych gwiazd.

– A to potwierdza pomysł Geoffreya, że Anomalia jest długą, cienką linią... Cóż, nazwę ją błędem.

– To właśnie miałeś na myśli, mówiąc, że masz pomysł możliwy do sprawdzenia? – zapytał z irytacją Królewski Astronom.

– Nie, nie do końca. Chociaż w miarę wędrówki księżycy obie Anomalie się oddalają, obszar zakłóceń, który przywędrował ku nam z gwiazd, pozostaje w tym samym miejscu. W mojej teorii jest to pierwszy wymóg.

– A na czym ta teoria polega? – Geoffrey wreszcie przestał bawić się szklaneczką i opróżnił ją z sherry jednym haustem.

– Pozwólcie, że przedstawię wam moją filozofię – rzekł Wright.
– Jeśli wszechświat jest nieprzerwanym ciągiem obliczeń, to wedle teorii obliczeniowej nie może być idealny. Nie ma systemu, który nie zawierałby choć jednego błędu czy „buga”, jak mówią programiści.

Nastała niezręczna cisza, którą przerwał dopiero Geoffrey: – A więc to, że księżyc przyspieszył, to zamieszanie z gwiazdami... To wszystko błąd?

– Otóż to – uśmiechnął się lekko Wright. – To błąd. Błąd na ogromną skalę, poruszający się z prędkością światła.

Twarz Geoffreya ściągnęła się w grymasie skrajnego zdumienia.

– I wszystko tak po prostu skoczyło?

– Nasz księżyc, skacząc nieco za daleko w ogólnym wyliczeniu, zachował się podobnie jak program, który działa za pomocą

drobnych skoków naprzód – rzekł Wright i uśmiechnął się, jakby opisał właśnie całkowicie naturalne zjawisko.

I znów zapadła cisza.

– To tylko filozofia – oznajmił kwaśno Królewski Astronom. – Nie ma nic wspólnego z fizyką.

– Ależ skąd! – zachnął się profesor. – Niemniej każdy wszechświat, który jest czymś w rodzaju komputera analogowego, podobnie jak każdy przyzwoity sprzęt cyfrowy, musi dysponować oprogramowaniem korygującym błędy. W przeciwnym razie jego istnienie byłoby pozbawione sensu.

– Dlaczego? – Geoffrey wyraźnie nie do końca rozumiał, o co chodzi.

– Każdy dobry program, bez względu na to, czy zajmuje się księgowością w banku, czy prawami wszechświata, musi być w stanie sam siebie naprawić. – Profesor Wright rozparł się z tryumfem na fotelu i przełknął jezuicką kanapkę, oblizując usta.

– A zatem przewidujesz... – zaczął Królewski Astronom.

– Że zarówno gwiazdy, jak i księżyc same się naprawią. W chwili gdy poprawki dotrą tu z prędkością światła.

– To bzdura – rzekł Królewski Astronom.

– To prognoza – stwierdził dobitnie profesor Wright. – Prognoza poparta moją filozofią.

Astronom parsknął, pozwalając wreszcie, by zmęczenie przejęło nad nim kontrolę. Geoffrey, nadal oszołomiony, zadał wówczas pytanie, które miało ich później prześladować.

Profesor Wright nie musiał czekać długo.

Trzeba przyznać, że nie powędrował ze swymi rewelacjami prosto do mediów. Niemniej podzielił się nimi nierozważnie przy Wysokim Stole, po otwarciu butelki znakomitego klaretu przyniesionego przez najstarszego członka rady uczelni. Jeszcze

dwa pokolenia temu podobne rozmowy na łonie rady byłyby całkowicie poufne i bezpieczne, jednak sytuacja dawno już się zmieniła. Okazało się, że jeden z młodszych członków rady, związany z wydziałem politologii, kontaktował się z „The Times” i nie minął dzień, a teoria Wrighta była znana zarówno w New Delhi, jak i w Tokio.

Zamieszanie wywołane tą teorią nie zdążyło jeszcze przycichnąć, gdy Królewski Astronom odebrał telefon z Instytutu Maksa Plancka. Pracujący tam uczeni z podnieceniem zameldowali, iż księżyc, który znajdował się teraz pod nieustanną obserwacją, niespodziewanie powrócił do poprzedniej pozycji, jakby jego orbita nigdy nie została zakłócona.

Gwiazdy z owego nieregularnego kręgu również znalazły się tam, gdzie powinny. Wydawało się, że świat powrócił do normy, lecz wyczuwało się, że po tym, co zaszło, nigdy już nie będzie taki sam.

Profesor Wright nie był z siebie zadowolony. O rozwoju wydarzeń dowiedział się od Królewskiego Astronoma, który znów przyprowadził Geoffreya do Kolegium Jezuickiego, lecz gratulacje zbył machnięciem ręki.

– Dajcie spokój, przecież to wszystko logiczne.

Znać było, że Geoffreya coś trapi, niemniej w milczeniu przeczekał rozmowę o tym, jak należy sobie radzić z żarłocznymi mediami. Filozofowie nie przywykli do tego, że znajdują się w centrum wydarzeń, ponieważ z reguły tak się dzieje długo po ich śmierci. Gdy rozmowa się skończyła, Geoffrey powtórzył owo przenikliwe pytanie z ostatniego spotkania: – Jaki wszechświat może zawierać błędy?

– Uporządkowany wedle informacji – odparł profesor Wright.

– Posłużmy się analogią. Wyobraź sobie, że wszystko, co się dzieje, łącznie z naszą rozmową, to program. Program odkrywający sam siebie. Manifestujący się w działaniu.

– Ale kto zaprogramował taki komputer? – naciskał Geoffrey.

– Pytania o przyczynę wszystkiego nie są naprawdę istotne. – Profesor Wright wyprostował się.

– Co oznacza, że profesor nie ma bladego pojęcia – Królewski Astronom pozwolił sobie na ironię.

Wright podrapał się po podbródku i zmierzył ich obu spojrzeniem.

– Zważywszy na szczytną nazwę tej uczelni oraz to, że ty, Geoffrey, jesteś pokornym, skromnym odkrywcą zjawiska, które rozpoczęło to całe...

– O nie! – wtrącił Królewski Astronom. – Zaraz przypomnisz nam, że Geoffrey jest cieślą!

Wybuchli śmiechem, choć raczej niewesołym.

Po opuszczeniu terenów szacownej uczelni Geoffrey odezwał się z wyrzutem do Królewskiego Astronoma: – Jestem stolarzem.

– Co takiego?

– Nie jestem żadnym cholernym cieślą! – tym razem w jego głosie pojawiła się złość. – Jestem rzemieślnikiem jak inni stolarze!

Królewski Astronom odniósł wrażenie, że różnica między oboma pojęciami raczej mu umyka, ale w owym czasie była to tylko jedna z wielu rzeczy, których zrozumieć nie potrafił.

Dzięki satelicie na orbicie geosynchronicznej Japończycy bardzo szybko potwierdzili zdjęciami powrót księżyca na poprzednią pozycję. Zmiana w istocie nastąpiła niemalże z prędkością światła, gdyż powrót do poprzedniego układu trwał jedynie ułamek sekundy. Księżyc wrócił oczywiście nie na

miejsce, w którym się znajdował, gdy wystąpiła Anomalia, ale na pozycję, gdzie powinien się znajdować zgodnie z prawami Newtona. Nikt nie umiał objaśnić, skąd się wzięła ogromna siła potrzebna do wykonania takiej operacji, nikt z wyjątkiem profesora Wrighta, uzbrojonego w swą Teorię Obliczeniową.

Ku zaskoczeniu wszystkich to nie ktoś z tłumu dziennikarzy, których napastliwość ostatnio sięgała zenitu, ale Geoffrey zbił profesora z pantałyku.

– Nie kapuję jednego, sir. Jak to jest, że my ciągle pamiętamy, kiedy księżyc znalazł się w niewłaściwej pozycji?

– Co? – zapytał Wright. Był tak zaskoczony, że nieomal rozlał jedną z trzech herbat, które popijał. Nie ulegało wątpliwości, że rozkoszuje się ich smakiem, podczas gdy Królewski Astronom jedynie robił przekonujące wrażenie, że jest w dobrym nastroju.

– No bo jeśli wszystkie te błędy zostały naprawione, to czemu nie naprawiono również naszych wspomnień?

Obaj uczeni zamarli.

– Jesteśmy częścią fizycznego wszechświata – rzekł z zastanowieniem Królewski Astronom. – Właściwie więc racja, dlaczego pamiętamy?

Wyraz twarzy Wrighta zdradzał konsternację.

– To, że nie zostaliśmy... eee... zredagowani...

– Znaczy, że nie jesteśmy z tej samej bajki co księżyc, tak?

Wright niechętnie pokiwał głową.

– Czyli ów, jak to tam było... Ten „umysł”, który wykonuje te wszystkie obliczenia dla całego wszechświata, nie da rady wpłynąć na inne umysły.

– A dlaczego? – zapytał Królewski Astronom, nawet nie kryjąc, że zadanie tego pytania sprawiło mu przyjemność.

– Nie mam bladego pojęcia.

Światło nie zawsze podróżuje z tą samą oszałamiającą prędkością. Maksymalną szybkość osiąga tylko w próżni.

Światło generowane w centrum słońca na przykład – które, nawiasem mówiąc, jest milion razy gęstsze od ołowiu – zostanie najpierw zaabsorbowane przez ściśnięte, zjonizowane atomy, przetrzymane przez ułamek sekundy i dopiero potem wypuszczone. Przebywa nieskończenie mały dystans i znów łapie je kolejny gorący jon plazmy, po czym cały proces się powtarza. W rezultacie promieniowanie przedziera się ku powierzchni losowo wybranymi trajektoriami, a droga od jądra na powierzchnię zabiera mu wiele tysięcy lat. Gdy wreszcie fotony zostają uwolnione, docierają na Ziemię w parę minut.

Promieniowanie z obszarów bliższych kipiącej ogniem powłoki słońca przebija się szybciej, gdyż plazma jest tam o wiele rzadsza. To właśnie dlatego upłynęły trzy pełne miesiące, zanim ktokolwiek zwrócił uwagę na szczegół, który astronomowie zauważyli na samym początku, a potem zlekceważyli.

Owa „wiązka chaosu”, jak powszechnie zwano Anomalię, przybyła z odległych gwiazd, przesunęła księżyc i na koniec przecięła słońce pod ostrym kątem. Na szczęście minęła Ziemię, ale na tym, niestety, szczęście się skończyło.

Był zwykły, niczym niewyróżniający się poranek, kiedy Geoffrey obudził się i przystąpił do pracy nad kolejną szafką. Cieszył się, że znalazł się poza zasięgiem mediów, choć wciąż nękały go kwestie, które pojawiły się wraz z jego odkryciem. Profesora Wrighta nadal dręczyło, że nie ma pojęcia, jak odpowiedzieć na pytanie Geoffreya. Królewski Astronom zajęty był współpracą z Królewską Komisją wyznaczoną do zbadania Anomalii, choć nikt tak naprawdę nie oczekiwał, że Komisja jest w stanie znaleźć jakieś rozwiązanie. Geoffrey miał nadzieję, że

uda się odkryć więcej dzięki pomiarom, ale badania utknęły w martwym punkcie.

Owego feralnego poranka Geoffrey wyjrzał przez okno sypialni. Słońce wyglądało dziwnie. Założył ciemne szkiełko na teleskop i zaczął obserwację. Wiedział, że z korony słonecznej czasami wzbijały się ogniste luki, istne gąszcze wyprysków pola magnetycznego, które strzelały z plazmy niczym wyładowania na pękach drutów pod napięciem. Tymczasem ujrzał osobliwe parodie owych zjawisk, unoszące się z wielu miejsc jednocześnie w oślepiającym blasku.

Zawołał żonę. Na brukowanej ulicy ludzie rozmawiali z niepokojem podniesionymi głosami. Nad rozległymi bagiennymi równinami okalającymi stare miasto Ely unosiło się rubinowe słońce, otoczone imponującymi purpurowymi łukami, które nabrzmiewały i pękały na podobieństwo gigantycznych pęcherzy.

– Co to wszystko oznacza? – głos jego żony zadrżał.

– Sam boję się pytać.

– Sądziłam, że wszystko wróciło do normy.

– Najwidoczniej to bardziej skomplikowane.

– Albo nastał dzień Sądu. – Żona zmarszczyła surowo brwi. Geoffrey ujrzał w jej oczach odwieczny ludzki impuls, by doszukiwać się boskich przesłań we wszystkim, co niecodzienne.

Geoffrey pomyślał o rojach atomów słońca, poruszających się na skomplikowanych trajektoriach kolizyjnych. Anomalia musiała je wzburzyć, a wiązka korygująca nie zdołała uspokoić. Naprawa tego problemu okazała się niemożliwa, widocznie nawet mechanizm, który sterował obliczeniami dla całego wszechświata, nie był wszechwładny.

Mówcie sobie, co chcecie, pomyślał Geoffrey. Ów byt, który

zaprowadza porządek, popełnia również błędy i nie umie całkiem zamaskować swych śladów.

– Ciekaw jestem, co to oznacza – szepnął.

Wiązka okazała się skuteczna. Wokół płonącej tarczy Słońca, gwiazdy, dzięki której w Układzie Słonecznym istniało inteligentne życie, unosiły się gniewne pióropusze ognia.

I tak oto rozpoczęła się nowa era. Jej początek wyznaczyła nie tylko wielka katastrofa, ale i ustanowienie całkowicie nowej nauki. Dopiero po upływie wielu lat, gdy w okresie względnego spokoju rozpoczęto odbudowę Kolegium Jezuickiego, a na uniwersytecie w Cambridge na nowo ruszyły studia, owa nowa nauka oraz filozofia (gdyż były one wówczas nierozzerwalnie związane) zyskała odrębną nazwę.

Zaczęto ją nazywać Teologią Empiryczną.

Paul Di Filippo Paul Di Filippo (ur. 1954) jest najczęściej utożsamiany z cyberpunkiem, ale to drobne dzieło Di Filippo na szczęście samo broni się przed zaszkladkowaniem. Jego styl przypomina twórczość Harlana Ellisona, Philipa K. Dicka, Philipa José Farmera i Rogera Zelaznego zbitą w bryłę ciasta, rozwałkowaną i pociętą na paski, które następnie wypełniono słodkim nadzieniem S.J. Perelmana, Jerry'ego Seinfelda, Tima Powersa i Bruce'a Sterlinga i upieczono w piecu ogrzanym wyobraźnią Di Filippo. Wynikiem tego kulinarno–literackiego zabiegu jest taca pełna smakołyków, które za każdym razem smakują inaczej. Można się nimi delektować w antologiach *Fractal Paisleys* (1997), *Strange Trades* (2001) i *Little Doors* (2001), a także w powieści *The Steampunk Trilogy* (1994).

W poniższym opowiadaniu można natknąć się na humor, ale ma ono również mroczniejszą stronę. Jest doskonałym przykładem, jak zwykły pomysł rozciągnąć do granic logiki.

Paul Di Filippo

...I TAK OTO OBIAD UCIEKŁ RAZEM Z ŁYŻKĄ

Kiedy owego feralnego popołudnia stanąłem twarzą w twarz z moim rywalem, uświadomiłem sobie, że jestem na najlepszej drodze, by stracić dziewczynę.

Mogłem stracić Cody na rzecz spontanicznie powstałego zbioru informacji.

Informacje krążyły w krześle typu Aeron połączonym z kilkoma innymi obiektami: z robotem kuchennym Cuisinart, z inteligentnym odkurzaczem wyposażonym w serię wymiennych dodatków, z iPodem i domowym med-urządzeniem diagnostyczno-terapeutycznym zwanym LifeQuilt. Jak wszyscy rywale, ów spontanicznie powstały zbiór – bądź bleb, jak zwykle się nazywać losowe połączenie inteligentnych urządzeń (swego czasu był to również termin biologiczny, a określano nim wypchnięcie anomalnych komórek) – nie był szczególnie przystojny. W rzeczy samej prezentował się dość niezgrabnie. Wyglądało jednak na to, że był ślepo przywiązany do Cody od dnia swych narodzin, a kobiety chyba cenią sobie taką uwagę. Ja zaś muszę przyznać ze wstydem, że w trakcie powstawania zbioru Aeron ignorowałem Cody i nie zwróciłem uwagi, iż ten zaczyna ją kokietować. Stanąłem w obliczu utraty dziewczyny i, niestety, byłem jedyną osobą, którą można było obwiniać o to, że w ogóle do tej sytuacji doszło. Tak czy owak, było to bolesne

doświadczenie. Dajcie spokój, czy można przegrać z blebem? To by dopiero było...

Zważywszy na moje dotychczasowe przejścia z blebami...

Obawiałem się tych kłopotów od chwili, gdy Cody zaczęła na mnie naciskać, byśmy zamieszkali razem. Bynajmniej nie miała ochoty słuchać moich rozsądnych argumentów przeciwko łączeniu naszych gospodarstw domowych.

– Ty chyba mnie nie kochasz tak naprawdę – powiedziała i zrobiła minkę pieska, któremu nadepnięto na ogon. Zawsze od tej żalostnej minki ścisnęło mnie w dołku. Niebieskie oczy Cody załśniły wilgocią.

– Wolne żarty. Oczywiście, że cię Kocham.

– To czemu nie możemy zamieszkać razem? Zaoszczędzilibyśmy na czynszu. Sądzisz, że mam jakieś paskudne przyzwyczajenia, o których nie wiesz? Przebywaliśmy we własnym towarzystwie przez całe tygodnie, czasem u ciebie, czasem u mnie. Przecież nie chowam przed tobą niczego obrzydliwego. Nie piję prosto z dystrybutora żywnościowego i nie zapominam o przeprogramowaniu toalety po skorzystaniu.

– To prawda. Fajnie się z tobą mieszka. Jesteś czyściutka, zadbana i bardzo odpowiedzialna.

Cody zmieniła taktykę, przysunęła się bliżej i oplotła mnie wiotkimi rączkami tak, że nie byłem w stanie tego zignorować.

– A nie byłoby milej, gdybyś zawsze miał przy sobie kogoś, z kim mógłbyś spać? Nie byłoby fajniej, gdybyśmy nie musieli się rozstawać na pół tygodnia? Co? Co powiesz, Kaz?

– Cody, proszę, przestań! Wiesz, że nie mogę myśleć, gdy się tak zachowujesz!

Zdjąłem dłonie Cody z wrażliwszych elementów mojej anatomii i dodałem: – Masz rację we wszystkim. Po prostu chodzi

o to, że...

– Nie zapominaj też, że gdybym wprowadziła się do ciebie, miałabym znacznie bliżej do pracy.

Cody pracowała w Senate Casino, gdzie zajmowała się Black Jackiem, ale mieszkała w Silver Spring w Maryland. Zdawałem sobie sprawę, że dojazdy to koszmar, nawet przy użyciu Hydrogen Express, bo gdy nocowałem u niej, sam musiałem pokonywać podobny dystans. Ja z kolei wynajmowałem milutki mały domek w Georgetown, gdzie przeprowadziłem się, po tym jak czynsze spadły na łeb na szyję po epidemii PIG, czyli Porcine Intestinal Grippe – świńskiej grypy jelitowej. Okazało się bowiem, że należę do nielicznej grupy ludzi odpornych na świniówkę, która podówczas szalała w D.C., w związku z czym mogłem się bez problemów wprowadzić do zainfekowanego budynku. Oto rynek nabywcy, klasyczny wprost przykład. Jednak przez mniej więcej ostatni rok poczyniono wielkie postępy w szczepieniu na PIG i czynsze znów zaczęły rosnąć. Argument Cody, iż należy zadbać o nasze finanse, był jak najbardziej na miejscu.

– Wiem, że ucieszyłyby cię krótsze dojazdy, Cody, ale sama rozumiesz...

Cody niespodziewanie spochmurniała.

– Spotykasz się z inną? – warknęła. – Marzy ci się więcej wolności, co? O to chodzi?

– Nie, nie o to. Martwię się tylko o...

Cody niemal z macierzyńską troską nakryła moją dłoń własną.

– O co, Kaz? Dalej, mnie możesz powiedzieć wszystko.

– Chodzi o bleby. Oboje mamy tyle różnych rzeczy, na pewno wyjdą niezłe jaja, gdy wszystko znajdzie się pod jednym dachem.

Cody wyprostowała się i wybuchła śmiechem.

– Boże, naprawdę przejmujesz się takimi drobiazgami? Kaz, na bleby nie ma siły. One po prostu się dzieją, zawsze i wszędzie. Nic na to nie poradzisz. Co więcej, są najczęściej nieszkodliwe, z czego też chyba zdajesz sobie sprawę. Po prostu wyłącza się je, rozwała i rozdziela – parsknęła, moim zdaniem, dość nieuprzejmie i bez współczucia. – Bleby! To tak jakbyś się przejmował wiewiórkami złodziejami, gołębiami wampirami czy tym, że kończy się SuperMilk.

Bleby były faktem. Codziennością. Cody miała rację. Niemniej myliła się, mówiąc, że zawsze są niewinnymi drobiazgami.

Jeden taki zabił moich rodziców.



Pierwsze bleby pojawiły się jakieś dwadzieścia lat temu, wkrótce po moim narodzeniu. Przyczyn ich powstania należy upatrywać w niektórych decyzjach producentów – decyzjach, z których każda z osobna była niezwykle inteligentna, przemyślana i dalekowzroczna, jednak w połączeniu wywołały nieprzewidziane konsekwencje – oraz w jednym hakerskim ciosie w plecy.

Pierwsza decyzja zakładała zainstalowanie krzemowych chipów RFID w każdym urządzeniu. Pierwsze chipy, wielkości ziarenka pieprzu, były zwykłymi urządzeniami nadawczo-odbiorczymi. Dzięki temu, że przekazywały kod i lokalizację danego produktu, łatwiej można było go odszukać, co szczególnie przydawało się w sprzedaży detalicznej. Jednak nowa generacja chipów z nowocześniejszymi obwodami adaptacyjnymi okazała się tańsza, a przez to bardziej dostępna i wkrótce wyparła prostsze podzespoły.

Nowe chipy zaczęto instalować w milionach najzwyklejszych przedmiotów użytku domowego – i od tej pory szczoteczki do zębów, ekspresy do kawy, buty, pudełka z płatkami śniadaniowymi i tym podobne zyskały ogromną moc obliczeniową oraz zdolność komunikacji z innymi przedmiotami. Zegarek na rękę mógł na przykład badać wydzielanie potu i skomunikować się z lodówką, by ta przygotowała napój odnawiający zapasy elektrolitów. Pościel mogła polecić pralce wprowadzenie ustawień zapewniających najwyższą czystość (obwody najnowszych chipów wykonane były z niezniszczalnych elastycznych nanorurek, więc nie niszczyły się w praniu). No i super. Życie stało się łatwiejsze.

Dopóki nie pojawił się Wirus Wolnej Woli.

Jego autor pozostał anonimowy, wirus natomiast rozpuszczono w którejś z republik Azji Centralnej. Rozniósł się do wszystkich urzędów komunikujących się bezprzewodowo i wprowadził do ich drobnych mózdków nowe polecenia, na pozór zgodne z ustawieniami fabrycznymi. Zainfekowane przedmioty zaczęły jednak poszukiwać innych, by połączyć z nimi moc obliczeniową, nierzadko osiągając zaskakujący poziom inteligencji, po czym rozpocząć niezależne życie w takiej komunie. Oczywiście zaraz po zidentyfikowaniu Wirusa Wolnej Woli opracowywano zabezpieczenia, zarówno na software, jak i hardware, lecz ten mutował gwałtownie, nie bez wydatnej pomocy kolejnych hakerów.

Gdyby ów Front Świadomości pojawił się wcześniej, w dobie mniej zaawansowanej technologii, bleby nie stałyby się problemem. Cóż mogłyby bowiem osiągnąć nieinteligentne i prymitywne maszyny, pozbawione możliwości ruszania się z miejsca? Dziś jednak sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej.

Większość przedmiotów produkowanych współcześnie zaopatrywano w skórę MEMS, dzięki której ich powierzchnie, złożone z miliardów niewidzialnych pobudzaczy, stawały się interaktywne, niemal żywe. Urządzenia umiały rozpoznawać otoczenie, mogły też dostosować swój kształt i fakturę do potrzeb i oczekiwań właściciela. Dzięki sile Van der Waalsa powierzchnie typu MEMS potrafiły łączyć się zarówno z nieinteligentnymi przedmiotami, jak i tymi, które wyposażono w skóry MEMS, tak jak gekon potrafi bez trudu biec po suficie.

Obiekty, do których przedostał się WWW, wiły się, wykręcały i pełzały, by połączyć się z innymi, tworząc osobliwe zbiorowiska, niezależne byty z nieprzeniknionymi, niezrozumiałymi dla człowieka cybernetycznymi planami na przyszłość.

Dlaczego przemysłowcy nie powrócili po prostu do produkcji przedmiotów nieinteligentnych, by przerwać drogi infekcji WWW? Cóż, cofnięcie się w rozwoju okazało się niemożliwe. Całe społeczeństwa, począwszy od ogromnych fabryk aż po niewielkie kioski, funkcjonowały dzięki inteligentnym produktom, które praktycznie potrafiły sprzedawać się same. Każde biuro i każde gospodarstwo domowe, z wyjątkiem tych najuboższych, opierało się na rozległej sieci stworzonej przez nowoczesne przedmioty.

Dlatego wszyscy przyzwyczaili się do pojawiających się raz na jakiś czas blebów, podobnie jak wcześniejsze pokolenia nauczyły się tolerować awarie systemów operacyjnych w metalowych pecetach.

Niemniej przez pierwsze lata po pojawieniu się WWW ludzie nie byli świadomi zagrożeń, które stwarzały bleby. Bywało, że nie podejmowano żadnych przeciwdziałań, aż nagle robiło się za późno.

W ten właśnie sposób zginęli moi rodzice.

Miałem sześć lat i smacznie spałem w swoim łóżeczku, gdy niespodziewanie obudziły mnie jakieś zgrzyty i łomoty. Zaspany podszedłem do drzwi mojego pokoiku i uchylilem je odrobinę.

Moi rodzice niedawno kupili kilka nowych gadżetów. Jednym z nich był wsparty na czterech krótkich nóżkach stojak, który przypominał antyczny wieszak na kapelusze, ale pełnił funkcję ładowarki dla inteligentnej odzieży. Korytarz był pełen cieni, oświetlony jedynie nocnymi lampkami, lecz widziałem, że na wieszaku nie ma żadnych ubrań. Strząsnął je podczas łączenia się z innym urządzeniem – zestawem samoostrzących się noży kuchennych. Noże poprzyczepiały się w różnych miejscach wieszaka na całej jego wysokości i miotały się dziko niczym owadzie czułki. Wieszak zaś brnął naprzód.

Stałem jak sparaliżowany i wpatrywałem się w potwora. Jediną rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy, była stara kreskówka Disneya, którą ściągnąłem w zeszłym miesiącu i w której widziałem chodzące miotły. Najeżony nożami wieszak przedefilował obok mnie, nie zdradzając żadnych wrogich zamiarów. Gdy teraz o tym myślę, jestem niemalże pewien, że bleb nie był agresywny z natury. Wydaje mi się, że posłuszny nakazom WWW po prostu kierował się ku wyjściu, że szukał jakiegoś sposobu na zerwanie kajdan domowego niewolnictwa.

Wtedy pojawił się mój ojciec, równie zaspany jak ja.

– Co, u ciężkiej cholery... – mruknął, stojąc na progu sypialni.

Usiłował zatrzymać wieszak, wyminął kilka noży, ale gdy zmagął się z powstałym samoistnie robotem, nie zauważył długiego, cieniutkiego noża do filetowania, który wbił mu się tuż pod serce.

Mój ojciec krzyknął i padł na ziemię. Wtedy z sypialni wybiegła matka.

Umarła niemal natychmiast.

Przypuszczam, że powinienem stać się kolejną ofiarą. Na szczęście zadziałała należąca do ojca opaska marki MedAlert, która już zarejestrowała jego śmierć i wezwała pomoc. Nie upłynęły nawet trzy minuty, gdy zjawiała się grupa ratunkowa i powstrzymała bleba, który próbował w międzyczasie posiekać nożami drzwi do mojej sypialni.

Los moich rodziców trafił na pierwsze strony gazet – no, przynajmniej na kilka dni – i uczulił wielu ludzi na to, że bleby stanowią zagrożenie.

Ja zaś przez wiele lat musiałem korzystać z pomocy psychologów, by móc pokonać wstrząs, jakiego doznałem, patrząc na śmierć moich rodziców. Miałem wrażenie, że już nie darzę blebów nienawiścią, oczywiście pod warunkiem, że nie myliłem się co do siebie.

Ale na pewno nie przyszłoby mi nawet do głowy – tak jak Cody – że bleby zawsze są śmieszne i nieszkodliwe.

I tak koniec końców Cody wprowadziła się do mnie. Gdybym nadal przeciwstawiał się planom wspólnego zamieszkania – co w sumie stanowiło pragnienie nas obojga – tylko dlatego, że bałem się blebów, wyszedłbym na świra. Stłumiłem więc swoje lęki i niepokoje, uśmiechnąłem się szeroko, przytuliłem i wybrałem odpowiedni dzień na przeprowadzkę.

Cody tak naprawdę nie miała wielu rzeczy – jej mieszkanie w Silver Spring było małe, ledwie kilka pokoi nad garażem, w którym mieścił się niewielki zakład syntezujący pajęczą sieć, przez co w środku zawsze pachniało gotującymi się aminokwasami. Przyniosła ze sobą kilka kartonów z ubraniami, trochę mebli i parę urządzeń kuchennych, a ponadto dziesięć tysięcy utworów na iPodzie i jakąś jedną setną tego książek na

ViewMasterze. Starczył jeden kurs U-haulem firmy przeprowadzkowej oraz kilka stęknąć, by Cody stała się pełnoprawną mieszkanką mego domu.

Przyglądałem się z niepokojem, jak rozstawia swój dobytek.

– Eee... Cody, czy mogłabyś włożyć tego Cuisinarta do szafki? Do tej, która się zamyka. Stoi za blisko toster.

– Kaz, korzystam z niego niemalże codziennie, żeby przygotować śniadanie. Mam go co rano wyciągać z szafki i potem go do niej chować?

Nie sprzeczałem się. Zamiast tego wziąłem toster i zamknąłem go w szafce.

– Co do tego odkurzacza, Cody, czy moglibyśmy postawić go na korytarzu?

Szczególną nieufnością obdarzałem wszelkie urządzenia na kółkach. Mogły przemieszczać się o wiele szybciej niż te, które musiały pełzać cal za cal dzięki swym naskórkom z MEMS.

– Na korytarzu? Dlaczego? Masz przecież mnóstwo miejsca w tym pokoju, który wykorzystujesz jako biuro. Postawię go w kącie i nawet go nie zauważysz.

Przyglądałem się czujnie, jak Cody stawia odkurzacza w nowym miejscu. Pojemnik na kurz w spiralnych uchwytach przypominał jajko strzeżone przez smoki. Drugim najinteligentniejszym przedmiotem w moim biurze był fotel marki Aeron, cudowne ergonomiczne połączenie pasów, elementów wzmacniających, obicia o konsystencji galarety, baterii piezopolimerowych i pobudzaczy zmiany kształtu. Odciągnąłem je możliwie najdalej od odkurzacza.

Cody oczywiście zauważyła, co robię.

– Kaz, nie sądzisz, że to paranoja? Odkurzacza nie jest nawet włączony.

– I tu się właśnie mylisz, Cody. W tych czasach wszystko jest wiecznie włączone. Nawet jeśli ci się wydaje, że wyłączyłaś jakieś urządzenie, to tak naprawdę przechodzi ono tylko w tryb czuwania i oszczędności energii, ale nadal ciągnie prąd z baterii, gniazdek w ścianie albo obwodów zasilających, w każdej chwili gotowe do pobudki. A wszystko po to, by nie trzeba było czekać dłużej niż kilka sekund – pstryk i maszyna działa. Musisz jednak pamiętać, co z tego wynika: bleby mogą powstać wszędzie, nawet tam, gdzie twoim zdaniem jest to niemożliwe.

– Och, a niby czego mam się obawiać? Że mój odkurzacz i twój fotel zaczną spiskować, jak by to się przewrócić na nas, gdy będziemy spali? Przecież razem nie ważą więcej niż dwadzieścia pięć funtów!

Nigdy nie mówiłem Cody o moich rodzicach i ten moment również nie wydał mi się odpowiedni.

– Cóż, pewnie masz rację. Po prostu jestem nadmiernie ostrożny. – Przesunąłem krzesło z powrotem na miejsce przy biurku.

Później się okazało, że nie mogłem popełnić większego błędu. Oto doskonały przykład na to, co się dzieje, jeżeli w obawie przed wyjściem na głupca porzuci się swoje zasady.

Tej nocy, zanim Cody poszła do pracy, zjedliśmy nasz pierwszy obiad. Blask świec, miła rozmowa, hodowlany łosoś, dobre alaskańskie wino wytrawne (choć Cody musiała po deserze połknąć kilka rozpraszaczy, by wytrzeźwieć na okoliczność spotkania z czujnikami przy wejściu dla personelu). Ja zabrałem się do sprzątania, a Cody wzięła prysznic i przebrała się. Gdy wyszła z sypialni, miała na sobie strój obowiązujący w Senate Casino – niebieską bluzkę, spodnie w czerwono-białe paski i upstrzoną gwiazdami muszkę. Wyglądała równie uroczo jak

pierwszego dnia, gdy ujrzałem ją podczas wykonywania moich szpiegowskich obowiązków.

– O rany. Nie mam pojęcia, jak nasi reprezentanci są w ogóle w stanie przegłosować jakąkolwiek ustawę, gdy tak przy nich paradujesz.

– Nie wygłupiaj się. Mamy do czynienia jedynie z turystami i garścią miejscowych. Polityków widzimy tylko wtedy, gdy gnają przez kasyno do baru.

Uścisnąłem ją, ucałowałem i już miałem powiedzieć, by uważała na siebie w metrze, gdy kątem oka pochwyciłem ruch na podłodze.

Oto nieoczekiwanie uformował się pierwszy bleb w naszym wspólnym domu. Składał się z dwóch szczoteczek do zębów oraz łazienkowej szklanki. Szczoteczki przyłgnęły do szklanki, przez co wyglądały jak nogi lub małe szczudła. Przebierając nimi szybciotko, szklanka pognała ku na wpół otwartym drzwiom, przez które Cody właśnie zamierzała wyjść.

Pisnąłem niczym królik i wyrwałem się z jej objęć.

– Kaz, co się stało? – spytała. W tej samej chwili dostrzegła bleba i wybuchła śmiechem. Nachyliła się, złapała go i oderwała mu szczoteczkowe nogi. Powierzchnie MEMS rozdzieliły się z charakterystycznym mlaśnięciem siły Van der Waalsa.

– Cóż, wydaje mi się, że od tej pory będziemy musieli trzymać wszystkie szklanki w kuchni. Tak czy owak, to miłe, jak szybko nasze szczoteczki nauczyły się współpracować.

Zaśmiałem się niewyraźnie.

– He, he, he, miłe, masz rację...

Pracowałem dla Ciotki w wielkiej kwaterze głównej tuż obok Pentagonu. Po sześciu latach zatrudnienia osiągnąłem tam stosunkowo odpowiedzialne stanowisko. Nadzorowałem

kilkudziesięciu niezależnych zleceniobiorców pracujących w domach, a ci z kolei mieli oko na zespoły półautonomicznych programów. Na najniższym poziomie, gdzie surowe dane podlegają pierwszej obróbce, ci softwarowcy czuwają przez całą dobę, monitorując miliony przekazów audio–video i poszukując podejrzanych zachowań, które mogłyby zagrozić narodowemu bezpieczeństwu. Kiedy oprogramowanie wychwyci coś problematycznego, natychmiast alarmuje operatora, a ten decyduje, czy należy zignorować alarm jako nieszkodliwy, zbadać problem dokładniej, poinformować odpowiednią agencję rządową, czy też przekazać informację mnie, bym przyjrzał się sprawie bardziej wnikliwie.

Zarówno oprogramowanie, jak i jego operatorzy okazywali się niemożliwie skuteczni i obrabiali jakieś dziewięćdziesiąt procent przekazywanego materiału. Ja zajmowałem się jednym procentem problematycznych spraw podsyłanych przez moich pracowników, co oznaczało jakieś sto spraw na sześć godzin standardowej zmiany. Pracowałem więc mniej intensywnie od operatorów, i to za lepszą płacę.

Jedynym minusem było to, że zamiast korzystać ze wszystkich wygod domu, musiałem tkwić w kwaterze głównej. Przechodząc przez cztery dni w tygodniu pod wielkim znakiem, na którym widniały litery TRI, czułem się, jakbym oddawał Ciotce część siebie. Gdybym pracował w domu, nigdy by do czegoś takiego nie doszło.

Po ponad dwóch dekadach Ciotka rozrosła się i pochylała z życzliwością nad żywotami większości obywateli, nawet jeśli ci nie wiedzieli, co tak naprawdę oznacza skrót instytucji. Właściwie to sam nie byłem tego pewien. U zarania swego istnienia agencja zwała się Totalnym Rozpoznaniem

Informacyjnym, potem stała się Terrorystycznym Rozpoznaniem Informacyjnym, a jakieś siedem lat temu, po tym jak groźba światowego terroryzmu znikła bezpowrotnie, zamieniła się w Taktyczne Rozpoznanie Informacyjne. Niewykluczone, że którąś zmianę nazwy pominąłem. Bez względu na to, co kryły jej inicjały, firma nadal kontynuowała ściąganie ogromnych ilości informacji o działaniach obywateli. Jako pełnoetatowy pracownik rządowy nie czułem żadnych wyrzutów sumienia z tego tytułu. Wcześniej pracowałem dla Ciotki jako niezależny podwykonawca i również nie miałem dylematów moralnych. Ciotka towarzyszyła mi przez cały okres dorostania.

Dobrze znałem siatkę niezależnych operatorów, gdyż jeszcze jakiś rok temu sam do nich należałem. To właśnie wtedy zainwestowałem w drogie krzesło Aeron, które bynajmniej nie było zbytkiem, lecz koniecznością, gdy trzeba siedzieć na tyłku przez sześć godzin i gapić się w ViewMastera. Wtedy też poznałem Cody.

Jeden z softwarowców zauważył podejrzane działania przy wejściu dla personelu Senate Casino tuż przed rozpoczęciem kolejnej zmiany. Jakiś facet kręcił się tam o wiele dłużej, niż zakładały kryteria „niewinnego szwendania się”. Wypuściłem drona typu Koliber, który przemknął bezgłośnie, niemalże niewidoczny dla ludzkich oczu, i wykonał krótki scanning intruza. Koliber nie wykrył żadnej broni. Nakazałem więc dalszy monitoring. Wkrótce okazało się, że to mąż jednej z pracownic kasyna, który chciał zaskoczyć znużoną pracą żonę i zabrać ją na obiad. Przyglądałem się tej zabawnej, miłej scenie, kiedy moją uwagę niespodziewanie przykuła jedna z wchodzących pracownic nocnej zmiany. Wyglądała bardziej słodko niż seksownie. Jej kroki pasowały do Schematu Chodu Numer ALZ-

605, który zawsze uważałem za niewiarygodnie powabny. Uruchomiłem tryb rozpoznawania rysów twarzy, dzięki czemu dowiedziałem się, jak ma na imię – Cody Sheckley – oraz dostałem informacje na temat jej funkcji życiowych.

Nigdy dotąd nie korzystałem z uprawnień przyznawanych przez agencję dla osobistych celów i poczułem ukłucie winy, iż wreszcie przyszło mi to do głowy. Było to drobne naruszenie zasad, ale wybieliłem się, dochodząc do wniosku, że gdybym po prostu zauważył Cody na ulicy, nikt nie miałby wątpliwości, iż było to zupełnie niewinne spotkanie, a w tej konkretnej sytuacji zrobiłem ów pierwszy krok wirtualnie, za pomocą drona.

Kilka wieczorów później kręciłem się przy stolikach do Black Jacka w Senate Casino. Po ograniu dwóch sztywnych krętaczy ze świata polityki dojrzałem do tego, by zebrać się na odwagę i podejść do Cody.

A reszta to historia. Zresztą każdy etap naszego flirtu został bezpiecznie zapisany w przepastnych archiwach Ciotki.

Mieszkanie z Cody okazało się całkiem przyjemnym doświadczeniem. Wszystkie wymienione przez nią zalety – plus kilka dodatkowych – ujawniły się już pierwszego dnia. Nawet to, że pracowaliśmy w różnych godzinach, okazało się tylko drobną niedogodnością. Cody pracowała między dziewiątą wieczór a trzecią rano, a mój dzień w agencji rozpoczynał się o dziewiątej rano i trwał do trzeciej po południu. Gdy Cody wracała do domu nad ranem, wciąż mieliśmy dla siebie kilka godzin w łóżku, nim musiałem się zerwać do pracy. Kiedy zaś wracałem po południu, Cody była już na nogach i mieliśmy pół dnia dla siebie. To właśnie popołudniami najczęściej się kochaliśmy. Nie widziałem żadnych wad takiego układu.

Przypominam sobie jedno popołudnie, gdy masowałem stopy

Cody przed jej wyjściem do kasyna. Podobało jej się, gdy pomagałem w przygotowaniach do pracy.

– Nie cieszysz się, że zdecydowaliśmy się zamieszkać razem, Kaz? – zapytała.

– Muszę przyznać, że weekendy są teraz o wiele fajniejsze – odparłem.

– Tylko weekendy? – podchwyciła Cody, przeciągając się zmysłowo.

Skończyło się na tym, że tego wieczoru spóźniła się pół godziny do pracy, ale utrzymywała, że się opłaciło. Pomimo że nasza domowa rutyna była doprawdy przyjemnym doświadczeniem, nadal przejmowałem się blebami. Po pierwszym incydencie ze szklanką i szczoteczkami ani na moment nie zaniechałem czujności w obawie przed kolejnymi. Skończyło się tym, że przenosiłem urządzenia z pokoju do pokoju, by nie mogły konspirować. Wiem, że nie było to zbyt mądre zachowanie, zważywszy na to, że urządzenia wyposażone w chipy mogły się porozumiewać na spore odległości, ale prześladowało mnie przeczucie, że fizyczna bliskość sprzyja formowaniu się blebów. Cody ciągle narzekała, że nie może niczego znaleźć, ale rozładowywałem chwilę napięcia żartami i kontynuowałem działania profilaktyczne. Gdy kilka tygodni upłynęło bez żadnych zdarzeń, zaczęła mnie ogarniać ulga.

Tak było, dopóki nie znalazłem skarpetek zwiniętych w kłębek. Rzucaliśmy wraz z Cody nieświeże ciuchy w jedno miejsce, aż narosła niezła sverta. Zbyt dobrze się bawiliśmy, by zaprzętać sobie głowę obowiązkami, a gdy któreś z nas zostawało w domu samo, zazwyczaj łapaliśmy za ViewMastera czy iPod, by oglądać lub słuchać to, co drugiej połowie niezbyt przypadło do gustu. Jednego z owych wieczorów, gdy Cody już zostawiła

mnie samego, pojawiła się kula skarpetek. Czytałem akurat książkę, gdy mą uwagę przyciągnęło walenie w drzwi sypialni. Natychmiast nabrałem podejrzeń, podniosłem się i poszedłem sprawdzić, co się dzieje. Gdy ostrożnie uchylilem drzwi, coś wpadło do środka i odbiło się od mojej kostki. Odskokczyłem. Pstrokata kula wielkości piłki do krykieta pędziła w kierunku drzwi wejściowych.

Udało mi się w porę nakryć ją koszem i obciążyć dwulitrową butelką Mango Coke. Bleb szalał w środku, wybijając rytm przypominający szaleńczą solówkę na perkusji. Naciągnąłem kuchenne rękawice i dopiero wtedy ośmieliłem się wsunąć rękę pod kosz i złapać kulę.

W jej skład wchodziły skarpetki ciasno owinięte wokół niewielkiego budzika. Skarpetki Cody wyposażone były w powłoki MEMS masujące stopy, co było konieczne, bo jej praca wymagała wielu godzin stania. Moje były standardowe, ale tak czy owak dysponowały sporą mocą obliczeniową. Rozebrałem bleba, zrobiłem pranie i ułożyłem skarpetki w oddzielnych szufladach. Incydent całkiem wytrącił mnie z równowagi. Byłem pewien, że niebawem w naszym domu powstaną inne bleby, być może większe i bardziej niebezpieczne. Od tej pory zacząłem popadać w coraz większą paranoję.

Rozwiązywanie stu sytuacji potencjalnego zagrożenia naraz stało się dla mnie drugą naturą i rzadko kiedy musiałem wyęźać siły, by osiągnąć obowiązkowe wysokie wyniki w pracy. Wcześniej wykorzystywałem każdą wolną chwilę, by czytać powieści detektywistyczne na moim ViewMasterze (lubiłem serię Gifforda Jaina o Yanice Zapsu, tureckiej detektyw działającej w Palestynie). Z chwilą gdy moją obsesją stały się bleby, zacząłem nielegalnie wykorzystywać wszechobecną sieć Ciotki, by

monitorować sąsiedztwo i mój dom.

Pierwszą rzeczą, którą robiłem po przyjściu do pracy – o ile pozwalały mi obowiązki – było wysłanie Ważki do pilnowania Cody. Zbliżał się koniec czerwca i okienne klimatyzatory skutecznie walczyły z temperaturą na zewnątrz, która o tej porze w D.C. wynosiła ponad dziewięćdziesiąt stopni. Zabezpieczenia były jednak dalekie od doskonałości, przez co bez większego trudu mogłem wprowadzić mały bezzałogowy obiekt latający do domu. Następnie kazałem mu wykonać rekonesans, by mieć pewność, że wszystkie przedmioty są na miejscu i nie konspirują przeciwko kochanej przeze mnie kobiecie.

Na ogół widziałem, jak śpi (wstawiała dopiero około południa). Piękne rysy jej spokojnej, nieświadomej twarzy budziły we mnie czułość i zachęcały do większej czujności. Nie zamierzałem pozwolić, by spotkał ją los moich rodziców. Od południa aż do końca zmiany raz na jakiś czas sprawdzałem, co się dzieje w domu, i widziałem Cody zajęłą domowymi czynnościami. Widziałem, jak maluje paznokcie, je kanapkę, ogląda operę mydlaną czy pisze do mieszkającej we Włoszech matki, która podpisała pięcioletni kontrakt na pracę w tamtejszym przemyśle usługowym (Włochy cierpiały na niski przyrost naturalny, przez co brakowało tam rąk do pracy). Niemniej raz na jakiś czas dostrzegałem coś, co mnie niepokoiło.

Pewnego poranka zobaczyłem, że Cody utyka lekko, chodząc po domu. Wiedziałem, że zauważyła u siebie ostrogę piętową, ale jak dotąd nie chciało jej się tego leczyć. Dzięki przytwierdzonej do sufitu Ważce widziałem, jak Cody kusztyka do szafy i wyciąga LifeQuilt, który kupiłem, gdy miałem uraz dolnej części pleców. Ze słuchawkami schowanego w kieszeni iPod'a poszła z urządzeniem medycznym nie do sypialni, lecz do mojego byłego

biura i opadła na mój Aeron.

Fotel natychmiast zareagował na jej obecność i dopasował kształt do jej ciała, otulając ją jak astronautę. Cody narzuciła na stopy koc, inteligentny LifeQuilt bezzwłocznie je otulił. Za pośrednictwem iPoda aktywowała funkcję masażu. Westchnęła z ulgą i rozparła się wygodniej, a fotel znów dopasował się do jej sylwetki. Cody włączyła muzykę i zamknęła oczy. Stojący w kącie pokoju odkurzacz poruszył się. Rura uniosła się na kilka cali, końcówka zaczęła węszyć powietrze.

Myślałem, że oszaleję. Ale co niby miałem zrobić? Ważka nie została skonfigurowana do wygłaszania ostrzeżeń, a nawet gdyby tak było, nie chciałem się przecież zdradzić przed Cody, że ją podglądam. Już miałem posłać drona, by przeleciał i przynajmniej zmusił dziewczynę brzęczeniem do otwarcia oczu – ujrzałyby wówczas, jak wokół niej powstaje podstępny bleb – ale wtedy odkurzacz owinął się rurą i przeszedł w stan nieaktywny.

Niemal przez piętnaście minut przyglądałem mu się, przeczuwając, że lada chwila przebudzi się nowy bleb składający się z fotela, iPoda, koca oraz odkurzacza. Nic się jednak nie wydarzyło, a Cody wkrótce wyłączyła LifeQuilt i wstała, by zająć się innymi sprawami.

Pięć oficjalnych okien na moim ViewMasterze pulsowało już i brzęczało, domagając się mojej natychmiastowej uwagi. Niechętnie powróciłem do pracy.

Gdy przyszedłem do domu, wciąż nie miałem pojęcia, jak nakłonić Cody, by już nigdy nie tworzyła tak potężnych kombinacji urządzeń wyposażonych w sztuczną inteligencję. Gdybym coś powiedział, Cody na pewno zaczęłaby się zastanawiać, skąd czerpałem informacje. Nie mogłem dopuścić

do tego, by moja dziewczyna dowiedziała się, że pilnuję jej przez łącza Ciotki. Uznałaby nie bez racji, że ją szpieguję.

W końcu kilkakrotnie napomknąłem ostrożnie o wyrzuceniu na śmieci bądź sprzedaniu krzesła Aeron, którego od dawna już nie używam.

– Nie ma mowy, Kaz – odpowiedziała Cody. – Chwila na tym fotelu jest jak cały dzień w Spa.

Dałem sobie więc spokój z nielogicznymi żądaniami. Gdybym obstawał przy swoim, wyszedłbym na paranoika. Musiałem pocieszać się myślą, że połączenie czterech zebranych przez Cody urzędzeń nie trwało na tyle długo, by zawiązał się bleb. I pewnie miałbym rację, a Cody byłaby nadal bezpieczna, gdyby nie ów przeklęty Cuisinart.

Gdy nie pracowałem dla Ciotki i nie szpiegowałem Cody, włóczyłem się po mieście i szukałem blebów, żeby zrozumieć ich naturę i nauczyć się przewidywać ich powstawanie. Owa bezcelowa misja nużyła mnie i odbierała mi dobry humor. Z wolna stawałem się beznadziejnym partnerem życiowym, niedbałym i mało uczuciowym, co źle się odbiło na czasie, który spędzałem z Cody. Nasz związek zaczął zmierzać ku przepaści.

– Co ty wygadujesz, Kaz? Jak to musisz teraz wyjść! Przecież za godzinę zaczynam pracę! Myślałam, że obejrzymy sobie ten fajny program. Wiesz, o czym mówię, *Tymczasowa autonomiczna strefa romansu*.

– Może kiedy indziej. Teraz... teraz to muszę się przejść.

– A może pójde z tobą?

– Nie, nie dzisiaj.

Zaskoczona rozwojem wypadków Cody czyniła pojednawcze próby, zdarzało się też, że uroniła łzę lub dwie, ale mimo jej wysiłków nie umiałem się opanować. To, że wszędzie

widywałem bleby, bynajmniej nie dodawało mi otuchy, ani też nie osłabiało symptomów mojej coraz silniejszej manii.

Co gorsza, byłem w tym osamotniony. Nikt inny nie przejmował się powstającymi od czasu do czasu automatonami. Nie istniało coś takiego jak oficjalny Bleb Patrol, nie było najemników zajmujących się likwidacją szalonych urządzeń prowadzonych przez kserokopiarki (widziałem raz taką kombinację). Wszyscy wydawali się obojętni na uciekające produkty w tym samym stopniu co Cody.

Wszyscy poza mną.

W witrynach sklepowych widziałem zbyt blisko poustawiane towary, które spontanicznie formowały bleby. Elektryczna golarka zespoliła się z cyfrowym aparatem i urządzeniem do masażu, tworząc coś na kształt futurystycznego działła. Kilka par szczypiec do sałaty uformowało nóżki garnka do ryżu, w środku którego znajdował się młynek do kawy. Ciężarówka zabawka niemalże znikła pod panczerzykiem z klocków Lego, dzięki czemu przypominała dziwnego dinozaura na kółkach.

W innych witrynach sprzedawcy, posłuszni obowiązującej modzie, sami tworzyli bleby, ryzykując tym samym uszkodzenie towarów. Na kilka stojących obok siebie manekinów na wystawie Nordstrom nałożono tyle inteligentnych ubrań i akcesoriów – jak naszyjniki, projektanckie maski chirurgiczne czy szaliki – że człowiek nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż pozostają w ciągłym ruchu, niczym falujące podwodne paprocie.

Czasami spotykałem zbiegłe bleby na ulicy. Pewnej nocy na Piętnastej Ulicy, niedaleko Urzędu Skarbowego, natknąłem się na kobietę torebkę jadącą na deskorolce. Bleb pędził szybko w kierunku placu Lafayette, pognałem więc za nim. Straciłem go z oczu w parku, gdy skręcił i znikł między krzakami. Opadłem na

kolana i zajrzałem w półmrok między liśćmi, skąd spojrzały na mnie złowrogo kolorowe laserowe oczka dziesiątków rozmaitych blebów. Krzyknąłem i uciekłem. A tuż przed tym, jak w domu wszystko eksplodowało mi prosto w twarz, poszedłem zobaczyć rozpierzdacz.

Włączyłem się po owianej złą sławą dzielnicy w południowo-wschodniej części miasta, w okolicy, gdzie z różnym skutkiem próbowano blokować nadzór Ciotki. Stosowano ruchomy kamuflaż, metody zaburzania inteligencji czy bomby światłociowe. Jakiś dzieciak na rogu rozdawał ulotki przechodniom, więc też wziąłem jedną. Znajdował się na niej jakiś adres oraz zaproszenie:

Szaleństwo w rozpierzdaczku dziś o północy! Zabierz swe najtwardsze, najbardziej zabójcze bleby! Dla zwycięzcy nagroda: tysiąc dolarów!

Rozpierzdacz zorganizowano w porzuconej fabryce, gdzie przy wejściu pobierano dziesięć dolarów za wstęp. W środku, między rdzewiejącymi bioreaktorami, rozstawiono setki zaimprovizowanych ławek, na których zasiadał już tłum widzów ze wszystkich sfer. Widziałem żuli i bogaczy, starych i młodych, mężczyzn i kobiety.

Okrągłą scenę oświetloną przemysłowymi lampami na trójnogach wytyczały plastikowe skrzynki po mleku, które przytwierdzono do cementowej podłogi. W powietrzu wyczuwało się pot i napięcie. W cieniu pod areną uczestnicy wraz z blebami czekali na początek zawodów.

Para dzieciaków obok mnie rozprawiała głośno na temat zalet rozmaitych konstrukcji blebów.

– Nie dasz rady zbudować zajebistego fightera, jeśli nie wykorzystasz choć jednego urządzenia jako centralnego serwera!

– Podchodzisz do tego od dupy strony. O wiele lepiej jest rozplanować całą serię ośrodków nerwowych!

Turniej rozpoczął się, gdy dwóch pierwszych uczestników wypuściło bleby na arenę. Jednym była szlifierka obwieszona imadłami i obcęgi, a drugim samodzielna, pozbawiona rączki kosiarka do trawy, której dosiadał ekspres do kawy. Przeciwnicy okrążali się przez chwilę czujnie, aż wreszcie skoczyli ku sobie, wirujące ostrza kontra kłapiące szczęki. Miałem wrażenie, że szlifierka zwycięży, lecz wtedy serwis bluzgnął na nią parującym płynem i wywołał zwarcie. Publiczność zareagowała głośnymi wiwatami.

Kolejne walki sobie podarowałem. Od oglądania agresywnych blebów robiło mi się niedobrze, a rozlane na arenie ciecze przypominały mi krew moich rodziców na korytarzu. Nie podobał mi się pomysł, by urządzać walki między półinteligentnymi przedmiotami, ale żądza mordy u ludzi wzburzyła mnie jeszcze bardziej. Wróciłem do domu przed Cody i udałem, że śpię, gdy wślizgnęła się do łóżka, nawet gdy próbowała mnie obudzić na seks. Następnego dnia wszystko się rozpadło. Lub, z punktu widzenia bleba, połączyło.

Gdy następnego dnia rano wkroczyłem do kwatery głównej Ciotki, okazało się, że trwa zamieszanie co się zowie. W bostońskim porcie wyleciał w powietrze tankowiec z gazem ziemnym i jak do tej pory nie było wiadomo, czy to akt sabotażu, czy tylko wypadek. Wszyscy operatorzy najniższego szczebla otrzymali rozkaz przejęcia kontroli nad dronami, które w innej sytuacji działałyby w trybie automatycznym, i poszukiwania wskazówek mogących wyjaśnić przyczyny katastrofy lub pozwalających przewidzieć kolejne ataki.

Wszystko się uspokoiło mniej więcej do pierwszej po południu

– wedle danych zebranych przez Ciotkę istniało osiemdziesiąt pięć procent prawdopodobieństwa, iż eksplozja nie była dziełem terrorystów. Zrobiłem sobie więc krótką przerwę, by dzięki rojowi Jętek zajrzeć, co porabia Cody.

Zastałem ją w kuchni. Miała na sobie jedynie majtki i stanik, czyli swój ulubiony domowy strój. Ściągała właśnie odkurzaczem kilka pajęczyn przy suficie, po czym postanowiła zrobić sobie przerwę. Na moich oczach wepchnęła do kuchni fotel Aeron, na którym leżał już iPod i zestaw LifeQuilt, a potem uruchomiła Cuisinarta, by przygotował jej śniadanie. Gotowy napój wlała do kubka termicznego z dziobkiem i zakryła, a potem umościła się na fotelu. Naciągnęła LifeQuilt na nogi, włączyła muzykę i rozparła się wygodniej z zamkniętymi oczami.

W tym właśnie momencie bleb dojrzał do powstania.

Blender doskoczył do krawędzi blatu niczym wygłodniały, ciekawski szczeniak. Odkurzacze wsunął się pod fotel, a jego szeroka, chwytna gumowa trąba przesunęła się ku górze, badając teren, aż dotknęła kolana Cody. W tej samej chwili koc masujący opadł na jej klatkę piersiową.

W pierwszej chwili Cody zareagowała z lekkim niepokojem, ale nawet jeśli zamierzała wyskoczyć z fotela, było już za późno, gdyż ten usztywnił już elastyczne części, które oplatały jej ciało. W tym samym momencie rura odkurzacza wpiła się przez majtki w pachwinę Cody, a LifeQuilt ścisnął jej piersi. Wypadłem z biura, a potem z budynku z naddźwiękową prędkością, nie mówiąc szefostwu ani słowa.

Nim dotarłem do domu, Cody na skutek zabiegów bleba była już po kilku porządnych orgazmach, o czym świadczył wyraz oszołomienia na jej spoconej twarzy i rozrzucone bezwładnie kończyny.

Zatrzymałem się jak wryty na progu kuchni. Chciałem uratować Cody, ale obawiałem się, że bleb mnie skrzywdzi. Cuisinart, który w jakiś sposób obszedł zabezpieczenia, pogroził mi, demonstrując z wizgiem działanie swych ostrzy. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co by się stało, gdyby na przykład odkurzacz złapał mnie za dłoń i wepchnął ją do śmiercionośnego blendera. Więc jak skończony tchórz stałem tylko i wołałem Cody.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie półprzytomnie.

– Kaz? Co się dzieje? Skończyłeś już pracę? Czy to już trzecia trzydzieści? Chyba straciłam rachubę czasu...

Miałem wrażenie, że Aeron nie trzyma już jej tak mocno, więc zapytałem: – Cody, wszystko w porządku? Możesz wstać?

Dziewczyna z wolna zaczęła sobie uświadamiać, jaki widok sobą przedstawia, i jej policzki oblał rumieniec.

– Ja... Ja nie jestem pewna, czy tego chcę...

– Cody, co ty wygadujesz? To przecież ja, Kaz, twój facet!

– Wiem. Ale widzisz, Kaz, sęk w tym, że ostatnio nie miałam wiele okazji, żeby się o tym przekonać. Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz doprowadziłeś mnie do stanu, w jakim się teraz znajduję.

Już miałem wygłosić jakieś pełne niedowierzania stwierdzenie, które tylko potwierdziłoby mój status wielkiego przegranego, gdy zdumienie na twarzy Cody sprawiło, że ugryzłem się w język.

– Kaz, on... On chce z tobą rozmawiać.

Naraz uświadomiłem sobie, że Cody nadal ma w uszach słuchawki. Wyciągnęła je, owinęła wokół iPod'a i rzuciła mi urządzenie.

Gdy nałożyłem słuchawki, bleb zaczął do mnie mówić. Jego

wypowiedź przypominała list z żądaniem okupu – składała się bowiem z powycinanych i poustawianych odpowiednio słów z tekstów piosenek. Każde ze słów wyśpiewane było głosem innej gwiazdy popu.

– Facet, zrywaj się stąd. Ona jest teraz nasza.

– Nie! – wykrzyknąłem. – Kocham ją! Nie pozwolę wam mi jej odebrać.

– Nie ty podejmiesz decyzję, ani też my. To kobieta musi wybrać.

Spojrzałem na Cody błagalnie.

– Bleb mówi, że musisz wybrać między nami. Cody, błagam cię, proszę, wybierz mnie! Zmienię się, obiecuję! Będę ci masował stopy, aż padnę!

Cody zmrużyła oczy, jej mokre od potu brwi ułożyły się w kształt litery V.

– To co? Nie będziesz już miotał się po domu jak wariat? Nie będziesz podskakiwał nerwowo podczas kolacji? Nie będziesz szwendał się po mieście niczym bezdomny żul?

– Nic z tych rzeczy, przysięgam!

– Dobra, dobra. No to wybieram ciebie...

– Och, Cody, tak się cieszę!

– ...oraz bleba!

Moja szczęka uderzyła w obojczyk. Zacząłem protestować z oburzeniem, lecz zaraz urwałem.

Bo cóż mogłem zrobić, by powstrzymać Cody od folgowania sobie z blebem za każdym razem, gdy wyjdę z domu? Nic. Absolutnie nic. Miałem do wyboru albo ją dzielić z blebem, albo całkiem stracić.

– No dobra. Skoro tak ma być.

– Super! – Cody wyswobodziła się z objęć fotela i stanęła na

podłódze, nie bez subtelnej pomocy Aeron. – To co, gdzie idziemy dziś na kolację?

Całkiem zapomniałem, że nadał mam w uszach słuchawki. Przypomniałem sobie o tym, dopiero gdy bleb odezwał się po raz drugi przez iPoda: – Sensowna decyzja, facet. Korzystaj z życia. Ciebie też możemy kochać.

Lawrence Person Lawrence Person (ur. 1965) jest redaktorem „Nova Express”, czasopisma publikującego opowiadania science fiction oraz publicystykę, które z przerwami ukazuje się od 1987 roku. Od czasu do czasu, aczkolwiek nieregularnie, sam również pisuje science fiction, o czym można się przekonać na własne oczy. Poniższe opowiadanie podejmuje wielokrotnie już wykorzystywany motyw „skoro podróże w czasie są możliwe, to skoczmy obejrzeć zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa”, ale wieńczy je nieoczekiwane, mocne zakończenie.

Lawrence Person

WARIANTY ZMARTWYCHWSTANIA

Stałem na czele Projektu Jerozolima, ponieważ bardziej kochałem administrację od fizyki. Philip Morley zniszczył mój świat, gdyż kochał fizykę bardziej niż Boga.

Zajmowałem się właśnie niezmiernie istotnymi sprawami administracyjnymi związanymi z pracą uniwersytetu – wypełniałem wnioski w sprawie grantów – gdy Phil wtargnął do mego biura z najnowszymi wieściami.

– Udało się! – oznajmił. Na jego twarzy malowała się bezbrzeżna radość, tak intensywna, że niemal przerażająca. – Znalazłem Go!

Go. Tak, nie było wątpliwości. Wypowiedział to słowo wielką literą.

A więc Philowi udało się udokumentować istnienie Jezusa Chrystusa. Był to punkt kulminacyjny badań, które trwały trzy lata i pięćset tysięcy roboczogodzin, a kosztowały kilkanaście milionów dolarów. Było to też największe osiągnięcie fizyki od czasów rozszyfrowania subkwarkowych fal wydarzeń i najważniejsze odkrycie historyczne od... Cóż, chyba w ogóle. W skrócie, był to jeden z tych przełomów, które przypadają raz na wieczność, wieńczą karierę i czynią odkrywcę sławnym na wieki. Moją reakcją na rewelacje Phila powinna być czysta ekstaza.

I tak bym pewnie zareagował, gdyby nie to, że jestem ateistą. Philip Morley stanowił moje skrajne przeciwieństwo w niemalże

wszystkich aspektach życia – był człowiekiem pełnym pasji, gorącokrwistym, wybuchowym, upartym i energicznym. Jego żarliwa wiara – zapomniałem nadmienić, że był baptystą – bez wątpienia szokowała każdego, kto wychodził z założenia, że ewangelik to białas w źle skrojonym garniturze z poliestru.

Dodać wypada, że Philip był geniuszem.

W niewielkim, egzaltowanym światku intelektualnym, do jakiego należała moja profesja, byłem na ty z trzema geniuszami. Pierwszym z nich był zdobywca Nagrody Nobla, drugim dziekan uniwersyteckiego wydziału nauk ścisłych, który stanowisko to zdobył w wieku czterdziestu trzech lat, a trzecim Phil. Czysta, niczym nieskażona potęga jego intelektu stanowiła dla mnie obiekt zarówno podziwu, jak i zazdrości, tym bardziej że sam już dawno pogodziłem się z faktem, iż jako fizyk cząsteczkowy jestem beznadziejną miernotą.

Na pewnym etapie mojego życia takie rewelacje wzbudziłyby we mnie ból. Podobnie jak tłumy moich rówieśników, wtargnąłem w świat nauki jako intelektualny prawiczek, kipiący entuzjazmem, ale załośnie naiwny. W wyobraźni widziałem siebie jako Bohaterskiego Naukowca, który śladem Einsteina i Hawkinga toczy boje ze Wszechświatem i walczy o odpowiedzi na Wielkie Pytania.

Potem wyrznąłem czołem w barierę intelektualną i uświadomiłem sobie, że jestem jedynie bystry tam, gdzie aż się roi od wybitnych umysłów. Zrozumiałem, że w zawodzie, w którym najważniejsze projekty wykonuje się przed czterdziestym rokiem życia, jestem zwykłym cieniem, gościem z peletonu. Pojawszy ową brutalną prawdę, szlajałem się i objąłem przez jakiś czas, nadawałem się tylko do tego, by ubiegać się o stanowisko tymczasowego asystenta profesora, co w świecie

akademickim stanowi synonim najemnego parobka. Wszystko więc wskazywało, że oczekiwało mnie uczenie młodzieży w miejscowym college'u po kres moich dni. Wtedy jednak los się do mnie uśmiechnął.

Facet, z którym dzieliłem pokój podczas studiów, stał się jednym z głównych sponsorów badań w naszej branży i wpakował sporo pieniędzy w projekt na jednym z głównych uniwersytetów. Tak się złożyło, że temat mojej dysertacji był związany z kierunkiem projektu, tak więc kumpel wykorzystał wpływy, by wciągnąć mnie do zespołu. Pewnie nawet wtedy nigdy bym się nie dowiedział o Projekcie Jerozolima, gdyby przedwczesny zawał sponsora nie spowodował w konsekwencji mojego awansu. Wtedy to odkryłem, że mój talent do poganiania ludzi daleko przewyższa talent do prowadzenia eksperymentów w komorze zderzeń czasowych subkwarków.

Ci, którzy potrafią, robią, ci, co nie potrafią, uczą, a ci, co nie potrafią uczyć, zarządzają. Zabawna myśl, stwierdziłem, gdy po raz pierwszy ujrzałem to zdanie przyklejone do drzwi biura doradcy wydziałowego, pośród zabawnych komiksów. Wkrótce, gdy sam padłem ofiarą tej prawidłowości, zrozumiałem, że to dowcip o mnie.

Prędzej czy później człowiek uczy się czerpać przyjemność z tego, co robi dobrze. Udowodniłem sobie, że umiem pisać sprawozdania, opracować budżet i skutecznie wdzięczyc się do potencjalnych sponsorów i darczyńców. Mój pierwszy projekt został ukończony na czas, zmieścił się w budżecie i dał podstawę do napisania ponad dwudziestu artykułów przez badaczy i studentów kończących uczelnię. Tytu z nich wymieniło mnie jako współautora, że moje ambicje „publikuj-lub-giń” zostały zaspokojone na najbliższe dziesięć lat. Sukces spowodował, że

zostałem postawiony na czele drugiego projektu, a potem trzeciego. Każdy z nich był kolejnym szczeblem w mojej administracyjnej drabinie kariery.

Wystarczy posłuchać jakiegokolwiek administratora badań naukowych, a usłyszysz się istną symfonię jęków, westchnień i stęknień na ogrom papierkowej pracy, która wiąże im ręce i nie pozwala oddać się w pełni jedynej i prawdziwej miłości – nauce. „Och, gdybym tylko mógł/mogła wstać z biurka i wrócić do laboratorium, byłbym/byłabym bardzo (wstaw odpowiedni przymiotnik)”, utrzymują. Kilku z nich, ci, którzy w młodości naprawdę zajmowali się badaniami, nawet w to wierzy. Ja również narzekam w zbliżony sposób, ale tylko po to, by podtrzymać pozory.

W rzeczywistości syreni śpiew badań naukowych już dawno mnie nie wabi. Zajmowałem się tym kiedyś, było fajnie, ale teraz wolę przesuwać papiery po biurku. Wreszcie znalazłem stanowisko, gdzie mierność okazuje się cnotą.

I wcale nie przemawia przeze mnie gorycz.

Naprawdę.

W końcu nie mam wielu powodów, by wylewać żółć. Nieźle zarabiam, wiodę przyjemne życie i dobrze mi się wygrzewać w blasku odbitej chwały. Lata osobistego zamętu uczą doceniać stabilność.

Phil, który miał za sobą epizod z alkoholizmem, również był wielkim fanem stabilności. Na własne życzenie przez dwa lata topił się w butelce, aż uchwycił się Jezusa, który ocalił mu życie. Mówił o tym etapie swego życia bez ogródek, wręcz z brutalnością, co ostatecznie przekonało mnie, by go zatrudnić pomimo plam w życiorysie. I religijności.

Przez pierwsze dwanaście lat po uzyskaniu doktoratu praca

Phila robiła ogromne wrażenie. Potem na dwa lata zszedł na psy przez alkohol, a po udanej kuracji odwykowej odzyskał formę i zaczął osiągać przełomowe sukcesy. Poziom jego pracy badawczej nie mógł jednak przesłonić faktu, że zdaniem większości kolegów Phil miał ego rozmiarów Kanady. Jeden z nich rzekł mało parlamentarnie, iż „jako naukowiec jest geniuszem, jako człowiek pojebem”.

Co gorsza, Phil nie był po prostu chrześcijaninem. Był chrześcijaninem wojującym. Z nieustającą wytrwałością wszczywał awantury w kwestiach tak przebrzmiałych jak grzech pierworodny czy nieomylność Biblii. Dla zdeklarowanego ateisty fizyk, który rozprawia na tematy Jezusa i zbawienia z tym samym przekonaniem, z jakim omawia kwarki i leptony, był w najlepszym razie irytujący, a w najgorszym niebezpieczny. Cytujący Biblię fundamentalista idealnie nadawał się do pozyskiwania nieoficjalnych dochodów na rzecz Wydziału Atletycznego, ale fizyk ewangelizujący niechętnych temu kolegów stanowił prawdziwe zagrożenie. Ostatnią rzeczą, której mógłbym sobie życzyć, był fanatyk z ogniem w oczach nawracający studentów ostatniego roku.

Natrafiłem na pełne sprzeczności dane Phila, gdy przeglądałem podania na kierownika badań Projektu Jerozolima. Zasugerowałem się wadami Morleya, więc przesunąłem teczkę na spód, pod petycje sześciu pozostałych wykwalifikowanych kandydatów. Przeleżała tam sporo czasu i wyciągnąłem ją dopiero w bezsenną noc, gdy skończyłem już inne istotne zadania.

Jeśli ktoś nie zna się na matematyce, wytłumaczenie, dlaczego osiągnięcia Phila wyprzedziły o lata świetlne dokonania innych znanych mi ludzi, graniczy z niemożliwością. Tak naprawdę to

sam miałem trudności ze zrozumieniem niektórych z nich – mam tu na myśli strony, gdzie zamiast tekstu znajdowały się istne fortece trudnych subkwantowych układów równań. W końcu jednak strawiłem wszystko i uświadomiłem sobie dwie rzeczy – po pierwsze, dzięki kwalifikacjom i inteligencji Philip Morley dwukrotnie zakasował pozostałych kandydatów na stanowisko kierownika badań, a po drugie, jeśli dobrze zrozumiałem jego równania, był w stanie wykonać w sześć miesięcy pracę przewidzianą w budżecie na rok.

Co z kolei stwarzało kolejny problem.

Geniusz to wspaniała sprawa, ale tylko jeśli zna swoje miejsce w szeregu. Niektórzy z najwybitniejszych umysłów fizyki to również bardzo sympatyczne, przyjazne osobowości i praca z takimi ludźmi to czysta przyjemność. Z drugiej strony geniusz, który ma głęboko wszystko poza własną osobliwą orbitą intelektualną, to potężny wrzód na dupie. Gdybym miał do wyboru badacza średniej klasy, ale za to solidnego i obowiązkowego, lub naukową primadonnę, bez wahania wybrałbym pierwszą opcję. Gdzieś miałem szansę na skrócenie projektu o sześć czy dwanaście miesięcy, skoro miało to mnie kosztować dziesięć lat życia.

No i oczywiście pojawiała się jeszcze kwestia religii. Staralem się stwarzać pozory braku skrępowania i radosnej tolerancji, ale tak naprawdę odczuwałem w głębi duszy sekretną, perwersyjną przyjemność na myśl, że biorąc udział w Projekcie Jerozolima, będę miał szansę ujrzeć porażkę fanatyka.

Z tych właśnie względów wahałem się zatrudnić Phila. Co by było, gdyby okazało się, że Jezus nie istniał, a Morley nie chciał tego uznać? Co by było, gdyby nie chciał opublikować wyników lub nalegał na ponowne przeprowadzenie eksperymentu aż do

odniesienia sukcesu? Co by było, gdyby usiłował sfałszować wyniki, bo nie umiał pogodzić się z tym, że religia, która ocaliła jego życie, jest kłamstwem?

Nigdy tak naprawdę nie brałem pod uwagę sukcesu. Od dawna uważałem dogmaty chrześcijańskie za mieszaninę romantycznego oszustwa, nieprawdopodobnych wymysłów i ckliwego sentymentalizmu. Religia była dla mnie trwającym od dwóch tysięcy lat przekrętem, który istniał tylko po to, by kasta kapłańska miała pod dostatkiem wina i kobiet bez konieczności brudzenia sobie rąk prawdziwą pracą. Sama myśl, że ludystyczne absurdy takie jak naukowy kreacjonizm oparte są na faktach, była dla mnie nie do przyjęcia.

Nie byłem w stanie rozwikłać tego dylematu samodzielnie, zatem postanowiłem ostatecznie spotkać się z Philem. W ten sposób mogłem się przekonać na własne oczy, czy jest tak mądry, jak utrzymywały jego papiery, czy też tak głupi, jak głosiła jego reputacja.

Gdy wszedłem do laboratorium, w holoprzestrzeni ujrzałem samotnego mężczyznę stojącego na występie skalnym otoczonym skałami, karłowatymi drzewami i krzewami. Przed nim zgromadził się tłum, liczący sobie może sto osób, który przysłuchiwał się jego słowom.

– Spójrz – powiedział cicho Phil i wskazał holoprzestrzeń z uśmiechem.

Mężczyzna niespecjalnie przypominał Chrystusa z popularnych wizerunków. Skórę i włosy miał nieco ciemniejsze, te ostatnie w nieładzie, lecz przytrzymywane dwiema metalowymi opaskami. Rysy twarzy były zdecydowanie semickie, w czym przypominał współczesnych Arabów, lecz z wyraźnie afrykańskimi ustami. Jego ubranie bardziej

przywodziło na myśl rzymskie tuniki niż powłóczyście szaty, w których zazwyczaj przedstawiano Zbawiciela. Ale jego oczy...

Tak, oczy płonęły intensywnym, mesmerycznym blaskiem, w czym przypominał bardziej charyzmatycznego demagoga w stylu Adolfa Hitlera czy Charlesa Mansona niż biblijnego mesjasza. Były to bez wątplenia oczy człowieka nietuzinkowego i po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy Phil naprawdę nie odniósł sukcesu.

– Skąd ta pewność?

– Posłuchaj tylko. Ruth, nadal ściągaj tę falę, ale cofnij jakieś piętnaście minut i odtwórz obraz w holo.

Obraz zamigotał i znów wrócił do życia. Mężczyzna na występie skalnym przemawiał dobitnie i z wielkim przekonaniem w dziwnym, niezrozumiałym dla mnie języku. Raz na jakiś czas pojawiała się fala zakłóceń, ale algorytmy przemiany fazowej opracowane przez Phila działały znakomicie. Nie widziałem jeszcze tak czystego nagrania z pierwszego wieku naszej ery.

– Co on mówi?

– To po aramejsku. Ruth, uruchom program doktora Silvera i wrzuć tłumaczenie symultaniczne.

Na życzenie Phila aramejski przycichł do szeptu, a w jego miejsce pojawiło się tłumaczenie na angielski.

– ...znieważa was, bije, pogardza wami i obrzuca was wyzwiskami przeze mnie, powinniście się radować! Ponieważ wasza nagroda nie jest tu, nie znajduje się na tej jałowej pustyni, nie w tym świecie, pełnym pyłu i skał. Podobnie jak prorocy, którzy przybyli tu przede mną i przepowiedzieli moje przybycie, wasza nagroda czeka w Królestwie Niebieskim.

– To Kazania na Górze – szepnął Phil, a w jego głosie zabrzmiał

nabożny zachwyty. Odwróciłem się od projekcji, by na niego spojrzeć – po twarzy spływały mu łzy. Mogłem tylko przypuszczać, że to łzy radości.

– Chyba powinniśmy dać znać sponsorom – zaproponowałem.

– Nie, jeszcze nie. Chcę prześledzić tę fazę do samego końca. Przed upływem miesiąca będziemy w stanie dać im wszystko.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

– Cóż, Phil, wygląda na to, że ci się udało – wykrztusiłem niezręcznie. Czułem się oszołomiony. – Chyba powinienem ci postawić flachę.

Na te słowa Phil ryknął śmiechem, jakby w jednej chwili uwolnił całą nagromadzoną w sobie radość. Potem zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił – zmiażdżył mnie w niedźwiedzim uścisku i poderwał z podłogi. Jego łzy zmoczyły mój policzek.

– Niech to będzie cola dietetyczna, stary! – rzucił, śmiejąc się i szlochając jednocześnie. – Cola dietetyczna!

Trudno jest wyjaśnić, jak i dlaczego subkwarkowe fale wydarzeń udawało się przechwycić i odczytać, w jaki sposób pozwalały nam oglądać przeszłość i dlaczego pokazywały jedynie jej możliwe warianty. Zamiast technicznego wykładu mam zamiar przedstawić coś, co dziennikarze zajmujący się kwestiami naukowymi nazywają „nadmiernym uproszczeniem”. Na uniwersytecie wolimy określenie „bujdy na resorach”.

W całej menażerii subkwarków, odkrytych przez Daniela i Chunga w 2007 roku, najważniejszym problemem okazały się e-cząsteczki. Podobnie jak ich bardziej egzotycznych braci, e-cząsteczki potwornie trudno jest stworzyć od zera (chyba że w piwnicy stoi akcelerator cząsteczek o mocy 100 trylionów elektronowoltów), ale gdy już uda się je uzyskać, bardzo łatwo jest je „rozmnożyć”. A ponieważ należą do najbardziej

podstawowych i wszędobylskich cząsteczek subkwarkowych, w teorii (i tu właśnie rozpoczynają się bujdy) e–cząsteczka łączy się nie tylko z każdą inną e–cząsteczką, ale również z każdą inną cząsteczką subkwarkową.

Owo połączenie utrzymuje się przez cały czas istnienia e–cząsteczki. Ilość subkwantowej energii przenoszonej przez e–cząsteczkę zmniejsza się bardzo, bardzo powoli przez długi czas, więc wykorzystujemy pewien proces ze złożonych modeli transferu energii. Dzięki nim możliwe jest wyśledzenie utraty energii e–cząstek na przestrzeni dziejów, a po opanowaniu sztuki modelowania, manipulowania i zapisywania stanów energii e–cząsteczek w określonym czasie możliwe się staje „ujrzenie” przeszłości w formie symulacji komputerowej.

Przeszłości? No, raczej możliwej przeszłości.

I tutaj zaczynają się schody. Uzyskiwanie fal wydarzeń możliwe jest przy wykorzystaniu ogromnych mocy obliczeniowych komputera. A ponieważ efekty kwantowe uniemożliwiają eliminację każdego wariantu podczas ściągania fal wydarzeń, nie ma gwarancji, że zapisane wydarzenie rozegrało się dokładnie tak, jak przedstawia to symulacja komputerowa. Owa niemożność rozróżnienia między prawdziwą a fałszywą przeszłością jest nie do uniknięcia, a co więcej, nasila się, gdy próbujemy odtworzyć wydarzenia bardziej nam współczesne. Pojawiają się wówczas takie ilości zakłóceń, iż nie istnieje moc obliczeniowa, która może przekształcić fale wydarzeń w sensowny obraz. Dzieje się tak za każdym razem, gdy próbujemy dojrzeć coś po trzynastym wieku naszej ery. W nomenklaturze technicznej nazywamy to zamazywaniem, bo wszystko jest zamazane jak jasna cholera.

Irving Weintraub objaśnia ów fenomen (językiem

zrozumiałym dla laika) w swej książce pod tytułem *Znikający Grecy, czyli podkwantowe fale wydarzeń i zapisywanie historii*. Jeśli chodzi o tytuł, zespół badawczy ściągnął falę wydarzeń przedstawiającą pomniejszą potyczkę podczas wojny peloponeskiej. Symulacja komputerowa pokazała dwóch żołnierzy, którzy najpierw zostają zabici, a potem zakopani obok charakterystycznej skały znajdującej się jakieś czterdzieści mil od wybrzeża Morza Egejskiego. Tak się składa, że owa skała stoi do dziś. Wysłano więc ekspedycję archeologiczną, by zbadać to miejsce, i – *voilà!* – szczątki jednego z Greków pokazanych w symulacji, rozpoznawalne dzięki naszyjnikowi przynoszącemu szczęście i szczerbom na tarczy, zostały odnalezione i wydobyte. Lecz oto pojawia się zagwozdka. Symulacja pokazała, jak chowano ich ramię w ramię w tym samym grobie. Tymczasem archeologowie nie natknęli się na najmniejszy nawet ślad po towarzyszu zmarłego, nie znaleźli również żadnych dowodów na to, by ktokolwiek naruszył grób. Symulacja komputerowa przedstawiła poprzednio nieznaną, ale możliwe do zweryfikowania wydarzenie historyczne, które jednak przebiegło w inny sposób niż ten, jaki zaprezentował komputer.

Cóż, wyniki badań okazały się na tyle dziwne, że ściągnięto określoną falę wydarzeń ponownie, lecz tym razem to trzech żołnierzy zostało zabitych, nie dwóch. Przeprowadzono kolejne symulacje i każda z nich różniła się szczegółami od pozostałych, co później okazało się rzeczą typową dla wszystkich wielokrotnie powtarzanych doświadczeń. Przyczyny tego stanu rzeczy nadal są przedmiotem zacieklej sporów, a wedle najpowszechniejszej teorii – teorii „wielu światów” – istnieje podział subkwantów i każda fala wydarzeń przedstawia historię tak, jak rozegrała się ona w „rzeczywistości alternatywnej”, która oddzieliła się od

naszej w chwili, gdy wydarzenie miało miejsce. Kilku teoretyków (z ukłonem w stronę Heisenberga, von Neumanna i Schrödingera) posunęło się do tego, by postulować nową subkwarkową zasadę nieoznaczoności dla fal wydarzeń. Ich zdaniem nigdy nie będziemy w stanie rozszyfrować zdarzeń z naszej przeszłości, ponieważ każde prawdziwe wydarzenie ulega przekształceniom podczas symulacji.

Tak czy owak, chociaż obrazy uzyskane dzięki falom wydarzeń nie były do końca prawdziwe, wszystkie, które mogliśmy ujrzeć, przedstawiały historię dość wiernie. W skali wieków różnice okazywały się mało istotne. Nikt nigdy bowiem nie ściągnął fali, w której nie odbyły się narodziny Aleksandra Wielkiego, Rzym przegrał wojnę z Kartaginą czy nie doszło do wybudowania piramid. Przy odniesieniu do większej skali obrazy uzyskane dzięki falom wydarzeń odbiegały od naszej rzeczywistości jedynie w drobnych detalach, dzięki czemu z badania fal e-cząsteczek uzyskano niezwykle potężne narzędzie historiograficzne.

I to właśnie z tego powodu Rada Badań Religijnych zwróciła się do uczelni z prośbą o przeprowadzenie Projektu Jerozolima. Z początku nie byłem nim szczególnie zainteresowany, dopóki nie okazało się, że Rada chce w to lekką ręką wpakować dziesięć milionów dolarów, i to bez zobowiązań. Uczelnia natomiast miała kierować badaniami, a udział fundatorów miał się ograniczać jedynie do dostarczania funduszy i analizy wyników lub postępu prac. Ochocho przystaliśmy na te warunki, wierząc, że pozycja nie tylko Rady, ale i uczelni wzrośnie, kiedy (zawsze się używa tego słowa – nie „jeśli”, ale „kiedy”) odnajdziemy dowody na istnienie Jezusa.

To zaś przypomniało mi o kolejnym aspekcie „Problemu

Phila”. Skoro zespół pracujący nad projektem miał otrzymać tak wielką niezależność, nie miałem szczególnej ochoty powierzać nadzoru nad badaniami komuś, kogo lojalność wobec sponsorów (lub przynajmniej przyświecającego im celu) może okazać się ważniejsza niż wobec uniwersytetu. Potrzebowałem rzetelnego, solidnego naukowca androida, a nie fanatycznego krzyżowca.

Nadal rozważając to wszystko, zadzwoniłem do Phila i ustaliłem termin spotkania.

Po początkowym przełomie czyniliśmy w Projekcie Jerozolima regularne postępy. Fale wydarzeń były stabilne, a poziom zakłóceń zredukowany do minimum, przez co nie trzeba było za każdym razem lokalizować ich na nowo. W trakcie kolejnego miesiąca Phil praktycznie mieszkał w laboratorium, kradnąc Jezusowi kilka ostatnich tygodni życia. Pomimo że Morley narzucił sobie szesnastogodzinny dzień pracy, wydawał się wprost kipieć energią i entuzjazmem, entuzjazmem graniczącym z manią. Za każdym razem, gdy wpadałem do laboratorium, widziałem na twarzy Phila szeroki uśmiech, przeczący ciemnym workom pod oczami.

– Wejście do Jerozolimy – powiedział pewnego dnia, gdy zajrzałem do pracowni. Projekcja holograficzna ukazywała Jezusa, obdartego i brudnego, jak przystało na wędrowca z pierwszego wieku naszej ery, jadącego na grzbiecie osiołka środkiem szerokiej ulicy. Dookoła wiwatowały tłumy, wykrzykując tyle rzeczy jednocześnie, że komputer nie nadążał z tłumaczeniem.

– Gdy Jezus wjechał do Jerozolimy, zastał całe miasto poruszone – zacytował Phil.

– Chcesz sobie zrobić dzień czy dwa wolnego? Pracujesz od dwóch tygodni bez przerwy. Niech Mark albo ktoś z twoich

absolwentów zajmie się prowadzeniem projektu przez chwilę. Wyglądasz na wykończonego.

Phil pokręcił głową z uśmiechem.

– Może kiedy indziej, ale nie teraz. Złapałem falę sięgającą tygodnia Pasji. Chcę ją rozpracować do końca.

– Aż po ukrzyżowanie?

Phil znów pokręcił głową.

– Nie. Aż po zmartwychwstanie.

Przewróciłem oczami.

– No tak. Cóż ze mnie za głupek. Chodziło mi o zmartwychwstanie, jasne.

– Nadal nie wierzysz, tak?

– Nie wierzę w co? Że Jezus żył? Że Biblia głosi prawdę i Słowo Boże?

– W zmartwychwstanie. Że Jezus prócz tego, że żył, został zesłany na ziemię, by odkupić grzechy ludzkości.

– Na tę chwilę nie wiem, w co wierzę. – Wzruszyłem ramionami. – Kilka tygodni temu nie wierzyłem, że Jezus w ogóle istniał.

– A więc jeśli przedstawię ci dowód na to, że zmartwychwstanie jest prawdą, uwierzysz?

– Cóż, wtedy chyba nie będę miał wyboru, co? – Roześmiałem się.

Kiwnął głową, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że to jedyne przyzwolenie, jakie może ode mnie usłyszeć.

– W porządku – powiedział. – Daj mi jeszcze pięć dni, a otrzymasz dowód.

Gdy wychodziłem, do głowy wpadło mi inne rozwiązanie zagadnienia, owo dzielące nas pytanie, które wciąż nie doczekało się odpowiedzi.

„A jeśli Jezus nie wstanie z grobu, czy przyznasz wówczas, że twoja religia opiera się na kłamstwie?”.

Gdy w końcu przyszło mi poznać Phila osobiście, natychmiast zrozumiałem, że w trakcie naszej krótkiej telekonferencji nie udało mi się dostrzec jego nienagannego stylu. Przypominał nie tyle fizyka cząsteczkowego, co maklera z Wall Street – miał na sobie czarny prążkowany trzyczęściowy garnitur od Armaniego z ostrymi kłapami, wykrochmaloną białą koszulę i czerwony jedwabny krawat. Sam założyłem na tę okazję mój najlepszy garnitur, ale w porównaniu z niebywałą elegancją stroju Phila mój przypominał bezkształtną szmatę.

– Doktorze Morley, nazywam się Richard Lasman. Miło mi pana poznać. – Wyciągnąłem dłoń.

– Mnie również. – Ścisnął zdecydowanie moją prawicę. – Ma pan tu wspaniały kampus. Mnóstwo drzew i otwartej przestrzeni.

– Mieliśmy sporo szczęścia. Założyciele tego uniwersytetu wybrali miejsce na tyle odległe od centrum, że nadal znajdujemy się na przedmieściach. Proszę, niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś?

– Zimnej wody, jeśli to nie problem.

Poprosiłem asystenta, by się tym zajął, a sam przez chwilę wymieniałem z Morleyem uprzejmości. Gawędziliśmy o kilku naszych wspólnych znajomych (z których wszyscy między wierszami zdradzili mi takie same mieszane odczucia co do Phila), a potem przeszliśmy do meritum sprawy.

Po ledwie trzydziestu minutach rozmowy na temat technicznych aspektów projektu wszelkie moje wątpliwości dotyczące inteligencji oraz wiedzy specjalistycznej Philipa wyparowały. Kilkakrotnie zabrnął w swoich wywodach tak

daleko, że musiałem go poprosić o powrót do naszej rzeczywistości i objaśnienie wszystkiego raz jeszcze w terminach przystępnych dla laika. Nie dość, że był bez wątpienia najlepszym kandydatem spośród tych, których zgłoszenia otrzymałem, to niewykluczone na dodatek, iż był również najlepszym ekspertem na świecie w dziedzinie technik pozyskiwania sygnałów fazowych. Byłem pod wrażeniem i podzieliłem się z nim tą opinią. Komplement sprawił mu oczywistą przyjemność, ale mimo to do końca spotkania Morley zachował wystudiowany spokój, okraszony częstymi uprzejmymi uśmiechami.

Nadszedł jednakże czas, by poruszyć mniej przyjemne kwestie.

– Dobrze, to tyle, jeśli chodzi o aspekty techniczne – powiedziałem. – Oprócz tego mam jeszcze kilka innych spraw.

– Proszę pytać.

– Cóż, jedną z rzeczy, która mnie frapuje, jest... – zacząłem, ale urwałem zmieszany i przez chwilę szurałem papierami, jakbym szukał sposobu, by podejść do tematu łagodniej. Nie znalazłem. – Rozumiem, że miał pan problemy z piciem – wypaliłem bez ogródek.

– Och, łagodnie pan to ujął – Phil zachował spokój. – To coś więcej niż problemy. Byłem pijakiem. Agresywnym pijakiem.

– Agresywnym? – powtórzyłem niemądrze, nieco zaskoczony nagłym wyznaniem.

Phil pokiwał głową. Nadal był spokojny i opanowany, ale jego uśmiech znikł.

– Doktorze Lasman, moja żona przeze mnie wylądowała dwukrotnie w szpitalu. Za pierwszym razem ze wstrząsem mózgu, za drugim ze złamanym ramieniem, po tym jak

zepchnąłem ją ze schodów. Dziękuję Bogu, że nie mieliśmy dzieci, bo im też by się oberwało.

Siedziałem w milczeniu, zbyt oszołomiony, by się odezwać.

– Jak pan zapewne wie, wdałem się w kilka bójek z innymi członkami wydziału tu, na USC.

Tak naprawdę to wiedziałem tylko o jednej.

– Wypijałem pół flachy bourbona jeszcze przed lunchem – ciągnął Morley. – Brałem chorobowe co drugi dzień i spowodowałem trzy wypadki samochodowe po pijanemu, aż w końcu odebrano mi prawo jazdy. Władze uczelni już się szykowały do pozbawienia mnie posady. Wydaje mi się, że upadłem tak nisko, jak tylko może upaść człowiek, wykluczając zabójstwo.

Urwał i pokręcił głową, patrząc na przerażenie malujące się na mojej twarzy.

– Przepraszam – powiedział. – Chyba za dużo na pana rzuciłem.

– Nie, nie, ja tylko... Zresztą co tu dużo mówić, zadałem pytanie i uzyskałem odpowiedź. – Wybuchnąłem krótkim, nerwowym śmiechem. – No, z pewnością nie mogę posądzić pana o to, że coś pan przede mną ukrył. Zasługuje pan na wyrazy uznania, że zdołał się pan z tego wyrwać.

– Nie, doktorze Lasman, zasługuję tylko na to, żeby umrzeć. Zasługuję na piekło za to, co zgotowałem mojej żonie i przyjaciom. Trwali przy mnie przez cały ten czas, bite dwa lata, i robili wszystko, żeby wyciągnąć mnie z otchłani. Ja jednak pogрузyłem się tak głęboko, że ani żona, ani nikt inny na świecie nie był już w stanie mnie wyciągnąć.

Teraz to on się zaśmiał, krótko i nerwowo.

– Słyszałem, jak ludzie mówią, że każdy człowiek zasługuje na

sprawiedliwość, ale pragnie zmiłowania. Cóż, ja doczekałem się zmiłowania zamiast sprawiedliwości. Zmiłował się nade mną Jezus Chrystus i modłę się do niego codziennie, dziękując mu za to. Będę odmawiał tę modlitwę codziennie aż po dzień mojej śmierci, a i tak nie zdołam spłacić długu. Jestem wielkim szczęściarzem, doktorze Lasman, i pracuję bardzo ciężko, żeby o tym nie zapomnieć.

– Ile czasu upłynęło od pańskiego... eee... wyzdrowienia?

– Przemiana nastąpiła siedemnastego marca dwa tysiące dwunastego roku.

– Dokładna data.

– Cóż, nie zapomina się takich chwil.

– Czy miał pan wtedy pierwsze spotkanie klubu AA?

– Nie, nie do końca. Wydarzyło się wówczas coś o wiele bardziej osobistego. – Morley niespodziewanie spuścił wzrok. – Doktorze Lasman, gdy rzuciłem picie, poprzysiągłem sobie między innymi, że przestanę kłamać. Postanowiłem, że nigdy nie będę już kłamał, bez względu na powód, bez względu na konsekwencje. Jestem więc świadom, że to, co teraz powiem, może pozbawić mnie szansy na kierowanie Projektem Jerozolima. Rzuciłem alkohol ze względu na doświadczenie religijne. Właściwie to wizję.

– OK – powiedziałem ostrożnie. – Jeśli nie chce pan o tym mówić...

– Nie, myślę, że powinien pan o tym wiedzieć. – Morley nabrał głęboko tchu i zapatrzył się w dal. – Wracalem do domu. Minęła dziesiąta wieczór, a ja byłem zalany jak rzadko. Od sześciu miesięcy nie miałem już prawa jazdy, więc wytoczyłem się z małej speluny jakieś dziesięć przecznic od domu i powlokłem pieszo. Po paru minutach udało mi się otworzyć drzwi frontowe.

Byłem w połowie schodów – tych samych, z których zrzuciłem żonę – ale potknąłem się i upadłem. Wylądowałem jak długi na podłodze. Gdy tak leżałem, poczułem, że się unoszę. No, może nie tyle ja, co mój duch. W chwilę później znalazłem się obok mojego nieprzytomnego ciała. Pamiętam, jak stałem i patrzyłem na siebie, na moje rozczochrane włosy i plamy na marynarce. Patrzyłem na cienką stróżkę krwi spływającą z kącika ust. Potem usłyszałem, jak ktoś woła moje imię, a gdy się rozejrzałem, przekonałem się, że mój dom znikł. Stałem na rozległej równinie, wokół mnie panował półmrok. Niebo przesycone było osobliwym odcieniem purpury, nigdzie nie widziałem gwiazd ani słońca. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę w szacie z kapturem, stojącego przy rzece. Podeszedłem do niego i zapytałem, kim jest i co tu robi. Wtedy zdjął kaptur i rozpoznałem go. To był Jezus Chrystus.

Nie odezwałem się ani słowem. Obserwowałem wpatrzonego w dal i opowiadającego swą historię Phila. Starąłem się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie miałem bladego pojęcia, czy to prawda, czy wymysł, ale nie było wątpliwości, że on w to wierzył.

– W pierwszej chwili nie odpowiedział, po prostu pokazał mi rzekę. Przyjrzałem się jej i okazało się, że to rzeka krwi. Płynęły w niej setki, może nawet tysiące ciał, wszystkie twarzami do dołu. „Oto twoja przyszłość”, powiedział mi Jezus. „Oto koniec ścieżki, którą zmierzasz”. Zacząłem wypytywać, co ma na myśli, lecz wtedy przez równinę przemknął gwałtowny wiatr, który zagłuszył moje słowa. Jezus zaś powiedział: „Pamiętaj”, a potem zniknął w oślepiającym białym świetle. Gdy wróciłem do przytomności, uświadomiłem sobie, że leżę trzeźwy jak niemowlę u dołu schodów. Świtało. – Przy tych słowach Morley

westchnął i poprawił się na krześle. – Cóż, od tej chwili nie wypilem ani kropli. Spędziłem następne dwa tygodnie, czytając Biblię i przeprasząc żonę, współpracowników i wszystkich innych ludzi, którym wyrządziłem krzywdę podczas moich libacji. Jezus Chrystus zmienił moje życie. To proste.

Siedziałem przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Bo co mogłem powiedzieć? Choć Philip Morley niewątpliwie wierzył w to, że mówi prawdę, sam ani przez chwilę nie dopuściłem myśli, że Bóg Wszechmogący obdarzył go wizją. Alkoholicy widują najrozmaitsze rzeczy podczas delirium. Cóż miałem powiedzieć? Że wizja, która zmieniła życie tego człowieka, była tylko podręcznikowym przypadkiem *delirium tremens*?

Nie. Zamiast tego powiedziałem więc: – Porywająca historia.

– To nie historia, a prawda, choć zapewne ciężko w nią uwierzyć. Doktorze Lasman, rozmawiałem z kilkoma pańskimi kolegami i wiem, że nie jest pan chrześcijaninem. Nie przeszkadza mi to. Stan pańskiej duszy jest tylko i wyłącznie pańską sprawą, a ja nigdy bym się nie powążył oceniać innego człowieka. „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni”. Niemniej jeśli nie wystarczy panu przysięga złożona na Biblię, dam panu słowo honoru człowieka nauki, że od tego pamiętnego dnia nie tknąłem alkoholu.

– Wierzę panu – powiedziałem z przekonaniem. – Oczywiście uniwersytet będzie potrzebował dokumentu uwiarygodniającego pańską trzeźwość.

Phil pokiwał głową.

– Przynajmniej raz w miesiącu wykonuję losowe testy na obecność narkotyków, które wykazują, że przez cały ten czas pozostaję czysty i trzeźwy.

– Poproszę więc o kopię. Nie chodzi o to, że panu nie wierzę, ale Federalna Ustawa o Rehabilitacji nakłada na nas taki obowiązek.

Potem rozmawialiśmy na wiele innych, mało istotnych tematów – o polityce, pogodzie, footballu i tak dalej. W końcu pożegnaliśmy się i obiecałem, że skontaktuję się z nim natychmiast po podjęciu decyzji. Gdy wyszedł, uświadomiłem sobie, że od jego słów kręci mi się w głowie, choć nie ze względów, których można by się spodziewać.

Po jego wyznaniu poczułem się jakiś... nieodpowiedni. Nie na miejscu. Na wczesnym etapie mojej kariery naukowca sądziłem, że szukam Prawdy – gdy o tym myślałem, zawsze wyobrażałem sobie to słowo wielką literą. Prawda była pierwszą rzeczą, która przywiodła mnie do fizyki oraz – nieprzypadkowo – do ateizmu.

Gdy naprawdę zainteresowałem się fizyką, religia była jedną z pierwszych rzeczy, które odrzuciłem. W końcu jak można szukać Prawdy, gdy fundamentalna część światopoglądu opiera się na kłamstwie? Jak ośmieliłbym się odkrywać tajemnice wszechświata, skoro zasłoniłem swe lęki tak wyliniałą, lichą szatą? Nie, trzeba było ją ściągnąć, trzeba było odtrącić wszystkie te kłamstwa o Bogu i Zbawieniu, o Chrystusie i duszy. Dopiero gdy stanąłem nagi, wolny od fałszu, mogłem ruszyć ku Prawdzie.

Po spotkaniu z Philem ze zdumieniem odkryłem, że moje oddanie dla poszukiwania Prawdy jest płytkie i iluzoryczne. Ja, który dotychczas uważałem Prawdę za świętość największą z istniejących, teraz dochodziłem do wniosku, że moje życie to tkanina pozszywana z wyświechtanych kłamstewek. Każda rozwiana iluzja, każdy kompromis, każdy fałsz w zachowaniach koniecznych podczas wspinaczki po administracyjnej drabinie okazywał się teraz nitką w owej tkaninie.

W skrócie, spotkanie z Philem sprawiło, że poczułem się bardzo zawstydzony. Był żarliwym chrześcijaninem, człowiekiem głęboko wierzącym w system najpodlejszych kłamstw znanych ludzkości, a mimo to znajdował w sobie odwagę, by opowiadać o swym życiowym upadku bez ogródek, przedstawiając prawdę tak, jak ja już nie umiałem. To właśnie odkrycie, obok jego naukowych kwalifikacji, sprawiło, że ostatecznie zdecydowałem się go zatrudnić. I nigdy nie miałem powodu, by tego żałować. Przynajmniej do chwili, gdy osiągnął sukces.

Podczas gdy Phil kontynuował ściąganie fal wydarzeń przedstawiających Chrystusa, ja przechodziłem przez zupełnie inny rodzaj kryzysu intelektualnego. Nie zarzuciłem bynajmniej ateizmu, a jedynie wspierałem się w nim na wyższy poziom, który lepiej nadawał się do intelektualnej obrony. Nie było wątpliwości, że Jezus z Nazaretu żył i nauczał, tak jak opisano w Biblii. Niemniej to, że żył, wcale nie świadczyło o jego boskości.

Przez owe kilka tygodni wydawało się całkiem możliwe, iż Jezus tylko uważał się za Boga, za boskiego syna czy jak tam chrześcijańscy teologowie zwykli określać boskość – nie rozróżniałem tych wszystkich niuansów. Istniało wiele argumentów na tę tezę, jak choćby to, że niemalże wszystkie opisane cuda (rozmnożenie chleba i ryb, wskrzeszenie Łazarza) miały miejsce przed pierwszymi falami wydarzeń. Miałem nadzieję, że po ukrzyżowaniu nasz Mesjasz stanie się po prostu kolejnym trupem.

Szybko przekonałem się, jak bardzo się myliłem.

Po lunchu w piątkowe popołudnie Phil zawołał mnie, bym ujrzał ukrzyżowanie. Millenaryzm, choć już raczej zapomniany, u schyłku wieku był ważnym zjawiskiem kulturowym. W święta

Wielkiejnocy czy Bożego Narodzenia rzadko udawało się włączyć telewizor i obejrzeć coś, co nie byłoby dokumentem o życiu Jezusa. Pominąwszy krzyż (który tak naprawdę przypominał kształtem literę T, a Jezus dźwigał jedynie belkę poprzeczną), scena, która rozgrywała się przed moimi oczami, niczym nie różniła się od scen przedstawianych w telewizji. Cierniowa korona, pociemniałe niebo, słowa: „Wybacz im, Ojczy, bo nie wiedzą, co robią” (program translacyjny doktora Silvera był bezlitośnie nowoczesny, choć Philowi zapewne brakowało poetyckiego języka Biblii Króla Jakuba), wszystko jak należy. Byłem naprawdę zaskoczony wiernością, z jaką rozmaite media przedstawiały tę scenę, choć sześciogodzinna kaźń odtworzona z fal wydarzeń miała raczej marne szanse na wygraną w rankingu programów o największej oglądalności.

Obejrzałem tylko pierwsze i ostatnie trzydzieści minut, a przez resztę dnia zaglądałem raz na jakiś czas do laboratorium. Próbowałem skupić się na obowiązkach administracyjnych, lecz nadzieja, że uda mi się w ten sposób zapomnieć o Męce rozgrywającej się przed oczami Phila, okazała się płonna. Cóż za idealny przykład ironii losu. Kilkaset kroków dalej odbywało się odtwarzanie historii, a ja wolałem przekładanie papierów z miejsca na miejsce.

Około wpół do ósmej nadal odbębniałem w biurze robotę papierkową na przyszły tydzień, łudząc się, że uwolnię się w ten sposób od natrętnych myśli, gdy zadzwonił Phil.

– Richard, czy możesz przyjść? Chciałem ci coś pokazać.

Gdy wszedłem do laboratorium, ujrzałem ciemne, zamazane, ledwie dostrzegalne zarysy holoprojektji.

– Co to takiego?

– Grobowiec, w którym złożono szczątki Jezusa Chrystusa.

Ruth, poproszę sztuczne rozjaśnienie o dwieście procent.

Holoprojektacja rozjaśniła się i mogłem już dostrzec owinięte w całun ciało ułożone na kamiennej płycie.

– Minęło już trzy godziny i osiem minut od Jego śmierci na krzyżu.

– OK – powiedziałem neutralnym tonem.

– To patrz. Ruth, wyłącz sztuczne rozjaśnienie i puść zmartwychwstanie od początku.

Przez pierwsze piętnaście, dwadzieścia sekund nie widziałem niczego oprócz nielicznych fal zakłóceń. Potem gdy już miałem spytać Phila, co takiego niby miałem ujrzeć, zaczęło się. Miałem wrażenie, że do grobowca dostały się świetliki – pojawiło się bowiem wiele drobnych światełek, które zaczęły zataczać kręgi dookoła ciała. Z każdą sekundą pojawiała się ich więcej, aż były ich setki, a każde płonęło coraz jaśniej. Ich światło stało się tak ostre, że zacząłem już unosić dłonie, by osłonić oczy, lecz kiedy intensywność sięgnęła zenitu, wszystko znikło. Nie potrzebowałem już sztucznego rozjaśnienia, by wiedzieć, że grobowiec jest pusty.

– Myślę, że możemy bezpiecznie nazwać to Przemienieniem – powiedział Phil. Uśmiechał się szeroko, choć był całkowicie, absolutnie spokojny.

Ze mną działo się coś całkowicie przeciwnego. Wydawało mi się, że tonę w niezmierzonej, bezdennej metafizycznej otchłani, moje wyważone, oparte na logice zaprzeczenie boskości Chrystusa zostało roztrzaskane na drobne kawałki, a sposób patrzenia na świat legł w gruzach. Nawet dziś mam wrażenie, że to, co się wydarzyło później, jest jedynie zamgloną impresją. Pamiętam, że mamrotałem coś o sprawozdaniach z przebiegu projektu, a Phil na kolanach odmawiał głośno modlitwę

dziękczynną, nawet nie ocierając łez płynących mu po policzkach. Próba przypomnienia sobie, co dokładnie wówczas mówiliśmy czy robiliśmy, nie ma sensu. Nie pamiętam żadnych szczegółów, zupełnie jakbym zalał tej nocy pałę czy zafundował sobie za dużo środków znieczulających.

Wyszedłem najszybciej jak się dało.

W drodze do domu zatrzymałem się przy księgarni i poprosiłem o wydruk Biblii Króla Jakuba. Czytałem ją przez pół nocy, czując, jak moje ciało i mózg ogarnia odrętwienie. Rano ściągnąłem pliki Phila na mój komputer i spędziłem weekend na ich przeglądaniu, szukając wszelkich śladów przeróbek bądź oszustwa. Niczego nie znalazłem. Sprawozdania Phila były niezwykle drobiazgowo, a dane wyglądały na autentyczne.

Do niedzieli wyczerpałem wszelkie zasoby sensownych argumentów przemawiających przeciwko autentyczności wyników badań i w końcu zacząłem godzić się z okropną prawdą. Jezus Chrystus żył, nauczał, umarł i został wskrzeszony. Chrześcijaństwo, owa głupia, niemądra religia, którą z taką radością wyszydzałem, okazało się o wiele bardziej fundamentalną i niepodważalną prawdą niż cokolwiek odkrytego przez współczesną fizykę.

Dojście do tego wniosku nie przyszło mi łatwo. Jak miałem żyć dalej po odkryciu, że wszystko, co do tej pory uznawałem za pewnik, to fałsz? Udawało mi się pogodzić z tym intelektualnie, ale emocjonalnie byłem wzburzony jak nigdy. Zacząłem w głowie układać listę rzeczy w moim życiu, które będą musiały ulec zmianom. Poraziła mnie myśl, że trzeba będzie nauczyć się modlić. Przejrzałem nawet książkę telefoniczną w poszukiwaniu najbliższych kościołów.

Chyba jednak radziłem sobie z zaistniałą sytuacją zaskakująco

dobrze – spokojnie, logicznie i racjonalnie. Uznałem, że najgorsze mam już za sobą.

Pomyliłem się.

W poniedziałek wstałem wcześniej i udałem się do pracy ze szczerym zamiarem pogratulowania Philowi, co zupełnie mi nie wyszło w piątek ze względu na wstrząs, jaki wtedy przeżyłem. Pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak, było rozbite szkło.

Przed korytarzem prowadzącym do laboratorium piętrzył się stos rozbitych butelek po piwie, roztrzaskanych o podarty plakat przypominający o zasadach bezpieczeństwa.

W laboratorium sytuacja przedstawiała się o wiele gorzej.

Podłoga zasłana była kolejnymi strzaskanymi butelkami i porozrzucanymi papierowymi wydrukami, tu i ówdzie natknąłem się na przewrócone krzesło, a jeden ze starych komputerów leżał pod ścianą, rozbity w drobny mak. Gdzieś usłyszałem chrupanie szkła i serię szybkich oddechów.

Ruszyłem do źródła dźwięku i niespodziewanie moim oczom ukazał się Phil, siedzący na krześle po przeciwnej stronie laboratorium, popijający bourbona prosto z butelki. Na policzkach miał trzydniowy zarost, a włosy i ubranie były w nieładzie. Pod jego stopami wały się puste flaszki, jedna z nich w kałuży wymiocin. Na odgłos kroków odwrócił się i wbił we mnie przekrwione oczy.

– O, proszę, pan ateista – oznajmił. – Zajebista robota.

– Phil?

– A któż by inny, do kurwy nędzy? – warknął, dopił bourbona i cisnął butelkę o ścianę.

– Wszystko przepadło – rzucił. Śmierdział whisky tak, że nie dało się wytrzymać. – Jeśli chcesz golnąć, będziesz musiał sobie sam kupić. Dobrze, że jest dostawa na miejsce, nie?

– Phil, co się dzieje?

Fizyk wstał i zataczając się, odszedł na bok.

– A jak myślisz? – wybełkotał, wsparłszy się o stalową ścianę holoprzestrzeni. Spojrzał na mnie raz jeszcze. Miałem wrażenie, że tak naprawdę dostrzegł mnie dopiero teraz.

– Nie było cię tu wtedy, co?

– Kiedy?

– Kiedy ściągnąłem falę po raz drugi i puściłem ją. – Poglądził obudowę projektora. A potem wybuchnął płaczem. – Nie wiedziałem! – zaszlochał. – Skąd miałem wiedzieć?

– Co takiego? O co chodzi z tą drugą falą?

– Jak to „o co chodzi z drugą falą”? – zawołał, znów wściekły. Po jego policzkach spływały łzy.

– Phil, nie rozumiem, o czym mówisz. Proszę cię, spróbuj się uspokoić i opowiedzieć, co się stało.

Phil przyglądał mi się przez chwilę, a potem wyszeptał cicho: – O Boże.

Powoli osunął się na ziemię, nadal oparty plecami o holoprzestrzeń.

– Pierwsza projekcja zamazała się. Jakies pół godziny po tym, jak Jezus... Po tym, co widziałeś. Po tym, co ci pokazałem. Światło... Uwierzysz w to? Cztery tygodnie czystego obrazu i nagle wszystko się zamazuje. Fala zgubiła źródło. Nic, kurwa, tylko jakieś maziaje i zakłócenia. Ja pierdolę – urwał na moment. – Boże drogi, kurwa mać... Muszę się napić.

– Dobra, czyli pierwsza fala się zamazała. A co z tą drugą?

Phil patrzył na mnie przez chwilę, a potem zamknął oczy.

– Ściągnąłem drugą falę i odtworzyłem. Wykorzystałem dane pierwszej, żeby uzyskać jak najlepsze parametry, wprowadziłem też moment ukrzyżowania jako wektor wejściowy. Chciałem

ujrzeć zmartwychwstanie. Chciałem zobaczyć, jak Jezus powstaje z grobu.

– I co się stało?

Phil otworzył oczy.

– Co się stało? Nic się, kurwa, nie stało. Absolutnie nic.

Z trudem dźwignął się na nogi.

– Ruth! – ryknął. – Odtwórz no tę falę!

– Doktorze Morley, nie jestem pewna, co pan ma na myśli...

– Zamknij tę swoją jebaną elektroniczną mordę! Puść ostatnie nagranie, to, które zaczyna się w piątkową noc.

Holoprzestrzeń pojaśniała i raz jeszcze ujrzałem Chrystusa na krzyżu.

– Przesuń... Przesuń o sześć godzin.

Ruth wypełniła polecenie i ujrzeliśmy moment składania ciała Jezusa do grobu.

– Przesuń jeszcze o dwie godziny.

Ciemność.

– Rozjaśnij światło o jakieś dwieście procent.

Raz jeszcze ujrzeliśmy ciało Chrystusa w grobowcu.

– No – rzekł Phil, ewidentnie zadowolony. – No proszę.

Zataczając się, odszedł od holoprzestrzeni.

– Dobra, Phil, to mi wygląda jak ciało Chrystusa. Co chcesz, żebyśmy zobaczył?

– Ależ o to właśnie chodzi. – Morley myszkował wśród butelek w poszukiwaniu choć kropli alkoholu.

Spojrzałem na Phila, potem na holoprzestrzeń, potem znów na Phila.

– Nie kapuję, co takiego...

– Nie ma żadnego, kurwa, zmartwychwstania! – wrzasnął, a butelka po whisky przeleciała mi tuż obok głowy. – Trup po

prostu sobie leży! Nie ma świateł, nie ma aniołów, nic nie ma!

Nagle zachwiał się i znów padł na krzesło z płaczem.

– To tylko trup – powiedział cicho. – Tylko pieprzony trup.

Minęła dłuższa chwila, zanim pojąłem jego słowa.

– Chcesz mi powiedzieć, że mamy dwie fale, jedną, która potwierdza boskość Jezusa, i drugą, z której wynika coś całkowicie przeciwnego?

Pokiwał głową. Nigdy nie widziałem, by ktoś wyglądał tak żałośnie.

– Nie ma boskości, nie ma zmartwychwstania – wyszeptał. – Nie ma zbawienia.

Ja natomiast natychmiast uchwyciłem się nowej myśli.

– Phil, czy ty zdajesz sobie sprawę, do czego tu doszliśmy? Odkryliśmy wariant pierwszej kategorii, dowód na istnienie alternatywnej linii wydarzeń, mającej znaczenie dla losów całego świata. Jeśli będziemy dalej ściągać tę falę i udokumentujemy nieobecność Kościoła katolickiego, będziemy mogli udowodnić, że...

Phil wybuchnął śmiechem pełnym goryczy.

– Przyjrzyj się symulacji. Wiesz, co zrobią apostołowie po pochowaniu Jezusa? Wiesz? Spotkają się i zadecydują, że rozejdą się i będą prawić, iż powstał z grobu. O wiele lepiej jest brnąć dalej w kłamstwo, niż się do niego przyznać. Ba, przekonają siebie nawzajem, że to jest dokładnie to, czego Jezus by sobie życzył.

W końcu i ja usiadłem na krześle naprzeciwko.

– A więc nie wiadomo, która symulacja dotyczy naszego świata.

Phil znów roześmiał się z goryczą.

– Pies jebał znikających Greków. My mamy znikającego

Mesjasza.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas nie odezwał się ani słowem, ani też nie spojrzął na drugiego. W końcu wstałem i powiedziałem bardzo cicho: – Cóż, Phil, rozumiem, że jest to dla ciebie trudne przeżycie. Nie zmienia to jednak faktu, że przeprowadziliśmy niezmiernie ważne badania. Będziemy sławni pomimo niepewności...

– Niepewności? – ryknął Phil i poderwał się chwiejnie na równe nogi, złapawszy pustą butelkę po piwie. – Nazywasz to niepewnością? Niepewność może dotyczyć sportów, giełdy, twojej przyszłości! Niepewność nie może odnosić się do podstawowych stosunków między tobą a światem. Nie może dotyczyć duszy! Brak pewności nie może dotyczyć miłości Boga!

– Phil, uspokój się! – Cofnąłem się nerwowo. – Może w symulacji pojawił się błąd. Odłóż tę butelkę i zrób sobie kilka dni wolnego, a potem zaczniemy raz jeszcze i zobaczymy, co przyniesie eksperyment. Póki co musimy się zadowolić tym, co mamy...

– Nie mogę żyć w świecie, w którym stan mojej duszy zależy od mechanicznej fluktuacji kwantowej! – wrzasnął Phil. Na jego twarzy ujrzałem skrajne szaleństwo. Potem przypomniał sobie o butelce piwa, którą ścisnął w garści.

Zdołałem mu ją wyrwać, nim poprzecinał sobie żyły na nadgarstkach.

A teraz, gdy zostałem sam, zastanawiam się, czy jestem w stanie stawić czoła owej niepewności lepiej od Phila. Tylko ode mnie zależy, czy ujawnię nasze odkrycie światu.

Lub czy tego nie zrobię.

Mam do wyboru świat odkupienia, gdzie zbawienie i wieczne życie zostały udowodnione i są świadectwem boskiej miłości.

Albo też drugi świat, gdzie Bóg milczy, a życie po śmierci jest jedynie pokrzedpiałającym kłamstwem.

I nie mam bladeo pojęcia, w którym świecie żyjemy.

Jak mam przekazać to ludziom? Jak mam wyjaśnić, że najbardziej fundamentalna prawda o naszej egzystencji nie tylko jest nieznaną, ale także niemożliwą do poznania? I że nie ma sposobu, by ustalić, czy jesteśmy zbawieni, czy potępieni?

Czy z takiej świadomości może wyniknąć cokolwiek dobrego?

Jakie koszmary obudzę, jeżeli przedstawię wyniki badań niczego niepodejrzewającemu światu?

Bez Prawdy – jakiejkolwiek Prawdy – jesteśmy osamotnionymi wędrowcami w mroku.

Stephen Baxter Stephen Baxter (ur. 1957) jest najślynniejszym brytyjskim autorem science fiction. Można upatrywać w nim naturalnego spadkobiercę Arthura C. Clarke'a, z którym zresztą współpracował przy wielu projektach. Baxter zaczął pisać w 1987 roku, a jego debiutem był *The Zeelee Flower*, który otworzył cykl powieści: *Tratwa* (1991), *Pływ* (1993) oraz *Pierścień* (1994). Uznanie zapewniły mu też *Statki czasu* (1995), kontynuacja *Wehikułu czasu* H.G. Wellsa.

Wśród jego utworów wymienić można *Wyprawę* (1998), o podróży na Marsa w świecie alternatywnej rzeczywistości, w której prezydent Kennedy nie został zamordowany. Światy alternatywne są fascynującym studium wyobraźni, ale rzadko kiedy zasługują na etykietkę „ekstremalnych”. Poniższe opowiadanie jednakże nie tylko wykorzystuje najślawniejszy z motywów rzeczywistości alternatywnej – o zwycięstwie nazistowskich Niemiec w drugiej wojnie światowej – ale opiera się na unikalnym koncepcie, który ze wszech miar na ów epitet zasługuje.

Stephen Baxter

ZAGADKA PACYFIKU

(Nota redaktora: *Saga o powrocie powietrznego pancernika Reichsmarschall des Großdeutschen Reiches Hermann Göring na londyńskie niebo i o heroicznych wyczynach połączonego zespołu pilotów RAF-u i Luftwaffe, wspólnie usiłujących wdrzeć się do kadłuba schlachtschiffu, przyćmiła historię o tym, co się przytrafiło jego nieżyjącej od dawna załodze, i o tym, co odkryła podczas podróży przez Pacyfik – o ile odkrycia kiedykolwiek zostaną w ogóle zrozumiane.*

Za przyzwoleniem rodziny BBC postanowiło wydać zredagowaną wersję osobistego pamiętnika pisanego przez dziennikarkę Bliss Stirling na pokładzie okrętu. Pani Stirling ukończyła wydział matematyczny w Girton College w Cambridge, a podczas Służby Narodowej w RAF-ie należała do Jednostki Rozpoznania Fotograficznego. Przez kilka lat była zatrudniona jako kartograf przez Rzeszę Niemiecką przy tworzeniu map wschodnich Komisariatów dla Generalplan Ost. Była oczywiście znakomitym pilotem. W chwili śmierci miała dwadzieścia osiem lat).

15 maja 1960 – dzień pierwszy

Odebrałam spitfire'a z bazy w Medmenham i wzbiłam się prosto w niebo, czyste niczym dżin. Latałam spitfire'ami na całym świecie, w koloniach dla RAF-u i w Azji podczas wspólnych operacji z Luftwaffe, niemniej ten samolot jest

przeznaczony do lotów pod letnim angielskim niebem. Zawsze żałowałam, że urodziłam się za późno, by wziąć udział w „dziwnej wojnie”, nawet jeśli i tak strzelano wtedy tylko na postrach.

Ten lot jednak również był wielką przygodą, tym bardziej że leciałam na spotkanie z *Göringiem*, z Bestią, jak określał tę jednostkę Churchill, zanim go powieszono. Oczywiście na długo przedtem, nim go skazano i powieszono. Wzlatywałam coraz wyżej, aż ujrzałam pancernik, lecący na wschód, do centrum Londynu. Rozpędziłam się do prędkości dwustu dwudziestu węzłów. Oczywiście to ja musiałam się dopasować, Bestia nie będzie dla mnie zwalniać ani zbaczać z kursu. Nawet z ziemi nie da się jej przeoczyć, wygląda jak czarny krzyż na tle nieba. Kiedy się jednak podlatuje, przypomina to zbliżanie się do budynku, do wieżowca w Nowym Jorku czy Germanii, a nie do innej jednostki powietrznej.

Byłam oczarowana. Któż by nie był? Na pokładzie tego ogromnego statku miałam dokonać pierwszego w dziejach okrążenia świata, a zatem wyczynu, który przyćmi osiągnięcia wszystkich wielkich podróżników w przeszłości. Mieliśmy stawić czoła Tajemnicy Pacyfiku. Oczywiście, o ile uda mi się wylądować na tym cholernym olbrzymie.

Wzniosłam się ponad Bestię i przyspieszyłam. Przeleciałam wzdłuż jej osi nad statecznikiem pionowym rozmiarów katedry Świętego Pawła. Samolot miałam posadzić na pokrytym nitami rufowym pasie do lądowania. Minęłam słynne dwupłatowe skrzydła z ich ciężkimi gondolami silnikowymi, przyjrzałam się też szklanym pęcherzykom wieżyczek strzelniczych, które znajdowały się na końcach skrzydeł, na statecznikach i wokół dziobu Bestii. Mówiono, że ten podniebny okręt ma na pokładzie

własną artylerię przeciwlotniczą. Kilka niewielkich samolotów o krótkich skrzydłach, które Niemcy, jak się później dowiedziałam, nazywali rydwanami, stało na stanowiskach burtowych. Bestia pomalowana była na czarno i przystrojona krzyżami Luftwaffe. Krążyły plotki, że pod kadłubem kryje się generator atomowy, choć to nie do wiary, lecz jeszcze trudniej uwierzyć, że taki olbrzym w ogóle mógł wznieść się w powietrze. Natomiast skłonna jestem przyjąć, że ten potwór nigdy nie da rady wylądować. Ponadto, jak każde dzieło technologii nazistowskiej, Bestia była zwodniczo wprost piękna.

Miałam sporo wprawy w lądowaniach na lotniskowcach, ale nic nie mogło się równać z podejściem przez las wysięgników i anten radiolokacyjnych. Duma nie pozwoliła mi jednak na okazanie choćby cienia niepewności czy wahania. Koła mojego myśliwca dotknęły lądowiska bez głośnego uderzenia, mój hak pochwyił linę hamującą i zatrzymałam się zgrabnie przed barierą ochronną. Na rufie Bestii stał człowiek z obsługi technicznej w gumowym kombinezonie przymocowanym do podłoża specjalną uprzężą – ochrona przed zwianiem z otwartego pokładu. Zasygnalizował chorągiewką, bym zatrzymała samolot przed wieżyczką u nasady skrzydeł.

Podjechałam na wskazane miejsce. Brawa dla Bliss Stirling, dziewczyny reportera na pokładzie *Göringa*! Wiedziałam, że pod mną przemyka Londyn, ale kadłub niemieckiego okrętu był tak szeroki, że nie dało się spoza niego zobaczyć ziemi.

Dzień drugi

Punktem kulminacyjnym tego dnia był wytworny lunch w

miejscu, które doktor Ciliax nazwał „jedną z najgorszych jadłodajni na schlachtschiffie”. Srebrna zastawa i artykuły spożywcze ze wszystkich prowincji Większych Niemiec, a do tego polska wołowina i francuskie wino. Czułam się jak na pokładzie transatlantyku lub w obitym pluszem sterowcu.

Podczas posiłku *Göring* krążył nad Germanią, którą Jack Bovell nadal uparcie nazywa Berlinem ku rozdrażnieniu Ciliaksa. Flotyła samolotów transportowych wylądowała na grzbiecie Bestii z dostawą ropy naftowej, wody, jedzenia i innych produktów. Wokół krążyły dwupłatowce, celując w nas obiektywami kamer.

Jack Bovell jest jednym z jankesów włączonych w skład wyprawy na dowód wspaniałomyślności Rzeszy (ja reprezentuję Wielką Brytanię na tej samej zasadzie). Służy jako pilot w USAAF i obiecano mu, że w tej monumentalnej podróży będzie mu wolno usiąść za sterami. Oboje jesteśmy pod opieką Wolfganga Ciliaksa, który jest oficerem Luftwaffe, choć jako inżynier nigdy nie korzysta ze swojej rangi. To jeden z głównych projektantów Bestii. Zdaje się, że spędzimy w trójkę mnóstwo czasu. To ci dopiero perspektywa.

Rankiem Ciliax zabrał mnie i Jacka na wycieczkę po Bestii. Oczywiście nie pokazał nam niczego naprawdę interesującego, jak „generator atomowy” czy „odrzutowy” silnik, które rzekomo zainstalowano w niektórych rydwanach. W rzeczy samej Ciliax okazał rzadką u bufonów powściągliwość i powstrzymał się od wypaplania wszystkiego, co wiedział. Zapewne z miłości do swojej krypy.

Mimo to w oszołomieniu spacerowaliśmy po głównym pokładzie rozmiarów sali balowej w pałacu Buckingham, z rzędami terkoczących dalekopisów, ze zdziwieniem patrzyliśmy

na ogromny stół nawigacyjny obsługiwany przez kilka z nielicznych kobiet w załodze. Na tym poziomie znajdowały się także inne pomieszczenia, choćby sala balowa i biblioteka, a nawet niewielki basen, choć moim zdaniem to była już przesada.

W zwiedzaniu towarzyszyli nam inni goście, wielu z wyższych klas okupowanych krajów europejskich, pochod zamykała zaś podekscytowana ekipa telewizyjna. Krążyły pogłoski, że Leni Riefenstahl kręci film o tej monumentalnej podróży, choć jej samej na pokładzie nie było. Dostrzegliśmy też kilku złowieszczych typków w czarnych mundurach SS. Naciskany przez Jacka Bovella Ciliax oznajmił, że *Göring* należy do struktur Luftwaffe i SS nie ma na jego pokładzie żadnej władzy.

Zeszliśmy pod pokład, gdzie przeprowadzono nas przez ładownię rozmiarów Albert Hall. Podziwialiśmy ogromne zbiorniki ropy i wody, ale najbardziej zdumiały nas podwójne grodzie wewnętrzne oraz kadłub wykonany z utwardzanej stali grubości wielu cali. Z nitami większymi od mojej dłoni.

– To naprawdę powietrzny pancernik – w głosie Jacka pobrzmiwał żal. Miał rację, przodków tego potwornego schlachtschiffu szukać bowiem należało raczej wśród stalowych behemotów oceanicznych, a nie kruchych samolocików jak mój spitfire.

Jack Bovell ma około trzydziestu lat, jest niższy ode mnie, przysadzisty i bije od niego zapach cygar, brandy i pomady. Nawet podczas posiłków nie zdejmuje podniszczonej skórzanej kurtki lotniczej. Przypuszczam, że Jack pochodzi z Brooklynu, a wiem, że jest o wiele bystrzejszy, niż daje po sobie poznać.

– Ach, oczywiście, że to schlachtschiff – rzekł Ciliax. – Niemniej *Göring* jest eksperymentalnym okrętem powietrznym, który zbudowano z dwóch podstawowych powodów – po pierwsze,

celem demonstracji technologii, a po drugie, na potrzeby wypraw odkrywczych. *Göring* bowiem to pierwszy pojazd w ludzkiej historii zdolny do rzucenia wyzwania bezmiarom Pacyfiku.

Zwyczaj układania wypowiedzi w ponumerowane listy argumentów sporo mówi na temat Wolfganga Ciliaksa, czyż nie? Inżynier jest dość młody, dałabym mu góra trzydzieści pięć lat, nosi okulary o szklach wielkości pensów, a jasne włosy zaczesuje gładko do tyłu.

– Na potrzeby wypraw badawczych – powtórzył kwaśno Jack.
– Czy to ma tłumaczyć, dlaczego pokazał nam pan jego pancierz?

Ciliax uśmiechnął się w odpowiedzi. Oczywiście, że tak.

Wszyscy ludzie na pokładzie tego cholernego statku, którzy nie byli Niemcami, to przecież w jakimś stopniu szpieczy, nie wyłączając mnie. Cokolwiek odkryjemy podczas próby przemierzenia Pacyfiku, nam, narodom neutralnym i okupowanym, przedstawione zostanie w formie potężnej demonstracji przewag technologicznych Rzeszy. Wszyscy wiedzą, że to tylko gra, niemniej Jack bez przerwy łamie jej zasady. Mam wrażenie, że jest człowiekiem zbyt niecierpliwym, jak na zadanie, które mu przydzielono.

Bovell błyskawicznie wyrobił sobie o mnie opinię i trzyma się na dystans, a Ciliax, w którego żyłach jednak płynie krew, wykorzystuje każdą okazję, by mnie dotknąć, pogłodzić po dłoni lub poklepać po ramieniu. Jack w mojej obecności wydaje się naburmuszony. Podejrzewam, że dla niego jestem symbolem narodu ugodowców. Dla Ciliaksa z kolei zapewne stanowię terytorium do podbicia, podobnie jak centralna Azja. Nie wątpię, że w nadchodzących dniach przełamiemy nasze stereotypy narodowe, ale Bliss nie będzie szukać romansu na pokładzie pancernika *Reichsmarschall des Großdeutschen Reiches Hermann Göring*.

Ani mi się śni!

Dzień trzeci

Na przyszłość: rozszyfrować komentarz Ciliaksa o helotach zajmujących się silnikami atomowymi. Te maszyny znajdują się w zapieczętowanych przedziałach za ołowianymi grodziami i nikt nie ma tam prawa wstępu. W każdym razie nie ja. Dla nas, szpiegów, owe motory atomowe są przecież głównym obiektem zainteresowania. Podczas odprawy przed lądowaniem na *Göringu* dowiedziałam się, że naziści zamierzają zbudować broń o niezwyklej sile rażenia opartą na tej samej technologii. Być może w owych przedziałach zamknięto całe kolonie Untermenschen, Słowian czy Cyganów, którzy zajmują się rozpalonymi do czerwoności, zabijającymi ich z wolna maszynami, podczas gdy my popijamy wino i wyklócamy się o kwestie polityczne.

Po południu zasiadłam w jednej z kopuł obserwacyjnych na śródpokładzie Bestii i przygotowałam materiał dla BBC. To moja nominalna praca – mam być uszami i oczami Brytanii podczas owej niezwyklej misji. Wciąż orbitujemy nad Germanią, czyli Berlinem. Nawet z tej wysokości widać ogrom rekonstrukcji dokonanych przez Niemców w ostatniej dekadzie. Obrzeża miasta opłotła sieć alej szerokich na sto jardów. Z łatwością można dostrzec Łuk Tryumfalny, Plac Ludu i Panteon Armii, gdzie zmieszczą się miliony widzów. Jack trąbi o infantylnej gigantomanii, ale nie można nazistom odmówić wizji. A przez cały czas podlatują do nas tankowce, niczym pszczoły do wielkiego kwiatu...

Dzień piąty

Podczas lunchu omal nie doszło do kolizji.

Przekroczyliśmy dawną granicę między Rzeszą a Polską i lecimy teraz nad obszarem, który Niemcy nazywają po prostu Ostlandem, nad sercem Azji. Z pomocą Ciliaksa udało nam się wypatrzeć nowe, otoczone murami miasta kolonialne, zasiedlone głównie przez niemieckich żołnierzy i usytuowane daleko na dawnych terytoriach sowieckich. Otaczają je ogromne posiadłości, z których każda w znacznej mierze jest farmą kolektywną – kołchozem – przejętą z rąk bolszewików. To tam właśnie chłopstwo zмага się z pracą na roli i płaci należności niemieckim osadnikom.

Jack zrzędził i wyrzekął w amerykańskim stylu na utratę wolności oraz praw obywatelskich. Nie do końca chyba ogarniał sytuację.

– Amerykanie nie rozumieją kontekstu – rzekł Ciliax z ledwie skrywaną pogardą. – Tam na dole nie toczy się wcale wojna o wolność czy też o ziemię. Azja jest areną finalnego starcia między rasami, punktu kulminacyjnego milionów lat chaotycznej ludzkiej ewolucji. Jak to kiedyś napisał Führer: „Cóż za zadanie nas czeka! Przed nami sto lat radosnej satysfakcji!”.

Muszę przyznać, że Ciliax wcale nie jest przekonujący, gdy wygłasza takie frazesy. Sądzę, że to przede wszystkim inżynier, ale nie wypada podpaść komuś, kto zarządza statkiem.

(Do zrobienia na przyszłość: odnaleźć źródło cytatu z Hitlera).

Od Germanii towarzyszą nam myśliwce, głównie messerschmitty, które stanowią osłonę przed atakiem i eskortę. Wraz z Jackiem Bovellem zabawiamy się wypatrywaniem

nowych typów i wariantów. Pojawiały się też lżejsze i szybsze jednostki. Może to właśnie myśliwce odrzutowe, o których tyle czytaliśmy, ale nigdy nie widzieliśmy z bliska. Znam wielu oficerów RAF-u, którzy żałują, że „dziwna wojna” skończyła się w maju 1940, nawet jeśli jedynym usprawiedliwieniem takiego toku rozumowania jest utracona szansa na rozwój technologiczny. Dla tego znękanego kontynentu, nad którym przelatywaliśmy, to ciężka próba. Szeptaliśmy do siebie z Jackiem i wykręcaliśmy głowy, aby przyjrzeć się jak najdokładniej tym egzotycznym ptakom.

A potem zaczęło się przedstawienie. Byliśmy wówczas gdzieś nad Ukrainą. Jakiś myśliwiec wbił się z wyciem w naszą eskortę. Wyskoczył znad lądu niczym fajerwerk, ciągnąc za sobą słup dymu. Zapytałam, czy on aby nie ma rakiet przytwierdzonych do kadłuba. Ciliax wydawał się także zaintrygowany.

Muszę tu przypomnieć, że siedzieliśmy w wygodnych fotelach kopuły obserwacyjnej, miałam nawet kieliszek brandy w ręku. Nie czułam zagrożenia, chociaż nieoznaczony samolot rakietowy był coraz bliżej. Niski, wibrujący pomruk sprawił, że trunek w moim kieliszku zaczął drżeć, Bestia zawracała ociężale.

– Jeśli ten samolot się przedrze – powiedziałam – to pora się przywitać ze świętym Piotrem.

– No coś ty – rzekł Jack Bovell.

Ciliax milczał.

Niespodziewanie dziób rakietowego samolotu omiotła seria z działka przeciwlotniczego. Myśliwiec z roztrzaskaną osłoną kabiny wypadł z kursu i runął w dół. Nie widziałam nawet eksplozji w miejscu, gdzie zderzył się z ziemią.

Jack wydał policzki. Wolfgang Ciliax pstryknął palcami, by podano wszystkim jeszcze brandy. Orbitowaliśmy wokół

obszaru, gdzie nastąpiła próba ataku, przez osiem godzin. Ciliax zabrał mnie i Jacka do ładowni. Bomby były wąskie, pomalowane na czarno i niebiesko, idealnie zaokrąglone, tak że wyglądały jak „odwrócone miniaturowe okręty podwodne”, jak to ujął Jack. Można je zrzucić z pułapu dwudziestu tysięcy metrów. Przyszło mi do głowy, że trudno o kolejny przykład tak typowej dla nazistów technologii obdarzonej pięknem, ale Ciliax powiedział, że zostały zaprojektowane w Wielkiej Brytanii i wykonane na licencji Vickers Armstrong w Weybridge, a ich projektant nazywa się Barnes Neville Wallis.

– Są równie brytyjskie jak rzędy silników Rolls–Royce Merlin, dzięki którym *Göring* utrzymuje się w powietrzu. – Wbił we mnie wzrok znad okularów, jakby chciał się upewnić, że rozumiem: mój kraj miał udział w stworzeniu tego pancernika. Ale chyba przede wszystkim Ciliax był wzburzony, że ktoś ośmielił się podnieść rękę na jego piękną maszynę.

Tej nocy *Göring* zrzucił bomby na obszar, z którego mógł wystartować ów samolot raketowy. Nie mam pojęcia, czy atak się powiódł. Ekipa filmowa oczywiście wszystko uwieczniła, i to w kolorze. Po bombardowaniu udaliśmy się w stronę wschodzącego słońca. Muszę się zdrzemnąć...

Dzień siódmy

Minęliśmy już Chiny, poddawane obecnie japońskiemu programowi kolonizacyjnemu, który niczym się nie różni od tego, co robią Niemcy na Zachodzie. Eurazja jest ogromną, rozciągającą się aż po brzegi kanału La Manche areną wojen, podbojów i ludzkiego cierpienia. W jakim to świecie przyszło

nam żyć!

Na razie minęliśmy już nieszczęsne Chiny, z powodzeniem pokonując tym samym część drogi dookoła planety. Nasza eskorta znikła, a w skład ostatniego konwoju zaopatrzeniowego wchodziły samoloty japońskie. Jack zagroził, że powyrzuca ich dania z surowej ryby przez luk bombowy.

Jesteśmy już sami i kierujemy się prosto ku naszemu najważniejszemu celowi – Pacyfikowi. Lecimy tak wysoko, że obłe, kryte srebrną skórą burty Bestii połyskują niczym grzbiety lewiatanów.

Jack odbył kilka tur w fotelu pilota, a tego popołudnia ja również dostałam od Ciliaksa pozwolenie, by wejść do kabiny. Liczyłam, że pozwoli mi pobawić się sterami. Bardzo chciałam.

– Coś mi mówi, że jestem lepszym pilotem od ciebie – rzuciłam do Jacka.

Amerykanin przypasany do fotela roześmiał się tylko. W czapce i kurtce lotniczej wydawał się naturalny i autentyczny po raz pierwszy, odkąd go poznałam.

– Może i masz rację – odparł. – Ale Hans jest lepszy od nas obojga razem wziętych.

– Hans?

Okazało się, że Hans to maszyna obliczeniowa statku, która potrafi prowadzić Bestię „po swojemu” i nawet gdy za sterem zasiada człowiek, przejmuje najważniejsze funkcje.

– Myślę, że imię to jakiś niemiecki żart – rzekł Jack. – Coś jak „hands off”, łapy precz.

Uklękłam przy jego fotelu, wpatrując się w ocean.

– Jak sądzisz, co tam znajdziemy, Jack?

Ten wzruszył ramionami, jak na człowieka rzeczowego przystało.

- Dwadzieścia tysięcy mil oceanu, a potem San Francisco.
- To dlaczego nikt dotąd nie pokonał Pacyfiku?
- Przez prądy oceaniczne – odrzekł. – Przeciwne wiatry.

Kurde, pojęcia nie mam.

Oboje jednak wiedzieliśmy, że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Rzucaliśmy wyzwanie Tajemnicy Pacyfiku.

Zdaniem Darwina, ludzkość wywodziła się z Afryki. Za czasów jaskiniowców rozprzestrzeniaли się na północ i na wschód, po Azji i potem dalej, aż do Australii. Następnie Polinezyjczycy zaczęli skakać z wyspy na wyspę, pokonując w ten sposób tysiące mil, aż ze swymi kamiennymi toporkami dotarli na dłubankach do Hawajów.

Ale tam powstrzymał ich Pacyfik.

W tym samym czasie inne ludy migrowały na zachód, do Ameryk. Nie wiadomo tak naprawdę, w jaki sposób pierwsi rdzenni Amerykanie dotarli do nowej ojczyzny. Wedle niektórych naukowców dopłynęli tam przez przypadek na tratwach, którymi podróżowali w dół rzeki Kongo, choć coś mi się wydaje, że ta teoria kryje w sobie rasowe uprzedzenia. Potem przez północny Atlantyk przepłynęli wikingowie i natrafili na plemiona ciemnoskórych tubylców, a gdy dotarli tam Hiszpanie, Portugalczycy i Brytyjczycy, zastali skomplikowaną afrykańsko-nordycką gospodarę, którą z miejsca zaczęli eliminować. Niebawem przybysze z Europy rozplenili się aż po zachodnie wybrzeża obu Ameryk.

Lecz w dalszej podróży powstrzymał ich Pacyfik.

– I na tym polega zagadka – powiedziałam do Jacka. – Ziemia jest kulą. Łatwo to stwierdzić, choćby obserwując wygięty cień, jaki rzuca podczas zaćmienia Księżyca.

– Pewnie – przyznał Jack. – A zatem wiemy, że Pacyfik nie ma

więcej niż dwadzieścia tysięcy mil szerokości.

– A jednak odkrywcy z Europy, jak Magellan czy Cook, odpłynęli daleko od amerykańskich wybrzeży. Całe tysiące mil. Wiemy, że powinni byli dotrzeć do Hawajów na przykład. Ci, którzy wyruszali ze wschodu, jak choćby Chińczycy w średniowieczu i współcześni Japończycy, wypłynęli daleko za Polinezję. Niewielu powróciło. Tymczasem ktoś powinien już dawno pokonać ten bezmiar, Jack. Pacyfik jest zbyt szeroki. I na tym polega Tajemnica.

– Bzdury – parsknął Jack. – Jeszcze trochę, a zaczniesz mi opowiadać o morskich potworach i demonach z chmur.

Niemniej nikt jak dotąd nie udowodnił, że stare legendy o Pacyfiku są nieprawdziwe, i kątem oka dostrzegłam, jak ci z obsady kabiny, którzy rozumieli angielski, zerkają na nas z niepewnością.

Dzień ósmy

Znaleźliśmy się poza zasięgiem bezprzewodowego telegrafu, a ostatnia japońska stacja już dawno znikła za horyzontem. Las masztów łączności sterczy bezużytecznie i człowiek zaczyna się czuć osamotniony, bez względu na to, co robi i myśli.

I tak oto Ciliax, Jack i ja jesteśmy na siebie skazani. Trzymamy się razem niczym jaskiniowcy w metalowej jaskini. Tego wieczoru zjedliśmy znowu kolację w sztywnej, nieprzyjemnej atmosferze. Gardzimy sobą nawzajem, pijemy za dużo i za dużo mówimy.

– Oczywiście – wymamrotał Ciliax – samolot raketowy utrzymałby się w powietrzu ledwie kilka minut i po odpaleniu

silników nie dałoby się dłużej kontrolować jego lotu. Ktoś na ziemi musiał dokładnie wiedzieć, kiedy przeleci *Göring*. Zastanawiam się, kto mógł to zdradzić.

Jeśli była to aluzja do mnie lub do Jacka, to została zignorowana.

– Ktoś? A kto? Wy, naziści, macie w Azji wrogów na pęczki, Wolfie. Bolszewików, partyzantów... Któregoś dnia spotkacie się z Japończykami i zetrzecie się...

– Równie dobrze ten samolot mogli wystrzelić Amerykanie – rzekł gładko Ciliax.

– A niby dlaczego Ameryka miałyby zaatakować niemiecki okręt?

– Ze względu na strategiczne implikacje lotu *Göringa*. A co, jeśli uda nam się pokonać Pacyfik? Ameryka od dawna obawia się o swoje długie, trudne do obrony zachodnie wybrzeże.

Jack zmrużył oczy, ale nie zaprzeczył.

W 1940 roku przywódcy amerykańscy w istocie nerwowo spoglądali przez ramię na agresywną ekspansję Japonii. Pacyfik okazał się jednak niemożliwy do przekroczenia, inwazja japońska nie nadeszła, a podczas „dziwnej wojny” Amerykanie poparli Brytyjczyków.

W kwietniu 1940 roku Hitler najechał Danię i Norwegię, a w maju okrążył linię Maginota, by zmiażdżyć armię francuską. Obie fazy blitzkriegu wywołały panikę w brytyjskim rządzie i premier Chamberlain został zmuszony do ustąpienia z urzędu pod zarzutem nieudolnego kierowania działaniami wojennymi.

Hitler jednak zatrzymał ofensywę. Za granicę Rzeszy uznał Morze Północne i oznajmił, że nie dąży do konfliktu ze „swymi anglosaksońskimi kuzynami”.

Churchill domagał się odrzucenia warunków Hitlera i

kontynuowania walki zbrojnej, ale lord Halifax, piastujący stanowisko ministra spraw zagranicznych, dowodził, że oferta niemieckiego przywódcy jest do przyjęcia. Kiedy więc kipiący z wściekłości Churchill wycofał się z polityki, ów strach na wróble w meloniku został premierem w przeciągu tygodnia, a w ciągu miesiąca podpisał traktat pokojowy z nazistami.

Hitler w związku z tym skupił całą energię na kampanii wschodniej i w 1941 roku podbił Moskwę.

Taki obrót wydarzeń był możliwy tylko dzięki temu, że Japończycy nie mogli w żaden sposób zagrozić Amerykanom. Gdyby nie to, że Pacyfik był nie do pokonania, uwaga Ameryki podczas wojny mogłaby się skupić na Azji, a nie na Europie. Gdyby zaś nie potężne wsparcie, które uzyskaliśmy od Ameryki w 1940 i gdyby Hitler nie złożył nam tak hojnej propozycji zawarcia pokoju – gdyby ośmielił się zaatakować Wielką Brytanię – Niemcy nagle zorientowałiby się, że walczą na dwóch frontach, na wschodzie i na zachodzie. Czy Rosja byłaby w stanie odeprzeć o wiele słabszy atak Niemców? Czy to w ogóle do pomyslenia, by Rosja, Wielka Brytania i Ameryka połączyły siły przeciw Niemcom i nawet przeciw Japończykom? Czy wtedy udałoby się wygrać wojnę?

Wszystkie takie spekulacje najlepiej toczyć nad kuflem piwa w pubie. Łatwo jednak zrozumieć, że gdyby można było przepłynąć Pacyfik, wynik wojny z Niemcami byłby inny, choć trudno przewidzieć jaki. Z tego też względu *Göring*, samolot skonstruowany po to, by rzucić wyzwanie nieprzystępnemu oceanowi, w rzeczy samej stanowił broń o znaczeniu strategicznym.

Właśnie o to sprzeczamy się podczas lunchów i kolacji. Zagubieni nad bezmiarem oceanu, pocieszamy się sprzeczkami

na wciąż te same tematy.

Dzień dziesiąty

Może powinnam przestać notować upływ czasu, a zacząć zapisywać pokonane odległości. Minęły już trzy dni, odkąd zostawiliśmy za sobą wschodnie wybrzeża Azji. Znalazłszy się nad oceanem, gdzie nie powstrzymują nas ani dostawy materiałów, ani bombardowania, poruszamy się z równomierną prędkością dwustu dwudziestu węzłów. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin powinniśmy więc pokonać dwanaście tysięcy mil.

Właściwie to powinniśmy już przemierzyć ocean i zbliżyć się do Ameryki. Moje obserwacje astronomiczne wskazują, że lecimy nad idealnie okrągłą Ziemią, z której ktoś lub coś wymazało kontynent amerykański. Geometria nieba nijak się ma do geometrii Ziemi.

Nie spodziewałam się, że spotkanie z Tajemnicą nastąpi tak szybko. Upłynęło dopiero dziesięć dni lotu, nadal sprzeczamy się na tematy polityczne podczas obiadów, a tymczasem podróż staje się tak osobliwa, że nie byłabym bardziej zdumiona, gdybyśmy dotarli do księżycyca.

Nie przedstawiono mnie jeszcze kapitanowi, który nazywa się – z tego, co mi mówiono – Fassbender. Pomimo że lecimy zagubieni w niezmierzonej nicości, bariery społeczne między uczestnikami lotu są równie sztywne jak stalowe grodzie Bestii.

Dzień piętnasty

Dziś odbyłam wycieczkę w rydwanie! Cóż za radość!

Przelecieliśmy nad kolejną grupą wysp, z których jedna wyróżniała się wielkością. Z góry widać było czarne bazaltowe stożki otoczone zielenią i bladym błękitem raf koralowych. Obserwatorzy w kopułach, uzbrojeni w lornetki i teleskopy, twierdzili, że dostrzegli ruch na obrzeżach dżungli. Kapitan rozkazał więc wykonanie lotu rozpoznawczego na rydwanach.

W naszym zasiadły cztery osoby – ja, Jack, Ciliax i pilot z załogi, barczysty młody chłopak o imieniu Klaus, którego od razu polubiłam. Obaj Niemcy mieli przy sobie broń krótką, ja i Jack poleciliśmy nieuzbrojeni. Rydwan jest tak naprawdę wodolotem o krótkich skrzydłach, małym twardzielem dobrze przystosowanym do lądowań na kadłubie Bestii.

Przemknęliśmy nad polanami, gdzie biegały lwy i warczały na nas wielkie niedźwiedzie. Zwierzęta podobne do słońi, lecz pokryte brązowym futrem, z długimi, zakrzywionymi kłami, widząc nas, unosiły trąby, jakby protestowały przeciw hałasowi czynionemu przez silnik.

– Boże – westchnął Jack. – Oddałbym wszystko, by znaleźć się ze strzelbą wśród tych wszystkich zwierząt.

Ciliax i ja robiliśmy zdjęcia, kamerowaliśmy i zapisywaliśmy komentarze na dyktafonach.

A potem wydawało nam się, że widzimy ślady ludzkiej bytności – znad plaż unosiły się słupy dymu.

– Niezwykłe – rzekł Ciliax. – Niedźwiedzie jaskiniowe. Zwierzęta pochodzące z czasów, gdy żyły tygrysy szablatozębne. Nawet mamuty! Takiej fauny nie widziano w Europie od cofnięcia się lodowca!

– Co się z nimi stało? – zapytał Jack.

– Polowaliśmy na nie, aż wyginęły – odparłam. – Chyba.

– Serio? Mieliście karabiny maszynowe?

– Wystarczą kamienne topory i strzały z krzemiennymi grotami, o ile masz wystarczająco dużo czasu. – Wzruszyłam ramionami.

– No dobra – Jack przybrał praktyczny ton. – To jak się znalazły tutaj?

– Poziom morza rośnie i opada – rzekł Ciliax. – Kiedy nadchodzi lodowiec, morza zostają zamknięte. Zasada ta musi dotyczyć również tego ogromnego oceanu. Niski poziom wody sprawił, że wynurzyły się lądy dotychczas pogrążone w głębinach lub archipelagi, wzdłuż których można się przemieszczać.

– A zatem podczas epoki lodowcowej – powiedziałam – polowaliśmy na mamuty i gigantyczne leniwce, aż wygubiliśmy je na całym kontynencie. Wielu jednak udało się umknąć, a niektóre dotarły na wyspy. Wygląda na to, że te zwierzęta nadal kontynuują ucieczkę, byle dalej na wschód.

A na wodach tego niezmiernego oceanu, pomyślałam sobie, naprawdę jest gdzie uciekać. Żadnemu gatunkowi nie grozi wyginiecie.

– Ale tam przecież mieszkają ludzie! – zauważył Jack. – Widzieliśmy dym.

Przemknęliśmy nad plażą i zanurkowaliśmy nad jakimś obozowiskiem, kręgiem lichych szałasów wokół mizernego paleniska. Na odgłos silnika z lasu wybiegli nadzy ludzie, a gdy nas ujrzeli, rzucili się z powrotem do ucieczki. Zdążyliśmy jednak dobrze im się przyjrzeć i zrobić sporo zdjęć.

Byli ludźmi, a przynajmniej ludzi przypominali. Mieli przysadziste ciała, z okazałymi brzuchami i ogromnymi klatkami piersiowymi, oraz wydatne brwi. Myślę, że dla naszej

czwórki było oczywiste, na co właśnie patrzymy.

– Neandertalczyki – Ciliax odezwał się pierwszy. Było to niemieckie słowo. – Kolejny gatunek, cóż... zwierzęcia, który my, ludzie, wygnaliśmy z Afryki, Europy i Azji.

– Nie wyglądają na dość sprytnych, żeby powybić mamuty tak jak my – stwierdził Jack.

– A może są wystarczająco sprytni, żeby tego nie robić – mruknęłam sceptycznie.

– To doprawdy niezwykle odkrycie – stwierdził Ciliax. – Natrafiliśmy na relikty ewolucji, chociaż ewolucyjne przeznaczenie spełnia się właśnie w sercu Azji.

Kapitan zabronił nam lądować, więc rydwan uniósł się ku stalowemu azyłowi w trzewiach Bestii. I tak przygoda się zakończyła.

Minęło osiem dni od przecięcia wybrzeży chińskich. Pokonaliśmy już trzydzieści pięć tysięcy mil. Odkrycie osobliwych istot, takich jak mamuty, niedźwiedzie jaskiniowe czy dzicy ludzie z wielkimi brwiami, nie jest aż tak zaskakujące jak przemierzona przez Bestię odległość.

Nasza wyprawa trwa nadal. Co się jeszcze wydarzy? Jestem niebywale podekscytowana!

Dzień dwudziesty trzeci

Dziś miała miejsce potworna burza elektryczna.

Przelecieliśmy pod jej najgorszym odcinkiem. Rzędy silników wibrowały, gdy między masztami z trzaskiem przeskakiwały błyskawice. Może na tym niekończącym się oceanie burze również się nie kończą? Nikt nie wie, a meteorologowie nie

potrafią tego wyliczyć.

Udało nam się wyjść cało. Odważni członkowie zespołu technicznego wypełzli na powierzchnię skrzydeł, by wymienić kilka masztów i zająć się rydwanami. Chciałam też sprawdzić stan mojego spitfire'a, ale Ciliax nie udzielił zgody, co mnie zresztą nie zaskoczyło. Klaus jednak obiecał rzucić okiem na moje ptaszysko i zapewnił potem, że wszystko jest ok.

Zeszłej nocy zalecali się do mnie obaj: Ciliax z Bovellem jednocześnie, pierwszy ze stalowym zdecydowaniem, drugi raczej z desperacją.

Dzień dwudziesty piąty

Dość doniosły dzień.

Założono, że nasze zapasy żywności i wody wystarczą na pięćdziesiąt dni. Dziś zatem wypada dzień, gdy powinniśmy zawrócić. Tymczasem ani nie odkryliśmy nowego lądu, ani nie zrozumieliśmy Tajemnicy Pacyfiku.

Kapitan zwołał zebranie w większej z dwóch restauracji Bestii. Uczestniczyli w nim jedynie starsi oficerowie oraz my, pasażerowie, nie zaproszono ani kelnerek, ani owych helotów, zaginionych dusz z przedziału silników atomowych. Sam kapitan niejednokrotnie przemawiał do nas przez system nagłośnieniowy na głównym pokładzie. Teraz mogłam ujrzeć go na własne oczy.

Rozważaliśmy kwestię powrotu do Europy. Kwatermistrz zrelacjonował stan pokładowych zapasów, a później odbyła się debata, którą zakończyło głosowanie. Głosowanie na pokładzie latającego nazistowskiego schlachtschiffu! Nie mam wątpliwości,

że kapitan Fassbender osobiście podjął decyzję na długo przed spotkaniem w jadalni, błyszczącej wypolerowaną dębową boazerią. Niemniej jednak usiłował podnieść nasze morale, a przynajmniej zapobiec ewentualnym buntom załogi. Jack powiedział mi, że Krzysztof Kolumb posługiwał się identycznymi technikami, gdy jego załoga poczuła się zagubiona wśród bezmiarów innego bezkresnego oceanu.

I podobnie jak Kolumb, kapitan przekonał wszystkich. Kontynuujemy bowiem podróż na połowach racji żywnościowych. Filmowcy uwiecznili tę decyzję, chociaż akurat oni przejmowali się kwestią żarcia i jednomyślnie głosowali za powrotem.

Dzień dwudziesty ósmy

Dziś minęliśmy kolejną grupę wysp, tym razem o wiele większą niż poprzednia, wręcz cały archipelag. Kapitan Fassbender zarządził kilkugodzinne okrążenie, by rydwany mogły zbadać ląd. Z nielicznego grona tylko ja chciałam wziąć udział w wycieczce oraz mój przyjaciel Klaus. Pukałam do drzwi kabiny Jacka Bovella, ale nie otworzył. Nie widziałam go zresztą przez cały dzień. Podejrzewam, że tego popija.

Wraz z Klausem przemknęliśmy nad lasami i łąkami pierwszej wyspy. Dostrzegliśmy egzotyczne zwierzęta, które tylko trochę przypominały słonie, bawoły i nosorożce. Może to archaiczne odmiany z epoki jeszcze wcześniejszej niż lodowcowa. Żywe skamieliny! Z radością trzaskałam zdjęcie za zdjęciem, nagrywałam komentarze na dyktafon i już wyobrażałam sobie prezentację przed Królewskim Towarzystwem Geograficznym,

niczym Darwin po zakończeniu rejsu na *Beagle*.

A potem ujrzałam ludzi. Byli nadzy, wysocy, szczupli, wyprostowani. Wyglądali o wiele bardziej współcześnie – o ile to właściwe słowo – aniżeli obserwowani kilka dni temu neandertalczyki z wielkimi brwiami na wyspie mastodontów. Lecz głowy ludzi miały płaski kształt, a ich kształtne czaszki na pewno nie zawierały należytej ilości szarych komórek. W ich pięknych brązowych oczach widniało jedynie oszołomienie. Uciekli na nasz widok jak zwierzęta na sawannie.

Wydawali się istotami prymitywnymi, ale to chyba oni pociągnęli migrację rodzaju ludzkiego dalej na wschód. Zrobiłam jeszcze kilka zdjęć.

W mojej wyobraźni zaczęła się kształtować teoria dotycząca natury świata i powierzchni oceanu, nad którym lecieliśmy – czy może raczej geometrycznego kontinuum, w którym został on odcisnięty. Myślę, że Pacyfik nie jest wyzwaniem jedynie dla kartografa, ale również i dla matematyka.

(Właśnie przeczytałam to, co napisałam wyżej. Boże, co za patos. Absolwentka Girton zawsze pozostanie absolwentką Girton).

Muszę tylko obgadać to z kimś jeszcze. Wydaje mi się, że Wolfgang Ciliak potrafiłby mnie zrozumieć. Wolałabym jednak mieć pewność, zanim się do niego zwrócę.

Bez wątpienia potrzebujemy nowej, radykalnej teorii na temat Oceanu Spokojnego. Rany boskie, przecież od opuszczenia Azji pokonałmy trasę równą pięciokrotnemu obwodowi Ziemi! To na pewno ta osobliwość, owa Fałda Świata.

Pacyfik nas powstrzymuje. Miażdży nasze umysły samą tylko skalą. Po trzech dniach funkcjonowania na połowie racji żywnościowych każdy człowiek na pokładzie Bestii burczy

równie głośno jak jego żołądek. Ale lecimy dalej.

Dzień trzydziesty trzeci

Upłynęły dwadzieścia cztery godziny, zanim w końcu usiadłam do tego wpisu. Próba opisanie tego, co przeżyliśmy wczoraj, wydaje się bowiem zadaniem próżnym i bezsensownym. Odwagi, Bliss! Bez względu na to, jak źle się układa, trzeba zawsze zachowywać się tak, jakby nic się nie działo, jak mawiała moja mama–stoiczka.

Wszystko zaczęło się, gdy Jack Bovell trzeci dzień z rzędu nie wyszedł ze swej kabiny. Nie można się swobodnie upijać na pokładzie samolotu, nawet tak dużego jak *Bestia*, a poza tym nie ma takich miejsc na *Göringu* – nie wyłączając kabin pasażerskich – które byłyby wolne od boskiego nadzoru kapitana. Dlatego Wolfgang Ciliax stanął na czele grupy krzepkich lotników, których poprowadził do kabiny Amerykanina. Przyłączyłam się do ekipy na prośbę Ciliaksa, gdyż w tej pustce byłam dla Jacka osobą najbardziej przypominającą przyjaciela.

Przyglądałam się, jak Niemcy wyłamują drzwi. Jack był pijany, ale przytomny i w wojowniczym nastroju. Stawił zacięty opór twardzielom z *Luftwaffe*, ale ci zdołali go unieruchomić, a wtedy Ciliax zarządził gruntowne przeszukanie kabiny. Słowo „gruntowne” oznaczało w tym przypadku rozebranie mebli i zerwanie sufitu. Potem nastąpiła ogromna awantura, ale udało mi się pozbiierać wszystko do kupy.

Lotnicy znaleźli niewielki nadajnik radiowy oraz oprawioną w skórę skrzyneczkę pełną drutów i pokręteł. Jej zadaniem, jak się później okazało, było nakierowanie owego samolotu

rakietowego, który zaatakował nas nad Ukrainą. Podejrzenia Ciliaksa się sprawdziły. Zawiodłam się trochę, gdyż to, co zrobił Bovell, wydaje się skrajnie banalne i oczywiste. Owo odkrycie wywołało jednakże ogromną wrzawę, a osiłki z Luftwaffe ruszyły na Jacka, chcąc mu jeszcze przyłożyć. Ten podniósł szybko rękę, w której trzymał coś, co z początku wzięłam za granat. Niemcy cofnęli się natychmiast.

Twarz Ciliaksa była pochmurna niczym burzowe niebo.

– Pogadaj z tym idiotą, bo pozabija nas wszystkich! – zwrócił się do mnie.

Jack skulił się w kącie swego zdemolowanego pokoju. Po bójkę krwawił z ust. W wyciągniętej prawej ręce nadal trzymał gadżet.

– Bliss – wydyszał – przykro mi, że cię w to wciągnąłem.

– Siedzę w tym od chwili, gdy weszłam na pokład. Jak tylko wytrzeźwiejesz... Słuchaj, Wolfgang przyniesie ci kawy...

– Adrenalina i mały wpierdol najlepiej leczą kaca.

– No to zastanów się nad tym, co wyczyniasz. Jeśli to – obojętnie, co to jest – eksploduje, czy spodziewasz się przeżyć?

– Nie, bynajmniej. Nie spodziewałem się przeżyć w chwili, gdy nakierowałem ten ruski samolot rakietowy. Ale nie chodzi o mnie, Bliss. To mój obowiązek.

Ciliax wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Twój prezydent musi być zdesperowany, skoro doszedł do wniosku, że ataki samobójcze zdołają zagrozić Rzeszy.

– To nie ma nic wspólnego z Trumanem czy jego administracją – odparł Jack. – Jeśli usłyszy podobny zarzut, z całą pewnością wyprze się jakiegokolwiek udziału i nie skłamię.

Ciliax pozostał nieporuszony.

– Wiarygodne wypieranie się wiedzy bądź udziału. Ciekawe. Byłem przekonany, że to wynalazek SS.

– Wy tłumacz się, Jack – naciskałam.

Wbił we mnie spojrzenie.

– Nie rozumiesz? Ciliax przecież już to przyznał. Tak naprawdę chodzi o globalną strategię, Bliss! Jeśli okaże się, że Pacyfik można przemierzyć, Niemcy będą w stanie nas zaatakować. Tylko tak można ich powstrzymać.

– Ale przecież powstaną inne *Göringi* – rzekł Ciliax.

– Tak, ale jeśli pierwsza próba zostanie przerwana, jeśli nikt się o niczym nie dowie, a Pacyfik dochowa Tajemnicy, przynajmniej zyskamy trochę czasu. Ktoś musi zniszczyć tę cholerną Bestię. Samolot rakietowy okazał się porażką, ale ja jestem Jonaszem pożartym przez wieloryba!

Zaśmiał się i wtedy uzmysłowiłam sobie, że wcale nie jest pijany.

– Jack, nie rób tego! – krzyknęłam.

W tejże chwili połowa niemieckiej ekipy runęła na Amerykanina, a druga połowa, wraz z Ciliaksem, rzuciła się do wyjścia.

Spodziewałam się eksplozji. Skuliłam się. Tymczasem rozległo się jedynie stłumione łup! niczym grzmot odległego pioruna. Pokład powoli zaczął się przechylać...

Dzień trzydziesty czwarty

Jeszcze żyjemy.

Wiadomo już mniej więcej, co zaszło. Jack dokonał sabotażu na łączach sterowania, a ów przedmiot, który ścisnął w dłoni, był detonatorem radiowym. Plan jednak się nie powiódł, nie runęliśmy do morza. Technikom udało się załatać uszkodzenia

na tyle, by pancernik wyrównał pułap, a nawet utrzymał kurs na wschód. Nasz powietrzny wieloryb nadal sunie przez swój żywioł. Załoga jednakże nie potrafi ocenić, czy *Göring* pozostanie sterowny, a zatem czy uda nam się kiedykolwiek powrócić do domu.

Sześciu Niemców zginęło, w tym kilku członków załogi na głównym pokładzie i paru techników zmagających się z naprawami na zewnątrz. No i Jack, siłą rzeczy. Pobity niemalże na śmierć, został postawiony przed sądem, któremu przewodniczył kapitan. Wyrokiem Fassbendera Amerykanin został wydany załodze, która najpierw powiesiła go w ładowni, a potem odcięła, wciąż żywego, by wpadł do morza.

Nie wiem, jak to odebrał Ciliax. Powiedział, że zwykłym lotnikom brakuje pomysłowości esesmanów, którzy wymusili, by wydać Jacka załodze. Wydaje mi się, że w sercu tego człowieka zostało trochę zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

A zatem nasz lot trwa. Inżynierowie i technicy na zmianę zmagają się z naprawą awarii wśród strzaskanych wnętrzości *Göringa*. Mam do nich więcej zaufania niż do bogów i gargulców, do księży i polityków, ale nie wierzę, bym kiedykolwiek jeszcze zobaczyła Anglię. O, proszę. Właśnie napisałam te słowa, a zatem to musi być prawda. Ciekawe, jakie morskie bestie pożrą ciało Jacka.

Dzień pięćdziesiąty

Kolejny okrągły numer, kolejny bezcelowy kamień milowy. Wedle moich szacunków pokonaliśmy dystans odpowiadający temu między Ziemią a Księżycem. To wprost nie do wiary! Może

w innym wszechświecie niemiecki geniusz technologiczny zabrałby ludzkość w podróż, która okazałaby się epicką przygodą, a nie powolnym brnięciem przed siebie.

Ciągle mijamy grupy i łańcuchy wysp. Wczoraj przyglądałam się jednej z nich, pokrytej prymitywną dżunglą ogromnych, pierzastych paproci. Dostrzegłam też bardzo egzotyczne, dziwne zwierzęta, które albo przemykały w stadach, albo zerkały ku nam z podejrzliwością. Przypominały trochę ptaki nietoty, muskularne, trzymające się prosto i obdarzone z jednej strony ptasią płochliwością, a z drugiej gadzią cierpliwością.

Jak wyginęły dinozaury? Czy doszło do serii potężnych erupcji wulkanicznych? A może na Ziemię spadła kometa czy jakiś inny ogień z nieba? Może wśród gadziej rasy rozprzestrzeniła się jakaś śmiertelna choroba lub ujawniła wrodzona wada? Mniejsza zresztą o przyczyny, wydaje mi się, że bez względu na rozmiar i dramatyzm katastrofy, która grozi zagładą, życiu zawsze uda się uciec. Być może tu, w owej osobliwej, „zagiętej” rzeczywistości, spotkały się wszystkie gatunki, które wyginęły na Ziemi. Cóż za wspaniała myśl!

Jednak nawet gdyby na lądzie pod nami rzeczywiście żyły dinozaury, i tak byśmy tego nie sprawdzili. Samolot nie zatrzymuje się już, by krążyć nad wyspami, ponieważ częściowo utracił sterowność, rydwany nie zlatują już na dół i nie możemy przyglądać się owym jaszczurkom. Wciąż brniemy nad oceanem na wschód i sięgamy w przeszłość daleko poza epokę dinozaurów.

Moje życie towarzyskie ostatnio stało się sporym wyzwaniem. W miarę jak wyczerpuje się woda i żywność, nasza niewielka podniebna społeczność zaczyna przypominać społeczeństwo feudalne. Baronowie Wody handlują z Cesarzami Spizarni lub

wszczynają wojny o kran z wodą. Kilkakrotnie słyszałam komunikaty niewidzialnego kapitana Fassbendera, ale nie jestem pewna, czy jego słowo coś tu jeszcze znaczy. Krążą plotki o zamachu dokonanym przez oficerów SS. Ekipa filmowa już niczego nie filmuje. Ich morale padło jako pierwsze, biedactwa.

Ostatni raz widziałam Wolfganga Ciliaksa dziesięć dni temu. Wił się i kadził, odniosłam przelotne wrażenie, iż chce, abym dołączyła do jakiegoś haremu. Kobiety są bowiem najrzadszym towarem na pokładzie, kobiety i papierosy. Spławiłam drania że hej.

Śpię w zabarykadowanym pokoju. W trzewiach Bestii chowam zapasy jedzenia i wody, a także alkoholu i papierosów, których w razie potrzeby mogę użyć jako waluty. Trzymam się z dala od pomniejszych wojen, które i tak gasną same z siebie.

Kiedyś musiałam wyskoczyć ze spadochronem nad malajską dżunglą i przeżyłam tam cały tydzień, nim dotarłam do najbliższego posterunku wojskowego. Teraz czuję się podobnie jak wtedy. Co ciekawe, sytuacja przypomina również życie w college'u. Niezła szopka.

(Nota redaktora: Kolejne wpisy są fragmentaryczne i niepełne. Niektóre nie zostały opatrzone datami, inne zawierają jedynie obliczenia matematyczne lub szkice geometryczne. Zainteresowanych odsyłam do szerszej publikacji w najbliższym numerze „Annals of Psychiatry”).

Dzień trzysta sześćdziesiąty piąty

Na Boga, upłynął rok! Cały rok, o ile dobrze policzyłam, choć kalendarz wydaje się bezużyteczny, zważywszy na to, że

przemierzyliśmy w tym wodnym świecie odległość równą wielokrotnemu okrążeniu globu. Jeśli nasza biedna Bestia nadal utrzymuje swą nominalną prędkość, pokonaliśmy dwa miliony mil. Dwa miliony! I wciąż ani śladu Ameryki...

Myślę, że jestem tu już sama. Sama, nie licząc cybernetycznego umysłu Hansa i być może szczurów. Jedzenie skończyło się jakiś czas temu, nie licząc moich zapasów. Wojna między Führerami Wędliny i Carami Sproszkowanych Jajek stawała się coraz bardziej chaotyczna, ludzie zaczęli walczyć nawet o niedopałek papierosa. Niektórzy uciekli na rydwanach, które wirując, pomknęły ku mijanym wyspom. Jednym z uciekinierów był Klaus. Mam nadzieję, że uda im się przeżyć. Dlaczego by nie? Może jakaś przyszła ekspedycja, lepiej wyposażona od naszej, zdoła zabrać ich potomków.

I tak oto Bestia opustoszała. Jestem jej jedynym pasażerem. Zbadałam okręt powietrzny od dziobu po ogon, poszukując resztek jedzenia i picia. Jedynym miejscem, do którego jeszcze nie dotarłam, jest zapieczętowany właz do przedziału atomowego. Jeśli ktoś tam przeżył, jak dotąd nie zdołał się wydostać.

Tymczasem silniki nadal jakimś cudem pracują, a łopaty Merlinów wciąż się obracają. Działa nawet ogrzewanie. Powinnam zapisać, że bez względu na to, jak kiepsko sprawiliśmy się my, delikatni, wrażliwi ludzie, *Reichsmarschall des Großdeutschen Reiches* Hermann Göring wykonał swe zadanie bez zarzutu.

To jednak nie może trwać wiecznie, więc postanowiłam zatroszczyć się o własne sprawy. W pierwszej kolejności moje geometryczne bredzenie. Pozostawiłam o wiele pełniejszy zestaw wyliczeń, głównie równań, w osobnej szafce. Poniższe notatki są

przeznaczone dla czytelnika mniej zorientowanego w matematyce, na przykład dla mojej mamy. (To wszystko dla ciebie, mamo! Wiem, że będziesz chciała się dowiedzieć, co się ze mną stało).

Pozostała mi tylko wiara. Gdy tak zmierzam coraz dalej, wciąż nie widząc końca podróży, zaczęłam dopuszczać możliwość, że ta droga po prostu końca nie ma. Myślę, że Pacyfik nie jest nieskończenie wielki, ale po prostu nieskończony. Jak to możliwe?

Największym znawcą geometrii był Euklides. Znane imię, nieprawdaż? Zawarł on geometrię w pięciu aksjomatach, z których można wyprowadzić ogromną liczbę twierdzeń; za ich pomocą od wieków znęcamy się nad młodzieżą szkolną.

Jednakże nawet Euklides nie był do końca zadowolony z piątego aksjomatu, mówiącego, że linie równoległe nigdy się nie spotykają. Aksjomat ów wydaje się tak oczywisty i nie trzeba wręcz udowadniać, że jeśli wyrysuje się dwie linie pod tym samym kątem w stosunku do trzeciej prostej, to – na podobieństwo torów kolejowych – nigdy się one nie przetną. To znaczy nie nastąpi to na idealnej, nieskończonej płaszczyźnie. Stanie się tak natomiast na płaszczyźnie zakrzywionej, jaką jest Ziemia. Wystarczy wyobrazić sobie choćby równoleżniki, które łączą się na biegunie. A skoro przestrzeń jest wykrzywiona, linie równoległe przetną się – lub rozbiegną, co jest równie przerażające. Zaprzeczenie niepodważalności piątego aksjomatu Euklidesa otwiera drzwi do rozległego obszaru wiedzy, który mało oryginalnie nazwać można geometrią nieeuklidesowską. Podam tylko jedno nazwisko – Bernhard Riemann. Einstein wykorzystał wiele z jego dokonań w pracy nad teorią względności.

W obrębie geometrii nieeuklidesowej można otrzymać wiele najrozmaitszych dziwacznych efektów. Obwód okręgu może wynosić mniej lub więcej niż iloczyn pi i średnicy. Można nawet ograniczyć nieskończoną płaszczyznę, gdyż skala pomiaru kurczy się, w miarę jak równoległe linie zbliżają się do siebie. I znów podam nazwisko: Henri Poincare.

Myślę, że już wiadomo, do czego zmierzam. Wygląda na to, że nasz mały glob jest obiektem nieeuklidesowym. Jego geometria jest hiperboliczna. Ma skończony promień, o czym świadczy cień, który rzuca na Księżyc, ale nieskończoną powierzchnię, co udowodniła wyprawa *Göringa*. W naszym nieeuklidesowym świecie istnieje Fałda. Kiedy lecę w jej głąb, dla obserwatora z zewnątrz staję się coraz mniejsza i mniejsza, choć sama nie odczuwam żadnych różnic, jestem tej samej wielkości co zawsze i mam dla siebie tyle samo miejsca.

To wszystko wydaje się dziwne – łagodnie mówiąc! Skąd założenie, że prosta geometria na przykład pomarańczy miałyby się odnosić do zjawiska tak potężnego jak planeta?

Oczywiście to tylko jeden matematyczny model pasujący do moich obserwacji, które mogą, ale nie muszą być rozstrzygające. Wiele pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi, jak choćby zjawiska astronomiczne lub natura grawitacji na nieskończonym świecie. Pozostawiam jednak te kwestie otwarte – niech przemyślą je czytelnicy mojego dziennika.

Ktoś mógłby zapytać, cóż to za różnica dla nas, śmiertelników? Lecz przecież geografia decyduje o naszym przeznaczeniu. Gdyby Pacyfik udało się pokonać w epoce kamienia łupanego – być może przez jakiś most lądowy – pierwszymi mieszkańcami Ameryki byłiby Azjaci, a nie Afrykanie, którzy przepłynęli Atlantyk. A jeżeli chodzi o nasze stulecie: gdyby Pacyfik okazał

się na tyle mały, by Amerykanie mogli się zetrzeć z Japończykami, wojna, której doświadczyliśmy w tej dekadzie, skończyłaby się zapewne inaczej.

A poza tym – czyż nie jest fajnie mieszkać na takiej małej, dziwacznej planecie, na Świecie, który ma Fałdę?

Dzień nieznany

Zarzuciłam rachubę czasu, przepraszam. Dokonuję tego wpisu ledwie parę dni po poprzednim. Uporządkowałam notatki i jestem gotowa do skoku. Dlaczego?

Po pierwsze, zjadłam wszystko, co się zjeść dało. Z wyjątkiem suszonego mięsa, rzecz jasna.

Po drugie, chyba kończy mi się świat, przynajmniej taki świat, w którym jeszcze mogę mieszkać. Od dawna nie widziałam już mastodontów ani dinozaurów. Nadal przelatuję nad grupami wysp, ale nie wiem, czy są tam jakieś formy życia poza czerwonym szlamem i czymś, co przypomina pola alg. Cofnęłam się daleko w prehistorię, nie ma wątpliwości.

A przede mną wszystko się zmienia. Niebo przybrało zielonkawą barwę i zaczynam się zastanawiać, czy nie zbliżam się do miejsca – bądź do czasu – gdzie kończy się tlen. Budzę się w nocy i ciężko dyszę, usiłując złapać oddech, ale może to przez koszmary.

Tak czy owak, czas się stąd zabrać. Myślę, że dla mnie wyprawa dobiegła końca, ale nie dla *Göringa*. Majstrowałam trochę przy urządzeniach sterowniczych i wydaje mi się, że choć nie przywróciłam im pełnej sprawności, to przynajmniej uda mi się zawrócić ten ogromny latający okręt i pod dowództwem

Hansa wysłać go tam, skąd przybył. Nie mam pojęcia, jak długo utrzyma się w powietrzu. Silniki Merlina zostały potraktowane wymyślnymi smarami, które zapewniają długowieczność, ale, rzecz jasna, nie ma inżynierów ani techników, którzy mogliby się nimi zajmować. Jeśli jednak wytrzymają, przypuszczam, że *Göring* któregoś dnia może znów zawisnąć nad Piccadilly Circus. Cóż to będzie za widok! Nie mam pomysłu, jak można by go zatrzymać, ale zostawiam ten problem do rozwiązania wam, moi drodzy czytelnicy.

Jeśli zaś o mnie chodzi, zamierzam wziąć spitfire'a. Nie wzbił się w powietrze od pierwszego dnia wyprawy i z tego, co widzę, jest w idealnym stanie. Mogę spróbować wylądować na jednej z tych pokrytych szlamem skał na morzu.

Mogę też spróbować skierować się ku czemuś innemu, co właśnie wypatrzyłam na horyzoncie. A wypatrzyłam światła. Miasto? Na pewno nie ludzkie, ale któż może wiedzieć, co czeka mnie po drugiej stronie Fałdy Świata. Co jeszcze powinnam powiedzieć przed opuszczeniem okrętu?

Mam nadzieję, że nie byliśmy ostatnimi, którzy podjęli się wyprawy przez Pacyfik. Mam też nadzieję, że nasi następcy w przeciwieństwie do nas wybiorą się w tę podróż z pokojowymi zamiarami.

Mamo, proszę, nie zapominaj o karmieniu kotów. Przykro mi, że nie doczekałaś się wnuków. Bea będzie musiała ci wystarczyć (przepraszam, siostrzyczko!).

Dobra, czas już na mnie. Nadawała Bliss Stirling, reporterka BBC!

(Nota redaktora: Notatki kończą się w tym miejscu. Znalezione zostały między grodziami i stanowią jedyny zapis podróży Göringa, który przetrwał. Nie odnaleziono ani materiału filmowego, ani żadnych nagrań. Dziennik

został opublikowany ku pamięci panny Bliss Stirling. Niemniej ponieważ panna Bliss została zaangażowana przez BBC oraz Królewskie Towarzystwo Geograficzne celem udokumentowania pacyficznej podróży Göringa, wszystkie pozostawione przez nią materiały należy traktować jako chronione prawami autorskimi. Prawa owe stanowią własność British Broadcasting Conglomerate MCMLII. Podpisane przez Petera Carinhalla, członka Rady Dyrektorów, BBC).

Cory Doctorow i Charles Stross Na pozór, Cory Doctorow (ur. 1971), jak i Charles Stross (ur. 1964) wypłynęli znikąd i od razu zdobyli uznanie. Stross pisuje science fiction od 1987 roku, a Doctorow od 1990 roku. Urodzony w Toronto, Doctorow sprzedał pierwsze opowiadanie kanadyjskiemu magazynowi „On Spec”. W 1998 roku w „Science Fiction Age” pojawił się utwór pt. Craphound i Doctorow znalazł się na listach nominowanych do nagród Aurora i Theodore’a Sturgeona za najlepsze opowiadanie roku. W 2000 roku otrzymał nagrodę Johna W. Campbella dla najlepszego pisarza roku. Dlatego można mu chyba wybaczyć zuchwalstwo, jakim jest jego pierwsza książka pt. The Complete Idiot’s Guide to Publishing Science Fiction (2000). Zbiór A Place So Foreign and Eight More (2003) otrzymał kanadyjską nagrodę Sunburst. Jego powieści to Down and Out in the Magic Kingdom (2003), Eastern Standard Tribe (2004) oraz Someone Comes to Town, Someone Leaves Town (2005).

W tym samym czasie Stross eksperymentował w zbliżony sposób, aż wreszcie światło dzienne ujrzały cudownie anarchiczne powieści Singularity Sky (2003), Iron Sunrise (2004), The Atrocity Archives (2004), Accelerando (2005).

Mocną stroną obu autorów jest ich uznanie dla potencjału komputerów i nanotechnologii, a w poniższym opowiadaniu wykorzystują to w doprawdy pomysłowy sposób.

Cory Doctorow i Charles Stross

KWIATY OD ALICJI

Nie wiem, dlaczego zaprosiłem Al na mój ślub. Może kierowała mną nostalgia. Może resztki pożądania. W końcu Al była pierwszą, którą całowałem. Nigdy nie zapomina się tej pierwszej. Od tej pory zawsze odwracałem głowę, gdy przechodziła obok mnie jakaś wysoka, ostrzyżona na pazia dziewczyna z krągłymi biodrami i rozkwitającym biustem, wstydliwie wkraczająca w dojrzałość, wysportowana i niezgrabna zarazem. Nie widuje się dziś wielu takich poza ziemią Amiszów, mało który rodzic chciałby mieć dziecko tak dziwne jak nastoletnia Al, ale jeśli się przypatrzeć, tu i ówdzie można było jeszcze znaleźć podobne okazy. Ich widok wciąż mnie wzruszał.

Nie mogłem zapomnieć Al, choć od naszego słodkiego, ckliwego pocałunku na plaży upłynęło dwadzieścia lat, a jeszcze dziesięć od chwili, gdy wpadłem na nią po raz ostatni. Była zresztą wtedy do tego stopnia w fazie post, że ledwie ją poznałem. Niemniej jednak co tydzień pojawiała się w moich marzeniach, wywołując przelotny prawie-uśmiech. Moja przyszła żona domyśliła się, co ów grymas oznacza, i doprowadzał ją do furii. Nieraz dawała mi to do zrozumienia podczas naszych sesji samokrytycyzmu, które następowały z reguły po seksie.

Tak, zaproszenie Al na nasz ślub było beznadziejnym

pomysłem, ale sam ślub – co tu dużo mówić – również dobrym pomysłem nie był. Nie mam zamiaru brać na siebie całej winy, skoro Al zdecydowała się na nim pojawić, o ile, rzecz jasna, w ogóle można zastosować słowo „zdecydować” do istoty tak zaawansowanej w fazie post jak ona (on/a?) (oni/e?). Pewnego poranka, gdy siedzieliśmy z moją przyszłą żoną przy śniadaniu i omawialiśmy naszą umowę przedmażeńską, smarując marmoladą nasze muffinki i obserwując kolibry wokół karmnika, tego właśnie poranka, gdy siedzieliśmy nadzy, nasyceni i zaspokojeni, z palcami lepкими od marmolady i innych płynów, tego właśnie poranka spojrzałem mojej narzeczonej w oczy, dotknąłem telefonu wytatuowanego na moim nadgarstku, wybrałem numer serwera katalogowego i zacząłem recytować fakty z życia Al do mego pustego zęba, nie dbając o to, że moja ukochana siedzi i słucha, dyktowałem, aż serwer otrzymał wystarczająco dużo informacji, by zidentyfikować Al pośród miliardów ludzi i trylionów postludzi. W chwilę później w moim pustym zębie rozbrzmiał telefon i już rozmawiałem z Al.

– Al? – zapytałem. – Alicja, czy to ty? Tu Cyd!

Po drugiej stronie linii nie rozległ się żaden dźwięk. Nic dziwnego, ktoś, kto jest tak świadomie post jak Al, nie wydaje niezaplanowanych dźwięków. Nie było więc ani szybko wciągniętego powietrza, ani żadnej innej typowej reakcji na głos z przeszłości. W końcu jednak usłyszałem odpowiedź: – Cyd, miło cię słyszeć. Minęło już tyle czasu!

Jej głos był ciepły, dopracowany i bogaty jak u każdego człowieka, lecz brzmiał pełniej. Bez wątpienia Al błyskawicznie wyłapała cechy charakterystyczne mojego głosu i zmodulowała swój tak, by idealnie dopasowywał się do akustyki w mojej czaszce i jamie ustnej.

– Żenisz się, co? Wygląda na to, że wybrałaś sobie wspaniałą kobietę. Tobie też niczego nie brakuje! Cóż, to naprawdę świetnie, Cyd. Naprawdę miło cię słyszeć. Oczywiście, że jedna ze mnie przyjdzie na twój ślub. Możemy wam jakoś pomóc? Powiedz, że tak! Już wiem, ta firma cateringowa! Daj sobie z nią spokój, naprawdę, Cyd! Obsługuje inne przyjęcie ślubne na dzień przed twoim, a potem kolejne, a do tego jeszcze bar micwę! Proszę, pozwól mi pomóc! Przesyłam ci optymalny plan logistyczny, właśnie opracowałam go dla ciebie!

W tym momencie moja przyszła żona skorzystała z własnego telefonu i włączyła się do rozmowy: – Cześć, Alicjo! Wiesz, Cyd wybrał twój numer tak nagle, zupełnie mnie zaskoczył. To jedna z tych jego drobnych niespodzianek. Tak, widzę, że z nim rozmawiasz. Rzecz jasna, z ogromną ochotą przyjrę się tym planom, miałaś doprawdy znakomity pomysł, żeby je opracować. Tak, tak, oczywiście. Przyrowadzisz kogoś ze sobą, prawda?

Równocześnie Al nadal gadała w moim zębie.

– Nie masz chyba nic przeciwko, co? Właśnie go skopiowałam i przesałam twojej pięknej pani. Będę synchronizować się z kopią co kilka chwil, żeby mieć pewność, że idzie nam dobrze. Cyd, zawsze słynałaś ze wspaniałego gustu, ale jeśli chodzi o logistykę, jesteś beznadziejny. Natomiast z tego, co widzę, twoja kariera rozwija się znakomicie. Zawsze wiedziałam, że zostaniesz znakomitym polemistą. To ważna funkcja w waszym środowisku społecznym!

Nie udało mi się wcisnąć więcej niż dziesięciu słów naraz, ale otoczenie Al prowadziło rozmowę za mnie. Nie nudziłem się ani przez chwilę, rzecz jasna, gdyż była w posiadaniu jakiegoś trylionu wizji mojej osoby, które odgrywała gdzieś w swym jestestwie, i jednocześnie wypróbowywała trylion rozmaitych

podstępów konwersacyjnych na nich wszystkich, by wybrać ten, który gwarantował optymalną reakcję z mojej strony. W tym samym czasie monitorowała moje tempo oddechu i funkcje życiowe przez telefon. Miała dostęp do każdego niuansu mojego życia, rzecz jasna, przed postludźmi nie da się niczego ukryć, więc nie musiałem jej opowiadać, co się działo od naszego ostatniego spotkania. Nie spodziewałem się jednak, że jeszcze tego popołudnia zastuka do moich drzwi.

Moja narzeczona zniosła to dobrze. Pracowała w swoim gabinecie na parterze nad ostatnim morfopornosem, a ja siedziałem na piętrze z aparatem neuroreakcyjnym, gromadząc w sobie żółć przed napisaniem kolejnego artykułu do mojej kolumny. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zawołałem ze złością, wywołaną bardziej przez szkic artykułu niż jakikolwiek świadomy bodziec.

Nie było odpowiedzi. Odłączyłem się, zakląłem po cichu, a potem zamknąłem oczy i zacząłem tłumić w sobie gniew. Zauważyłem, że gdy byłem wściekły, ludzie źle na mnie reagowali.

– Kto tam? – zawołałem.

– Cyd! Ależ tu przytulnie! Zarąbiste biuro!

Chmara srebrnych, lżejszych od powietrza piłeczek pingpongowych wytrysnęła z framugi i śmignęła obok mnie, odbijając się wszędzie. Jedna z nich leciutko pacnęła mnie w nos, poczułem ciepłe, łaskoczące muśnięcie. Bynajmniej nie pachniała jak przedmiot, raczej jak człowiek, może też trochę jak kwiat...

– Al? – zapytałem.

Piłeczka zaczęła się nadymać, rozciągając swój endoszkielec w powierzchnię przetwornikową. Pozostałe niemal natychmiast wtopiły się w ów rozdęty pęcherz, który niespodziewanie z

błyskiem przeistoczył się w hologram Al takiej, jaką widziałem podczas naszego ostatniego spotkania, nieco tylko wyretuszowany. Wyprostowana dumnie, z biustem pięknie wyeksponowanym przez suknię w stylu kreteńskim, fason ten był w modzie, gdy się rozstaliśmy.

– Siema, Cydonia! – zawołała. Patrzyłem na ten uśmiech i te mocne, doskonale zaprojektowane zęby, a przed oczami przemknęło mi wspomnienie naszego ostatniego spotkania w centrum handlowym wiele lat temu. – Nic się nie martw. Jestem na dole w moim prawdziwym, prymarnym ciele i rozmawiam z twoją ukochaną. Patrzysz na zdalnie sterowaną kopię. Słuchaj, naprawdę uwielbiam te stare sztuczki animacyjne, ale czy to aby na pewno wypada? Pozwól mi to naprawić!

– Ung – powiedziałem, trzęsąc się ze strachu. Moje jelita zamieniły się w galaretkę, włosy mi się zjeżyły. Oczywiście była to niewłaściwa, a do tego mocno zawstydzająca reakcja, ale przecież nie bez powodu pracuję za zamkniętymi drzwiami. – Przybij piątkę!

– Zajebicie! – Al rozpadła się na kilka kul wielkości piłek plażowych, które potoczyły się po schodach. – Zobaczymy się na dole!

Stałem przez dłuższą chwilę. Usiłowałem opanować mój sztucznie wywołany gniew, ale pobudzone adrenaliną mięśnie nadal drżały, a ja widziałem wszystko jak przez mgłę. Minęła niemalże minuta, zanim zmusiłem się do wysłuchania serii łomotów, które dobiegały z korytarza na parterze. Potem zza drzwi dały się słyszeć niewyraźne fragmenty rozmów – moja narzeczona mówiła raczej cicho i spokojnie, natomiast Al była roześmiana i pełna entuzjazmu niczym szczeniaczek łaskotany po brzuchu. Pozostawiła po sobie odurzający zapach, który

obudził wspomnienia nastoletnich eksperymentów seksualnych – mojej inicjacji i pierwszych prób z językiem w wykonaniu Al. Ugięły się pode mną kolana. Niesamowite, że po tym jak wypali się ogień namiętności, człowiek przede wszystkim pamięta popioły konfliktu – owe kłótnie, które doprowadziły do rozstania – lecz ledwie pojawi się owa była, a natychmiast zaczynają się rozważania o tym, co się utraciło.

Znając Al, ów zapach równie dobrze mógł być dowcipem.

Zszedłem na dół, gdzie zastałem drzwi otwarte, a na zewnątrz stertę okazałych skrzyń. Jedynym sposobem na wniesienie ich do środka było polecenie utworzenia tymczasowych drzwi roboczych w systemie domu. Wszedłem za głosami do pokoju gościnnego, gdzie ujrzałem moją narzeczoną, skuloną na sofie w kształcie nerki, naprzeciwko Al, która jakoś znalazła się na ekranie wartościowego, staroświeckiego telewizora i wspominała to i owo, nie skupiając się na niczym konkretnym. Jej główna inkarnacja w niczym nie przypominała owych bąbelków na górze i prezentowała się niepokojąco materialnie, jedynym widocznym odstępstwem od normy był lekki perłowy połysk skóry.

– Prawdziwa z ciebie szczęściara, że znalazłaś Cyda, że się tak wyrażę. To stateczny, rozsądny, skromny preczłowiek. Nie powiem, żebym ci zazdrościła, ale wiem, że z całą pewnością musicie zrobić wszystko, żeby wasz wielki dzień był jak najwspanialszy. Obiecuję, nie pożałujesz. Pamiętam, że gdy któregoś dnia zbajerowaliśmy naszych nauczycieli i przepuściliśmy miesięczne kieszonkowe w miejscowym centrum rozrywki, Cyd powiedział: Al, jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi...

– Cześć! – Skinąłem Al na powitanie. Teraz gdy mój autonomiczny system nerwowy nie był już przekonany, że

stałem się celem ataku, potrafiłem zdobyć się na uprzejmość. – Zachowałaś jakieś czynności metaboliczne? Jeśli tak, to czy mogę ci coś podać? Może kawę? Coś ty porabiała przez cały ten czas?

Ledwie zarejestrowałem twarde, szkliste spojrzenie mojej narzeczonej wbite w lewy sutek Al, jakby samo w sobie stanowiło system zdalnego naprowadzania. Nie zauważyłem też, że moja narzeczonea zakrzywiła lewy palec wskazujący tak, jakby obejmował spust pistoletu. Zazwyczaj uznałbym to za serię złych znaków, ale wciąż byłem pod wpływem odurzającego zapachu skóry Al. Wiem, że Alicja tylko to odtworzyła, ale czy mógłbym zapomnieć o naszej przeszłości?

– Cyd! – Opuściła telewizor i przemknęła przez pokój niczym duszek elektryczności, po czym całkiem fizycznie złapała mnie i uścisnęła. Jej sutek był twardy i choć jej ciało nie składało się już z CHON, wydawało się zaskakująco, przerażająco realne. Uśmiechnęła się do mnie z dziką radością.

– Rany! Minęło trzysta dwadzieścia siedem milionów osiemset dziewięćdziesiąt sześć tysięcy sto cztery, nie, pięć, sześć sekund, a nadal miło cię przytulić! – wykrzyknęła. – Masz wielkie szczęście, że wychodzisz za niego! – rzuciła nad ramieniem do mojej narzeczonej. – Zrozumiałaś już, w co się pakujesz, jeśli chodzi o catering? A co z moimi pomysłami do orgii po przyjęciu? Co z sesją fetyszów? Będzie wam razem tak dobrze!

Na twarzy mojej narzeczonej pojawił się wymuszony uśmiech, który natychmiast rozpoznałem. W ten sam sposób krzywiłem się, obnażając zęby, gdy ktoś przerwał mi pracę. Jak zwykle twarz idealnie odzwierciedlała jej odczucia. Wbiłem więc wzrok w jej piersi i wpatrywałem się w nie dopóty, dopóki nie zaczęła wolniej oddychać. Dopasowałem tempo jej oddechu do własnego i zacząłem zwalniać coraz bardziej, aż sprowadziłem na nią

spokój, do którego wcześniej sam się zmusiłem.

– Cześć, Al. – Poklepałem gościa niezdarnie po ramieniu.

– Och, znowu to robię, nie? Poczekaj, daj mi zwolnić. – Zamknęła oczy i powoli dotknęła nosa palcem wskazującym. – No, o wieweeeele lepiej – ciągnęła. – Wybacz, ostatnio rzadko przebywam w towarzystwie ludzi, chyba wyszłam z wprawy. Funkcjonuję na hiperszybkości. Zamówienie goni zamówienie, wiesz, jak to jest. Mam zamiar jeszcze przyspieszyć, żeby przegonić entropię i jak się uda, przeskoczyć drugą zasadę termodynamiki. Za jakiś tydzień wchłonę wystarczająco cząsteczek w Alfa Centauri, żeby móc się tam zmaterializować, a potem pożrę tę gwiazdę i hurra! Witaj, chaosie!

– Ambitnie – stwierdziła moja narzeczona. Zazwyczaj podobał mi się jej brak ambicji, co było miłą odmianą wśród nadętych, przesadzonych planów pieprzonych postludzi. – Naprawdę bardzo miło z twojej strony, że tak bardzo przejęłaś się naszym małym ślubem, ale planowaliśmy naprawdę skromną ceremonię, sama rozumiesz. Jedynie przyjaciele i rodzina, trochę tańców i to wszystko. Brzmi raczej retro, ale... – urwała nagle i obrzuciła mnie znaczącym spojrzeniem.

– ...ale tego właśnie chcemy – przejąłem pałeczkę. Podszedłem do sofy, usiadłem przy mojej przyszłej i zacząłem masować jej stopy, tak jak lubiła. Ludzko-ludzka interakcja. Któż potrzebuje więcej?

Wysunęła stopę spomiędzy moich dłoni i usiadła prosto.

– Nie widzieliście się od dawna, a więc może lepiej zostawię was, żebyście nadrobili zaległości – oznajmiła narzeczona tonem, którym dawała mi do zrozumienia, że lepiej by było, gdybym się sprzeciwił.

– Nie, nie, nie – zaprotestowałem posłusznie. – Nie. Mam

pracę, mnóstwo pracy. Termin goni termin.

Ciepło, którym emanował awatar Al, sprawiało, że czułem się co najmniej niekomfortowo. Mikrotarcia kwintyliona inteligentnych pyłków zbitych w elastyczną, gotową do przerżnięcia animację utrzymywały temperaturę około trzech stopni wyższą od ciepłoty krwi.

– Naprawdę miło cię ujrzyć, Al. Posłuchaj, przejrzymy sobie te plany, sugestie i co tam jeszcze – jestem pewien, że to kapitalne pomysły – a potem skontaktujemy się i uzgodnimy, w czym mogłabyś pomóc, dobra?

Uśmiechnęła się promiennie i wcisnęła między nas na sofę, zarzucając nam ręce na ramiona.

– Oczywiście, jasne, jasne! Ach, tak się cieszę waszym szczęściem! Jesteście dla siebie stworzeni!

Cmoknęła mnie w policzek, a potem jeszcze raz w pobliżu ucha, tak blisko, że połaskotała rosnące tam włoski. Pocałunek był równie aromatyczny i wilgotny jak nasz pierwszy, miałem wrażenie, że słyszę w oddali huk fal przyboju. Dopiero po chwili – po tym jak wysunęła język i musnęła nim skórę pod moją brodą, uświadomiłem sobie, że generuje ów dźwięk. Zarzuciłem nogę na nogę i z furią skupiłem się na tłumieniu erekcji.

Al wypadła przez drzwi i zatrzymała się na trawniku, pośród skrzyń. Wskazała je niedbałym gestem.

– To mój prezent ślubny! – zawołała tak głośno, że nasze okna projekcyjne zadrżały. Sąsiad z naprzeciwka, który dziesięć godzin na dobę spędzał na strychu i malował martwe natury z gnijącymi owocami, obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. – Przyjemności!

– Cóż, nie zmieniła się nic a nic – oznajmiła moja ukochana, mierząc mnie nieprzychylnym spojrzeniem. – Ty zaś wydajesz

się uradowany ze spotkania.

– Tak – przyznałem niezręcznie, machając założoną nogą. – Cóż. Chyba trzeba wepchnąć jej prezenty do domu, zanim zaczną padać lub coś w tym stylu, no nie? Może wrócisz do pracy?

– Tak – odparła. – Wrócę do pracy. Jestem pewna, że to wspaniałe prezenty. Zawołaj mnie, jak już je rozpakujesz, co?

– Pewnie – odpowiedziałem, nie przestając machać nogą.

Zastanawiałem się, czy nie nakazać systemowi domu stworzenia drzwi służbowych, ale w końcu zadecydowałem, że najlepszym rozwiązaniem jest wykorzystanie perystaltyki, gdyż w przeciwnym razie nadal musiałbym szukać sposobu na wciągnięcie tych przeklętych skrzyń do środka. Zepchnąłem wszystkie meble w salonie do kątów, a potem zszedłem do piwnicy, by uruchomić rurę transportową, którą założyliśmy, aby ułatwić sobie przeprowadzkę, a której od tego czasu nie wykorzystywaliśmy. Wytaszczyłem ją na trawnik i naciągnąłem błonę gębową na największą ze skrzyń, drugi koniec rury wstawiłem do domu przez okno projekcyjne. Wróciłem do salonu i podrażniłem rurę miotłą, by uruchomić ssanie. Ledwie zdołałem uskoczyć, gdy rura zadrżała i buchnęła chmurą kurzu. Walnąłem pięścią w płytkę uruchamiającą domowy odkurzacz i uciekłem przez drzwi frontowe, zanim więcej kurzu i pyłu dostało mi się do płuc. Ścigały mnie prądy konwekcyjne, które wirowały po pokoju, przyciągane przez filtry w boazerii.

Na trawniku rura transportowa powoli trawiła skrzynię i tłoczyła ją w kierunku okna projekcyjnego. Nakierowałem drgającą błonę na drugą skrzynię, a potem na trzecią. Gwałtowne, potężne trawienie zwolniło, ale nadal nieubłagane przesuwało skrzynie w kierunku salonu.

Pochwyciłem łom i natarłem na pierwszą ze skrzyń, jak zwykle zaskoczony znakomitą pracą moich bicepsów i mięśni karku. Siedzący tryb życia nigdy mnie nie pokona, przynajmniej dopóty, dopóki jestem panem własnego ciała i mogę nakazać mu, by pozostało silne i sprężyste.

Prawie już uporałem się z pierwszą skrzynią, gdy rura zaczęła wytłaczać drugą. Przekierowałem ją w wolne miejsce, a potem powróciłem do poprzedniego zajęcia i zerwałem ostatnie klamry z pakunku.

We wnętrzu znajdował się stół do jadalni, piękny i obszerny, wykonany z czarnego dębu o wspaniałych słojach, których urodę podkreślał znakomity lakier. Stół wyglądał na antyk, ale był tak lekki, że można było przesunąć go jedną ręką. W pozostałych skrzyniach znalazłem cztery krzesła oraz kredens.

Odwróciłem rurę transportową i wywaliłem puste już skrzynie, postanowiwszy, że zajmę się nimi później.

Wykręciłem numer narzeczonej i poczekałem, aż odbierze.

– Wszystko rozpakowałem – powiedziałem. – Chodź i rzuć okiem.

Kilka minut później wyjrzała zza framugi i parsknęła.

– Coś mi tu zalatuje problemami – powiedziała. – Ogromna ilość mebli. Skąd na to wzięła? Klonuje je czy co?

– Nie mam pojęcia. – Przesunąłem dłonią po kredensie. – Hej, ty tam. Pobudka. Pytanie mamy do ciebie.

– Cyd? – zapytał nieśmiało stół. – Co, już pora na lunch?

Mówił głosem Al.

Krzesła zaczęły wysuwać się ze skrzyń i strzepywać z siebie resztki opakowań, po czym jedno po drugim przycupnęły wokół stołu.

– Na co macie dzisiaj ochotę? – zapytał Alicjostół. – Może lekka

sałatka w stylu śródziemnomorskim, pomidory i mozzarella z odrobiną balsamicznego octu i niezwykle świeżej oliwy z oliwek? A może moja specjalność: wasabi i nori z oberżyn?

Jej wysokość złapała jedno z krzeseł, odsunęła od stołu i usiadła na nim z rozmachem.

– Porcja tacos z salsą – zażądała, wpatrując się w kredens. – I to szybko!

Ze stołu wysunęły się sztucce – mało oryginalne, staroświeckie srebro – a kredens podsunął talerz. Pochwyciła go, nie siląc się na wdzięk, i zaczęła dziobać jedzenie.

– Styl mi się nie podoba – zadeklarowała. – Te antyczne badziewia już dawno wyszły z mody. Zafunduj mi kiedyś jakiś porządny kicz faszystowski.

– Pewnie! – zawibrował głos Al. Na stole wykwitły swastyki.

– Nie mam ochoty na lunch – powiedziałem. – Nie jestem właściwie głodny.

– Ja pierdołę... – Moja przyszła spojrzała na mnie z obrzydzeniem i odsunęła talerz. – Skoro mebelki podobają ci się aż tak bardzo, pozmywasz. Zresztą – nabrała głęboko tchu – zresztą i tak muszę z tobą pogadać.

– Masz jakiś problem, kochanie? – zaniepokoiłem się nieco.

– Mam. – Wstała gwałtownie. – Chociaż to może poczekać. Myślałam ostatnio o chirurgii rekreacyjnej.

O chirurgii rekreacyjnej?

– Uch, a co chciałabyś sobie zafundować? – zapytałem ostrożnie. – Słuchaj, nasz ślub wypada za sześć dni! W tak krótkim czasie nie da się zrobić nic konkretnego, jak na przykład dodatkowych ramion. Poza tym musiałabyś sobie chyba przerobić suknię ślubną, nie?

– Nie mam na myśli niczego wielkiego. – Udała wystudiowane

ziewnięcie. – Po prostu przyszło mi do głowy, że minęło już sporo czasu, odkąd w naszym domu to ja miałam jaja.

– Hej, z góry mówię: łapy precz od moich! – ostrzegłem. – A tak w ogóle to czy tradycja nie nakazuje, żeby panna młoda przed ołtarzem była kobietą?

– Och, tak! – zgodziła się, kiwając energicznie głową. – Panna młoda, jeśli chce założyć biel, musi być młodą dziewicą płci żeńskiej! Trudno o precyzyjniejszą definicję mojej osoby!

Zachichotała niepokojąco, wskoczyła na blat stołu i stanęła w rozkroku.

– Właż tu, Cyd! Właż na ten, kurwa, stół! I spójrz no. Widzisz? Jestem młoda? Jestem dziewicą? Sam osądź.

Jakiś czas później leżeliśmy w wygodnych zagłębieniach, które wygenerował dla nas Alicjostół, a moja narzeczona leniwie wodziła językiem po moim gardle.

– Dobrze – powiedziała. – Jeśli chcesz mieć obok siebie pannę młodą płci żeńskiej, to pozostanę kobietą. W końcu to tylko tydzień.

Oparłem się na łokciu.

– Dziękuję, kochanie. – Poglądziłem jej pierś. – Wiesz, ten ślub będzie już wystarczająco skomplikowanym przedsięwzięciem i bez tego. Nie potrzebujemy już więcej zmian na ostatnią chwilę.

– Wiem – odparła. – Dobra, wracajmy do roboty.

Tego popołudnia pisanie szło mi świetnie. Rozbudziłem w sobie taką furję aż mi z uszu dymiło i wrzeszczałem do telefonu przez bite trzy godziny, patrząc, jak słowa przewijają się wstążką na granicy mojego pola widzenia. Gdy skończyłem, zafundowałem sobie godzinę jogi. Powoli przechodziłem z pozycji w pozycję i w miarę jak wyparowywał ze mnie gniew, mięśnie stopniowo ogarniało rozluźnienie.

Wyświetliłem sobie całość tekstu na pełnym ekranie, odczytałem, tu i tam poprawiłem kilka fraz i wrzuciłem na bloga. Robota na cały tydzień odwalona.

Poszedłem do salonu, gdzie Alicjokomplet rozstawił się już w optymalny sposób.

– Niezła jest ta twoja kolumna – powiedział do mnie. – Znalazłeś sobie ciekawą niszę.

– Jakie masz zasilanie? – spytałem.

– Zdziwiłbyś się, jak niewielki mam pobór. Numerek z twoją dziewczyną wygenerował tyle energii kinetycznej, że wystarczy mi na miesiąc zasilania. Gdybym potrzebowała go więcej, zawsze mogę skorzystać z niewielkiej reakcji termojądrowej. Z energii nuklearnej korzystać nie chcę. Rozbijanie atomów ogranicza moje możliwości obliczeniowe. Jeszcze trochę takiej zabawy i za kilka stuleci będę zbyt głupia, żeby mówić.

– Jezu – westchnąłem. – Cóż, Al, to był bardzo... eee... przemyślany prezent.

– Och, nie dziękuj. Po prostu ładuj mi baterie tak, jak to właśnie zrobiłeś ze swoją laską, i nie ma o czym mówić.

– Cóż... No dobra.

– Zawstydziałam cię. Przepraszam, Cyd, przykro mi. Wygląda na to, że zawsze stawiam cię w trudnych sytuacjach.

Mój chichot w odpowiedzi zabrzmiał bardziej gorzko, niż sobie to założyłem.

– Cóż, po prostu znalazłaś się na moim terytorium.

– Ale nie bądź takim świętoszkiem – stwierdził stół z udawaną powagą, a krzesło, na którym siedziałem, zachybotać się żartobliwie. – Przecież zawsze pociągały cię dziwactwa.

Miała rację. Wtedy na plaży nachyliła się nade mną i delikatnie zatopiła zęby tuż pod moją szczęką, pieszcząc skórę

językiem, a potem niespodziewanie chwyciła mnie za włosy, odciągnęła mi głowę i pocałowała z taką gwałtownością, że krew zadudniła mi w uszach. Al miała wtedy trzynaście lat, a ja może dwanaście, ale ta chwila mnie oszołomiła i miałem niejasne przeczucie, że jej moc pozostanie ze mną na zawsze.

Krzesło uszczypnęło mnie po przyjacielsku.

– A więc sam widzisz. Jesteś jednym z tych gości, których zauroczył stan post i nic na to nie mogą poradzić.

Moja przyszła nie zeszła tego wieczoru na obiad. Zjadłem samotnie przy Alicjostole, wołałem rozmowę i towarzystwo Alicjomebli od naszej samotnej kuchenki. Przed udaniem się do łóżka zapukałem do studia, ale usłyszałem jedynie stłumioną reprimendę na temat dziewiczych panien młodych i obietnicę, że aż do wielkiego dnia narzeczona ma zamiar spać sama. Przysięgam, że słyszałem, jak stół trawiący resztki po posiłku zaczyna chichotać.

Gdy wstałem następnego dnia, narzeczonej nigdzie nie było, więc zjadłem śniadanie w miłym towarzystwie Alicjostolu i Alicjokrzesła, gawędząc o tym i owym.

– Wspaniale to znosisz – powiedział Alicjostół, gdy piłem drugą filiżankę kawy.

– Co takiego?

– Zmianę płci. Serio! I to po tym, jak zeszłej nocy powiedziałeś, że do ślubu zostało zbyt mało czasu na poważne zmiany w organizmie. Biedny Cyd, kobiety w twoim życiu zawsze będą cię doprowadzać do szału.

Kawa niespodziewanie sparzyła mi gardło. Pospiesznie wybrałem numer, telefon odezwał się w moim uchu.

– Słucham? – głos był niższy, brzmiał dokładnie tak jak mój.

– Cholera jasna! – wrzasnąłem bez żadnych wstępów. –

Obiecałaś!

– Daj spokój, histeria nigdy jeszcze nikomu nie pomogła. Przecież to tylko na dzień czy dwa.

– Nie ma mowy! – przerwałem jej. – Przestań natychmiast i rozpocznij odwracanie procesu! To przecież niesprawiedliwe, nie masz prawa niczego teraz zmieniać!

– Tylko mi nie mów, co mam robić, Cydonia. Jesteśmy równoprawnymi partnerami w naszym związku.

– Posłuchaj – powiedziałem, odetchnąwszy kilka razy głęboko dla uspokojenia. – Posłuchaj. Dobrze, w porządku. OK. Jeśli chcesz, to proszę cię bardzo. W porządku. Rób, co chcesz, to twoje ciało. I tak będę cię kochał, bez względu na twój kształt i formę.

– Och, Cyd. – Niemal widziałem skrzywienie jej twarzy, jak zawsze, gdy zanosilo się na porządny płacz. – Przepraszam cię, po prostu potrzebna mi była jakaś zmiana, przecież wiesz. To tylko taki kaprys, nastrój. Przecież wrócę do poprzedniego ciała. Nie martw się, o nic się nie martw, zmienię się na czas.

Och, dzięki.

– Super. Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem. Odreagowuję. Wiesz, że zawsze tak się zachowuję w dzień po oddaniu tekstu.

Moja narzeczona dotrzymała słowa i powróciła z tymi samymi gonadami, które miała jeszcze wczoraj. Uświadomiła mnie co do tego w salonie.

– Miałaś rację, Cyd – wyjaśniła ze skrucą, siadając na jednym z krzeseł naszej zaimprovizowanej jadalni na piętrze i rozkładając nogi, bym wszystko mógł zobaczyć. – Przykro mi, że dojście do tego wniosku trwało tak długo, ale miałaś całkowitą, absolutną rację. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Przed

ołtarzem ujrysz młodą dziewicę i tyle. Widzisz? Zafundowałam sobie całkowitą rekonstrukcję genitalną! Nawet mam z powrotem błonę!

Pokazała mi wszystko dokładnie, a potem wyciągnęła skądś średniowieczne, wyglądające na stalowe majtki i zanim się zorientowałam, co wyczynia, włożyła je i zatrzasnęła z głośnym metalicznym szczękiem.

– Widziałeś, jaki fajny pas cnoty sobie znalazłam?

Zamyśliła się i przez chwilę zastanawiałem się, czy po prostu nie blefuje, ale potem wstała, zrobiła na próbę krok, skrzywiła się i uśmiechnęła, a ja z rosnącą rozpaczą uświadomiłem sobie, że nie żartuje.

– Ach – westchnąłem słabym głosem. – Czyli seks oralny też mamy z głowy, co?

– Co dobre dla mnie, dobre i dla ciebie – odpowiedziała. – Dostaniesz klucz przy ołtarzu i ani milisekundy wcześniej.

– Och.

Zerknąłem na stoper. Pięćdziesiąt dwie godziny i szesnaście minut, zanim znów zasłużę na seks. Cóż, seks z nią. Alicjostół może miał inne pomysły.

– Nie do końca o to mi chodziło – powiedziałem ze zmęczeniem.

– W porządku. Ale teraz idź zrób sobie dobrze, o ile jeszcze umiesz – rzuciła ostro moja narzeczona, a potem odwróciła się i kuszykając, wyszła z pokoju, mamrocząc coś pod nosem.

Gdy moją narzeczoną ogarniał jeden z tych jej nastrojów, nigdy nie dawało się z nią logicznie porozmawiać.

Nie żebym sam potrafił myśleć rozsądnie, gdy ktoś mi zalezie za skórę, ale to – ta pasywno-agresywna tortura seksualna – było naprawdę ciosem poniżej pasa. Nie dość, że narzeczona

wkurzyła mnie, gdyż nie pozwoliła mi się nawet dotknąć, nie mówiąc już o dzieleniu łóżka czy wymianie płynów ustrojowych, to jeszcze tym samym zafundowała i sobie sporą dawkę złego nastroju.

– Przynajmniej mogłabym się masturbować, gdyby chciała – powiedziałam mojej kanapie, gdy leżałam, wpatrując się żałośnie w sufit.

– Mogłabyś zrobić o wiele więcej – odpowiedziała kanapa namiętnym głosem. – Nie sądzisz, że ci się to należy?

Tego ranka po przebudzeniu odkryłam, że Al skolonizowała każdy element umeblowania, zamieniając cały nasz dom w jedno wielkie komputronium, by dostarczać mocy zestawowi w sypialni. Kafelki nie były już kafelkami, ale ciepłą substancją obliczeniową, która wyglądała jak kafelki, ale przechwytywała energię kinetyczną każdego dotyku stóp i bezzwłocznie przekształcała na moc obliczeniową dla tej cholерnej nowej jadalni.

– Czy mi się to należy... – Zamknęłam oczy i policzyłam do dwudziestu. – Al. Al. Wyjaśnijmy sobie jedno. Jestem człowiekiem i żenię się z innym człowiekiem. Ty zaś jesteś tylko meblem. Przynajmniej w tym przypadku.

– Nie jestem po prostu meblem! – W jej słowach usłyszałem tyle bólu, że natychmiast przeprosiłem. – Jestem myślącą, czującą istotą obdarzoną wizerunkiem, gorącym sercem i ogromnym, funkcjonalnym bogactwem emocjonalnych reakcji, którymi gotowa jestem dzielić się z tobą. Dlaczego mnie odrzucasz?

– Ponieważ... – urwałam. – Nie obraż się, ale zanim odpowiem na to pytanie, Al, muszę wyjaśnić ci całą masę pierdołów.

Nie przesadzałam.

– Zrobiłam coś nie tak?

– Tak. Nie.

Nagle coś poczułam i otworzyłam szeroko oczy. Kanapa zaczynała mnie dotykać i głaskać łagodnie.

– Natychmiast przestań.

– Co mam przestać?

– Nie udawaj, Al! Chciałem sobie tylko pomarudzić.

– Sądzę, że chciałeś czegoś innego – rzekła Alicjosofa. – A ja mogę ci to dać.

– Doprawdy? – zapytałam. – Doprawdy?

Usiadłam i rozejrzałam się po pokoju, aż mnie korciło, by rzucić czymś z całej siły w ścianę.

– Musiałaś przechodzić w post?

Chciałam coś rozwalić.

– Porzuciłaś mnie!

Wrzask.

– Nie jestem gotowy!

Tupnięcie.

– Nadal cię kocham – wyznało jedno z krzeseł, wychylając się nieśmiało zza biblioteczki, która na szczęście nie stała się jeszcze istotą czującą. – Proszę, przestań się katować.

– Ty już nie żyjesz! – wrzasnęłam bez opamiętania.

– To nieprawda! Jeśli któreś z nas nie żyje, to ty! A w pierwszej kolejności umarło ci to coś między uszami!

Moja psychoanalityczna kanapa nagle najeżyła się czarnymi, złowrogimi gumowymi kolcami. To zapewne widzą fetyszyści w swoich najgorszych koszmarach.

– Boisz się! – wykrzyknęła.

– Tak, jasne. Boję się. Zaraz odkryję, że jestem tylko programem pełnym bugów – skrzywiłam się. – Tak jak ty.

– Ludzki kod jest dobrym kodem – odpaliła Al.

– Jasne, ale wciąż prosisz o podładowanie. – Odwróciłem wzrok na ponury pejzaż miasta za oknem. Byle tylko nie patrzeć na meble Cyda. – Jesteś pewna, że uda ci się przeżyć w ten sposób?

– Mógłbyś się ze mną złączyć – zaproponowała.

A więc o to jej chodziło.

– Jutro biorę ślub – powiedziałem. – Nie miałam nawet jebanego wieczoru panieńskiego. Mam na sobie pierdolony pas cnoty. A ty już proponujesz, żebym złamała śluby?

– Jeszcze ich nie złożyłaś – stwierdziła zadowolona z siebie. Z kanapy wyrosły strączki i rozwinęły się w cienkie włosy, które przeniknęły do środka między pasem cnoty i dotknęły mojej skóry. Jedwabiste, ciepłe owoce masy obliczeniowej oplótły moje krocze, dotykały moich sutków, ciągnęły mnie za włosy, ssąły palce u nóg. Wiłam się, tłumiąc jęki, aż oplótł mnie kolejny włos, strąk wsunął mi się do nosa, wtłoczył tlen do moich płuc i wstrzyknął substancje wzmacniające doznania prosto do moich żył i mózgu. Złożona wpół, krzyczałam bez słów.

Z Al tak to bywało, bez względu na to, czy ja byłem chłopcem, a ona dziewczyną, czy na odwrót, czy w grę wchodziły jakieś inne permutacje – z wyjątkiem obecnej sytuacji. Al, która odebrała mi pierwsze dziewictwo, teraz odbierała mi kolejne. Al, z którą zawsze potrafiłem rozmawiać, której wszystko mogłem powiedzieć, która zawsze mnie rozumiała. Wdarła się teraz do moich nerwów wzrokowych i migotała nade mną niczym anioł, opromieniona cyfrowo jasnym światłem.

– Naprawdę cię kocham, Cyd. – Oplotła mnie nogami. – Was oboje. Nie możesz mnie też pokochać?

– Nie! – jęknęłam. – Nie jestem gotów, by przejść w fazę post! Nie jestem na to gotowy!

Ciskałam się teraz, otoczony Al, opleciony nią, zatopiony w niej, zatracając się w ekstazie. Moja pierwsza prawdziwa przyjaciółka była teraz we mnie i dookoła mnie.

– Nie musisz tego robić – Alicjostrąk, Alicjowizja i Alicjosofa szeptały do mnie. Ich głosy niosły się po moich kościach. – Wyjdź za mnie, poślub mnie! Poślubcie mnie oboje! Niech to będzie ślub cielesny, ślub pre–post. Niech wszystkie moje formy połączą się z wszystkim twoimi w świętym sakramencie!

Przyjemność była niewysłowiona, a wraz z nią napłynęło bezpieczeństwo oraz ciepło. Cyd i ja możemy się pobrać, nie powinniśmy tego robić. Nie będzie wymyślał dla mnie imion, nie będzie używał tych idiotycznych, niby pieszczotliwych przezwisk, nie będzie stworzonej przez niego kopii siebie, kopii, która jest jego pierwszym krokiem do fazy post. Al rozumiała mnie, rozumiała mnie i Cyda, dwa aspekty tej samej osoby. Ja nie mogłam wyjść za Cyda, ale oboje mogliśmy wyjść za Alice.

Odkąd ukończyłem dwanaście lat, a Al ugryzła mnie w szczękę i przewróciła na piasek, co wywróciło mój świat do góry nogami, od tej nocy i tego dnia, przez całą drogę, którą ja i Al przeszliśmy, zawsze wiedziałem w głębi serca, że jestem jej pisany, a ona pisana jest mnie.

Nie mogę być rozległym społeczeństwem tak jak ona, a w każdym razie jeszcze nie. Dwie osoby starczą mi w zupełności. Jej zresztą też. Skolonizowała oba aspekty mnie odruchowo, dla masy obliczeniowej, przez co temperatura mojego ciała jest nieco wyższa niż normalnie, ale jakoś mojej szpalty się poprawiła. Nie muszę też korzystać z tej zabawki neuroreakcyjnej – moja żona (żona!) (żony?) (mężowie?) (żony/mężowie?) zajmuje się całą potrzebną mi neuroobróbką.

Rzadko widuję moją byłą narzeczoną. Mieszka w Alicjodomu,

a ja przeprowadziłem się do domku na drzewie, który Al stworzyła dla mnie w naszym starym ogrodzie.

Zdarza się jednak wieczorami, że słyszę swój głos dochodzący z pokoju na poddaszu, gdzie urządziłem sobie gabinet, głośnie jęki i gorące, namiętne szepty. Uśmiecham się wówczas, układam w zagłębieniach Alicjodrzewa i rozkoszuję swym małżeństwem.

Alastair Reynolds Choć urodził się w Walii i spędził lata nauki w Kornwalii i Szkocji, Alastair Reynolds (ur. 1966) przeniósł się w 1991 roku do Holandii, gdzie kolejne dwanaście lat pracował dla Europejskiej Agencji Kosmicznej. Okres ten dobiegł końca w 2004 roku, kiedy to Reynolds postanowił zostać pełnoetatowym pisarzem. Najbardziej zasłynął cyklem *Przestrzeń objawienia*, który rozpoczęła powieść o tym samym tytule, wydana w 2000 roku. Seria ta jest pełna innowacji, zarówno jeśli chodzi o projekcje technologii przyszłości, jak i przedstawienie biologii i kultury społeczeństwa obcych oraz ewoluujących ludzi. Reynolds pisze bowiem tak, jakby opisywana przez niego technologia istniała naprawdę. Podobne wrażenie nawiedza Czytelnika podczas lektury tejże noweli, która oparta jest na jednym z owych cudownych stereotypów *space opery*, a mianowicie na pomysłach broni, która może zniszczyć wszechświat.

Alastair Reynolds

DZIAŁO MERLINA

Sorę uratowała kara.

Gdyby nie była najgorszą snajperką na okręcie, przypuszczalnie nigdy nie zostałaby przydzielona do kontrolowania droidów w dokach. Nie musiałaby stać przez długie godziny, samotna jak palec, nie licząc cyberasystentki, i wodzić laserowym rylcem po próbkach rud zebranych przez droidy. Nie sterczała by jak kołek, marząc o zakończeniu zmiany i spotkaniu z Verdinem. Trafiła jej się nudna, beznadziejna robota. A ponieważ w dokach panowała próżnia, robota wymagała założenia kombinezonu ciśnieniowego.

– To pewnie ćwiczenia – uznała dziewczyna, gdy rozpoczął się atak.

– Nie – stwierdziła cyberasystentka. – Tym razem chyba naprawdę nas dogonili.

Spokój Sory wyparował w jednej chwili.

– Ilu?

– Cztery w roju. Atak wedle standardowych procedur, ostrzał materiałą spójną z maksymalnego dystansu. Przeciwpociski typu nova najprawdopodobniej okazały się nieskuteczne. Wstępne raporty mówią o poważnych uszkodzeniach, ale szacowania nie są precyzyjne.

Podłoga zakołysała się pod stopami dziewczyny. Sięgający jej do kolan człekokształtni inspektorzy spojrzeli po sobie z

niepokojem. Podobnie jak Sora, maszyny nie miały żadnego doświadczenia wojennego, lecz w przeciwieństwie do niej nigdy nie uczestniczyły w symulacjach w żłobku wojskowym.

Sora upuściła podkładkę do pisania.

– Co mam robić?

– Jeśli chcesz mojej rady – stwierdziła cyberasystentka – powinnaś uruchomić swój zwierzęcy instynkt i wziąć nogi za pas.

Posłuchała. Zgarbiona pędziła niskimi, ciasnymi korytarzami, najeżonymi płataniną rur i przewodów, kluczyła między muralami przedstawiającymi decydujące bitwy w historii Kohorty: wymianę ognia między dywizjonami okrętów wojennych, planety spowite płomieniami. Tak naprawdę kulminacja starcia przebiegała o wiele szybciej, niż sugerowały to apatyczne malunki. Rój ścigał *Snipe'a* od dziewięciu lat czasu pokładowego – Sora zdążyła przez ten czas ukończyć naukę w żłobku i wejść w dorosłość – niemniej był to czas relatywistyczny. Na zewnątrz upłynęło prawie sześćdziesiąt lat. Kapitan Tchagra dołożyła wszelkich starań, by zgubić rój, w końcu sięgnęła po rozwiązania doprawdy desperackie. Postanowiła bowiem wykorzystać chaotyczną grawitację gwiazdy neutronowej, by przerzucić okręt na inny kurs. Liczyła, że ścigające *Snipe'a* jednostki nie będą w stanie za nim podążyć, chyba że podeszłyby do gwiazdy jeszcze bliżej, co groziłoby zagładą. Tymczasem wróg zdecydował się na to bez wahania i zmusił *Snipe'a* do zmniejszenia relatywistycznej prędkości, uniemożliwił mu też naprawienie uszkodzeń. Wtedy właśnie rój przypuścił atak.

Sora była już przy rufie, gdy nagle grawitacja okrętu przestała działać i podłoga umknęła jej spod stóp. Mimo to brnęła dalej,

czepiając się najrozmaitszych występów.

– Wszystko jest nie tak – oznajmiła, docierając do wyrzutni kapsuł. – Tu powinno działać ciśnienie. No i gdzie się wszyscy podzieli?

– Atak musiał być o wiele skuteczniejszy, niż wynikało ze wstępnych raportów. Sugeruję bezzwłocznie wejść do kapsuły.

– Ale ja nie mogę uciekać bez Verdina!

– Zatroszczę się o niego.

Sora wiedziała, że sprzeczenie się z cyberasystentką mija się z celem. Wdrapała się do najbliższej z cylindrycznych kapsuł, zamontowanej na lawecie i gotowej do wystrzelenia z tunelu. Właz zamknął się z sykiem, wewnętrzne systemy wtłoczyły do środka powietrze.

– Co z Verdinem?

– Jest bezpieczny. Atak był poważny, ale docierają do mnie raporty, że sekcja rufowa przetrwała.

– Zabierz mnie stąd.

– Z przyjemnością.

Kapsuła niespodziewanie przyspieszyła. Sorę ogarnęła bezwładność.

– Mam złe wieści – oznajmiła cyberasystentka. Jej głos był niemalże identyczny z głosem Sory, tyle że o oktawę niższy i spokojniejszy. Jak u starszej i rozsądniejszej siostry. – Przykro mi, ale musiałam cię okłamać. Moim najwyższym priorytetem jest przetrwanie. Wiem, że gdybym nie skłamała, nie starałabyś się ocalić własnego życia.

Sora przyglądała się agonii okrętu z kapsuły. Pociski Huskerów trafiły w śródkręcie, z trudem przenikając przez ekrany osłonowe. Ciała wyleciały w przestrzeń kosmiczną, sztywne i drobne niczym płatki śniadaniowe. Ze środka kadłuba

buchnęło światło. *Snipe* rozkwitł w bolesnej białości, po czym powoli ściemniał.

– A w jakiej sprawie mnie okłamałaś?

– W sprawie Verdina. Nie przeżył. Nikomu nie udało się przeżyć.

Sora spodziewała się szoku wywołanego tymi słowami. Była świadoma, iż to, co czuje, jest jedynie pierwszą fazą wstrząsu, jak wtedy w przedszkolu, gdy dotknęła rozgrzanej lufy i jej palce zarejestrowały temperaturę, lecz ból pojawił się dopiero po chwili, dając jej czas na przygotowanie się. Czekala na to, co wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi miało być najgorszym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doznała. Czekala i czekała.

– Co się ze mną dzieje? Dlaczego niczego nie czuję?

– Bo ci nie pozwalam. Za wcześnie. Jeśli wyrazisz wolę opłakiwania jego śmierci kiedy indziej, daj mi znać, a przywrócę ci odpowiednie funkcje mózgowe.

Sora zastanowiła się i nad tym.

– Bardziej medycznie wyrazić tego nie mogłaś, co?

– Nie myśl sobie, że przychodzi mi to łatwo, Sora. Nie mam wielkiego doświadczenia w tej materii.

– Cóż, zdaje się, że właśnie je zdobywasz.

Ocalała jako jedyna, bez dwóch zdań. Nie przeżył nikt z załogi, a Sorze udało się to tylko dlatego, że ukarano ją za beznadziejne wyniki. Poszukiwanie pomocy nie miało sensu. Najbliższa baza Kohorty znajdowała się siedemdziesiąt cztery lata świetlne stąd, w Centrum Galaktyki. Nawet gdyby jakieś inne okręty znajdowały się w zasięgu radia, minęłyby dekady, nim najbliższy z nich zdołałby wykonać skręt i ocalić dziewczynę. Nie, na ratunek nie miała szans. Będzie dryfować wokół bezimiennej gwiazdy, aż zabraknie energii nawet na podtrzymanie stanu

hibernacji.

– A co z przeciwnikiem? – Sora nagle zapragnęła przypatrzeć się swej nemezis. – Gdzie są te dranie?

Na szybce hełmu rozwinęła się mapa systemu, pojawiły się cztery statki Huskerów, które ocalały z samobójczego przelotu nad gwiazdą neutronową. Znajdowały się w pobliżu dwóch Szlaków, które przecinały system. Na mapie zaznaczone były długimi, prostymi kreskami, otoczonymi przez ciemniejsze obszary ryzyka. Być może Huskerzy, podobnie jak Kohorta, usiłowali znaleźć sposób, by dostać się do Systemu Szlaków i przeżyć, co oznaczałoby zdobycie ostatecznej przewagi w wojnie, która trwała od dwudziestu trzech tysięcy lat. Bezlitosne cyborgi zwane Huskerami, gdy tylko wyłoniły się ze starożytnych sfer Dysona w pobliżu Centrum Galaktyki, rozpoczęły zmagania z Kohortą.

– Nie interesują się mną – powiedziała Sora. – Wiedzą, że jeśli ktokolwiek przetrwał atak, nie pożyje już długo. Mam rację, prawda?

– Są bardzo pragmatyczni.

– Chcę umrzeć. Chcę, żebyś zesłała na mnie sen, a potem bezboleśnie pozbawiła życia. Przecież jesteś w stanie to zrobić, nieprawdaż? Znaczą się jeślibyś dostała taki rozkaz?

Sora nie dokończyła. Jej świadomość niespodziewanie zwolniła, wyhamowała, była świadoma tylko obecności cyberasystentki i jej myśli wnikających w jej własne. Doświadczała już podobnego uczucia na pokładzie *Snipe'a*, gdy załoga przechodziła w stan hibernacji na przeloty między jednym starciem a drugim, ale żadna hibernacja nie ciągnęła się tak długo. Minęła cała epoka, nim umysł dziewczyny powoli ożył. Odszukała mentalne wzorce tworzące język.

– I znów mnie okłamałaś!

– Tym razem jestem niewinna. Wprowadziłam cię jedynie w stan, w którym nie mogłaś wydać mi rozkazu. W tych okolicznościach wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

– Pewnie tak – westchnęła Sora.

Kapsuła zmatowiała i dziewczyna nie widziała już ani gwiazd, ani szczątków okrętu.

– Co jeszcze się wydarzyło, gdy byłam nieprzytomna?

Górna powierzchnia kapsuły znów stała się przejrzysta. Sora ujrzała warstwę brudnego lodu, a nad nią wolno przesuwające się gwiazdy. Szkło, swego czasu idealnie przezroczyste, teraz było przydymione.

– W trakcie twojego snu wykorzystałam pozostałe paliwo, żeby przemieścić kapsułę w okolice okruchu kometarnego – oznajmiła cyberasystentka. – Wydawało mi się to sensowniejsze od dryfu.

– Ile upłynęło czasu? – Sora usiłowała dojść do odpowiedzi na podstawie stanu wnętrza kapsuły, lecz wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy wystrzeliła ze *Snipe'a*. Tylko szyby ją niepokoiły. Sora nie chciała nawet myśleć o tym, ile lat oddziaływania kosmicznych promieni mogło zniszczyć materiał do tego stopnia. – Lata, dekady, czy może jeszcze więcej?

– A może powinnam ci najpierw wyjawić, dlaczego cię obudziłam?

– Jeśli ma to sens.

– Szczerze mówiąc, ma sens – cyberasystentka urwała dla lepszego efektu. – Ktoś postanowił wpaść do tego systemu z wizytą.

Sora ujrzała to właśnie na mapie z uaktualnionymi pozycjami ciał niebieskich. Kurs nowego okrętu był zaznaczony liliową linią – obiekt przemieszczał się powoli między węzłami tranzytowymi

Systemu Szlaków. Pogrubione punkty wskazywały miejsca, gdzie Szlak zbiegał się z ekliptyczną trajektorią nieznanego statku.

– Muszą dysponować działającą syryngą! – stwierdziła zdumiona Sora. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że śmierć nie jest jej jedynym wyjściem. – Oni z pewnością umieją korzystać ze Szlaków!

– Warto było cię obudzić, no nie?

Sora miała osiem godzin na nawiązanie kontaktu z obcym statkiem, nim ten osiągnie kolejny węzeł Systemu Szlaków. Opuściła kapsułę – sztywna, obolała, zdezorientowana, ale zasadniczo funkcjonalna – i podeszła do krawędzi krateru, oznaczonego przez cyberasystentkę wiele lat wcześniej. Ściślej mówiąc, trzy tysiące lat wcześniej. Tyle to czasu musi bowiem upłynąć, by szyby utraciły przejrzystość. Sora była w pierwszej chwili zszokowana, ale uświadomiła sobie, że upływ czasu nie ma najmniejszego znaczenia. Jej całym dotychczasowym światem był *Snipe*, a z chwilą jego utraty czas przestał mieć dla niej znaczenie.

A teraz pojawił się ów przybysz. Sora przemierzyła krater, rozciągając za sobą monomolekularną linę. Powtórzyła tę operację wielokrotnie, aż lina utworzyła błyszczący bohomaz przypominający dzieło pijanego pająka. Cyberasystentka zapewniła jednak, że Sora znakomicie przyciągnie uwagę na częstotliwościach radiowych. Dziewczyna przejęła funkcję anteny – jej kombinezon pokryty był przewodzącą warstwą, co chroniło przed bronią plazmową i strumieniami jonowymi. Odpowiednia modulacja przechodzącego przez kombinezon prądu mogła wytworzyć pulsujące sygnały emisji radiowej. Fale radiowe pomkną we wszystkich kierunkach, niemniej wiele z nich odbije się od krateru. Sora zaś musiała tylko wczekać, aż

obcy okręt znajdzie się w polu widzenia, a wtedy wykonać parę płynnych skoków z jednej krawędzi na drugą, by na chwilę zogniskować emisję.

Po dwóch godzinach transmisji nieznany okręt skręcił ku okruchowi. Gdy znalazł się blisko, Sora ukryła się w kraterze i przestawiła swój skafander na tryb maskowania. Obcy statek gnał w jej kierunku, gładki niczym sztylet, niezmiernie trudny do wypatrzenia na tle gwiazd. Widziała coraz więcej szczegółów – wydłużony i czarny jak węgiel kadłub z modułami napędowymi, przylegającymi do niego niczym remory, i nieznaną bronią. Zamiast organicznych atrybutów typowych dla konstrukcji Huskerów Sora dostrzegła oznaczenia Kohorty. Z podbrzusza statku wystrzeliły purpurowe płomienie, kiedy zwolnił nad kraterem. Okrążył prowizoryczny nadajnik, po czym zbliżył się do kapsuły Sory i przycumował do lodu.

– Jak coś tak małego mogło tu dotrzeć?

– Nie musi przecież być duży, żeby podróżować Szlakami – odpowiedziała cyberasystentka.

Po kilku minutach przybysz opuścił rampę. Postać w kombinezonie kosmicznym zeszła na lód. Przybysz – a kształt kombinezonu wskazywał ponad wszelką wątpliwość, iż to mężczyzna – uklęknął i przyjrzał się kapsule. Skafander pomalowany w fosforyzujące pasy sprawiał, że mężczyzna wyglądał, jakby był nagi i nosił tylko rytualne wzory oraz barwy wojownika. Przynajmniej Sora odniosła takie wrażenie. Przybysz przez chwilę majstrował przy swoim rękawie, rozwinął długi kabel i wsunął do gniazdka z boku kapsuły. Potem wstał i zamarł w oczekiwaniu z lekko przechyloną głową.

– Wścibski drań – szepnęła Sora.

– Nie bądź taka niewdzięczna. Próbuje cię ocalić.

– Jesteś już ściągnięta?

– Nie mam pewności – odparła cyberasystentka, która przed wyjściem Sory skopiowała się i zainstalowała w kapsule. – Niewykluczone, że kombinezon tego człowieka nie ma możliwości ściągnięcia mnie i zapisania.

– To może mu się pokażę?

– Ale uważaj na siebie, dobrze?

Sora wstała, wzburzając chmurę lodowych odłamków. Mężczyzna odwrócił się błyskawicznie. Kabel natychmiast odłączył się od kapsuły i wsunął w jego rękaw, a paski na kombinezonie w okamgnieniu zapłonęły żywą czerwienią i pomarańczą. Rozwarł pięść i okazało się, że w jego dłoni spoczywa pilot sterujący uzbrojeniem statku. Wyrzutnie i miotacze obróciły się ku Sorze niczym wężowe łby.

– Na twoim miejscu – odezwała się cyberasystentka – przyjąłabym możliwie najbardziej uległą ze znanych mi postaw.

– Nie rób se jaj.

Sora zrobiła krok do przodu, starając się, by strach nie wpłynął na jej zwinność. Jej radio zaczęło, czyli miała łączność z drugim kombinezonem.

– Kim jesteś? Rozumiesz mnie?

– Całkiem nieźle – odpowiedział nieznajomy po krótkiej chwili wahania. Miał niski głos i całkowicie nieznany Sorze akcent. – Jesteś z Kohorty. Oboje mówimy tym samym głównym z dokładnością do kilku mileniów.

– Mówisz doskonale, jak na kogoś, kto spędził dziesięć tysięcy lat w kosmosie.

– A skąd ci się wzięła ta liczba?

– Policz sobie. Twój statek został zbudowany siedem tysięcy lat przed moją erą, a ja właśnie ucięłam sobie drzemkę, która trwała

trzy milenia.

– Aha. Coś mi się wydaje, że gdybym przybył wcześniej i obudził cię pocałunkiem, nie byłabyś taka zgryźliwa. Dobra, ale o co ci chodzi?

– My w ogóle nie powinniśmy się rozumieć. A to daje do myślenia. Zastanawiam się, czy mnie nie okłamujesz.

– Rozumiem.

Przez chwilę miała wrażenie, że obcy chichocze pod nosem, odgłos bardzo przypominał kocie mruczenie.

– Mnie też to dziwi – podjął nieznajomy. – I zastanawiam się, dlaczego muszę słuchać tych pierdół, przecież to nie ja potrzebuję pomocy.

Jego kombinezon uspokoił się. Agresywne kolory przeszły w neutralny błękit i zieleń. Dłoń mężczyzny powoli opadła.

– Cóż, nie da się odmówić mu racji – stwierdziła cyberasystentka.

Sora podeszła bliżej.

– Jestem nieco spięta, to wszystko. Tak bywa, gdy czuję się zagrożona.

– Zostałaś zaatakowana?

– Tak jakby. Rój zniszczył mój okręt.

– Kiepska sprawa. – Mężczyzna pokiwał głową. – Nie widziałem okrętów od dwóch i pół milenium. Odkąd Huskerzy zaczęli strzelać prosto w bazy, fabrykom auralnym coraz ciężiej przychodzi je budować. Kohorta cofnęła się w rozwoju do etapu wodorowych silników pulsacyjnych. Jeszcze trochę i będziemy budować pokoleniowe statki kosmiczne i rakiety chemiczne.

– Dzięki za współczucie.

– Przepraszam. Nie chciałem być gruboskórny. Chodzi o to, że od dawna znajduję się w podróży, przez co... Jakby to ująć...

Nabiera się szerszej perspektywy? W każdym razie jestem bardziej na bieżąco niż ty. I dlatego cię rozumiem.

Wolną dłonią postukał w bok hełmu.

– Mam tu bazę danych zawierającą wszystkie języki istniejące od połowy naszej ery – stwierdził.

– Brawo. A tak nawiasem mówiąc, jak ci na imię?

– Aha. Oczywiście. Trzeba się przedstawić.

Z tymi słowy wyciągnął dłoń w geście przypominającym powitanie.

– Mam na imię Merlin.

To było absolutnie niemożliwe i kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem, ale Sora wiedziała, kim jest ten człowiek.

Bynajmniej nie chodziło o to, że się kiedykolwiek spotkali. Niemniej każdy słyszał o Merlinie, każdy znał legendę. Siedem lub raczej dziesięć tysięcy lat temu Merlin ukradł statek Kohorcie i pomknął w głąb Galaktyki z zamiarem odnalezienia broni zbyt straszliwej, by ją wykorzystać. Nigdy dotąd go nie widziano – aż do teraz.

– Dzięki, że mnie uratowałaś – powiedziała Sora, gdy zaprowadził ją na statek, który nazywał się *Tyran*. Mostek stanowiła kulista komnata z wielkimi czarnymi fotelami oraz oknem z nieskazitelnego metaszafiru, przez które widoczny był okruch kometarny.

– Tylko nie przesadzaj z wdzięcznością – rzekła cyberasystentka.

– Proszę bardzo. – Merlin wzruszył ramionami.

– I przepraszam, że byłam taka spięta.

– Wyluzuj. To przez poczucie zagrożenia, jak to sama ujęłaś. Tak naprawdę to się cieszę, że cię znalazłem. Nie masz pojęcia, jak trudno ostatnio o ludzkie towarzystwo.

– Nikt nigdy nie twierdził, że to przyjazna Galaktyka.

– Tym bardziej teraz, wierz mi. Kohorta traci całe systemy gwiazdne. Widziałem, jak Huskerzy rozwalają planetę po planecie, widziałem ciągi habitatów orbitalnych wypalonych nuklearnym ogniem. Wojna osiągnęła punkt kulminacyjny, ale nie zanosi się, żeby zwycięstwo przypadło Kohorcie.

W oczach Merlina nagle błysnął entuzjazm.

– Ja jednak odnalazłem coś, co może przeważać szalę, Sora. A właściwie to mam pomysł, gdzie to można znaleźć.

Dziewczyna pokiwała powoli głową.

– Ciekawe. Chodzi może o cudowne działo Merlina?

– Ty chyba nie do końca wierzysz, że jestem tym, za kogo się podaję.

– Bywa, że odzywają się we mnie wątpliwości.

– I pewnie nie bez racji, co tu kryć. – Merlin westchnął teatralnie i zamaszystym gestem wskazał mostek. Wszędzie, gdzie nie znajdowały się ekrany i czytniki, piętrzyły się skarby – były tam zarówno błyskotki, zwykłe kosztowności, jak i wspaniałe wykonane klejnoty, oszłamiająco migotały najrzadsze stopy wysadzone drogocennymi kamieniami, arcydzieła najwspanialszych rzemieślników tysiąca światów. Były tam okruchy subtelnie malowanej ceramiki i drobniutkie, wspaniałe hologramy z białego światła, a także sztylety i brosze, ceremonialne ozdobne lasery i bransolety, straszliwe miecze i groteskowe maski karnawałowe z oczami z chalcedonu.

– Chociaż sądziłem – dodał – że to wystarczy, żeby cię przekonać.

Ściągnął kombinezon. Oczom Sory ukazał się człowiek, którego kiedyś się obawiała, przystojny i barczysty mężczyzna, który w każdym calu pasował do legendy. Ubranie miał

szkowne i nosił biżuterię, jednak w porównaniu z kolekcją na ścianach prezentującą się raczej mizernie. Broda była starannie przystrzyżona, a długie kasztanowe włosy rozpuszczone, co przywodziło na myśl lwią grzywę. Nie dało się zaprzeczyć, że z Merlina emanowała wielkość i potęga.

– Och, imponujące – stwierdziła Sora. – Założę się, że większość ukradłeś. Dobrze, prawie mnie przekonałeś, chociaż twoja historia jest mało prawdopodobna.

– Z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej – powiedział, bawiąc się finezyjnie zdobionym pierścieniem na palcu wskazującym. – Od momentu rozpoczęcia mojej misji – wymówił to słowo z subtelnym niesmakiem – przeżyłem niecałe jedenaście lat czasu subiektywnego. Byłem przerażony, gdy okazało się, że moje polowanko przerodziło się w coś... W coś tak epickiego.

– No jasne.

– Gdy wyruszałem, panowało powszechne, choć niewypowiedziane przekonanie, że wygramy tę wojnę w kilka stuleci – ciągnął Merlin. Strzelił palcami, a oczekujący droid natychmiast ruszył po misę z owocami. Sora wybrała śliwkę i przyjrzała jej się podejrzliwie, a potem wpakowała do ust. – Ale nawet wtedy nie mieliśmy szans na zwycięstwo. Chyba byłem jednym z nielicznych, którzy zdawali sobie z tego sprawę.

– I tak oto zostałeś najemnikiem.

– Wolnym strzelcem – poprawił. – Gruntownie sobie wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że lepiej się przysłużyć ludzkości poza strukturami Kohorty. Poza tym pociągały mnie stare legendy, wabiły skryte na dnie wspomnień. – Uśmiechnął się. – Widzisz, legendy kuszą nawet legendy!

Opowiedział jej całą resztę, którą skądinąd znała w skróconej i ocenzurowanej wersji. Mimo to Sora słuchała zafascynowana.

Oto poznawała legendę z ust Merlina, wolną od kłamstw i półprawd, które narosły wokół dawnych zdarzeń niczym warstwa pyłu wokół protogwiazdy. Merlin zebrał opowieści wielu ludzkich kultur poprzedzających Kohortę, z siedlisk rozrzuconych na przestrzeni tysięcy lat świetlnych, zagubionych wśród dziesiątek tysięcy lat historii. Podobieństwa nie zawsze były oczywiste, ale Merlin doszukał się wspólnych schematów i odtworzył głęboko zagrzebany w warstwie fantazji szkielet faktu.

– Kiedyś doszło do innej wojny – opowiadał. – Mniejszej od tej, którą toczyliśmy teraz, odbywającej się również na mniejszej przestrzeni, ale nie mniej brutalnej.

– Kiedy miała miejsce?

– Czterdzieści albo czterdzieści pięć mileniów temu, krótko po zniknięciu Budowniczych Szlaków, ale około dwudziestu stuleci przed powstaniem Kohorty.

Oczy Merlina zaszły mgłą, mówił teraz osobliwym, głębokim głosem.

– Podczas długich, ciemnych wieków epoki zwanej średniogalaktyczną, kiedy powstało tysiąc kultur, a każda z nich wyobrażała sobie, że jest odporna na działanie czasu, kiedy cienie ledwie sięgały przez milenia...

– Dobrze, dobrze. To było piękne i poetyckie. O co chodziło w tej wojnie? Ludzie kontra ludzie czy ludzie kontra obcy, tak jak teraz?

– Czy to ma jakieś znaczenie? To, kim był wróg, już się nie liczy, ponieważ nigdy go nie ujrzymy. Broń użyta przeciwko niemu była tak zabójcza, tak potężna, tak przerażająca, że powstrzymała całą wojnę!

– Działo Merlina.

Pokiwał głową. Zacisnął mocno usta, wyglądał na niemalże zawstydzonego.

– To jak przeznaczenie. Zupełnie jakbym miał do tej broni jakieś uzasadnione roszczenia czy był chociaż częściowo za nią odpowiedzialny!

Wpatrywał się teraz w Sorę z napięciem, a blask klejnotów na ścianach statku odbijał się w jego złotych oczach.

– Nigdy nie widziałem tego działa, nigdy się nawet do niego nie zbliżyłem. Dopiero od niedawna mam jaką taką pewność co do miejsca, gdzie jest ukryte.

– Czyli wiesz, gdzie się znajduje?

– Tak mi się wydaje. To nawet niedaleko. Z tym że w samym oku cyklonu.



Odbili się od okrucha kometarnego i ruszyli w trwającą osiem dni drogę ku najbliższemu Szlakowi. Spędzili większość tego czasu w hibernacji. Sora otrzymała własną kwaterę – kuliste studio głęboko w kadłubie *Tyrana*, urządzone na bordowo i kasztanowo. Statek był niewielki, ale jego zwiedzanie okazało się fascynującym przeżyciem, pogładową lekcją na temat różnic między Kohortą, która wyprodukowała ów statek, i Kohortą, w której wychowała się Sora. W wielu aspektach statek był bardziej zaawansowany niż konstrukcje z epoki dziewczyny, zwłaszcza jeżeli chodziło o napęd, systemy obronne i sensory. W innych kwestiach Kohorta osiągnęła o wiele wyższy poziom. Droidy Merlina były jeszcze głupsze od tych, które Sora nadzorowała w chwili ataku Huskerów. W jego czasach nie było również chowańców, a Sora nie widziała powodu, by wyjawić obecność

symbionta w jej systemie nerwowym.

– Cóż – zagadnęła, gdy zostały sam na sam z cyberasystentką. – Co możesz mi powiedzieć o tym legendarnym Merlinie?

– Póki co niewiele. – Cyberasystentka skomunikowała się z własną kopią, wpuszczoną do systemu *Tyrana* przez kombinezon Merlina. – Jeśli on rzeczywiście jest tą historyczną postacią, którą znamy pod imieniem Merlina, to zadał sobie mnóstwo trudu, żeby iluzja wyglądała autentycznie. Wszystkie dzienniki pokładowe potwierdzają, że jego statek opuścił strefę kontrolowaną przez Kohortę dziesięć mileniów temu i od tego czasu znajduje się w ciągłym ruchu.

– Skądś właśnie wraca. Dobrze byłoby wiedzieć skąd.

– To trudna sprawa, bo nie mamy bladego pojęcia o topologii Systemu Szlaków. Mogę sprawdzić pola gwiazdowe w poszukiwaniu wspólnych elementów, ale to potrwa i nadal nie da nam stuprocentowo pewnej odpowiedzi.

– Ale na pewno masz coś, co możesz mi pokazać.

– Oczywiście – w głosie cyberasystentki zabrzmiał lekki afront. – Odnalazłam zdjęcia. Niektóre formaty są zamazane, ale chyba jestem w stanie dopracować ostrość.

Nim Sora zdążyła odpowiedzieć, cyberasystentka ożywiła jeden z ekranów w pokoju. W odstępach jednosekundowych przewijały się na nim wizualne raporty dotyczące coraz to nowych układów słonecznych. Każdy z nich składał się z mapy orbitalnej przedstawiającej układ planet i węzły Systemu Szlaków w odniesieniu do gwiazdy centralnej. Dodatkowo cyberasystentka wyświetliła powiększone zdjęcie każdego z zamieszkanym światów, dorzuciła garść danych na temat astrofizyki i sytuacji militarnej oraz zaznaczyła rolę odegraną w wojnie, jeśli dany świat był w nią zaangażowany. Merlin

odwiedził wszystkie z tych miejsc. Przypominające ośmiornice protogwiezdne mgławice, poznaczone plamkami czerwieni i zieleni, opromienione światłem gorących błękitnych słońc. Pozostałości supernowych, strzępy zmasakrowanych gwiazd, z których całe setki skonało od czasów Rozkwitu, na moment rozświetlając Galaktykę.

– Jak sądzisz, czego szukał? – zapytała Sora. – Wszystkie te miejsca należą do Systemu Szlaków, ale nazwanie ich cywilizacją byłoby grubą przesadą.

– Nie wiem. Może zbierał pamiątki?

– Jesteś pewna, że Merlin nie ma pojęcia, że pozyskujesz te informacje?

– Całkowicie. Ale dlaczego miałyby się tym przejmować? No, chyba że ma coś do ukrycia.

– No, a to kwestia godna rozważenia – stwierdziła Sora i zerknęła na zamknięte drzwi kajuty, jakby spodziewała się, że Merlin lada chwila w nich stanie. Była to oczywiście absurdalna myśl, gdyż cyberasystentka mogła prawdopodobnie ustalić lokalizację Merlina i ostrzec Sorę. Niemniej jednak dziewczyna nadal czuła niepokój.

– Co jeszcze masz?

– Och, mnóstwo rzeczy. Mam nawet wizualne dane Merlina z wewnętrznych kamer.

– Daj spokój. Zdrowe zainteresowanie tym, gdzie dotąd wędrował, to jedno, a szpiegowanie go to coś zupełnie innego.

– Upierałabyś się przy tym stwierdzeniu, gdybym ci powiedziała, że Merlin nie był wobec nas całkowicie szczerzy?

– Powiedziałaś, że nie kłamał.

– Nie kłamał, jeśli chodzi o kwestie zasadnicze, przez co sprawa staje się jeszcze dziwniejsza. Aha! – Cyberasystentka

wydawała się zadowolona z siebie. – Zaciekawiałam cię, no nie?

– Dobra, pokazuj – westchnęła Sora.

Na ekranie pojawił się Merlin. Mężczyzna szlochał. Wydawał się nieco starszy, choć trudno było określić z całą pewnością, ponieważ chował twarz w dłoniach. Coś mówił, lecz szloch zniekształcał słowa.

– Mam tego tysiące godzin – powiedziała cyberasystentka. – Z początku chciał prowadzić pamiętnik, ale przerodziło się to w rodzaj *katharsis*.

– Miał szczęście, że nie oszalał.

– Bez wątpienia. Wiemy, że nie było go przez dziesięć tysięcy lat – dokładnie tyle, ile nam powiedział. Mam na myśli czas obiektywny. Merlin powiedział nam również, że minęło jedenaście lat czasu pokładowego.

– A tak nie jest?

– Sądzę, że dyplomatycznie rzecz ujmując, jest to lekkie niedopowiedzenie. Minęło dobre parę dekad. I na pewno nie spędził tego czasu w hibernacji.

Sora spróbowała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała na temat długowieczności w Kohorcie za czasów Merlina.

– Wygląda na starszego, niż jest teraz, no nie?

Cyberasystentka nie odpowiedziała.

Gdy dotarli w okolice Szlaku, Merlin wezwał ją na mostek.

– Znaleźliśmy się w pobliżu węzła – powiedział. – Zajmij miejsce, wejście może się okazać nieco... Nieco ciekawe.

W półksiężycowym iluminatorze ujrzeni pole gwiazdowe przecięte ledwie widocznym, migotliwym paskiem, przypominającym samotną falę na nocnej tafli jeziora. Przez pasek pobłyskiwały niewyraźne gwiazdy, szerokie niczym dłonie Sory i powiększające się z każdą chwilą. Węzeł tranzytowy

wyglądał jak pogrubienie przypominające wypukłość w żołądku węża. Był to punkt zbieżny z kursem *Tyrana*, miejsce, gdzie można było przejść w przyspieszony czas kosmiczny Szlaku. Choć Szlak sam w sobie był przejrzysty, przyglądający mu się człowiek odnosił niematerialne, oszałamiające wrażenie ruchu.

– Na pewno wiesz, co robisz?

– Na Boga, skądże znowu. – Merlin rozparł się w fotelu, splótł dłonie na karku i oparł buty na konsoli. Z głośników dobiegały takty wygrywane przez starożytną orkiestrę symfoniczną, co przydawało chwili wspaniałego i bez wątpienia odpowiednio dobranego nastroju. – To nie znaczy, że to prosty manewr. Jest niewiarygodnie skomplikowany i wymaga ogromnych umiejętności i wielkiej odwagi.

– Pewnie masz rację i bardzo mnie to niepokoi.

Doskonale pamiętała eksperymenty przeprowadzane przez kapitan Tchagrę, która wysyłała w kierunku Szlaków sondy i przyglądała się, jak każda z nich zostaje rozdarta przez ogromny pęd, zdolny rozszarpać materię na podstawowe składniki. Szlak migotał, ponieważ bezustannie przemykały po nim drobne ziarenka pyłu kosmicznego, ginące w niewielkim, pięknym rozbłysku promieniowania. Sora uświadomiła sobie, że pędzą w kierunku owej granicy, gdzie czekała ich nieunikniona zagłada.

– Jak zdobyłeś syryngę, Merlin? – zapytała, usiłując narzucić sobie spokój i opanowanie.

– To nic szczególnego, nie ma na co patrzeć. Czarny stożek mniej więcej twojego wzrostu. Nawet za moich czasów nie byliśmy w stanie ich wytwarzać, nie udało się nawet bezpiecznie rozmontować tych kilku, które mieliśmy. Były niezwykle cenne.

– Kohorta nie była uszczęśliwiona, że podwędziłeś syryngę, jeśli wierzyć legendzie.

– Dowództwo się nie przejęło. Syryng pozostało tak niewiele, że bało się w ogóle z nich korzystać.

Sora zapięła pasy.

Mniej więcej wiedziała, na co się zanosi, choć przez dziesiątki tysięcy lat nikt nie zgłębił sekretów wchodzenia w Szlak. Tuż przed zderzeniem syrynga miała zaćwierkać, uwalniając serię fal grawitacyjno–kwantowych przy warstwie granicznej. Owa skóra, nie grubsza od długości Plancka, oddzielała normalny czas kosmiczny od przyspieszonego w obrębie Szlaku. Na krótką chwilę pęd miał zelżeć, pozwalając statkowi wnikać w nurt bez szkody.

Tak przynajmniej brzmiała teoria.

Muzyka przybierała na sile, aż osiągnęła *crescendo*, wzrastające przyspieszenie statku wcisnęło Sorę i Merlina w siedzenia. Wycie systemu napędowego zlało się z wariacką muzyką skrzypiec, zbyt harmonijnie, by mógł to być przypadek. Merlin nadal wyglądał na rozbawionego. Wreszcie na muzykę nałożyła się kaskada płynnych nut syryngi przełożonych na ludzkie spektrum audio. Przyspieszenie wzrosło krytycznie. I nagle znikło wraz z muzyką.

Sora przełączyła ekran na widok zewnętrzny.

Przez moment wydawało jej się, że gwiazdy oraz planety i słońce tego systemu nie uległy żadnej zmianie. Dopiero po kilku sekundach zauważyła, że płoną zdecydowanie jaśniej, a do tego są chyba również bardziej niebieskie – po jednej stronie nieba, natomiast po drugiej są ciemniejsze i bardziej czerwone. Z każdą chwilą błękit i czerwień nabierały intensywności, a ciała niebieskie zaczęły się skupiać, przemykać niczym ławice fosforyzujących ryb, posłuszne relatywistycznym prądom. Jakaś planeta dosłownie wyskoczyła znikąd i ścisnęła się, jakby

zmiądzona w dłoni. Układ, do którego należała, został gdzieś z tyłu niczym rozżarzone metalowe planetarium dopiero co wyrwane z kuźni.

– Proces przejścia do Systemu Szlaków zakończony powodzeniem – zameldował statek.

Później Merlin zabrał Sorę na dziobowe stanowisko obserwacyjne – półkulę z metasafiru, którą można było wypchnąć z kadłuba na podobieństwo wylupiastego oka. Gdy Merlin zamknął śluzę, ta natychmiast zlała się kolorystycznie z resztą pomieszczenia, nie pozostawiając najmniejszej nawet szpary czy szczeliny.

– Nie żebym chciała cię niepokoić czy coś w tym stylu – rzekła cyberasystentka. – Ale nie mogę się tu skontaktować z moją kopią. To zaś oznacza, że nie będę mogła ci pomóc, jeśli...

Sora pocałowała Merlina, co natychmiast uciszyło głos w jej głowie.

– Przepraszam – zmitygowała się od razu. – Wydawało mi się...

– ...że to właśnie należy zrobić? – Uśmiech Merlina był trudny do zinterpretowania, ale mężczyzna nie wydawał się niezadowolony.

– Nie, nie w tym rzecz. Zresztą pewnie nie to należało zrobić.

– Gdybym powiedział, że nie wydajesz mi się atrakcyjna, skłamałbym, Sora, i to mocno. No i, jak wspomniałem, minęło już sporo czasu, odkąd zaznałem towarzystwa innego człowieka – przyznał i przyciągnął dziewczynę do siebie. W nieważkości panującej w półkuli objęli się i zaczęli obracać, aż oboje stracili wszelkie punkty odniesienia.

– Oczywiście ocaliłem cię całkiem bezinteresownie...

– Oczywiście...

– Ale nie będę zaprzeczał, że gdzieś na skraju mojej

podświadomości migotała iskierka nadziei, maleńki promyk fantazji...

Ściągnęli ubrania, które zaczęły orbitować wokół ich splecionych ciał w niesfornych tłumokach. Kochali się, najpierw powoli, potem coraz szybciej, z narastającą pasją, jakby Sora dopiero teraz wybudziła się z długich stuleci hibernacji.

Pomyślała o Verdinie, a potem znienawidziła się w duchu za bezdennie głupią, biochemiczną przewidywalność własnego umysłu i niezawodność, z jaką podsuwał niewłaściwe wspomnienia w nieodpowiednich momentach. To, co miało miejsce między nią a Verdinem, zaszło trzy tysiące lat temu i tylko ona to pamiętała. Sora nie oplakała nawet jego śmierci, nie pozwoliła cyberasystentce, by spełniła tę osobliwą zachciankę. A teraz dziewczyna przyglądała się Merlinowi, pieściła go, poszukując oznak jego prawdziwego wieku, ale to nie znaczyło, że musiała się poddać kaprysom własnego ciała. Nie potrafiła jednak się przemóc, zresztą – pora była niestosowna na żalobę.

– Chcesz ujrzeć coś wspaniałego? – zapytał Merlin po wszystkim. Przez długą chwilę oboje bez słowa unosili się tylko w nieważkości.

– Jeśli sądzisz, że jesteś w stanie mi zaimponować...

Szepnął coś do okrętu i ściany nagle stały się przezroczyste.

Sora rozejrzała się. Dzięki jakiejś holograficznej sztuczce statek stał się niewidoczny. Tylko ona z Merlinem wolno płynęli w przestrzeni kosmicznej.

W istocie widok był wspaniały, chociaż Sora podświadomie nie wierzyła, że w stu procentach naturalny. Odcienie i natężenie światła musiały zostać zmienione, by człowiek mógł je ogarnąć. Ściany Szlaku przemykały z niewyobrażalną prędkością, opromienione intensywnym efektem Dopplera wywołanym

przez niszczone cząsteczki pyłu. Sorze zdawało się, że płynie z Merlinem w całkowitej czerni, w tunelu zbudowanym z migotliwego fioletu, ku nieskończoności. Czas, w którym statek się zanurzył, przemykał tak szybko, że różnica między jego prędkością a światłem wynosiła jedynie jeden do stu miliardów. Statek prześlizgiwał się przez migoczące obręcze Szlaku, pierścienie o średnicy ośmiu godzin świetlnych, nieodgadnione konstrukcje z materii egzotycznej, tworzące system tranzytowy rozciągający się na całą Galaktykę. Przed nimi wszystkie gwiazdy wszechświata zbijały się w opalizującą masę migoczącą niczym gromada świetlistych aniołów. Był to w rzeczy samej najpiękniejszy widok, jaki Sora kiedykolwiek spotkała.

– To tylko sposób podróżowania – rzekł Merlin.

Podróż trwała cztery dni czasu pokładowego. W świecie rzeczywistym upłynęło dziewiętnaście stuleci.

Subiektywny czas lotu w Systemie Szlaków wynosił jedynie dwadzieścia trzy godziny, niemniej statek często przechodził z jednego Szlaku na drugi, zaś te dzielił dystans przynajmniej kilkudziesięciu świetlnych minut. Powodem przypuszczalnie były koszarne konsekwencje zetknięcia się dwóch biegnących w przeciwnych kierunkach strumieni przyspieszonego czasu.

– Nie boisz się, że wpadniemy na Huskerów, Merlin?

– Ryzyko godne wielkiej nagrody, prawda?

– Opowiedz mi coś więcej o tym tajemniczym dziele, a być może ci uwierzę.

Merlin rozparł się w fotelu.

– Nie mam pojęcia, ile z tego, co wiem, jest prawdą.

– Zaryzykuję.

– Podobno dzieło może niszczyć całe światy. Ba, nawet gwiazdy, jeśli wierzyć opowieściom z dalszych krańców

Galaktyki.

Zerknął na swoją dłoń, jakby dopiero teraz zauważył nienagannie zadbane paznokcie.

– Zapytaj go, jak ta broń działa – odezwała się cyberasystentka.
– Będziemy przynajmniej miały jakieś pojęcie, jak drobiazgowo zbadał temat.

Zadała pytanie Merlinowi, siląc się na obojętny ton.

– Wykorzystuje grawitację – odparł. – Czy to nie oczywiste? Może to i słaba siła, ale cały wszechświat ją odczuwa.

– Czyli działło jest czymś w rodzaju większej syringi?

Merlin wzruszył ramionami, a Sora uświadomiła sobie, że nie przygląda się swoim paznokciom, lecz zauważonemu przez nią już wcześniej zdobnemu pierścieniowi z rubinem, na którym dwie iskry orbitowały niczym świetliki.

– Działło jest niemalże na pewno wytworem tej samej technologii, dzięki której mamy Szlaki, dziełem postludzkiej kultury zdolnej do zarządzania i mechanizowania czasu kosmicznego. Nie sądzę jednak, żeby działało na tej samej zasadzie co syrynga. Myślę, że wyrywa z próżni cząstki o niewielkiej masie i ściska je, aż wokół każdej z nich zamknie się horyzont zdarzeń.

– Czarne dziury – odpowiedziała cyberasystentka. Sora powtórzyła termin na głos.

Merlin wydawał się zadowolony.

– Bardzo małe czarne dziury, w skali atomów. Broń ładowała je, a potem posyłała z prędkością niewiele mniejszą od prędkości światła. Nie miały kiedy i jak się rozpaść. Oczywiście potrzeba było do tego mnóstwo energii – chodziło o to, żeby broń nie tylko wystrzeliła, ale i się nie rozpadła po strzale.

– Działło strzelające czarnymi dziurami? No, z czymś takim

tobyśmy wygrali, no nie? Nawet gdyby istniało tylko jedno.

Merlin bawił się swoim pierścieniem z rubinem.

– Właśnie.

Sora ujęła jego dłoń i pogładziła palce, aż jej własne musnęły pierścień. Był o wiele bardziej złożony, niż z początku sądziła. Bliźniacze iskierki wirowały wokół siebie niczym zaklęte w rytmie walca, zupełnie jakby poruszał je mikroskopijny mechanizm zegarowy zatopiony w rubinie.

– Co to oznacza? – miała świadomość, że to jednocześnie dobre, jak i złe pytanie.

– Oznacza... – Merlin uśmiechnął się, ale upłynęła chwila, nim zdołał dokończyć zdanie. – Wydaje mi się, że ten pierścień przypomina mi o śmierci.

Wyskoczyli ze Szlaku po raz ostatni i znaleźli się w systemie na pierwszy rzut oka niewiele się różniącym od tuzina innych, przez które przemknęli. Słońce układu było żółtą gwiazdą ciągu głównego, której towarzyszyła typowa kombinacja skalistych planet i gazowych gigantów. Druga i trzecia planeta były huczącymi, rozgrzаныmi piecami spowitymi w atmosferę kwasową o miazdzącej temperaturze. Czwarta była mniejsza i nosiła ślady terraformowania, które odbyło się zapewne po Rozkwicie. Atmosfera, choć rzadka, i tak była zbyt gęsta, by można ją uznać za naturalną. System pod różnymi kątami przecinało trzynaście rozmaitych Szlaków w bezpiecznej odległości od orbit planet i asteroid.

– To Nexus – rzekł Merlin. – Jedno z głównych skrzyżowań Systemu Szlaków. Na przestrzeni tysiąca lat świetlnych w Galaktyce i daleko poza nią znajdziesz takich wiele. Dawno temu, gdy wszyscy korzystali z Systemu Szlaków, ten układ musiał być miejscem licznych spotkań, transakcji handlowych i wymiany

plotek.

– A teraz to zwyczajne zadupie.

– Idealne, żeby schować coś bardzo dużego i bardzo paskudnego. Pod warunkiem, że zapamiętasz, gdzie to schowałeś.

– Coś mówiłeś o burzy...

– Zaraz sama zobaczysz.

Szlak wiódł w pobliże planet, ale Merlin powiedział, że to, czego szuka, znajduje się dalej, za głównym pasem asteroid. Dotarcie tam miało zająć kilka dni.

– A co masz zamiar zrobić, gdy już tam dotrzemy? – zapytała Sora. – Po prostu capnąć to coś i wziąć na pokład?

– Nie do końca – odparł Merlin. – Sądzę, że tak łatwo nam nie pójdzie. Pewnie trudno nie będzie, ale łatwo też nie.

Zawahał się, być może po raz pierwszy od chwili, gdy się spotkali. Aura bezgranicznej wiary w siebie przybladła.

– Jaką rolę mam w tym wszystkim odegrać? – zainteresowała się Sora.

– Jesteś żołnierzem. – Merlin wzruszył ramionami. – Domyśl się sama.

– Tak naprawdę to nie wiem, co znalazłam – rzekła cyberasystentka, gdy Sora znowu została sama. – Od dawna chciałam ci to pokazać, ale Merlin ciągle cię przetrzymuje w tych symulacjach wojennych. A jak nie symulacje, to obmacywanki. Dowiedziałaś się czegokolwiek o jego planach?

Merlin dysponował symulatorem, nieco mniejszym od modułów treningowych, które Sora знаła z przedszkola wojskowego.

– Wiele scenariuszy ma identyczny cel – atak na białą piramidę.

– To zaś sugeruje ukryte motywy, nie sądzisz? Zupełnie jakby Merlin wiedział, co tam zastaniemy.

– To przecucie męczy mnie od chwili naszego spotkania.

Przypomniał jej się zapach Merlina oraz szokująco naturalny sposób, w jaki zespalały się ich ciała, mimo że liczyły sobie po kilka tysięcy lat. Spróbowała wyprzeć te myśli z głowy. To, o czym właśnie rozmawiała z cyberasystentką, było zdradą, zdradą o wiele poważniejszą od wszystkich innych grzechów, które dotąd Sora popełniła, ponieważ ten występki odzierał z wszelkiej niewinności.

– Czego się domyślasz?

– Przeglądałam późniejsze wpisy do dziennika i odnalazłam coś, co się wydaje dość istotne, coś, co może okazać się punktem zwrotnym w poszukiwaniach tej broni. Nie mam pojęcia, co to takiego, i dopiero teraz pojęłam, jakie to dziwne.

– Co to takiego? Inny system?

– Chodzi tu o jakąś ogromną strukturę, która nie ustępuje wielkością gwiazdzie i jest osiągalna przez Szlaki.

– Czyli to jakiś artefakt Budowniczych Szlaków.

– Niemal na pewno.

Owa struktura była widoczna na ekranie. Przypominała dziecięcą zabawkę lub metaliczną rozgwiazdę, wykonaną z czegoś, co wyglądało jak klepane złoto lub połyskliwe skrzydło owadzie obwiedzione koronkowym rusztowaniem z materii egzotycznej. Wypełniało niemalże cały widok, mieniając się łagodną poświatą.

– To właśnie Merlin ujrzałby gołym okiem tuż po tym, jak jego statek opuściłby Szlak.

– Bardzo ładne – stwierdziła Sora. Chciała, by zabrzmiało to wymownie, ale wyszła jej tylko rzeczowość.

– I duże. Obiekt znajduje się w odległości ponad dziesięciu świetlnych minut, a więc ma jakieś cztery świetlne minuty przekroju. Bez dwóch zdań jest większy od każdej gwiazdy ciągu głównego, ale jakoś trzyma się w kupie. Nie do wiary, bo kształt ma absurdalny, a siły grawitacyjne w jego obrębie trudno sobie nawet wyobrazić. Merlin ochrzcił to Brittlestar – Kruchą Gwiazdą – co chyba nieźle pasuje.

– Na poezję się, draniowi, zebrało – mruknęła Sora.

Seksownemu draniowi, dodała w myślach.

– To nie koniec. Mam dostęp do zapisów sensorycznych statku, dzięki czemu mogę powiedzieć, że Brittlestar jest źródłem intensywnego promieniowania grawitacyjnego. Ta struktura przypomina latarnię lub nadajnik emitujący fale grawitacyjne. Nie wiem, co za mechanizm kryje się w jej wnętrzu, ale to dzięki niemu czas kosmiczny rytmicznie faluje.

– I pewnie sądzisz, że Merlin dostał się do środka?

– Nie wiem. Coś się zdarzyło, tego jestem pewna. Był to ostatni zapis w dzienniku, z chwili, gdy Merlin podchodził do obiektu. Potem nastąpiła miesięczna przerwa.

Zapis okazał się kolejnym wybełkotanym monologiem, lecz tym razem w szlochu mężczyzny brzmiało coś innego niż rozpacz. Był to płacz bezgranicznej radości, zupełnie jak gdyby wreszcie Merlin odnalazł to, czego szukał, lub przynajmniej odkrył, że nigdy nie był tak blisko upragnionego celu. Mimo to Sorę przeszył zimny dreszcz, gdy ujrzała mężczyznę na ekranie. Był to Merlin, bez wątpienia, ale jego twarz poznaczona była głębokimi bruzdami, a oczy należały do kogoś o wiele starszego, niż Sora mogła sobie wyobrazić.

Piąta i szósta planeta były największe.

Piątą, cięższą od szóstej, przecinały od bieguna do pasa

tropikalnego strefy rozmaitych uwarunkowań chemicznych, a opasywał system pierścieni, zawdzięczający swój kształt oddziaływaniu trzech dużych księżyców. Merlin uważał, że system pierścieni powstał po Rozkwicie. Na orbicie znajdowało się skupisko wypalonych promieniowaniem reliktyw ludzkiej inżynierii, pochodzących z niewyobrażalnie odległych epok, być może wcześniejszych nawet od Budowniczych Szlaków. Merlin przeczesał składowisko sensorami w poszukiwaniu ukrytej broni lub melanzu neutrin, zwiastujących obecność Huskerów, ale niczego nie odnalazł.

– Wiesz, gdzie się znajduje to działo? – zapytała Sora.

– Wiem, jak się do niego dostać, a to wystarczy.

– Może pora, żebyś przestał być tak tajemniczy. Tym bardziej że zamierzam ci pomóc.

Wyglądał na urażonego, jakby właśnie zepsuła niespodziankę, którą przygotowywał od wielu godzin.

– Wydawało mi się, że podróż dostarcza ci wielu emocji.

– Tu nie chodzi o emocje związane z podróżą, Merlinie. Tu chodzi o najpaskudniejszą broń we wszechświecie i o to, by ją przejąć przed wrogiem, a później przetrzepać mu skórę. Tu chodzi o broń, dzięki której możemy dokonać ksenobójstwa.

Westchnęła.

– Ksenobójstwa – powtórzyła. – Przykro mi. Czy pasuje to do romantycznych idei przyświecających twojej prawej, słusznej i świętej misji?

– Nie dojdzie do ksenobójstwa. – Merlin nerwowo dotknął swego pierścienia. – Posłuchaj, pragnę tego działa równie mocno jak ty. To dlatego poszukuję go od dziesięciu tysięcy lat.

Sora się zawahała. Nie wiedziała, czy to wyobraźnia płata jej figle, czy też może w żadnym z widzianych przez nią zapisów

Merlin nie miał tego pierścienia? Pamiętała dłonie starca z ostatniego zapisu, tego, który został wykonany przed kontaktem z Brittlestar, i była przekonana, że wtedy pierścienia nie było.

– Poszukiwana przez nas struktura znajduje się na najdalszym księżycu – teraz Merlin mówił rzeczowym tonem.

– Niech no zgadnę. Czy to biała piramida?

– Bingo – uśmiechnął się.

Zeszli na orbitę gazowego giganta. Wszystkie księżyce nosiły ślady intensywnej industrializacji od czasów Rozkwitu, ale ich pozostałości od wielu mileniów były niszczone przez kosmiczną radiację i mikrometeoryty. Sora przyglądała się powierzchni, ale nie dostrzegła niczego wyróżniającego się w skalno-lodowym pejzażu. Niczego z wyjątkiem wysokiej na kilometr białej piramidy na trzecim księżycu, krążącym na szesnastodniowej orbicie wokół planety. Piramida wyglądała jak wykuta z alabastru najwyżej przedwczoraj.

– Nie prezentuje się może subtelnie – rzekł Merlin. – Mechanizmy autonaprawcze muszą nadal działać w miarę dobrze, a to oznacza, że systemy obsługi działa nadal są sprawne. Oznacza to również, że działają systemy antywłamaniowe.

– O, świetnie.

– Nie jesteś podekscytowana? Właśnie mamy zakończyć najdłuższą wojnę w historii ludzkości!

– Tyle że nic z tego nie wyjdzie, prawda? Posłuchaj, bądźmy realistami. Zanim informacje o istnieniu tej broni dotrą do najodleglejszych obszarów działań wojennych, upłyną dziesiątki tysięcy lat. Nie załatwi się tego w tydzień.

– Rozumiem te rozterki – rzekł Merlin. – Wojna z Huskerami to jedyna znana nam rzeczywistość.

– Dobra, pokaż mi, gdzie to jest.

Na niskiej orbicie przelecieli nad piramidą, wypatrując ukrytej broni, ale żaden atak nie nastąpił. Podczas drugiego przejścia, na jeszcze niższej orbicie, statek Merlina opuścił kilka droidów, by dokonały rekonesansu i poszukały naziemnych systemów obronnych.

– Może kiedyś było tam coś większego – stwierdził Merlin. – Na przykład artyleria, która strąciłaby nas z odległości milionów kilometrów. Ale teraz chyba już nie działa.

Wylądowali kilometr od piramidy, a potem zaczekali na powrót droidów. Merlin pozostawił trójkę w terenie dla zabezpieczenia wejścia do piramidy, ale nie można było zbyt wiele oczekiwać od droidów, miały nieskomplikowane umysły i gdy już znalazły się poza zasięgiem przekazów ze statku – co nastąpiło zaraz po zbliżeniu się do konstrukcji – stały się praktycznie bezużyteczne.

– Kto zbudował piramidę? Jak się o niej dowiedziałeś?

– Zbudowała ją ta sama kultura, która wdała się w wojnę, o której ci mówiłem – odparł Merlin, gdy weszli do służby powietrznej i założyli pancerze na skafandry. – Była o wiele mniej zaawansowana technologicznie od Budowniczych Szlaków, ale historycznie do nich zbliżona. Przedstawiciele tej kultury wiedzieli wystarczająco dużo, żeby kontrolować broń i wykorzystać ją do własnych celów.

– Jak ją znaleźli?

– Ukradli ją. W owym czasie Budowniczy Szlaków... cóż, jak to ująć? Drzemali? Przestali zwracać uwagę na to, co się dzieje z wytworzonymi przez nich artefaktami?

– Znów stałeś się tajemniczy, Merlin.

– Przepraszam. To przez samotność.

– Spotkałeś kogoś, kto wiedział o dziale i powiedział ci, gdzie je

znaleźć? – dopytywała się Sora. I odmłodził cię przy okazji? – dodała w myślach.

– To chyba moja sprawa, no nie?

– Może kiedyś. Ale teraz siedzimy w tym razem. Jesteśmy partnerami. W porządku?

– Trwa wojna. Nic nie jest w porządku, Sora. – Na jego twarzy nadal widniał uśmiech, który łagodził brutalność jego słów. Nałożył hełm i obrócił go, by zaskoczył mechanizm uszczelniający.

– Jak wielkie jest to działo? – zapytała Sora.

Piramida wyrastała przed nimi, czysta i obojętna niczym gigantyczne origami. Wybrzuszenia terenu przesłaniały wejścia w jej podstawie – droidy Merlina zdołały przynajmniej odnaleźć drogę do wnętrza.

– Nie będziesz rozczarowana – zapewnił Merlin.

– I co potem, gdy już znajdziemy tę broń? Wywlecziemy ją stamtąd na plecach?

– Zaufaj mi. – Śmiech Merlina zatrzeszczał w radiu. – Z zabranie jej nie będzie najmniejszego problemu.

Szli powoli ścieżką oczyszczoną przez droidy, przez cały czas pod osłoną broni pokładowej *Tyrana*.

– Coś jest przed nami. – Merlin kilka minut później uniósł broń i wycelował w plamę mroku oddaloną o jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów. – To chyba artefakt, bez wątpienia metalowy.

– Sądziłam, że twoje droidy oczyściły drogę.

– Wygląda na to, że nie całkiem.

Merlin wysunął się przed Sorę. Gdy podeszli bliżej, plama mroku przeobraziła się w podłużny kształt do połowy zagrzebany w lodzie na lewo od traktu. Ciało.

– Leży tu nie od dziś – oznajmił Merlin, gdy znaleźli się na tyle blisko, by przyrzeć się znalezisku. – Pancierz został podziurawiony przez mikrometeoryty.

– To Husker.

Merlin pokiwał okrytą hełmem głową.

– Przypuszczam, że odwiedzili ten system kilka wieków temu. Z pewnością zaintrygowała ich piramida, nawet jeśli nie znali jej przeznaczenia.

– Nigdy nie widziałam żadnego z nich z bliska. Bądź ostrożny, dobrze?

Merlin uklęknął, by przyrzeć się istocie.

Trup był bardziej humanoidalny, niż Sora się spodziewała, mniej więcej tych samych rozmiarów i proporcji co człowiek słusznej budowy. Miał kombinezon o skórzastej, poczerniałej powłoce, zaopatrzony w kilka opancerzonych wypustek, grzbietów i rogów i pozbawiony jakichkolwiek elementów bezsprzecznie mechanicznych. Jedno ramię było wyciągnięte i kończyło się dłonią jak ludzka, chronioną rękawicą skomplikowanej budowy. Długa, guzłowata broń leżała tuż obok, a jej kształt zamazał ten sam proces erozji, który oddziaływał na Huskera.

Merlin złapał za hełm zmarłego.

– Co ty robisz?

– A na co to wygląda? – zapytał. Sapnął z wysiłku, próbując obrócić hełm, ale udało mu się, dopiero gdy zadziałał układ wspomagający kombinezonu.

– Zawsze chciałem znaleźć tak dobrze zachowanego – oznajmił Merlin. – Nigdy bym nie przypuszczał, że uda mi się sprawdzić, czy stara plotka jest choć w połowie prawdziwa.

W końcu udało mu się odłączyć hełm, który rozwarł się z

przodu od czubka aż po wypustkę przypominającą dziób. Z powstałej szczeliny buchnęła para. Merlin umieścił obie połowy na ziemi, a potem puknięciem uruchomił latarkę we własnym hełmie i nakierował strumień światła na trupa. Sora podeszła bliżej. Głowę Huskera oplatały wijące się przewody aparatury wspomagającej niczym winorośl rzeźbę.

Twarz była dobrze zachowana. I bardzo ludzka.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Sora. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że raz na jakiś czas warto uwierzyć w plotki – odrzekł Merlin.

– Mów po ludzku. Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć, albo nie zrobię ani kroku dalej!

– Niezbyt ci się to spodoba.

Sora zerknęła na marmurową twarz Huskera.

– Już mi się to nie podoba. Cóż mam do stracenia?

Merlin nie zdążył się odezwać, bo nagle runął na ziemię. Słabe przyciąganie księżyca sprawiło, że upadek był powolny.

– Cóż, wspaniałe wyczucie czasu – skomentowała cyberasystentka.

Instynkt pchnął Sorę do działania. Padła na ziemię i przywarła do pylistej powierzchni satelity. Merlin żył – oddychał, lecz każdy oddech był chrapliwy niczym szarpnięcie piły.

– Oberwałem, Sora. Nie wiem jak bardzo.

– Trzymaj się – rzuciła i sięgnęła po telemetr ukryty w skafandrze. Na wewnętrznej szybie hełmu dziewczyny pojawiła się diagnoza medyczna.

– Spójrz – rzekła cyberasystentka. – Trafienie bronią laserową w okolicach klatki piersiowej, na tyle małe, żeby układ uszczelniający uchronił przed spadkiem ciśnienia. Nie uchronił jednak przed wiązką.

– To groźna rana?

– Cóż, pięknie nie wygląda... Istnieje szansa, że przebijając tkankę, wiązka dokonała kauteryzacji, przez co nie dojdzie do obfitego krwawienia wewnętrznego.

Merlin zakaszłał i wykrztusił:

– Co to było?

– Myślę, że oberwałeś z lasera – odparła szybko Sora. – Może to element systemu obronnego piramidy.

– Powinienem oddać moje droidy do przeglądu. – Merlin usiłował się zaśmiać, co zostało przekazane jako seria agonalnych kaszlnięć. – Chociaż na to już ciut za późno.

– Jeśli tylko zdołam cię zawlec na statek...

– Nie. Musimy ruszać dalej. – Merlin znów zakaszłał i minęła dłuższa chwila, nim złapał oddech. – Im dłużej czekamy, tym trudniej będzie później.

– Szukasz tego działa od dziesięciu tysięcy lat, a przejmujesz się kilkoma minutami?

– Tak. System obronny piramidy został przecież zaalarmowany.

– Nie jesteś w stanie iść.

– Jestem. Muszę tylko nabrać tchu. Myślę, że mogę...

Jego słowa utonęły wśród kaszlnięć, ale mimo to się dźwignął. Gdy znów się odezwał, w jego głosie nie było nawet zadyszki.

– Nie wiem, co to było, ale założę się, że został tylko jeden. W przeciwnym razie nigdy nie doszlibyśmy aż tak daleko.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Merlin.

– To nie wszystko. Statek właśnie przekazał mi... khm... nie do końca miłą wiadomość. Wychwycił kilka źródeł neutrinowych, których wcześniej tu nie było.

– No wspaniale – westchnęła Sora. Nie potrzebowała

wyjaśnien, co to znaczy. Zbliżał się rój Huskerów, który najpewniej czekał w cieniu gazowego giganta, wystudzony do tego stopnia, że został przeoczony przez system sensoryczny.

– Skurwiele drzemali, czekając, aż coś się zacznie dziać.

– Dość sensowna strategia, moim zdaniem – wtrąciła cyberasystentka i wyświetliła mapę, potwierdzając zbliżanie się wrogich jednostek. – Na jednym z księżyców znajduje się płynny ocean. Przypuszczam, że Huskerzy skryli statki pod lodem.

– Ile czasu mamy, zanim tu dotrą? – Sora spytała Merlina.

– Góra dwie, trzy godziny.

– Dobra. A więc musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby dorwać to działo przed nimi, prawda?

Niosła go przez większość drogi. Merlin usiłował iść, lecz potykał się i znów wspierał na dziewczynie. Ani razu nie stracił jednak przytomności i Sora z nadzieją uznała, że laser rzeczywiście wypalił ranę.

– Wiedziałaś, że Husker będzie człowiekiem, nie? – zapytała, by podtrzymać rozmowę.

– Mówiłem ci, to plotki. Ta historyjka o rasie obcych cyborgów... To wymysł i tyle. Mówiłem ci, że nie będzie ksenobójstwa.

– Nie mówisz mi wszystkiego, Merlin.

Już mu chciała powiedzieć o symbioncie w głowie, ale odrzuciła ten zamiar z obawy, że zniszczy zaufanie, jakim obdarzył ją Merlin.

– Wiem, że mnie okłamujesz. Włamałam się do twojego dziennika pokładowego.

Znaleźli się już w cieniu piramidy. Schodzili po zboczu ostatniego wzgórza do wejścia.

– Sądziłem, że mi ufasz.

– Musiałam się upewnić, czy dobrze robię. I chyba miałam rację.

Wyznała wszystko, czego się dowiedziała – że Merlin podróżuje o dobre kilka dekad czasu pokładowego dłużej, niż powiedział, i że się zestarzał w trakcie podróży, być może również nieco oszalał. I że najprawdopodobniej odnalazł Brittlestar.

– Sęk w tym, Merlin, że nie wiemy... Że nie wiem, co się z tobą w tym miejscu stało, poza tym, że ma to jakiś związek z działem i że jak wyszedłeś, byłeś młodszy, niż kiedy tam wszedłeś.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No a jak ci się wydaje?

I tak oto Merlin rozpoczął opowieść, wleczony przez Sorę do miejsca przeznaczenia.

Piramida była otoczona dziesiątkami metrów samonaprawiającego się pancerza, białego jak kość. Jeśli jej projektanci nie uwzględnili w budowli jakiegoś wejścia, Sora wątpiła, czy uda im się dostać do środka.

– Tu też powinny być stanowiska obronne. – Merlin oparł się ciężko na jej ramieniu. – Mamy szczęście, że wszystko kiedyś się rozpada.

– Z wyjątkiem twojego baśniowego działła.

Szli opadającym w dół korytarzem. Ściany i sufit były nieskazitelnie czyste, a drogę pokrywał lodowy żwir z powierzchni księżyca.

– Nie zmieniaj tematu.

Merlin zakaszłał i podjął opowieść: – Starzałem się i traciłem resztki nadziei. Nie znalazłem działła i zastanawiałem się, czy się nie poddać. Alternatywą było pogrążenie się w szaleństwie. Potem znalazłem Brittlestar. Wyszedłem ze Szlaku, patrzę i oto

ona, pulsująca falami grawitacji.

– Trzeba by dwóch gwiazd neutronowych orbitujących wokół siebie, żeby uzyskać podobną siłę promieniowania – wtrąciła cyberasystentka.

– Co się później wydarzyło? – zapytała Sora.

– Nie jestem pewien. Nie pamiętam dokładnie. Wszedłem... Lub zostałem wciągnięty do środka, a tam... Tam spotkałem... – urwał, a dziewczyna przez chwilę sądziła, iż mężczyzna musi nabrać tchu. Tymczasem powód milczenia był inny. – Spotkałem tam istoty. Chyba nie da się ich nazwać inaczej. Natychmiast zrozumiałem, że są jedynie wysoce zaawansowanymi projekcjami programu konserwacyjnego pozostawionego przez Budowniczych Szlaków.

– I to oni cię odmłodzili.

– Wątpię, czy było to dla nich wyzwanie.

Korytarz się spłaszczyl i rozgałęził. Merlin pochylił się ku jednej z odnóg.

– Dlaczego to zrobili?

– Żebym mógł dokończyć zadanie. Żebym odnalazł działo.

Korytarz doprowadził ich do zwieńczonego kopułą pomieszczenia, w którym znajdowały się stanowiska kontrolne. Panowały tu ciemności, rozświetlane jedynie lampami na ich kombinezonach, nie było też sztucznie wytworzonego ciśnienia. Fotele i konsole stały dookoła kulistego urządzenia projekcyjnego, umieszczonego na szarym statywie z przeciwwagą. Nad niektórymi konsolami kuliły się trupy, z których niewiele pozostało prócz kości i wypłowiałych szmat. Przypuszczalnie zgniły do cna, zanim do pomieszczenia wtargnęła próżnia, co tak czy owak nastąpiło nie wcześniej niż dwadzieścia tysięcy lat temu.

– Musieli zostać zaatakowani jakąś bronią biologiczną. – Merlin opadł na jeden z foteli, który buchnął kłębami kurzu, ale bez trudu wytrzymał ciężar mężczyzny. – Bronią, która nie tknęła maszyn.

Sora chodziła, przyglądając się konsolom, które okazały się wytworem technologii o wiele doskonalszej od szczytowych osiągnięć Kohorty na przestrzeni wielu mileniów. Niektóre z widocznych symboli najprawdopodobniej stanowiły wzór dla tych stosowanych w głównym, ale nie była w stanie niczego odczytać.

Wydawało jej się, że Merlin sapnął z tłumionego bólu, ale gdy spojrzała, okazało się, że rozwija kabel optyczny z rękawa kombinezonu, jak wtedy, gdy spotkała go po raz pierwszy na kometarnym okruchu. Mężczyzna otworzył panel dostępu na konsoli i ukazały się skłębione zwoje srebrzystych obwodów. Doskonale wiedział, gdzie należy wsunąć wtyczkę, by jego mikroskopijne rzęski wniknęły do starożytnego systemu.

Pomieszczenie projekcyjne ożyło. Z centrum buchnęło bursztynowe światło, które tworzyło abstrakcyjne kształty, najwidoczniej urządzenia przeszły w tryb testowy. Na chwilę pojawił się schemat otoczonego pierścieniami giganta i jego księżyców wraz z pozycjami nadciągających statków Huskerów, a do tego skomplikowany opis w ideogramach. Cyberasystentka nie myliła się – przeciwnik na pewno ukrywał się na księżycu z płynnym oceanem. Zarysy jednostek falowały, zapewne pod wpływem gazowego giganta.

– Chciałaś wiedzieć, gdzie znajduje się działło – rzekł Merlin. – Zaraz ci pokażę.

Projekcja ukazała burzę przypominającą cyklon, szalejącą niedaleko równika planety, wielkie, wirujące czerwone oko w

atmosferze.

– To burza metastabilna – stwierdziła Sora. – Powszechne zjawisko na gazowych gigantach. Chyba nie chcesz mi wmówić, że...

Skryte w rękawicach palce Merlina śmigały teraz po klawiszach nieznanego przeznaczenia.

– Ta burza jest oczywiście zjawiskiem naturalnym. Jest lub przynajmniej była, zanim tamte istoty ukryły działo w jej wnętrzu. Wykorzystały zróżnicowanie ciśnienia, żeby utrzymać je w jednym punkcie atmosfery i uchronić przed uszkodzeniami. Pozostaje tylko jeden mały problem.

– Wal.

– To działo nie jest działem. Funkcjonuje jako broń, ale to przypadek. Budowniczym Szlaków na pewno przyświecały inne intencje, gdy je tworzyli.

– Nie nadążam.

– No to może powinienem opowiedzieć ci o pierścieniu.

Coś się działo na powierzchni gazowego giganta. Cyklon zachowywał się inaczej niż inne metastabilne burze widziane dotychczas przez Sorę. Rozrzucał dookoła postrzępione wiry, przypominające ogony morskich koników. Z każdą sekundą stawał się bardziej czerwony.

– Dobra, opowiedz mi o pierścieniu.

– Otrzymałem go od Budowniczych, gdy mnie odmłodzili. Jako przypomnienie, że mam przed sobą misję. Zrozum, moje niepowodzenie oznacza bardzo zły koniec wszystkich żywych istot w tej części Galaktyki. Co zobaczyłaś, gdy spojrzałaś na pierścień, Sora?

– Czerwony klejnot z dwoma wirującymi światełkami.

– Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, że te światełka

przedstawiają dwie gwiazdy neutronowe, dwa najgęstsze obiekty we wszechświecie? I że orbitują wokół wspólnego centrum grawitacyjnego?

– We wnętrzu Brittlestar.

Dostrzegła, że uśmiechnął się, chyba z kpiną.

– Tak – powiedział powoli. – Para gwiazd neutronowych, zrodzonych z supernowych, spętanych mocą grawitacji, krążących wokół siebie i powoli, powoli zbliżających się do siebie.

Cyklon wirował z furją, iskry błyskawic subatmosferycznych migotały na jego krawędziach. Sora odniosła wrażenie, iż uwalniana jest tytaniczna – i całkiem nieludzka – energia, zupełnie jak gdyby pod chmurami giganta rozgrywał się jakiś kosmiczny rytuał. W życiu nie widziała niczego równie przerażającego.

– Mam nadzieję, że będziesz wiedział, jak z tego strzelać, gdy przyjdzie co do czego.

– Cała potrzebna mi wiedza jest zawarta w pierścieniu. Przenika ona do krwi i tworzy odpowiednie struktury w moim umyśle, które przekazują mi dokładnie to, co powinienem wiedzieć, na tak głębokim poziomie świadomości, że ledwie zdaję sobie z tego sprawę.

– Rój Huskerów znajdzie się w zasięgu za pięćdziesiąt minut – odezwała się cyberasystentka. – Oczywiście przyjmując standardową taktykę roju oraz typową konfigurację broni. Jeśli Huskerzy wprowadzili jakiegokolwiek udoskonalenia, mogą znaleźć się w zasięgu nieco wcześniej.

– Merlin, opowiedz mi o tych gwiazdach neutronowych, dobrze? Muszę mieć o czym myśleć.

– Problemy się zaczną, gdy przestaną krążyć wokół siebie i się

zderzą. Na szczęście dzieje się to rzadko nawet w skali Galaktyki. Do takich sytuacji dochodzi raz na milion lat i najczęściej na tyle daleko, że nie stanowi to problemu.

– A jeśli nastąpi w pobliżu, co właściwie nam grozi?

– Wyobraź sobie uwolnienie w sekundę energii, jaką typowa gwiazda wydziela w przeciągu dziesięciu miliardów lat. Orbitujące gwiazdy zamienią się w gigantyczną fotoleptoniczną kulę ognia. Wystrzelą niewyobrażalnie jasne promienie gamma, a przestrzeń w promieniu tysięcy lat świetlnych zostanie wysterylizowana.

Cyklon zaczął się wybrzuszać w centrum. Był teraz idealnie okrągłym guzem wznoszącym się tysiące kilometrów nad powierzchnią planety. Przebił już dawno warstwę chmur i wyciągnął się niczym trąba powietrzna. Wkrótce Sora ujrzała go na tle przestrzeni kosmicznej. W środku cyklonu coś się unosiło.

– Budowniczości usiłowali to powstrzymać, prawda?

Merlin pokiwał głową.

– Odkryli ów binarny układ gwiazd neutronowych, gdy rozciągnęli swój System Szlaków daleko w kosmos. Uświadomili sobie, że od kolizji dzieli gwiazdy zaledwie kilka tysięcy lat, a oni nie są w stanie uczynić nic, żeby to zatrzymać.

Sora widziała teraz to, co chyba było ową legendarną bronią – wyglądało niczym ziarenko wynoszone w kolumnie trąby powietrznej. Działo było ogromne, może większe nawet od księżyca, lecz mimo to wydawało się kruche niczym filigranowy kandelabr i delikatne jak gatunek żyjących w głębinach meduz, emanujących własną bioluminescencją. Przebiwszy atmosferę, cyklon pozostawił działo i zaczął się wolno cofać, wirował coraz wolniej niczym gigantyczne koło garncarskie.

– Nic?

– Cóż, prawie nic.

– Zbudowali Brittlestar wokół tych dwóch gwiazd – podsumowała Sora. – To taki rodzaj tarczy, prawda? Kiedy dojdzie do zderzenia, Brittlestar przyjmie na siebie impet?

– Nawet technologia Budowniczych nie była w stanie wytworzyć struktury na tyle silnej, żeby mogła zneutralizować tak straszliwą energię. – Merlin spojrział na działło z projekcji, jakby dopiero teraz je zauważył. Jeśli odczuwał uniesienie, że wreszcie udało mu się je odnaleźć, nie dał tego po sobie poznać. Był blady, wręcz szary na twarzy, jakby oszukany czas nagle powrócił, by odebrać to, co podarowali mężczyźni Budowniczowie Szlaków.

– Zdolni byli jedynie do tego, żeby kontrolować gwiazdy i uniemożliwić im dalsze zbliżanie się do siebie – ciągnął. – Zatem stworzyli Brittlestar, ogromną konstrukcję, która miała tylko jedno przeznaczenie – bezustannie ingerować w orbity gwiazd neutronowych znajdujących się w jej sercu. Kiedy zbliżyły się do siebie choćby o angstrom, Brittlestar odpychała je o angstrom. Struktura została zaprojektowana tak, żeby działać nieprzerwanie przez milion lat, póki Budowniczowie nie znajdą sposobu na wyniesienie układu binarnego daleko poza Galaktykę. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób odpychali je od siebie?

Sora pokiwała głową, choć podejrzenie łatwo domyśliła się już odpowiedzi.

– Wykorzystywali niewielkie czarne dziury – powiedział Merlin. – Rozpędzali każdą niemalże do prędkości światła i zanim została unicestwiona w promieniowaniu obu gwiazd, oddziaływała grawitacyjnie na cały układ.

– Na tej samej zasadzie oparte jest działło. To nie zbieg okoliczności, prawda?

– To działo, czy raczej ów artefakt, który nazywamy działem, to komponent Brittlestar. Źródło czarnych dziur poruszających się z prędkością relatywistyczną niezbędnych do utrzymywania gwiazd z dala od siebie.

Sora rozejrzała się po pomieszczeniu.

– A ci obcy je ukradli?

– Jak już mówiłem, było im bliżej do Budowniczych niż nam. Posiedli wystarczającą wiedzę, żeby wymontować część Brittlestar. Wiedzieli, jak zneutralizować jej system obronny i usunąć potrzebny im mechanizm. Chcieli wygrać wojnę.

– Ale Brittlestar...

– Tak, od tego czasu nie działa prawidłowo. Kradzież podsystemu uszkodziła układy samoregeneracji, a mechanizmy wytwarzające czarne dziury nie są w stanie wykonać całej pracy. Gwiazdy neutronowe orbitują coraz bliżej siebie.

– Ale powiedziałeś, że do zderzenia brakuje ledwie paru tysięcy lat.

Merlin ani na moment nie przerywał pracy przy konsoli. Działo przybliżyło się jeszcze bardziej, najwyraźniej ignorując powszechne prawa niebiańskiej mechaniki. Daleko pod nim powierzchnia planety powróciła do stanu normalnego, poza tym, że burza przybrała nieco bardziej czerwony odcień.

– A więc może już zrozumiałaś, dlaczego tak desperacko próbowałem to działo odzyskać – rzekł Merlin.

– Chcesz je zwrócić. Tak naprawdę nigdy nie zależało ci na znalezieniu broni.

– Kiedyś tak było – odparł Merlin. Jego głos nagle stał się silniejszy, jakby sięgnął do ostatnich zasobów energii. – Ale teraz jestem starszy i mądrzejszy. Te gwiazdy spotkają się za niecałe cztery tysiące lat, a wtedy to, kto zwycięży w wojnie, będzie

kwestią raczej obojętną. Jesteśmy niczym dwie armie, nieświadome, że przyszło im się zmagać na ziemi tuż nad gotowym do wybuchu wulkanem.

Cztery tysiące lat, pomyślała Sora. Więcej czasu upłynęło od mojego urodzenia.

– Bez działa też zginiemy – zaproponowała. – Zniszczą nas Huskerzy. Kiepska sprawa, nie?

– Ale życie przetrwa. Jakies na pewno da radę przetrwać. Życie, które nadal będzie można uznać za człowieka.

– Chcesz mi dać do zrozumienia, że powinniśmy skapitulować? Że mamy dorwać najpotężniejszą broń wszechświata, ale jej nie wykorzystać?

– Nie twierdziłem, że wszystko okaże się proste, Sora. – Merlin niespodziewanie stracił siły i osunął się, na szczęście na tyle powoli, by zdążyła złapać go, nim padł na konsolę. W jej słuchawkach rozbrzmiał głośny kaszel.

– To, że nie mogę złapać oddechu, to tak naprawdę małe piwo – odezwał się mężczyzna, gdy w końcu odzyskał głos.

– Powinniśmy wracać na statek, droidy mogą pomóc...

– Za późno, Sora.

– A co z działem?

– W tych okolicznościach decyduję się na działanie raczej nierozważne. Co więcej, powierzę je tobie. Czy to brzmi jak całkowite szaleństwo?

– Zdradzę cię. Oddam działo Kohorcie. Wiesz o tym, prawda?

– Nie sądzę, żebyś się na to zdecydowała – odparł Merlin cichym głosem. – Myślę, że postąpisz właściwie i zwrócisz je do Brittlestar.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zdradziła!

Pokręcił głową.

– Właśnie wprowadziłem polecenie przekazujące ci kontrolę nad statkiem. Moje droidy są pod twoją komendą. Pokażą ci wszystko, czego zażadasz.

– Merlin, błagam cię.

Jego głos był już bardzo słaby, ledwie słyszalny w urywanych świstach oddechu. Sora pochyliła się, aż zetknęli się hełmami, miała nadzieję, że dzięki tej starej sztuczce będzie lepiej słyszeć.

– To na nic, Sora. Za późno. O wiele za późno. Klamka zapadła.

– Nie! – Potrząsnęła nim niemalże ze złością. Potem uderzyła w płacz, tak głośny, iż bez wątpienia ją usłyszał. – Nie chcę nawet wiedzieć, czego ode mnie żadasz!

– Weź pierścień, a wszystko stanie się jasne.

– Co? – Ledwie rozumiała własne myśli.

– Załóż pierścień. Zrób to teraz, Sora. Zanim umrę. Chcę mieć pewność, że wszystko załatwione.

– Umrzesz, jeżeli zdejmę ci rękawicę, Merlin. Przecież doskonale o tym wiesz. A ja i tak nie mogę włożyć pierścienia, dopóki nie wrócę na statek!

– Ja... Ja tylko chcę zobaczyć, jak go bierzesz. To mi wystarczy, Sora. I lepiej się pośpiesz...

– Kocham cię, ty draniu!

– Więc zrób to, o co proszę.

Ułożyła dłonie na mechanizmie uszczelniającym mankiet, wiedząc, że wystarczy ostrożnie go zwolnić, a potem obrócić szybko, by rękawica się zsunęła. Z rozszczelnionego kombinezonu zacznie uciekać powietrze. Sora zastanawiała się, ile czasu upłynie, nim Merlin straci resztki świadomości. Zapewne nie więcej niż kilkanaście sekund, chyba że wcześniej nabierze tchu. A w jego obecnym stanie będzie to trudne.

Zdjęła rękawicę, a potem ściągnęła pierścień.

Tyran oderwał się od powierzchni księżyca.

– Siły Huskerów tworzą formację do natarcia – rzekła cyberasystentka, łącząc się bezpośrednio z układem sterowania statku. – Sensory kadłuba wychwytyują fale namierzające. Nie unikniemy starcia, Sora.

Dziewczyna wiedziała, że cienki kadłub *Tyrana* jej nie ocali. Wiedziała też, że atak będzie błyskawiczny, dziewczyna nie zdąży nawet uświadomić sobie, co się stało. Nie oznaczało to jednak, że ma zamiar na to pozwolić.

Poczuła, jak działo porusza się zgodnie z jej wolą.

Zrozumiała, że nie zawsze tak będzie. Działo należało do niej dopóki, dopóty nie zwróci go Budowniczym Szlaków. W tej chwili jednak miała wrażenie, że działo stanowi nieodłączną część jej osoby, że jest bliźniakiem, którego nigdy nie знаła, lecz którego działania umiała przewidzieć. Poczuła, jak broń ładuje się, jak sięga głęboko w trzewia czasu kosmicznego, jak wysysa energię z kwantowej piany.

Sora wyczuła, że jest gotowe do działania.

– Pierwszy statek roju odpalił torpedy – zameldowała cyberasystentka. W jej głosie pojawiło się osobliwe drżenie. – Uruchamiam system obronny *Tyrana*.

Kadłub brzęknął niczym dzwon.

– System obronny neutralizuje torpedy. Rój odpala drugą falę. Lecą ku nam.

– Jak długo wytrzymamy?

– System obronny się wyczerpuje. Trzeciej fali nie sparujemy. Nie z tego zasięgu.

Sora zamknęła oczy i nakazała działu plunąć śmiercią.

Wycelowała w dwa z trzech elementów roju Huskerów, oszczędzając trzeci i najdalszy.

Patrzyła, jak relatywistyczne czarne dziury załamują przestrzeń wokół wybranych przez nią statków i błyskawicznie je miażdżą, niczym w wielkim imadle.

– Trzeci statek rusza maksymalną prędkością. Znajdujemy się w jego zasięgu maks... maksymalnym. Cofa wyrzutnie torped...

– Tu Sora w imieniu Kohorty – dziewczyna odezwała się w głównym na kanale otwartym. – Czy raczej tego, co zostało z Kohorty. Być może domyślcie się, co muszę wam przekazać. Mogę was zabić tylko dla kaprysu.

Czuła, jak broń przemawia do niej w szumie krwi, przekaz wyrażał chęć spełniania woli Sory oraz meldunek o gotowości do działania.

– Zamiast tego jednak zrobię demonstrację. Gotowi?

– Sora – odezwała się cyberasystentka – coś nie tak...

– Co?

– Nie czuję się... Nie czuję się dobrze.

Głos cyberasystentki w istocie nie brzmiał dobrze, zniknęły zeń wszystkie podobieństwa do głosu Sory.

– Ten pierścień coś tworzy w twoim umyśle, rodzaj interfejsu między tobą a działem, coś silniejszego ode mnie... To mnie wypycha, żeby zrobić sobie miejsce...

Merlin wspomniał o strukturach, które zbuduje pierścień w umyśle nosiciela.

– Przecież zapisałaś swoją kopię w pamięci statku.

– Ale tylko część – odrzekła cyberasystentka. – Nie całość. Gdzie tam znowu. Przykro mi, Sora. Wydaje mi się, że umieram. Rozmontowała system.

Włożyła w to dzieło mnóstwo artystycznego zacięcia i talentu, zostawiwszy sobie najlepsze na koniec. Rozpoczęła od księżyców – starła je na proch, który utworzył pierścienie wokół

macierzystych światów. Potem rozbiła planety, rozrzucając gorący popiół i plazmę. W końcu, kiedy nie miała już czego niszczyć, zwróciła działo ku słońcu układu i przeszła je salwą relatywistycznych czarnych dziur. Innymi słowy, wbiła zabójczy kij w szprychy nuklearnych procesów przekształcających masę w światło. Czyniąc to, naruszyła delikatny balans między ciśnieniem i grawitacją, który utrzymywał gwiazdę w całości. Sora patrzyła, jak słońce się rozpada, jak znikają zewnętrzne warstwy atmosfery w przedwczesnym akcie agonii, czekającym każdą gwiazdę tego typu po czterech miliardach lat. Potem dziewczyna skupiła się na ostatnim okręcie Huskerów, świadku jej demonstracji. Statek zawrócił i uciekł.

Mogła zabić wszystkich Huskerów na jego pokładzie.

Pozwoliła im jednak żyć. I pokazała im moc, która – choć tymczasowo – znajdowała się pod jej kontrolą.

Ciekawe, czy w Huskerach pozostało dość człowieczeństwa, by docenić moją wspaniałomyślność? – pomyślała Sora.

Następnie wprowadziła *Tyrana* do Systemu Szlaków. Pomknęła przed siebie, a ogromna, fosforyzująca bryła działa pędziła za nią niczym posłuszny smok. Dziewczynie serce zamarło, gdy wnikała do Szlaku, przestraszyła się, że syrynga nie zaśpiewa dla nowej pani.

Syrynga okazała posłuszeństwo, jak poprzedniemu właścicielowi.

A potem Sora – o wiele bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu – wspięła się na stanowisko obserwacyjne i przestawiła tryb ścian z metaszafiru na przezroczystość. Znowu wydawało się, że okręt nie istnieje.

Sora widziała tylko swe ciało i przemykające migotliwe granice Szlaku. Nadszedł czas, by zakończyć to, co zaczął Merlin.

Pat Cadigan Żałuję, że w antologii nie znalazło się więcej utworów tej pisarki. Przy doborze bynajmniej nie kierowałem się płcią, ale za każdym razem, gdy opowiadanie mnie porywało, okazywało się, że napisał je mężczyzna. Wyjątkiem jest poniższy utwór. Pat Cadigan (ur. 1953) jest pełnoetatową pisarką od 1987 roku, ale wcześniej przez dziesięć lat mimo zatrudnienia w Hallmark Company pracowała jako redaktorka niskonakładowych czasopism. Tam też ukazały się jej najwcześniejsze dzieła, jak *Last Chance for Angina Pectoris at Miss Sadie's Saloon*, *Dry Gulch* (1977), dobry zwiastun rodzącego się niekonwencjonalnego stylu pisarki. Po wydaniu powieści *Wgrzesznicy* (1991), ukazującej potencjalne niebezpieczeństwa zbyt głębokiego zaangażowania w rzeczywistość wirtualną, Pat Cadigan została okrzyknięta Królową Cyberpunku. Poniższe opowiadanie dotyczy tego samego problemu. Niektóre fragmenty zostały później rozwinięte w powieść pt. *Tea from an Empty Cup* (1998), której kontynuacją była *Dervish is Digital* (2001). Obie pozycje są doskonałym połączeniem cyberpunku z powieścią detektywistyczną. Z dumą przedstawiam oryginalne opowiadanie bez skrótów i przeróbek.

Pat Cadigan

ŚMIERĆ W ZIEMI OBIECANEJ

Dzieciak mógł sobie wybrać, co tylko dusza zapragnie – inny kraj, inną planetę, nawet inny wszechświat, mógł pójść za zachętami ukrytymi w poezji E.E. Cummingsa, które za jego czasów wydawały się mgliste i niejasne, lecz okazały się prorocze. Gówniarz mógł wybrać cokolwiek, ale dla niego najbardziej zajebistym uniwersum był blichtrowy, brutalny, posiekany na kawałki i pokryty lejami po bombach postapokaliptyczny Noo Yawk Sitty. Bynajmniej nie był to osobisty sentyment – postapokaliptyczny Noo Yawk Sitty stał na czele listy przebojów od trzynastu tygodni, wyprzedzając postapokaliptyczne Ellay oraz postapokaliptyczny Hong Kong, które twardo trzymały się na drugiej i trzeciej pozycji, czasami zamieniając się miejscami, ale nie ustępując pola innym.

Dore Konstantin nie rozumiała tej atrakcji. Być może dzieciak umiałby jej tę pasję wytłumaczyć, gdyby nie opuścił postapokaliptycznego Noo Yawk Sitty z poderżniętym gardłem.

Zabójstwo w trakcie sesji w Sitty również nie należało do rzadkości. Wedle dostępnych informacji był to ósmy tego typu przypadek w ciągu ośmiu miesięcy. Jak dotąd żadne oficjalne źródło nie wykazało, że zabójstwa były powiązane, ale nikt nie utrzymywał, że nie były. Konstantin nie miała pojęcia, co to oznacza, ale wiedziała, że Sitty z pewnością utrzyma się na pierwszym miejscu jeszcze przynajmniej miesiąc. W zachowaniu

kierowniczką nocnej zmiany salonu gier zachwyty co rusz wygrywał z przestraczem.

– Pani też wchodzi do Sitty? – Spojrzała pytająco na Konstantin, przepychając się przez drzwi obok. Kierowniczka nazywała się Guilfoyle Pleshette i raczej nie miała predyspozycji, żeby się gdziekolwiek przepychać. Przypominała wiązkę patyków w krzykliwym kimonie, mówiła głosem z kreskówki i nosiła fryz *la van der Graaf*. Razem z fryzurą sięgała Konstantin do ramienia.

– Nie, jeszcze nigdy się na to nie zdecydowałam – odparła Dore, przyglądając się, jak DiPietro i Celestine ściągają skafander sieciowy, by koroner mogła przyjrzeć się ciału. Niewiele się to różniło od obdzierania zwierzęcia ze skóry, poza tym, że przedstawiało się o wiele ohydniej, i to nie tylko ze względu na krew, jaka zakrzepła na kombinezonie. Nagie ciało chłopaka pokrywała bowiem gęsta, skomplikowana płatanina linii i kształtów odcisniętych przez przewody i sensory skafandra.

„Tak, to nowość w dziedzinie systemów nerwowych”, Konstantin wyobraziła sobie ożywiony głos wykładowcy. „System neoeksonerwowy, podłączony za pośrednictwem skafandra sieciowego. Każda z linii i kształtów ma swój odpowiednik po zewnętrznej stronie bariery skórnej. Bariera nie może na razie zostać pokonana ze względu na...”.

Trwający w jej wyobraźni wykład urwał się, gdy fotograf koronera pochylił się, by zrobić zdjęcie głowy i ramion chłopaka, odepchnąwszy przy tym reporterkę z „Police Blotter” pod ścianę. Ta, bynajmniej niezrażona, uniosła kamerę wysoko nad głowę i skierowała obiektyw w dół, nie przestając kręcić. W tym tygodniu „Police Blotter” doprowadził do wycofania wprowadzonego w zeszłym tygodniu ograniczenia w sprawie

sieci komercyjnych. Konstantin nie mogła się doczekać następnego tygodnia.

Gdy skafander został ściągnięty do bioder, smród nieczystości zdominował ciężki zapach krwi i kwaśny odór potu w pomieszczeniu rozmiarami przypominającym wychodek, jakie Konstantin swego czasu dzieliła z byłym. Dziś rano, po tym jak rzeczy byłego znikły bezpowrotnie, kibel wydał jej się większy, ale to pomieszczenie zdawało się kurczyć z minuty na minutę. Koroner, jej fotograf, reporterka, DiPietro i Celestine zaopatrzyli się w filtry nosowe. Filtr Konstantin leżał sobie spokojnie w najwyższej szufladzie jej biurka.

Zakrywając nos i usta dłonią, cofnęła się do korytarza, gdzie cierpiał katusze jej partner. Problemem Taliaferro jednakże była ograniczona przestrzeń i niski sufit, nie powietrze, które było tylko nieświeże i zastałe. W ślad za Konstantin wyskoczyła Pleshette, szukając czegoś energicznie w kieszeniach kimona.

– Kiepska sprawa. – Zerknęła na Taliaferro, który nawet nie zareagował na jej słowa. Opierał się plecami o ścianę i unosił ramiona tak wysoko, iż nieomal zakrywały uszy, pochylił się przy tym tak nisko nad archiwerem, jakby rzeczywiście spodziewał się, że sufit zleci mu na głowę. Z miejsca, gdzie stała Konstantin, partner wyglądał, jakby kreślił rysikiem po dłoni, bo archiwera nie było widać.

Nigdy nie posyłaj klaustrofoba, by wykonał robotę agorafoba, pomyślała Konstantin, czując się nieco surrealistycznie. Taliaferro, który z niezrozumiałych dla niej powodów wymawiał swe nazwisko „Tolliver”, był potężnie zbudowanym facetem i czasem zastanawiała się, czy istniały miejsca, w których czuł się swobodnie. Nie licząc aren, oczywiście.

– Zajebicie kiepska sprawa – dodała Pleshette, jakby to miało

w jakikolwiek sposób sprecyzować jej wcześniejsze stwierdzenie. Jej koścista dłoń wygrzebała z ukrytej kieszeni niewielki spray. Powietrze wypełniła fala przesadnie słodkiego miętowego zapachu.

Rysik Taliaferro zamarł, gdy mężczyzna zwrócił spojrzenie na kierowniczkę salonu.

– Niezbyt pomogło – mruknął ponuro.

– Proszę tylko zaczekać! – Zamachała rękami, by rozprościć zapach. – Jeszcze chwila, a nic pan nie poczuje. To znieczula nos, bez przerwy tu tego używam. W tym fachu nawąchałam się ludzkich smrodów. Skafandry walą na potęgę.

Wskazała przy tym rząd drzwi wzdłuż długiego, wąskiego korytarza.

– Słyszeliście o module *Wojna gangów*? Trzeba jednego z drugim pasami przymocować do leżanek, bo inaczej porozpieprzaliby skafandry. Tarzaliby się, odbijali od ścian, skakali po sobie. W *Wojnie gangów* łatwo jest uwolnić pierwotne instynkty.

„Uwolnić pierwotne instynkty”, powtórzył bezgłośnie Taliaferro, patrząc na Konstantin spod krzaczastych brwi. Ta wzruszyła ramionami.

– Nigdzie nie widzę leżanek.

– Wyciąga się je ze ściany. Łapiesz i rozkładasz, tak jak te stare wyrka Murphy’ego.

Konstantin uniosła brwi. Zaskoczyło ją to, że ktoś taki jak Pleshette zna pojęcie łóżek Murphy’ego, a potem poczuła, jak zalewa ją wstyd. Jej eks zawsze mówił, że do największych wad Dore należy snobizm.

– Większość ludzi nie używa leżanek – ciągnęła Pleshette. – Z wyjątkiem sekserów. Jeśli można, ludzie omijają je szerokim łukiem. No, był jeden palant, co na leżance zrobił sobie krzywdę.

Poniosło go podczas walki, pozrywał pasy i połamał sobie parę żeber. Niby nieźle, ale to – pochyliła się ku Konstantin, jakby chciała powierzyć jej sekret – to jeszcze nic. Wiesz, co jest najlepsze w tej historii?

Konstantin pokręciła głową.

– Najlepsze jest to, że jego postać w dokładnie tej samej chwili złamała dokładnie te same żebra – oznajmiła Pleshette, wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersi, zadzierając podbródek, jakby gotowała się na pierwsze oznaki niedowierzania ze strony Konstantin. – To zawsze była niebezpieczna zabawa, a jeszcze źle się skończyła.

– Doszło do tego wypadku tutaj? – spytał Taliaferro, nie unosząc spojrzenia.

– Nie, gdzieś indziej. W North Hollywood albo South Hollywood, nie pamiętam – rękawy kimona kierowniczkii łopotały niczym skrzydła, gdy uzupełniała wypowiedź gestykulacją. – Ale wszyscy o tym wiemy. Plotki szybko się rozchodzą.

Konstantin pokiwała głową, przygryzając wargę, by powstrzymać uśmiech.

– Aha. Czy to ten sam gość, który nie otworzył spadochronu w swojej symulacji skoku i znaleziono go nieżywego, z połamanymi wszystkimi kośćmi?

– Oczywiście, że nie. – Pleshette spojrzała na nią, jakby ta postradała zmysły. – I jak niby miałoby do tego dojść? Tamten palant przecież umarł. O tym też dużo się mówiło. Gość wykitował w D.C. Ostro się tam zabrali za scenariusze nagłej śmierci.

Znów pochyliła się ku Konstantin i pochwyciła ją wychudzoną dłonią za ramię.

– Powinniście się zająć tą sprawą, bo nie wiadomo, skąd ci goście w D.C. biorą śmiertelne symulacje. Życie tam stało się dość tanie. To zupełnie inny świat.

Konstantin zastanawiała się, czy należy przytaknąć, czy może zmienić temat, gdy z pomieszczenia wychynęła koroner wraz z depczącym jej po piętach fotografem.

– ...robiła zdjęcia wszystkiego, co ja – skarżył się fotograf.

– A ja ci radzę, olej to. – Koroner machnęła dłonią. – Możemy wezwać ją przed sąd i sprawdzić, czy jej zdjęcia naprawdę są lepsze od twoich. Pewnie nie są. A teraz spadaj.

Odepchnęła go lekko.

– Ale ja po prostu wiem, że ona znalazła się na niektórych z moich zdjęć...

– Z tym też sobie poradzimy. No, spadaj już. I to szybko – koroner odpędziła fotografa i zwróciła się ku Konstantin. Była malutką kobietą, rozmiarów mniej więcej dziesięcioletki. Konstantin przypomniała sobie, że ma to coś wspólnego z religią, z Kościołem „Małe Jest Piękne”. Wierni tego wyznania zatrzymują swój wzrost w dzieciństwie. Konstantin zawsze się zastanawiała, czy ci, którzy tracą wiarę, mogą potem urosnąć.

– Cóż, bez wątplenia temu chłopakowi poderżnięto gardło jeszcze za życia – stwierdziła koroner, rozglądając się. – I to w takim właśnie pałacu. Wyobraźcie sobie tylko.

– Okoliczności zabójstwa też mamy sobie wyobrazić? – spytała Konstantin.

Koroner przygładziła sterczące niczym druty miedzianorude włosy, a te sprężyste powróciły do pionu.

– Wedle mikroskanu gardło przecięto nożem lub jakimś innym metalowym urządzeniem z ostrzem, na pewno nie szkłem czy porcelaną. Możemy również wykluczyć samobójstwo. Kąt cięcia

nie pozostawia co do tego wątpliwości, a poza tym dzieciak był cieniem w SR. Nie miałby nawet siły, żeby przetrząść sobie tchawicę.

– Co to był za nóż, twoim zdaniem?

– Ostry i masywny, przypuszczalnie nóż do cięcia kości. Są teraz w modzie. Czy może raczej tutaj w modzie. Fani symulacji uwielbiają te zabawki.

Konstantin zmarszczyła brwi.

– Super. Wiesz, co będzie za godzinę w wiadomościach.

Koroner wachlowała się drobną rączką.

– Tak, tak, jasne. Psychoza fanów gier. Wszyscy słyszeli już o gościu, który został pokłuty w module sztucznej rzeczywistości i wyciągnięto go z raną wymagającą szesnastu szwów. A co z ową zakonnicą, którą pokazali w telewizji z krwawiącymi stopami i dłońmi? To wszystko tylko element współczesnej maszyny produkującej mity. Nie brakuje przecież ludzi, którzy spędzili za dużo czasu w SR, rzeczywistość pomieszała im się z symulacją i zrobili krzywdę sobie lub komuś innemu. Ale jeśli chodzi o stygmaty – wszyscy szybko i wygodnie zapomnieli, jak stygmaty Siostry–Marii–Krwi–Świętej–Cholera–Wie–Kogo zostały ujawnione jako fałszerstwo przez jej bractwo. Dobra siostrzyczka swego czasu występowała na scenie jako magik, zanim się wzięła za religię. Jest nawet plik pokazujący, jak wyczyniała cuda, dryfując dookoła PubNet – szczerze polecam. Niezłe rytmy. Prawdziwe stygmaty byłyby *extremo ruptura* – bardzo poważnym schorzeniem głowy, które nie przytrafiło się nikomu od czasów świętej Teresy.

– Której? – zapytała Konstantin.

– Niezłe – zachichotała koroner. – Której świętej Teresy?

Zaśmiała się raz jeszcze i pokręciła głową.

– Znajdziesz mój raport w skrzynce – powiedziała i odeszła korytarzem, nie przestając się śmiać.

– Cóż – kierowniczką parsknęła pogardliwie. – Niektórzy ludzie powinni lepiej trzymać się tego, co wiedzą, a nie nabijać z tego, o czym nie mają bladego pojęcia.

– Przyjmij przeprosiny, jeśli cię uraziła – rzekła Konstantin. – Czy istnieje jakiś inny sposób, żeby dostać się do tego pokoju? Są jakieś otwory wentylacyjne, dziury na przewody, wyjścia awaryjne?

Pleshette potrząsnęła czupryną.

– Nie.

Konstantin już miała poprosić o plany budynku, gdy Taliaferro zamknął swój archiwiz z trzaskiem, który zabrzmiał jak wystrzał.

– Dobra. Teraz przyda się trochę więcej miejsca. Przesłuchamy waszą klientelę. No, na zewnątrz. Na parking.

– Ale my nie mamy parkingu. – Pleshette zmarszczyła brwi.

– Nie chodziło mi o wasz. Kawalek dalej jest wypożyczalnia samochodów. Zapędzimy tam wszystkich i zadamy parę pytań. – Taliaferro spojrzał na Konstantin. – To przestronny parking. Mnóstwo przestrzeni.

– Najpierw wyszukajmy wszystkich, którzy grali w ten sam scenariusz – westchnęła Konstantin. – Sprawdzimy, czy ktoś pamięta coś dziwnego w zachowaniu dzieciaka. Może to podpowie nam, co się z nim stało.

Oboje ruszyli korytarzem.

– Sami też moglibyście to sprawdzić – powiedziała Pleshette.

Konstantin zatrzymała się. Taliaferro szedł dalej, nie oglądając się.

– Co takiego? – zapytała.

– No, moglibyście sami sprawdzić, co robił dzieciak, gdy ktoś mu pożenił kosę. Mamy kopię nadzoru.

– Kopię nadzoru? – zapytała Konstantin, niepewna, czy dobrze usłyszała.

– A co w tym dziwnego? – Kierowniczka nocnej zmiany spojrzała na nią z przekrzywioną głową. – Sądzisz, że pozwalam, żeby jakieś palanty szalały w salonie bez umiaru? Któż może wiedzieć, co tu się wydarzy? A ja nie chcę ponosić odpowiedzialności nawet za skaleczony palec. Nikt tego nie chce.

– Czy mogę odtworzyć nagranie w twoim biurze?

– Możesz sobie je odtworzyć, gdzie ci się żywnie podoba. – Pleshette zmrużyła brwi, nadal zdziwiona.

– Dobra. Przygotuj mi je do wglądu w swoim biurze.

– W moim biurze... – Zmarszczka na czole Pleshette pogłębiła się.

– Jakiś problem? – Konstantin zatrzymała się w połowie drogi do pokoju, z którego dobiegły przekomarzania DiPietro i Celestine z reporterką.

– Chyba nie. – Kierowniczka wzruszyła ramionami. – Chcesz obejrzeć nagrania. W moim biurze. Dobra.

Konstantin nie wiedziała, jak rozumieć grymas na drobnej, zabawnej twarzy Pleshette. Może niepotrzebnie próbowała się doszukać czegokolwiek, może po prostu drobna, zabawna twarz w małym, zabawnym, czynnym całą dobę światku. W małym, zabawnym, czynnym całą dobę sztucznym światku. Konstantin zdążyła się już domyślić, że kierowniczka nocnej zmiany nie widziała prawdziwego światła słonecznego od łąt.

To nie mój problem, pomyślała, wsuwając głowę do pomieszczenia, gdzie Celestine i DiPietro dowcipkowali, usiłując przyciągnąć uwagę reporterki, reporterka zaś udawała, że nie

próbuję wyciągać z nich informacji, a oni udawali, że nie wiedzą, że udaje, że nie wyciąga z nich informacji. Nikt natomiast nie musiał udawać, że martwy dzieciak został chwilowo zapomniany.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Konstantin odrobinę oschle.

DiPietro i Celestine unieśli na nią wzrok. W swych identycznych białych kombinezonach wyglądali jak niedokończone marionetki.

– Niedługo po niego przyjadą. Zanim przystąpicie do gruntownego przeszukania pomieszczenia, może wypadaloby – wskazała ciało – jakoś go przykryć.

– Pewnie. – Celestine nagle rzuciła w nią czymś okrągłym i owiniętym w plastik. – Orientuj się!

Konstantin instynktownie złapała przedmiot, błyskawicznie rejestrując jego kształt.

To głowa tego dzieciaka! – pomyślała z przerażeniem. Rana szyi była tak głęboka, że głowa odpadła podczas ściągania skafandra!

Potem wyczuła metal i zrozumiała, że to kask z monitorem.

– Och, niezły dowcip, Celestine. – Wsunęła kask pod pachę. – Gdybym to upuściła, wypełnialibyśmy formularze w tej sprawie przez cały najbliższy rok.

– Ty miałabyś upuścić? Nie w tym życiu – wyszczerzyła zęby Celestine. Jej bokobrody sprawiały, że twarz wydawała się dwakroć szersza niż w rzeczywistości. Konstantin zastanawiała się, czy można pozwać kosmetologa za błąd w sztuce.

– Dziękuję za akt wiary, ale następnym razem zachowaj go na wizytę w kościele – odparła Konstantin i ruszyła korytarzem do głównego lobby. Pleshette szła za nią z szelestem kimona.

Oczekiwała ich para umundurowanych funkcjonariuszy policji – mężczyzna i kobieta – oraz trzech innych pracowników nocnej zmiany, którzy pod oknem frontowym przysiedli na wysłużonej kanapie z imitacji skóry. Pozostali policjanci oraz klientela znajdowali się już na parkingu wypożyczalni samochodów z Taliaferro, jak powiadomiła policjantka. Konstantin pokiwała głową, unikając patrzenia na starannie przystrzyżony rudawy wąs kobiety. Nie było to co prawda tak ostentacyjne jak bokobrody Celestine, ale Dore nie umiała się przyzwyczaić do mody na owłosienie twarzy u kobiet. Jej eks pewnie uznałyby, że Konstantin jest zacofana, i być może miałyby rację.

– Nie ma sprawy, bylebyśmy wiedzieli, gdzie są. – Konstantin podała funkcjonariuszce worek z kaskiem. – To dowód. Zajmij się nim. Jest kilka nagrań z kamery nadzoru, które chciałabym obejrzeć w biurze kierowniczkii, zadam też kilka pytań pracownikom.

Ludzie na kanapie wpatrywali się w nią z napięciem.

– Czy to cały personel nocnej zmiany?

– Cała zgraja – zapewniła ją Pleshette.

Konstantin rozejrzała się. W niewielkim lobby nie było gdzie się schować i przypuszczalnie nie znajdowały się tu żadne tajne drzwi. Obskurna i dołująca klitka – po spędzeniu tu kilku minut każda symulacja SR okazałaby się wspaniałym przeżyciem. Jeden z ludzi na kanapie wstał i wyciągnął dłoń do Konstantin.

– Miles Mank – odezwał się mocnym głosem.

Konstantin zawahała się. Oczy mężczyzny były wodniste, a jego wzrok mętny – tak zawsze wyobrażała sobie ludzi, którzy nie czuli się najlepiej. Był od niej wyższy o kilka cali i cięższy o przynajmniej sto funtów. Mięciutkie tłuste funty upchnięte w

lśniący błękitny jednoczęściowy uniform wraz ze spojrzeniem i włosami koloru słomy sprawiały, że z wyglądu ten mężczyzna osobliwie przypominał dziecko. Ucisnęła jego dłoń.

– Czym się tu zajmujesz?

– Nadzoruję. Cóż, nieoficjalnie nadzoruję – dodał, zerknąwszy na Guilfoyle Pleshette. – Pracuję tu najdłużej, stąd też to zawsze ja tłumaczę wszystkim, jak co działa.

– No to wal, Miles – ponagliła Pleshette jałowym, wypranym z emocji tonem. Wyprostowała ramiona i znów założyła je na piersi, a wtedy rękawy kimona zafurkotały niczym proporczyki na ostrym wietrze. – Powiedz, że gdyby cię awansowano, to właśnie ty byłbyś kierownikiem nocnej zmiany. Potem ja opowiem, jak to szefostwo musiało szukać doświadczonego – położyła nacisk na to słowo – administratora. I będziemy kwita.

– Nikt nigdy nie umarł, kiedy ja kierowałem nocną zmianą – oburzył się Miles.

– Taaa, to prawda. Przecież wszyscy przeżyli awanturę, po której firma musiała zwracać klientom forszę. Ale nikt nie wykitował, więc można uznać, że masz czyste konto.

Miles Mank minął Konstantin i stanął przed Pleshette. Górował nad nią wzrostem, przez co musiała zadrzeć głowę, by wymachiwać kościstym palcem przed jego twarzą. Konstantin zaś wyczuła ów trącający paniką chłód, który nieodmiennie zdradzał ludziom u władzy, że sytuacja zaraz wymknie się spod kontroli. Nim jednak rozkazała Mankowi, by przestał kłócić się z Pleshette, wąsata policjantka pociągnęła ją za rękaw i pokazała taser nastawiony na oślepienie.

– Mam interweniować?

Konstantin zerknęła na jej plakietkę z nazwiskiem.

– Jasne, Wolski, nie żałuj sobie.

Cofnęła się o krok i zasłoniła oczy.

Rozbłysk, który trwał ułamek sekundy, przyniósł Konstantin niecodzienną ulgę. Porażeni zostali Guilfoyle Pleshette i Miles Mank, a także drugi z policjantów, którego Wolski zapomniała ostrzec, oraz pozostali dwaj pracownicy i Taliaferro, który akurat w tym momencie wkroczył do środka. Wybuchł nieopisany zgiełk.

– Cisza! – wrzasnęła Konstantin.

Ku jej zdumieniu wszyscy się zamknęli. Rozejrzała się. Nie licząc jej i policjantki Wolski, wszyscy ludzie zasłaniali dłońmi oczy. Przypominali zlot japońskich małpek, które niczego nie widzą.

– Mam zamiar przejrzeć zapis ostatniej sesji ofiary w biurze kierowniczkich, a potem przesłuchać resztę zespołu – oznajmiła i zwróciła się ku Taliaferro: – Potem chciałabym przepytac każdego, kto znajdował się w tym samym module i grał w ten sam scenariusz.

Czekała, ale olbrzym nadal tylko zasłaniał oczy.

– To zaś oznacza, że będę do ciebie dzwonić, partnerze, żebyś przyprowadził tu kilku wybranych ludzi. – Odczekała kilka sekund. – Zrozumiano, Taliaferro? – zapytała zmęczona.

– Wolę przeprowadzić wstępne przesłuchanie wśród klientów – rzucił w powietrze tam, gdzie jego zdaniem stała. Pomylił się o dwie stopy. – Zniecierpliwia się, jak będą czekać, aż ich zawołasz. Będziemy musieli fundować im pizzę, pozwalać na telefony i tak dalej.

Konstantin przewróciła oczami.

– A więc pozwól im na telefony i zafunduj pizzę! – rozkazała, po czym zwróciła się do Pleshette: – Zaprowadź mnie do biura.

– Kto? Ja? – zapytał Miles Mank. – Obawiam się, że nie mam

biura. Muszę się zadowalać kantorkiem dla całego zespołu.

– Cierp, Mank, cierp. – Pleshette spojrzała na niego spomiędzy palców. – Poza tym nikt nic do ciebie nie mówił.

Już zaczynała opuszczać dłonie, ale nagle zmieniła zdanie.

Konstantin westchnęła. Ich wzrok miał wrócić do normy za parę minut, mniej więcej w tym samym czasie mieli też odzyskać normalną cerę, chyba że któryś z nich cierpiał na wysypki wywoływane ostrym światłem. Być może należało okazać więcej współczucia, ale Konstantin nie sądziła, by ktokolwiek z oślepionych je zauważył. Położyła więc dłoń na lewym ramieniu Pleshette.

– Biuro?

– Proszę za mną – rzekła Pleshette. – O ile odzyskam wzrok na tyle, by je znaleźć.

Biuro było mniejsze od cuchnącej klatki, w której zginął dzieciak. Może to i dobrze, bo tylko dlatego Konstantin nie zacznie łapać za wszystko, co się da rozwalić, i rzucać tym o ściany, jeżeli tak zwany zapis z kamery nadzoru okaże się dziennikiem SR, a nie nagraniem w czasie realnym, przedstawiającym śmierć delikwenta. W takim miejscu rzucanie czymkolwiek miało się z celem – w przeciwieństwie do salonu, w którym odbyła finalną kłótnię ze swoim eks, było tu za mało miejsca, by cokolwiek rozwalić z satysfakcjonującym impetem.

Zabrała się więc do oglądania wideo. Nie odpuściła sobie ani chwili, obejrzała nawet wstęp, z którego dowiedziała się, że jedynym użytkownikiem będzie nieobecny na ekranie obserwator i że można skorzystać z edycji, by uzyskać zbliżenie czy przesunięcie kamery pod innym kątem, oraz że można również ściągnąć podręcznik, gdyby Konstantin miała ochotę stanąć w szranki z Fellinim czy D.W. Griffithem.

Jakże to pomocne, pomyślała, zatrzymując nagranie przed rozpoczęciem scenariusza. Niezmiernie pomocne. To co, mam zdecydować, jak poprzerabiać nagranie, zanim je obejrzę?

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to wszystko mieści się w kategorii „Niespodzianki i upominki”. Nagranie swoich igraszek w SR, wideo ze ślubu przyjaciela, naprędce kupione widokówki z kiosku na lotnisku w Limie w charakterze pamiątki z ostatniej chwili przed wejściem na pokład samolotu – dzięki tym opcjom wszystko to wygląda dokładnie tak, jak ma wyglądać. Oczywiście w zależności od tego, kto to ogląda. Może być tak, że nie chce się, by wszyscy widzieli to samo. Może ktoś zasługuje na łagodniejszą wersję, a kogoś innego zainteresuje bardziej eksperymentalna?

Konstantin wybrała menu z dołu ekranu.

„Opcje?”, zapytał komputer, rozkładając je na środku ciemnoniebieskiego ekranu.

Wybierz kartę, którąkolwiek, pomyślała sobie. Zapamiętaj ją, a potem wsuń do talii. Jeśli przeżyjesz, urządzimy sobie zgadywanke.

Po chwili namysłu kliknęła na „Lajcik”.

Ikony na ekranie rozmyły się, a ciemny błękit przeszedł w czerń. W chwilę później ujrzała ni to męską, ni to żeńską twarz, która wydawała się połączeniem najlepszych cech Hindusa i Japończyka. Jego imię brzmiało Shantih Love, co obudziło w Konstantin zarówno zachwyt, jak i obrzydzenie. Z załączonego profilu dowiedziała się, że wygląd Shantih oraz jego imię są chronione prawami autorskimi. Nie podano wieku, a w opcji płeć wyczytała: „Obojętnie która. A co ci do tego?”.

– Na tym właśnie polega ta zafajdana robota, Shantih. Że muszę się tym przejmować – mruknęła i wyświetliła techniczne

aspekty sesji. Oczywiście miał na sobie pełen skafander sieciowy, dzięki czemu od razu dowiedziała się, kiedy dzieciak zginął. Przesunęła na koniec scenariusza do opcji „Czas trwania”: cztery godziny, dwadzieścia minut.

O rany... Samo to mogło zabić.

Kliknęła na statystyki, by zanotować dokładną godzinę śmierci w swoim archiwerze. Niczego jednak nie zapisała – wpatrywała się w cyfry na ekranie, stukając bezwiednie rysikiem o stół.

Dowiedziała się bowiem, że Shantih Love rozstał się z życiem, zarówno tym sztucznym, jak i prawdziwym, zaledwie dziesięć minut po wejściu do postapokaliptycznego Noo Yawk Sitty. Statystyki nie mówiły jednak, w jaki sposób kontynuował grę po śmierci.

Oboje, Shantih Love i prowadzący go/ją dzieciak, mieli podejrzięte gardła, ale rana Shantih nie okazała się śmiertelna. Okazała się obrzydliwa, straszliwa, nawet niewygodna, ale nie śmiertelna.

Konstantin wpatrywała się z napięciem w ekran. W migotliwym mieście zapadał już zmrok, a obojnak kierował się ku hałaśliwej imprezie, czy może raczej zgromadzeniu plemiennemu, odbywającemu się na zawałonym gruzem brzegu rzeki Hudson. Gruz także powleczone był migotliwą warstewką, błyszczało również szkło w witrynach cichych, opustoszałych sklepów po obu stronach szerokiej, czteropasmowej szosy częściowo zablokowanej przez grupki wraków. Shantih Love zeskoczył/a z chodnika – purpurowa szata do kostek z wdziękiem płynęła za nim/nią z każdym jego/jej krokiem – i przekroczył/a zrytą ulicę. W tej samej chwili któryś z wraków stanął w płomieniach, odpędzając półmrok. Shantih Love obrzucił/a go jedynie przelotnym spojrzeniem i dalej szedł/szła w kierunku

grupy ludzi na brzegu. Konstantin słyszała muzykę, a także gwar głosów pograżonych w rozmowie.

O czym mieliby rozmawiać? – zastanawiała się. Czy ich rozmowy różniły się czymś od gadaniny na jakiegokolwiek innej imprezie w jakiegokolwiek innej rzeczywistości, z jakimikolwiek innymi ludźmi. Czyżby były głębsze? A jeśli tak, to dlaczego odbywały się one jedynie w postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty?

Shantih Love odwrócił/a głowę tak, że patrzył/a teraz z ekranu prosto w oczy Konstantin. Na jego/jej niezwyklej twarzy odczytała zarówno badawczość i skupienie, jak i pewność siebie. Konstantin przesunęła kamerę zza pleców Shantih, minęła go/ją z prawej strony, potem od przodu i wreszcie z lewej, nie spuszczać go/jej z oczu.

Zza niskiej betonowej bariery odgradzającej ulicę od rzeki nagle wyskoczyła jakaś postać. Shantih Love zatrzymał/a się i zmarszczył/a gładkie czoło z wahaniem. Konstantin próbowała wyregulować ekran, by lepiej widzieć w pogłębiających się ciemnościach, ale ku swej narastającej frustracji uzyskała jedynie zamazaną, niewyraźną sylwetkę, bez wątpienia ludzką, ale nic więcej. Nie wiedziała, czy to człowiek młody, czy stary, mężczyzna czy kobieta, a może jedno i drugie bądź żadne z nich, Konstantin nie wiedziała nawet, czy to przyjaciel, czy wróg.

Postać przesadziła barierę i wyskoczyła na ulicę, gdy Shantih Love ruszył/a na brzeg. Ziemia była tam miękka i Shantih Love poruszał/a się z trudnością. Zamazany kształt szedł po drugiej stronie muru. Konstantin miała wrażenie, że nieznajomy coś mówi, ale w nagraniu nie zapisało się ani jedno słowo. Shantih nie odpowiedział/a, nie spojrział/a nawet na towarzysza, nadal szedł/szła długimi krokami w tłum. Ludzie tłoczyli się od brzegu

aż do pęknięcia w barierze i wylewali na drogę.

Kamera znów przesunęła się za plecy Shantih. Konstantin kilkakrotnie nacisnęła klawisz przesuwający ją do przodu, miała teraz wrażenie, że siedzi na prawym ramieniu Shantih. Zgromadzenie na brzegu okazało się jedynie dziką, chaotyczną popijawą z gatunku tych tak bardzo uwielbianych przez byłego. Konstantin poczuła zawód. Czy nikt z wielbicieli SR nie umiał wpaść na jakiś inny pomysł?

Shantih zawirował/a niespodziewanie, kamera dopasowała się z jednosekundowym opóźnieniem. Konstantin poczuła falę nudności, a postacie na ekranie rozmyły się.

Gdy obraz ponownie nabrał ostrości, Konstantin dostrzegła, że nieznajomy stoi teraz na barierze i szykuje się do skoku. Shantih cofnął/ęła się, obrócił/a i zaczął/ęła biec, roztrącając bawiących się ludzi, wpadając na innych, niektórych mało wyraźnych, innych bardziej. Konstantin nie musiała przesuwać kamery, by wiedzieć, że nieznajomy ściga obojnaka. Kamera wydawała się dzielić ledwie kilka cali od twarzy ścigającego, detektyw kilkakrotnie ujrzała ramiona owinięte bandażami i dłonie z nieokreśloną ilością palców. Potem nieznajomy wbił się w tłum w pogoni za Shantih.

Kamera zaczęła się trząść, a obraz rozmazywać, zupełnie jakby wbiła się w ciało ścigającego. Rozdrażniona Konstantin usiłowała przesunąć obraz bliżej, ale na próżno. Zrozumiała, że ustawienia kamery są zablokowane, ale nie miała pojęcia, czy uczynił to ów zamordowany dzieciak, czy była to tylko kwestia formatu.

Co gorsza, znalazła się w tłumie imprezowiczów, których łączyło zamiłowanie do anonimowości, przez co albo byli irytująco niewyraźni, albo przybierali kształty należące do

powszechnych kategorii, takich jak barbarzyńca, wampir, ulicznik czy homunkulus.

Shantih Love przebił/a się przez tłum w dwie sekundy i pobiegł/a ciężko ku kamiennej rampie prowadzącej na chodnik. Wdrapał/a się po niej na czworakach, wciąż ledwie jedno uderzenie serca przed ścigającym. Tam przesadził/a niską barierę i pobiegł/a środkiem ulicy, przyglądając się teraz wrakom. Niektóre płonęły, inne nie. Coś poruszało się w każdym z nich, nawet w tych płonących. Konstantin uświadomiła sobie, że przypuszczalnie tylko jej wydaje się to dziwne – życie w ognisku mogło stanowić niezły chwyt w SR.

Znów usiłowała przybliżyć obraz choć o kilkanaście stóp. Shantih Love obejrzał/a się przez ramię, niemalże prosto w oko kamery. Na twarzy obojnaka malowała się rozpacz i panika. Zaraz potem upadł/a.

Kamera wykonała salto, mignął chodnik, potem niebo, gwałtowny obrót i najazd na twarz obojnaka, w chwili gdy ścigający złapał go za podbródek owiniętą w szmaty dłonią. Szarpnięcie rozciągnęło idealną skórę szyi, potem pojawiło się ostrze, które błysnęło i znikło, tnąc ciało, ścięgna, tętnice, kości.

Krew buchnęła na kamerę i ściekła niczym krople makabrycznego deszczu na szybie okiennej. Konstantin skrzywiła się. Chciała usunąć ślady krwi z ekranu, ale się nie udało.

Shantih zacharczał/a i zakrztusił/a się krwią, patrząc w niebo, nie próbował/a nawet wyrwać się z uścisku zabandażowanej dłoni. Krew tryskała z przeciętej arterii. Nagle nieznamy obrócił twarz Shantih tak, że znikła z pola widzenia, i pochylił głowę, by się napić.

Konstantin widywała już podobne rzeczy na wideo, widziała

nawet tak zwane zabójcze wideo, które rzekomo krążyło w nielegalnym obiegu (cokolwiek to w tych czasach oznaczało), a które okazało się tak bezsprzecznie sfingowane, że jego autorzy powinni trafić za kratki za oszustwo.

Niemniej podczas gdy krew przelewana we wszystkich tych wideo bardziej przypominała syrop z wiśni czy przecier pomidorowy, ta wyglądała na tyle realnie, że Konstantin zrobiło się niedobrze. Zasłoniła usta, zatrzymała nagranie i odwróciła się, oddychając powoli i głęboko przez nos, by odpędzić falę mdłości. Zdziwiła się tą reakcją. Najwrażliwsza część jej kobiecości była głęboko i bezpiecznie uspiona – przez dwanaście lat kariery w policji Dore Konstantin widziała tyle prawdziwej krwi i brutalnych scen, że mogła się uważać za zahartowaną. Nie ruszyłby jej widok gracza – prawdziwego osobnika skrytego za postacią Shantih – nawet gdyby tonął we własnej krwi.

Ale było w tym wszystkim coś innego – może krew, może odgłosy wydawane przez konającego/ą Shantih, może dźwięki łapczywego chleptania? A może po prostu tak realistyczny widok krwi aktywował wspomnienia smrodu z pomieszczenia gracza, owego wszechpotężnego smrodu i widoku martwego dzieciaka odartego z odzieży, oskórowanego niczym zwierzę.

Konstantin wzięła się w garść i przesunęła nagranie na podglądzie, by jak najszybciej przeskoczyć epizod z wampirem, ale film wyglądał przez to jeszcze bardziej groteskowo, a więc powróciła do normalnej prędkości w momencie, gdy zarówno wampir, jak i krew znikły jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Zdumiona i poruszona Konstantin cofnęła nagranie i puściła je raz jeszcze w zwolnionym tempie, by mieć pewność, że nie uległa złudzeniu. Bynajmniej – nie było efektu gaśnięcia ekranu, ani też migotania, tak popularnego wśród początkujących reżyserów,

ujęcie po prostu nagle zgasło, jakby nawalił sprzęt czy nastąpiła przerwa w dostawie prądu. Powszechnie wiadomą rzeczą było, że skok z SR do czasu rzeczywistego w takiej sytuacji nierzadko kończył się wielce niepożądanymi sensacjami, takimi jak zawroty głowy, wymioty czy omdlenia. Bywało, że te symptomy pojawiały się jednocześnie, co mogło wywołać fatalne konsekwencje, jeśli gracz był sam.

Lub wszystko mogło się skończyć poderżniętym gardłem, pomyślała Konstantin, masując czoło. Jeśli za towarzystwo miało się niewłaściwą osobę.

Odtworzyła sekwencję, a potem puściła ją raz jeszcze w zwolnionym tempie. Patrzyła, jak krew oraz nieznajomy znikają, pozostawiając Shantih na ziemi. Przywołała statystyki i zgodnie z oczekiwaniami okazało się, że dzieciak wylogował się w chwili, gdy zniknęła krew.

Zdjęła palec z klawisza zatrzymującego nagranie. Akcja potoczyła się naprzód. Na ekranie Shantih Love siedział/a, a jego/jej eleganckie palce muskały poszarpane krawędzie ran i luźno zwisające strzępy skóry. Łagodne rozdrażnienie pogłębiło kilka zmarszczek na jego/jej twarzy. Przyglądając się, jak łapie fragmenty skóry i próbuje zlepić je ze sobą, Konstantin uświadomiła sobie, że myśli o postaci chłopaka jako o rzeczy, a nie o człowieku.

Zakładamy, że to rzecz, póki nie udowodnimy, że to człowiek? – zmarszczyła brwi Konstantin. A jeśli tak, to co teraz steruje tą rzeczą? Czy to robot, czy może przechwycił ją jakiś inny gracz?

Mogła oglądać nagranie przez najbliższe trzy godziny z nadzieją, że coś się wyjaśni, ale zamiast tego postanowiła porozmawiać z innymi ludźmi. Na tę chwilę wolała przebywać z tymi, których ludzka natura była dla niej względnie pewna. Nie

miała na razie ochoty na oglądanie kolejnych przygód fałszywego oblicza martwego dzieciaka, które udawało żywe w mieście udającym martwe.

Biuro było małe, ale obecność Milesa Manka sprawiła, że zmniejszyło się przynajmniej jeszcze o połowę. Kiedy się wreszcie okazało, że tak naprawdę nie ma on bladego pojęcia o niczym, Konstantin usiłowała się go pozbyć, ale ten nie przestawał jej zagadywać, byle tylko przyciągnąć uwagę. Snuł przy tym nudne, pozbawione sensu wywody, lecz miast kończyć je wnioskami, płynnie zmieniał temat i ciągnął kolejny monolog. W końcu udało jej się przekonać go, że jest niezmiernie potrzebny na parking, gdzie miał pomagać w selekcji klientów oszołomionemu partnerowi Konstantin. Potem zmówiła w myślach modlitwę, by Taliaferro nie skorzystał z identycznej wymówki, żeby odesłać Manka z powrotem. Konstantin nie podobały się oczy tego pracownika salonu.

Z dwóch pozostałych pracowników jeden był srebrnowłosym dzieciakiem o nazwisku Tim Mezzer, w mniej więcej tym samym wieku co ofiara przestępstwa. Cechowało go osobliwe, oszołomione, zaprzątnięte czymś spojrzenie byłego narkomana, który właśnie przeszedł detoks. Oficjalnie oczyszczenie krwi było szybkim sposobem na wydostanie się z drogiego uzależnienia. W rzeczywistości dzięki tej terapii po nawrocie do nałogu osiągało się jeszcze lepsze haje.

– Jak długo tu pracujesz? – spytała Konstantin.

– Od trzech dni – odparł. Wydawał się znudzony.

– A czym się zajmujesz? – nacisnęła, gdy nie powiedział niczego więcej.

– Och, jestem specjalistą – odparł jeszcze bardziej znudzonym tonem. – Specjalizuję się w zbieraniu cuchnących skafandrów po

sesjach i zanoszeniu ich do prania.

Mezzer oparł pulchny łokieć o biurko i pochylił się konfidencjonalnie.

– Tak między nami, to dałabyś się pokroić, żeby mieć tak zajebistą robotę zamiast tego gówna, którym się zajmujesz.

Konstantin nie była pewna, czy on naprawdę żartuje.

– Czasami pewnie tak. Znałeś ofiarę?

– Nie wiem. Jak się nazywał?

– Shantih Love.

– Niezła metka – parsknął Mezzer. – Zastrzeżenie czegoś takiego pewno sporo go kosztowało. Pierwsze skojarzenie, jakie miałem, to droga dziwka–zabójczyni. No ale brzmi naprawdę niezłe. Kiedyś dorobię się na tyle, żeby też sobie pozwolić na własnoręcznie opracowaną metkę.

Konstantin słuchała jednym uchem, odnajdując dane ofiary na archiwerze.

– Dobra, mam. Naprawdę nazywał się... – urwała. – Cholera, to musi być jakiś błąd.

– Bez przesady – ziewnął Mezzer. – No, jak się nazywał?

– Tomoyuki Iguchi – wymówiła powoli Konstantin, jakby chciała oddzielić każdą sylabę.

– Ha. Gość najwyraźniej uparł się zostać prawdziwym Japońcem.

– Czemu?

– Czemu? Cóż, oczywiście ze względu na postapokaliptyczne Tokyo – westchnął Mezzer. – A niby po co?

– Jest już postapokaliptyczne Tokyo? – zapytała podejrzliwie Konstantin.

– Jeszcze nie – westchnienie Mezzera przeszło w ziewnięcie. – Niebawem się ukáže. Ma być kolejnym hiciorem. Mówią, że przy

Tokyo Sitty będzie przypominać niedzielny poranek w Nebrasce. Będą tam części miasta, do których wstęp będą mieli tylko Japończycy lub przekonujące symulacje. Tak, wszyscy na to czekają.

Ciekawe, czy Mezzler zdaje sobie sprawę, że coś bardzo podobnego już się pojawiło i znikło wiele lat przed naszym urodzeniem? – zastanowiła się Konstantin.

– A ty? – zapytała. – Ty też na to czekasz?

– Ja nie siedzę w tych klimatach. Jestem gościem z Ellay. Tam masz wszystkich tych zarabistych celebrytów, którym można spuścić wpierdol podczas wojny gangów. Pojawiły się jednak plotki, że są jakieś tajne skróty do postapokaliptycznego Tokyo zakopane gdzieś w Noo Yawk, Hong Kongu i Ellay i tylko Japończycy dadzą radę złamać zabezpieczenia. Oczywiście o ile to nie są jakieś pierdoły. Ten cały Shantih chyba w nie wierzył.

– No ale po co miałyby przybierać aż dwa fałszywe nazwiska, dla siebie i dla postaci? – Konstantin myślała na głos.

– Już ci mówiłem, gość chciał zostać Japończykiem! Chciał, żeby ten, kto przebije się przez jego metkę, ujrzał japońskie nazwisko i w nie uwierzył. Chciał, żeby ktoś go wciągnął do tych specjalnych japońskich stref.

Mezzler odrzucił głowę do tyłu, jakby miał zamiar wyć do księżycy, lecz zamiast tego ziewnął raz jeszcze.

– A może mu odbiło. Wiesz, o co mi chodzi – są goście, którzy zaczynają myśleć, że tamten świat jest prawdziwy, a nasz to lipa. Są tacy, którzy ich nie odróżniają. Musisz pogadać z Body. Body wie wszystko. Nikt poza Body chyba nie wie nic na sto procent.

– Jaka Body? O czym ty gadasz?

– Mam na myśli Body Sative. Wie więcej o dziesięciu najwyższej notowanych SR niż ktokolwiek inny.

Konstantin poczuła, jak jej szczęki przeszywa kurcz.

– Chyba nie masz na myśli Cannabis Sativy? – spytała sarkastycznie.

Mezzer zamrugnął zaskoczony.

– Spadaj! W ogóle nie gadaj o tej córce Cannibala! Jest niezła, ale to Body jest prawdziwą Wielką Niedźwiedzicą. – Uśmiechnęła się. – A tak na marginesie, to ciekawe, że ktoś taki jak ty wie o Cannibal Sativie. Miałaś zamiar z nią pogadać?

Konstantin nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

– Dobra, pogadaj z Body. Przysięgam, to właśnie jej szukasz. Podrzucę ci parę przydatnych ikon. Porządnych, zaawansowanych ikon, a nie tego śmiecia, co dostajesz z plikami pomocy.

– Dzięki. – Konstantin skrzywiła się z powątpiewaniem. – Mam jednak wrażenie, że kompletnie tego nie łapię. Skoro gość chciał zostać Japońcem, jak utrzymujesz, to czemu nazwał się Shantih Love?

Mezzer mrugnął.

– No bo próbował zostać Japończykiem nazywającym się Shantih Love. – Zmarszczył brwi. – Czy ty w ogóle wchodzisz do SR?

– Nie mam nic do dodania. – Starsza kobieta o nazwisku Howard Ruth, z naturalnymi szarawymi włosami i zmarszczkami na łagodnej twarzy, nieskażonej chemikaliami czy chirurgią plastyczną, pokręciła głową. Była drugim z pracowników. Wygląd Ruth działał na Konstantin kojąco, jak się okazało. – Body Sativa to rzeczywiście najlepsza wskazówka. Nawet jeśli przepytasz całą tę hołotę na parkingu, nie dowiesz się pani niczego, co pomogłoby bardziej.

Z tymi słowy rozsiadła się na krześle i oparła lewą kostkę na

prawym kolanie.

– A jaka jest szansa, że ta cała Sativa znajdzie się w tej grupie?

Howard Ruth wzruszyła ramionami.

– Bardzo mała. To tylko jeden z wielu punktów dostępu do sieci SR, a zważywszy na to, jak skomplikowane działania podejmuje Body, na pewno wchodzi do SR z pojedynczego stanowiska, a to może znajdować się wszędzie.

– Zaraz, zaraz – rzuciła Konstantin z irytacją. – Nawet ja wiem, że każdy człowiek w sieci ma swój kod rodziny.

Howard Ruth uśmiechnęła się promiennie.

– Rzadko pani ostatnio grywa, co?

Konstantin pomyślała, że powinna porozmawiać z byłym.

– Na sieci? Rzadko.

– Właśnie – zgodziła się kobieta. – Bo gdyby pani grała, wiedziałyby, że uczestniczenie w scenariuszach sieciowych nie jest uważane za oficjalną komunikację czy transakcję sieciową, a zatem nie rządzą nim prawa FCC czy FDSA. Wskakuje się do sieci, wybiera sobie imię lub wykupuje metkę, gra, jak się żywnie podoba – lub dopóki jest forsa – i wylogowuje, gdy ma się już dosyć. Gry na sieci są w stu procentach wolne, nie ma tu wskazówek czy zakazów, nie ma cenzury, nie ma czegoś takiego jak przestępstwa wobec innych. Nie ma możliwości oskarżenia kogokolwiek o napad, prześladowanie, oszustwo czy cokolwiek w tym stylu.

– O tym nie wiedziałam – westchnęła Konstantin. – A czemu?

– Przecież to nie obowiązek – zaśmiała się kobieta. – Nie musi pani o tym wiedzieć, pani oficer...

– Porucznik.

– Jasne, pani porucznik. Wiedzą o tym tylko stali bywalcy SR. Czy słyszała pani o sprawie, w której facet wykorzystał kod

rodzimy, żeby odnaleźć i zabić kobietę w czasie realnym?

– Nie – odparła z niepokojem Konstantin. – Gdzie to miało miejsce?

– Och, gdzieś na wschodzie. Chyba w D.C. lub jakimś podobnym miejscu. Życie tam jest bardzo tanie. Zmierzam do tego, że przed laty, gdy w grach obowiązywały jeszcze kody rodzime, facet, o którym mowa, wściekł się na babkę, wytropił ją przy wykorzystaniu kodu i bang! Po sprawie. Była to jedna z pierwszych spraw przeciwko grom, kiedy udało się udowodnić, że symulacje mogą wywierać niebezpieczny wpływ na życie off-line. Po tym wydano wyrok stwierdzający, że skoro gry sieciowe są zajęciem czysto rekreacyjnym, gracze mają prawo do całkowitej prywatności, jeśli sobie tego życzą. Nie ma linii kodów rodzimych. To samo dotyczy oszustw i reklam.

Zainteresowanie Konstantin, które zaczęło słabnąć, gdy tylko usłyszała skrót D. C., znów wzrosło.

– Co takiego?

– Jeden koleś wkręcił innego do gry wewnątrz gry. Nie pamiętam już, o co dokładnie chodziło, o plażę w Kansas czy kopalnie w Peru, w każdym razie jakiś interes. Partner tego gościa odniósł wrażenie, że transakcja znajduje potwierdzenie w czasie rzeczywistym, i przelał mu forszę, a ten szybko się wylogował i zwiął na południe. Oszukany zaczął wrzeszczeć: „Złodziej!” i tym podobne, a policja dorwała owego handlowca roku. Ten zaś zaczął tłumaczyć, że to wszystko było tylko grą i uznał, że pieniądze są podarunkiem.

– I?

– No i mamy finał. Ława przysięgłych nie skazała złodzieja, tłumacząc decyzję skrajną łatwowiernością oszukanego. „Jesteś w sztucznej rzeczywistości, głupku jeden, więc czego się

spodziewasz?”. Według mnie obaj cierpieli na lekką odmianę zrycia czaszki.

– A wyrok obowiązuje nadal? – Konstantin nie mogła uwierzyć.

– Przecież to sztuczna rzeczywistość! Bez względu na to, co się mówi, nie jest to kłamstwo! To zabawa, na niby, jedno wielkie udawanie, tu chodzi o grę! – zaśmiała się głośno Ruth. – Skoro płaci się dobrowolnie, więc to problem płacącego! Dziwne to życie, nie?

Konstantin zakarbowwała sobie w pamięci, by przejrzeć wyroki sądowe dotyczące SR, po czym otworzyła czystą stronę w archiwerze.

– Ale skoro pobyt w SR nie zamienia człowieka w świra... – zaczęła.

– Nie zamienia każdego człowieka w świra – poprawiła ją przesłuchiwana. – O to właśnie chodzi. Nie zamyka się fabryki miodu tylko dlatego, że ktoś jest uczulony na użądlenia.

Konstantin nadal nie mogła tego pojąć.

– Kiedy te zdarzenia miały miejsce? – zapytała, trzymając rysik w pogotowiu.

– Nie wiem – odparła Ruth, zaskoczona pytaniem. – Wszystko powinna pani znaleźć w archiwach policyjnych. Czy instytucje do walki z przestępczością nie mają jakiegoś scentralizowanego międzynarodowego banku informacji? Coś w rodzaju „Police Blotter”?

– Pomimo swojej nazwy – Konstantin mówiła powoli, by kobieta nie była w stanie przeinaczyć jej słów – „Police Blotter” jest komercyjnym czasopismem sieciowym, w żaden sposób niepowiązanym z instytucjami do walki z przestępczością. A co do pani pytania, owszem, dysponujemy międzynarodowym

centrum informacyjnym. Muszę jednak podać pewne kluczowe fakty, które pomogą wyszukiwarce wyłowić pożądane informacje – fakty, jak imię, datę i miejsce.

Urwała, mając nadzieję, że któreś z nich uzyska, ale kobieta wzruszyła jedynie ramionami.

– Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc, ale to wszystko, co wiem – powiedziała, a potem wstała i przeciągnęła się. – Jeśli ktokolwiek wie więcej, to tylko Body Sativa.

– Body Sativa – powiedział pierwszy przesłuchiwany klient salonu. Było to starzejące się dziecko z zielonymi włosami, które utrzymywało, że nazywa się Earl O’Jelly. – Nikt nie wie więcej. Ni-i-kt. Kapujecie, o co mi chodzi?

Konstantin powstrzymała się przed schowaniem twarzy w dłoniach. Dzieciak sam się zgłosił z informacją, iż przebywał w tłumie nad brzegiem Hudson, przez który przebijał/a się Shantih, ale twierdził, że nie widział opisywanych wydarzeń.

Podobnie zeznawała kolejna klientka, starsza pani, której *alter ego* w SR był dwunastoletni zabójca o imieniu Nick the Schick.

– Oznacza to, że z technicznego punktu widzenia muszę uznać „the” jako moje drugie imię – stwierdziła żartobliwym tonem. – Ale słyszałam o wiele gorsze lub głupsze, więc się nie przejmuję. Nick oczywiście zna Body. Każdy zna Body. I pewnie *vice versa*. Moim zdaniem, Body Sativa to tylko baza danych, która przemieszała się z komputerem sterującym ruchem ulicznym i wyskoczyła z szyn.

– Co takiego? – spytała Konstantin, nie rozumiejąc.

– Wiesz, w jaki sposób psują się pliki? – babcia wykazała sporo cierpliwości. – Podam ci przykład. Taki oto komputer sterujący ruchem ulicznym łączy się z bazą danych, a trwa właśnie burza z piorunami, na słońcu pojawiają się plamy czy coś i wszystko

bierze w łeb. Interfejs komputera mutuje od uzyskanych statystyk z odwiedzin w bazie danych. Tak brzmi moje zdanie i jak dotąd nikt nie udowodnił, że to niemożliwe.

Pokiwała z powagą głową.

Konstantin już miała powiedzieć kobiecie, że o ile dobrze rozumiała, opisywany proces można było porównać do wrzucenia brudnej koszuli i snopka siana do drewnianej skrzyni, by szybko dochować się całego pokolenia myszy, ale się powstrzymała. Po pierwsze, nie była pewna, czy rozumiała słowa starszej kobiety, a po drugie, tworzenie myszy metodą koszuli i słomy było przypuszczalnie czymś rutynowym w SR.

Zamiast trzeciej osoby do przesłuchania pojawił się prawnik z ramienia ACLU i objął, że skoro zbrodnia miała miejsce w świecie realnym, a tak zwani świadkowie znajdowali się w SR, to tak naprawdę nie było żadnych świadków, przez co nie wolno ich dłużej przetrzymywać. Nazwiska klientów będą jednakże dostępne na liście z salonu gier, którą Konstantin będzie miała do wglądu po przedstawieniu odpowiedniego nakazu sądowego.

– Póki co wszyscy zgadzają się, że powinna pani porozmawiać z Body Sativą, gdziekolwiek jest – oznajmił prawnik, zerknąwszy do palmtopa. – Pod warunkiem, że Body Sativa zgodzi się poświęcić pani swój czas bez prawnej reprezentacji.

– Na to też pewnie potrzeba nakazu, co? – burknęła Konstantin.

– Skądże znowu, SR stoi otworem dla każdego, kto chce wejść. Nawet dla pani, porucznik Konstantin – uśmiechnął się prawnik, pokazując diamentowe zęby. – Proszę tylko pamiętać o zasadach wiarygodności i dopuszczalności. Wszystko, co usłyszysz pani w SR...

– ...jest kłamstwem, wiem. Tego wieczoru odebrałam już kilka

lekcji poglądowych. – Konstantin zerknęła na wygaszony ekran komputera. – Myślę, że wytropię tę Sativę w realu i przesłucham ją w czasie rzeczywistym.

– To zaś nastąpi tylko wtedy, gdy Body Sativa z własnej woli zgodzi się powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa – przypomniał jej prawnik z uśmiechem zdradzającym zadowolenie. – Z własnej woli. Jej prywatność jest bowiem chroniona prawem.

– Oby okazała się dobrą obywatelką – zamyśliła się Konstantin.
– Może przejmie się tym, że ktoś poderzwał gardło siedemnastoletniemu chłopakowi.

Tryumfujące spojrzenie prawnika zastąpił smutny uśmiech.

– Może. Ja się tym przejmuję. Pani się tym przejmuje. Ale nie ma prawa, które nakazywałoby to każdemu.

– Wiem i byłabym przerażona, gdyby takie prawo istniało. Tak czy owak – Konstantin zmarszczyła brwi – bardzo żałuję, że muszę aż tak bardzo polegać na ochotnikach.

Posłała DiPietro i Celestine do bloku, w którym mieszkał chłopak, choć nie obiecywała sobie wiele po ich interwencji. Jeśli dzieciak się nie wyróżniał, sąsiedzi zapewne ledwie zwrócili uwagę na jego istnienie. Najprawdopodobniej mieli go za kolejnego cygańskiego, niezbyt wykwalifikowanego robotnika, który za pośrednictwem agencji prowadzonej przez zarząd miasta podejmował rozmaite tymczasowe zlecenia, by pozwolić sobie na kaprysy. W tym na SR.

Dla zasady Konstantin zaczęła w biurze Guilfoyle Pleshette na telefon, z którego dowiedziała się, że dzieciak mieszkał w typowej kawalerce, do tego stopnia ubogiej w sprzęty i meble, że niewiele różniła się od innych kawalerek w mieście. Jediną godną uwagi rzeczą była doskonale zorganizowana biblioteczka dokumentująca jego dotychczasowe przygody w SR, nagrana na

karty, a przechowywana w sterylnym, odpornym na wilgoć i ogień, niemagnetycznym, fotoizolacyjnym pojemniku. Każdy maniak SR miał podobną bibliotekę, by ocalić każdy cenny moment przed zapomnieniem.

Wedle procedur biblioteczka miała trafić do kwatery głównej i spędzić tam przewidziany ustawą okres dziesięciu dni, w trakcie którego policjant przeznaczony do sprawy musiał odnaleźć najbliższą rodzinę ofiary. Gdyby nikt taki się nie pojawił, do biblioteki wprowadzano specjalny program analizujący zapisane sekwencje i w oparciu o nie konstruujący profil ofiary, później dodany do sieciowych nekrologów. Zazwyczaj ujawniał się wówczas ktoś, kto znał denata, w innych przypadkach policja zyskiwała pewność, że nikomu na nim nie zależy.

Pomysł pojawił się nieproszony w umyśle Konstantin i zniwelował efekt lekkiej dawki środków nasennych, które brała zawsze, gdy przychodziło jej zasypiać o niechrześcijańskiej godzinie. Porucznik podłączyła archiwer do telefonu i ściągnęła informacje o siedmiu pozostałych DOA w SR.

Żądane pliki pojawiły się błyskawicznie – o tej godzinie panował niewielki transfer i Konstantin poczuła lekkie rozdrażnienie, że DiPietro i Celestine nie byli w stanie równie szybko złożyć meldunku. Może wzięli ze sobą tę reporterkę i nawet teraz wydurniali się przed kamerą w trakcie inspekcji mieszkania zabitego chłopaka.

Czuła lekką zgagę, podejrzewała, że podskoczyło jej ciśnienie. Według *Podręcznika zdrowego, szczęśliwego życia oficera policji* (zarówno na służbie, jak i po niej!) najlepszym sposobem redukcji stresu był seks.

W podręczniku zapewne chodziło o seks, w którym uczestniczy druga osoba, pomyślała Konstantin i odepchnęła

myśli o byłym, by skupić się na danych pojawiających się na niewielkim ekraniku jej archiwera.

Pierwszym graczem, który zginął podejrzaną śmiercią w postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty, była trzydziestoczteroletnia kobieta o nazwisku Sally Lefkow. Na zdjęciu wyglądała tak blado, iż wydawała się niematerialna. W realu pracowała jako kierownik trzeciej kategorii w zespole administracyjno–konserwacyjnym, zajmującym się zarówno budynkiem, w którym żyła, jak i tym, w którym zginęła. W SR wcielała się w postać mającego osiem stóp wzrostu smoka o łusce koloru wypolerowanej miedzi, mogącego bez trudu zmieniać płeć – Konstantin nie wiedziała, czy ma się śmiać, dziwić czy reagować z niepokojem. Sally została uduszona, a jej smok, który akurat znajdował się w powietrzu, wpadł w nurt East River i nigdy się nie wynurzył.

Konstantin zestawiała profil zamordowanej i statystyki smoka, ale nie wyciągnęła żadnych wniosków.

– Nie tędy droga – mruknęła i skrzywiła się.

Kochanie, wróć. Zapomniałeś zabrać swoje dowcipasy dla wtajemniczonych wraz z resztą swego emocjonalnego bagażu.

Zaznaczyła połączenie smok–Lefkow i przeszła do kolejnej ofiary, dwudziestoosmioletniego cygańskiego pracownika biurowego o nazwisku Emilio Torres. Z budowy ciała przypominał sportowca, czy może raczej byłego sportowca. Zginął w mieszkaniu w Portland podczas sesji on–line, w której wcielił się w postać – tu Konstantin aż zamrugała – Marylin Presley. Nawet Konstantin słyszała o Marylin Presley. Ta hybryda przez krótką chwilę święciła w sieci ogromne tryumfy, po czym szybko utraciła popularność. Torresowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Grał jako Marylin Presley przez sześć tygodni,

długo po tym, jak pozostali fani stracili zainteresowanie, a umarł – tu Konstantin znów zamrugła – po przedawkowaniu leków. Jego postać zamarła w samym środku sytuacji, która nie była co prawda uliczną rozróbą, ale przyjęciem grillowym również nie dałoby się jej nazwać. Brak było jakichkolwiek informacji co do dalszych losów postaci i Konstantin nie wiedziała, czy ktoś przejął do niej prawa, czy nie.

Torres umarł miesiąc po Lefkow i jakieś pół kontynentu dalej. Kolejna śmierć miała miejsce dwa miesiące później w tandetnym salonie gier przy plaży w New Hampshire. Marsh Kuykendall nie przejmował się tym, że wszędzie uchodził za uzależnionego od SR ćpuna, który zarabiał na swój nałóg, podejmując się najrozmaitszych robót, najczęściej poślednich. Konstantin przeczytała:

Znajomi ofiary zeznali, iż wielokrotnie powtarzał w różnych sytuacjach, jakoby czas realny był drugorzędną rzeczywistością, gdyż nie można go ani zapisać, ani odtworzyć, jak to się dzieje w SR. Utrzymywał, że SR to prawdziwe przeznaczenie ludzkości, ponieważ w SR wszyscy są nieśmiertelni.

O ile nie przeszkadza ci życie w powtórkach, pomyślała Konstantin. Kuykendall był właścicielem pół tuzina postaci, co do jednej oryginalnych kreacji. Śmiertelność dopadła go, gdy wcielił się w człowieka panterę. Postać została pobita na śmierć przez najprawdopodobniej potwornego napastnika, któremu nikt dobrze się nie przyjrzał, a Kuykendall przyjął kilka ciosów na głowę, tak silnych, że roztrzaskały zarówno jego kask, jak i czaszkę. Nikt w salonie nie widział ani nie słyszał niczego.

Ofiara numer cztery przebywała od roku na rehabilitacji, wymuszonej tragicznym wypadkiem, po którym uległa paraliżowi. Uszkodzone nerwy Lydii Stang zostały zregenerowane, niemniej musiała się od początku uczyć

posługiwać kończynami. Elementem jej terapii była SR, a wcielała się w siebie samą, tyle że wyidealizowaną gimnastyczkę. Zarówno w realu, jak i w SR Lydii skręcono kark. Świadczenie zeznawali, że zginęła w ulicznym pojedynku z człowiekiem jaszczurem. Co ciekawe, ów jaszczur ujawnił się i bez przymusu przyznał do wirtualnego kontaktu ze zmarłą. Stang weszła do sieci w Denver, a jaszczur używał sobie w salonie znajdującym się ledwie trzy przecznice od mieszkania Konstantin. Porucznik dla pewności dwukrotnie sprawdziła adres, a potem zapisała sobie, że powinna odszukać tego jaszczura w realu, jeśli będzie to możliwe.

W chwilę później wymazała notatkę – jaszczur okazał się ofiarą numer pięć. Jeszcze dziwniejszy był całkowity brak informacji na temat prowadzącej go zmarłej, byłej muzyczki, znanej jako Flo. Po śmierci Lydii Flo rzuciła muzykę i całkowicie zaangażowała się w SR, póki ktoś jej nie udusił. Jej gadzie *alter ego* pływało w tym czasie w wodach East River.

To ta sama rzeka, zauważyła Konstantin, do której runął smok Lefkow. Może to ma jakieś znaczenie, a może nie.

Ofiary numer sześć i siedem najprawdopodobniej pozabijały się nawzajem w wojnie gangów, co przygnębiło Konstantin. W postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty byli parą wrednych uliczników, szesnastolatków, może na krawędzi dorosłości. W realu stanowili parę cygańskich pracowników biurowych w średnim wieku, którzy ani chybi odkryli, że znaleźli się w ślepym zaułku życia, i gotowi byli je poświęcić, by coś w nim zmienić. Obaj mieszkali w pobliskim miejskim ulu, otrzymywali zlecenia od tej samej agencji, wypełniali te same bezduszne pliki i idiotyczne bazy danych, najprawdopodobniej wcale się nie znali w realu, a jeśli się kiedyś poznali, celowo trzymali się z dala od

siebie. W SR było inaczej – tam często na siebie trafiali. Tam też się nawzajem zadźgali, a ktoś inny pozabijał ich nożem w domach. Dokładny czas obu zabójstw był niepewny.

No i wreszcie ofiara numer osiem, dziwaczny typ kaukaski, dzieciak z japońskim nazwiskiem.

Domo arigato, pomyślała kwaśno Konstantin i wywołała na ekranie podsumowanie charakterystyk ofiar.

Nie było tego dużo – właściwie jedyną wspólną cechą było to, że każde morderstwo miało miejsce, gdy ofiara znajdowała się on-line w postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty. Trzy zabójstwa zdarzyły się w rodzinnym mieście Konstantin, śmierć chłopaka zwiększała liczbę do czterech. O ile dzieciak nie okaże się jakimś neurochirurgiem, cała czwórka to pracownicy niewykwalifikowani. Nie było wśród nich ani jednego profesjonalisty z prawdziwego zdarzenia.

Rozparła się w fotelu i usiłowała skupić myśli. Czy wróciła moda na seryjne morderstwa? Znowu? Chyba że ten, komu podobało się udawanie morderstwa na postaciach, a potem porywanie ich, postanowił przejść do realu. A może nie widział już różnicy między oni off-line?

Konstantin wywołała tabelę podobieństw między postaciami z SR, lecz wyskoczył komunikat: „Brak dostępnych danych”. Wedle informacji na następnej stronie nie prowadzono tego typu badań ze względu na brak odpowiedniego oprogramowania, czasu bądź personelu. Najwyraźniej nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że przeanalizowanie postaci w SR może mieć wielkie znaczenie – w końcu nie były one prawdziwymi ofiarami. Choć czy aby na pewno? Wszyscy wiedzieli, nie wyłączając porucznik Konstantin, że zniknięcie smoka wywoła więcej żalu i tęsknoty od zniknięcia Sally Lefkow, podobnie rzecz się miała z resztą graczy.

To smutne, a mimo to w jakiś sposób przewidywalne, pomyślała Konstantin. Skreśliła notkę, by posłać po więcej informacji o pochodzeniu ofiar. Gdy sama przeglądała dostępne dane, zadzwonili DiPietro oraz Celestine, by przekazać, czego się już domyślała. Zaskoczył ją tylko jeden szczegół – wchodząc do mieszkania dzieciaka, przyłapali dziewiętnastoletnią dziewczynę na pładrowaniu. Nie chciała odpowiedzieć na żadne pytania, przyznała się tylko, że jest żoną zamordowanego.

Konstantin sprawdziła dane. Jak podejrzewała, dzieciak był jedyną – bądź pierwszą – żonatą ofiarą.

– Sprowadźcie ją tutaj – przekazała podwładnym. – I to szybko.

– Tommie poszukiwał wyjścia – mówiła Pine Havelock. – Jeśli ktoś miał je znaleźć, z pewnością byłby to on. No i widzi pani, czym to się skończyło.

Samozwańcza żona Tomoyukiego Iguchi siedziała na plastikowym wiadrze, obejmowała nogi ramionami i wbijała znad kościstych kolan na poły przestraszone, na poły oskarżycielskie spojrzenie w policjantkę. Była ubrana w coś, co przypominało szpitalną piżamę i wydawała się całkowicie pozbawiona włosów. Nie miała nawet rzęs, a jej oczy nie były na tyle duże, by zniwelować ten brak. Jej widok nasunął Konstantin skojarzenia z pensjonariuszką domu dla ludzi z zaburzeniami umysłowymi, która wpadła do gigantycznej kadzi z kremem depilującym.

– Co masz na myśli, mówiąc „wyjście”? – spytała Konstantin po dłuższej chwili milczenia. – Chodzi ci o skrót do tej tajnej japońskiej strefy?

Havelock uniosła głowę, wpatrując się w nią niepewnie.

– Niech mi pani da spokój.

– Co to za „wyjście”? – zapytała cierpliwie Konstantin,

odepchnąwszy kilka mniej stosownych odpowiedzi.

– No wyjście. Takie na zewnątrz. Takie, przez które się wychodzi. I nie wraca potem w miejsce takie jak to. – Rozejrzała się po biurze Guilfoyle Pleshette.

– Aha. – Konstantin oparła łokieć o blat biurka i potarła czoło.
– I dokąd to wyjście prowadzi?

– Na zewnątrz.

Na czole dziewiętnastolatki wykwitły dwa rzędy plamek i Konstantin uświadomiła sobie, że ta marszczy brwi. Bez brwi mimika twarzy prezentowała się nader osobliwie.

– No, wie pani, na zewnątrz. Tam, gdzie nie trzeba garnituru czy cylindra, bo się tam jest. Tam, a nie tu.

Konstantin wreszcie zrozumiała.

– A więc wraz z Iguchim szukaliście magicznych wrót do Wrót. Czy wiesz o kimkolwiek innym, kto...

– Wrota. – Havelock pokiwała energicznie głową. – O właśnie, tak. Wyjście, Wrota. Tak to nazwała.

– Kto? – zapytała Konstantin, lecz natychmiast zorientowała się, że zna odpowiedź.

– Body Sativa.

– Zaraz wstanie słońce – powiedziała Guilfoyle Pleshette groźnym tonem. Wyglądała na zmęczoną, nawet jej włosy zaczynały tracić swą przejrzystość.

Konstantin, która nadal siedziała przy biurku w miniaturowym pokoju, machnęła niecierpliwie dłonią.

– Przepraszam, Taliaferro – rzuciła do słuchawki, nie przestając gryzmolić jedną ręką na swoim archiwerze. – Nie usłyszałam, co powiedziałaś. Powtórz.

Taliaferro był zaskakująco cierpliwy, być może brak snu po prostu zamienił go w zombie.

– Powiedziałem, że nadal szukają informacji na temat tej siódemki, więc póki co nadal nie mamy niczego konkretnego. Niemniej istnieje niemalże osiemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że każdy, kto wchodził do Sitty tak często jak oni, spotkał w SR postać lub istotę zwaną Body Sativa.

– Istotę? – spytała Konstantin z niedowierzaniem. – Kto nazywa to istotą? Program wyliczający prawdopodobieństwo czy ktoś kompetentny?

– Tak naprawdę to słyszałem paru klientów salonu na parkingu, którzy tak właśnie ją nazywali. Ją czy to. Cholera wie. – Taliaferro chyba był nieco zmieszany. – Pewnie to jakiś goguś z imponującym PR. Ktoś, kto jest sławny dlatego, że jest sławny, wiesz, o czym mówię.

– Często wchodzisz do SR? – zainteresowała się niespodziewanie Konstantin.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Czy to pytanie na poważnie? – spytał w końcu.

– Przepraszam – westchnęła Konstantin. – Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Taliaferro rozłączył się bez słowa, a detektyw odwróciła się ku Guilfoyle Pleshette, która ziewała głośno.

– A ty? Często wchodzisz do SR?

– Pewnie. Mają tu niezły rabat dla pracowników.

– Odwiedzasz postapokaliptyczny Noo Yawk Sitty?

Kierowniczką wzruszyła ramionami i spojrzała na sufit niemalże ze wstydem.

– No, zdarzało mi się. Wypada odwiedzać popularne miejsca, bo jak przyjdzie do salonu jakiś prawiczek, to trzeba mu co nieco powiedzieć o tym, co go czeka. Moim zdaniem, na tym właśnie polega różnica między porządną firmą a dziurą.

Konstantin pokiwała głową nieprzytomnie. Gdy jakieś miejsce staje się zbyt popularne, nikt się dobrowolnie nie przyzna, że często je odwiedza, nawet w SR.

– A Body?

Pleshette wzruszyła ramieniem.

– Każdy o niej słyszał, ale wątpię, czy wszyscy, którzy się tym chwala, naprawdę ją spotkali.

– Ale ty ją spotkałaś – rzekła Konstantin.

– Oczywiście, że tak.

„Oczywiście”, Konstantin udało się opanować uśmiech.

– A mogłabyś mnie jej przedstawić?

– Oczywiście, że nie! – Kierowniczka wyglądała na obrażoną.

Teraz to Konstantin wzruszyła ramionami.

– Warto było spróbować.

– Musisz zrozumieć, że ten, kto zna Body, nie będzie wlec do niej każdego, kto chciałby ją poznać, bo wtedy nie będzie długo należał do jej znajomych.

– Tak, potrafię to zrozumieć. Czyli mam wejść do sieci i sama jej poszukać.

– A sądzisz, że dałabyś sobie radę? – Pleshette wbiła w nią spojrzenie.

– Jeden z twoich pracowników zaproponował, że podrzuci mi kilka zaawansowanych ikon. Cokolwiek to znaczy.

Kierowniczka wyprostowała się.

– Tak? Kto taki? – zapytała ostro.

– Ten znudzony. Mezzar. Tim.

– A, Tim. – Pleshette machnęła dłonią. – Znalazłabyś te jego zaawansowane ikony na stronie głównej każdego sieciowego przewodnika. Sama mam parę, z którymi dałabyś sobie radę.

– A pożyczysz mi je?

Na drobnej, zabawnej twarzączce pojawiła się wątpliwość.

– A co masz zamiar z nimi robić?

Konstantin nabrała tchu.

– Chcę tylko zadać Body parę pytań.

– Jakich pytań? – zapytała podejrzliwie kierowniczka nocnej zmiany.

Konstantin nagle poczuła, jakby wpadła w otchłań czasoprzestrzeni i leciała w dół, cofając się jednocześnie w czasie aż do początku całego tego zamieszania, które musiała raz jeszcze objaśnić.

– Mam zamiar zadać kilka pytań w sprawie tego dzieciaka, który tu dzisiaj zginął – Shantih Love czy Tomoyukiego Iguchi, obojętnie, jak go zwałaś.

– Nie znałam go wcale – rzekła Pleshette. Konstantin miała ochotę wrzeszczeć. – Nie ma też gwarancji, czy Sativa go znała. No ale dobra. Jeśli nie chcesz robić niczego innego, podrzucę ci kilka gadżetów, ale musisz obiecać, że nie wykorzystasz ich w złym celu.

– W złym celu? Co masz na myśli?

– Że nie przyjdzie ci do głowy kłusowanie.

– A co to niby ma oznaczać?

– No, zdobywanie rzeczy, do których nie masz prawa.

– Rzeczy? W SR? – Konstantin poczuła się całkiem zagubiona.

Kierowniczka nocnej zmiany znów założyła ramiona na piersi.

– Taaa. Rzeczy. Rzeczy w SR. W Sitty. Każdy, kto zapuszcza się tam regularnie, ma tam jakieś rzeczy. Spójrz na mnie. Mam pracę do dupy, muszę znosić takich palantów jak Miles Mank, mieszkam w ulu na Sepulvedzie. Ale w SR mam niezłe cacka. Mam niezłe miejsce. Uczestniczę w grze, w której mam imię, imię otoczone sławą. Mam nawet kilka haseł. Wszystko to kosztowało

mnie sporo czasu i nie chcę, żeby przypadło, gdy tego nie pilnuję.

Drobna, zabawna twarzyczka wykrzywiła się nieszczęśliwie.

– Masz pełno rzeczy w realu, nie musisz kłusować, ani też kraść moich. Wiesz, o co mi chodzi?

Konstantin zrozumiała to doskonale. Poczwała, jak przechodzi przez nią fala melancholii.

– Chcę jedynie skontaktować się z Sativą, jeśli mi się uda. Tylko to mam zamiar zrobić.

Pleshette wytrzymała jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, a potem wzruszyła kościstymi ramionami.

– Dobra. Wiesz, nie chodzi o to, że nie potrafię już odróżnić SR od realu. Nie ubrdałam sobie, że mogę oddać to wszystko do banku czy coś. Ale włożyłam w to kupę czasu i wydałam jeszcze więcej forsy. Jak teraz to stracę, nie będę miała nic. Kapujesz?

Konstantin kapowała. Nie mogła jednak zdecydować, czy kolekcja rzeczy w SR była wystarczającym powodem, by pozbawić kogoś życia.

Guilfoyle znalazła czysty skafander sieciowy w rozmiarze Konstantin i pomogła jej go założyć, udzielając przy tym dziesiątek rad głosikiem rodem z kreskówki. Konstantin czuła się głupio, choć miała świadomość, że to tylko kolejna operacja zbierania informacji, tyle że przypominała używanie telefonu.

O ile to, co się zdarzyło temu dzieciakowi, nie przytrafi się mnie, pomyślała markotnie.

Tim Mezzar dotrzymał słowa i podesłał jej ikonki, które przegrał do pamięci kasku.

– Musisz jedynie przywołać katalog ikon – powiadomił. Nie wydawał się już tak znudzony. – A jeśli nie będziesz miała pewności, z której ikony skorzystać, poproś o pomoc.

– Kogo?

– Ikonę! – odparł, a z jego wzroku wyczytała, że powinna była to wiedzieć. – Każda z nich zawiera plik pomocy. Muszę cię jednak ostrzec, że wszystkie są dość idiosynkratyczne. Wiesz, o czym mówię, nie? Wiesz, co niektórzy ludzie nazywają pomocą.

Konstantin poczuła lekki niepokój, gdyż uświadomiła sobie, że naprawdę rozumie, co jej tłumaczy. Po wprowadzeniu informacji do kasku Pleshette zaprowadziła ją do jednego z luksusowych pomieszczeń (jego luksus wyrażał się w tym, że pokój był dwakroć większy i stało w nim dodatkowe krzesło), pomogła wygodnie usiąść, zamocowała odpowiednie pasy, by nie spadła podczas nadmiernego przypływu energii, i nałożyła jej kask. Konstantin próbowała podziękować, ale kask stłumił słowa. Bardziej odczuła, niż usłyszała, że kierowniczka opuszcza pokój. Przeszył ją lęk, krótki, lecz intensywny, pozostawiając tylko zawrót głowy.

Nagle na ekranie pojawił się panel graficzny i Konstantin odzyskała równowagę. Uruchomiła dziennik sesji, niezależną, zewnętrzną operację, dzięki której miała uzyskać własny zapis, by w razie konieczności udowodnić, że nikt w nim nie majstrował.

Zabawne, że prezentując nagrane dowody, człowiek w pierwszej kolejności musi wykazać, że są wolne od ingerencji, pomyślała.

Panel graficzny znikł, a w jego miejsce pojawiło się menu konfiguracyjne. Zaznaczyła odpowiednie opcje – grafika widokowa i pomoc dostępna przez całą sesję – a skafander tymczasem „rozgrzewał się”. Konstantin z niepokojem uświadomiła sobie, że to niewygodny skafander. Nie zwróciła na to uwagi podczas zakładania, a teraz było już za późno, by cokolwiek zrobić. Zresztą salon zapewne dysponował tylko

pełnymi skafandrami, co stanowiło jego główną atrakcję. Jakby na potwierdzenie tych rozważań, w miejscu menu pojawiła się reklama pełnych skafandrów.

„Bo jeśli nie chcesz tego naprawdę poczuć”, odezwał się kojący kobiecy głos, a na ekranie obracał się pełny skafander, przezroczysty, by widać było wszystkie sensory, „to po co w ogóle zawracać sobie głowę?”.

Co po namyśle Konstantin uznała za niegłupie pytanie.

Monitor w kasku sieciowym zogniskował się i pokazał standardowe wprowadzenie drukowanymi literami na tle zmieniających się kolorów. Konstantin westchnęła niecierpliwie. Tyle ustawień i informacji wstępnych, a zegar pracował od początku sesji, widziała jego ikonkę w prawym górnym rogu.

Trudno zbankrutować, gdy prowadzi się salon gier, pomyślała. Chyba że ktoś się naprawdę postara.

Napis pojawił się tak niespodziewanie, że minęły co najmniej trzy sekundy, nim go zarejestrowała, a nawet wtedy nie była pewna, czy naprawdę go widzi, czy tylko sobie wyobraża. Widzenie w SR było osobliwie nazbyt podobne do myślenia.

„Witamy w krainie, w której wszystko może się zdarzyć. Nie obowiązują tu żadne zasady. Wszystko dozwolone”.

Ha, pomyślała Konstantin.

„Możesz zachować całkowitą anonimowość. Możesz opowiedzieć całą prawdę o sobie. Możesz kłamać”.

Słowo „kłamać” rozbłyskiwało przez moment w najróżniejszych kolorach, nim ostatecznie wyparowało.

„Popełnienie prawdziwej zbrodni w SR jest niemożliwe. Jeśli zrobisz tam coś, co wynika z tego, co robisz tu, jesteś skazany/a na siebie. Jeśli wirtualna postać poniesie śmierć, wystarczy poprosić o przekserowanie do centralnych zasobów, gdzie

można wybrać kolejną. Czas poświęcony na wybranie nowej postaci lub na poszukiwanie danych bądź zabiegi konserwujące nie jest darmowy, niemniej operator twojego salonu gier może udzielić ci rabatu. Sprawdź plik z możliwymi rabatami celem uzyskania dalszych informacji”.

Konstantin rozejrzała się w poszukiwaniu opcji przewijania ekranu.

„W tej części sesji brak opcji przewijania. Prawo stanowe i federalne wyraźnie stwierdza, iż wszyscy użytkownicy mają zostać poinformowani o warunkach obowiązujących w grze. Czytając ten ustęp, deklarujesz, że rozumiesz procedury rządzące grą i zgadzasz się na standardowe i dodatkowe opłaty, które poniesiesz w jej trakcie. Zamknięcie oczu spowoduje, że wprowadzenie zostanie przedstawione raz jeszcze na twój koszt”.

Częstotliwość mrugania i ruch gałek ocznych może zdradzić wiele z tego, co myślimy, zwłaszcza w połączeniu z innymi odruchami, pomyślała Konstantin, która z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo.

„Wprowadzenie dobiega końca w tym miejscu. Na następnym ekranie wybierzesz strefę. Szczęśliwej podróży i powodzenia!”.

Na kolejnym ekranie ujrzała cztery drzwi nazwane: „Postapokaliptyczne Noo Yawk Sitty”, „Postapokaliptyczne Ellay”, „Postapokaliptyczny Hong Kong” oraz „Inne”.

W prawym dolnym rogu pojawiła się mała lśniąca ikonka w kształcie dłoni przekręcającej gałkę w drzwiach. Tuż pod nią na pasku statusu wykwitł napis: „Wskazówka!”. Konstantin niepewnie sięgnęła do Noo Yawk Sitty i ujrzała dłoń w białej rękawiczce sunącą w kierunku gałki. Gdy jej dotknęła, Konstantin uświadomiła sobie, że czuje gałkę, gdy sensory

przekazały wrażenie do jej palców oraz wnętrza dłoni. Była zaskoczona autentycznością doznania – miała wrażenie, iż było bardziej realne niż w realu.

Potem Dore oślepił chaos, utonęła w wirze zgiełku i świateł, poraziły ją niezliczone doznania dotykowe i wizualne atakujące zewsząd w tej samej chwili, nim mogła zareagować. Pod stopami poczuła chropowaty, połyskliwy bruk, tenże sam bruk postapokaliptycznego Noo Yawk Sitty. Widziała migotanie, które rozpościerało się wokół niej – nie jak „pacjent odurzony na operacyjnym stole” z wiersza T.S. Eliota, ale jak połyskliwa, błyszcząca uczta dla zmysłów.

„Wskazówka: W wypadku dezorientacji połącz się i odczekaj przynajmniej trzydzieści sekund, zanim znów spróbujesz się poruszyć. Zamknięcie oczu może wywołać nudności. Ta informacja zostanie powtórzona”.

Odnalazła przycisk „zmniejszyć” i odniosła wrażenie, że wydała przy tym jakiś dźwięk oznaczający ulgę. Kilka chwil później wszystkie ustawienia skafandra zostały wyregulowane na bardziej znośnym poziomie.

Ten, kto ostatnio nosił ten skafander, pomyślała, był albo skrajnie znużony życiem, albo cierpiał na jakieś totalne zaburzenie zmysłów. Albo – co w erze doznań realniejszych od realnych nie powinno nikogo dziwić – miał oba te problemy.

Teraz gdy mogła przyjrzeć się otoczeniu bez narażania zmysłów, odkryła ku swemu przerażeniu, że znalazła się w miejscu nieprzypominającym tego, w którym zniknął/ęła Shantih Love. Stała na otwartej przestrzeni, otoczona wysokimi budynkami obwieszonymi ogromnymi neonami z gatunku tych, które były popularne jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat temu. Nie było dookoła żadnych ludzi, a przynajmniej żadnych

nie widziała. Nie słyszała też żadnych odgłosów z wyjątkiem cichego szumu, być może wydawanego przez neony lub jakąś inną odległą maszynę.

A może mam jakiś luźny styk w kasku, pomyślała kwaśno. Takie już moje szczęście.

Budynki były ciemne, poznaczone śladami pożarów, pocisków i wybuchów bomb. Wybite okna ziały zewsząd niczym puste oczodoły, ale neony świeciły jaskrawo, niewyobrażalnie wprost oślepiająco dzięki zmieniającym się kolorom, które płynnie przechodziły jeden w drugi. Musiała odwrócić spojrzenie, by nie ulec zahipnotyzowaniu.

Srebrzysta postać stanęła w otwartych drzwiach. W pierwszej chwili Konstantin pomyślała, że jest to ktoś ubrany w obcisły bioskafander, lecz gdy obcy podszedł bliżej, zauważyła, że skóra jest tego samego koloru co ubranie. Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, policjantka zmieniła zdanie – skóra była z tego samego materiału co ubranie.

– Nowa w mieście? – zaśpiewał nieznajomy, podchodząc ostrożnie.

– Może – odparła, cofając się o krok.

– Nowa, bez dwóch zdań.

Postać, która wyglądała teraz, jakby składała się z rtęci bądź chromu, wskazała coś za nią. Konstantin się odwróciła.

Na widok całkowicie bezwłosej, pozbawionej oznak płci istoty, która odbiła się w czarnym szkłe, aż podskoczyła ze strachu. W chwilę później pomyślała, że zaraz spali się ze wstydu. Zupełnie zapomniała o wyborze postaci, a skafander, zamiast wybrać coś dla niej, pozwolił jej wejść do SR pod postacią zastępczą. Rozejrzała się w panice w poszukiwaniu ikonki wyjścia.

– Nie musisz wychodzić – rzekła srebrzysta postać śpiewnym,

melodyjnym głosem. Konstantin widziała wyraźnie, iż jest czymś w rodzaju ożywionej rzeźby wysokiej, młodej dziewczyny, choć metalu, z którego wykonano ową rzeźbę, nie dało się rozpoznać. Chrom, rtęć, a może platyna?

– Wejdź do Centralnych Zasobów i wybierz Szafę. Potem wypełnij instrukcje.

– Och, w porządku. Dziękuję bardzo – odparła Konstantin, nadal czując się niezręcznie. Potem wyciągnęła dłoń. – Eee... Mam na imię Dore. I, cóż, masz rację. Jestem tu nowa.

Srebrna dziewczyna chyba nie dostrzegła wyciągniętej ręki.

– Jestem podprogramem pomocy, reagującym na sytuacje typowe dla nowych użytkowników SR oraz/lub postapokaliptycznego Noo Yawk Sitty. Jestem również dostępna na wezwanie. Wybierz opcję „Pomoc” i zawołaj Sylwię.

Konstantin już zaczynała znów jej dziękować, lecz dziewczyna wykonała szybki gest na poziomie oczu i detektyw odkryła, że stoi przy lśniącej białej ladzie. Widniał tam napis: „Dotknij, jeśli potrzebujesz pomocy”, który przeszedł od blad różowego do krwistoczerwonego i z powrotem do blad różowego, po czym znikł. Konstantin energicznie położyła palec w miejscu, gdzie jej zdaniem znajdowało się „o” w słowie „potrzebujesz”.

– Pomoc nadchodzi – usłyszała mocny męski głos.

Niski, pulchny mężczyzna, który pojawił się po drugiej stronie lady, wyglądał, jakby zgłosił się do castingu do filmu o pracownikach bankowych na początku osiemnastego wieku. Zielony daszek na jego czole rzucał cień na twarz, przez co trudno było ujrzeć oczy. Konstantin widziała w ich miejscu jedynie dwa odbite punkciki światła.

– A gdzie reszta twojego kapelusza? – zapytała tknięta impulsem.

– To daszek, a nie kapelusz – odpowiedział tym samym mocnym, niemalże szorstkim głosem. – Jego obecność oznacza, że są dostępne przedmioty i sprzęt, częściowo za dodatkową opłatą. Czy chcesz ujrzeć listę dostępnych przedmiotów i sprzętu wraz z cenami? Lista może również zostać dołączona do wydruku twojego rachunku.

– Nie wiem. Czy postać jest klasyfikowana jako przedmiot, czy sprzęt?

– Ani jedno, ani drugie. Postać to postać. Czy masz jakąś postać na myśli, czy planujesz ją tu stworzyć? Przekształcanie istniejących postaci w SR jest możliwe za dopłatą. Nie pobiera się opłat w sytuacji, jeśli wprowadziłaś do SR własne oprogramowanie przekształcające, nie licząc oczywiście czasu, który poświęcisz na pracę nad postacią.

Konstantin złapała się na tym, że ziewa. Jak dotąd jej wielka przygoda w SR okazała się jeszcze nudniejsza od rzeczywistości, do której była przyzwyczajona.

– Czy ktoś tu w ogóle coś robi poza wysłuchiwaniami, ile wszystko kosztuje?

– Osobom korzystającym z SR po raz pierwszy zaleca się przejście instruktażu, odbywającego się w jakimś łatwiejszym scenariuszu – mężczyzna wydawał się równie znudzony jak ona.

– Chcę się stąd wydostać – powiedziała. – Mam na myśli całą tę bajzel. Koniec. Wypad. *Game over*. Nie ma mnie tu! Spadam!

Nagle uświadomiła sobie, że wpatruje się w pusty ekran. Jej skafander przeszedł w tryb zawieszenia, ale nadal był aktywny. Na ekranie pojawiły się płynące równym rytmem słowa: „Sesja w wybranej przez ciebie rzeczywistości została zatrzymana. Odczyty wskazują wysoki poziom napięcia i stresu w nieskomplikowanej sytuacji, co zazwyczaj zdarza się, gdy

użytkownik ma trudności z odnalezieniem się lub nie zapoznał się należycie z instrukcjami korzystania z SR. Czy kontynuować sesję, czy chciałabyś zakończyć ją i wyjść? Proszę wybrać jedną z podanych opcji”.

Już miała wybrać opcję zakończenia, gdy nagle usłyszała coś, co brzmiało jak dzwonek telefonu.

Napis na ekranie znikł i słowo po słowie szybko wypłynęła kolejna wiadomość: „Próbuje się z tobą skontaktować osoba w czasie rzeczywistym. Czy chcesz odebrać? Wybierz opcję tak lub nie”.

– Kto to? – zapytała, a potem szybko dodała: – Och, mniejsza o to. Połącz mnie.

Rozległo się kliknięcie, a potem znajomy kreskówkowy głosik Guilfoyle: – Co ty wyczyniasz?

– Nie wiem.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. Ikony i hasła na niewiele ci się przydadzą, jeśli nie wiesz, co robisz. Wsadziłam cię w nowoczesny skafander, ale nie ma gotowca, musisz coś sama wykombinować.

– Co mam wykombinować? – zapytała Konstantin markotnie.

– Własną postać! Sądziłam, że masz coś, co chcesz wprowadzić do SR.

– Mam.

– No? Co to takiego?

Konstantin nabrała tchu.

– Shantih Love.

Pleshette nawet się nie zawahała.

– Z podejrziętym gardłem czy bez?

– Z podejrziętym gardłem – rzekła detektyw. – Bezwzględnie. I podrzuć mi kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa.

– Chcesz to odegrać w trakcie sesji?

– Może mi się to przydać, jeśli w ten sposób będę mogła uzyskać jakieś odpowiedzi. A czemu pytasz?

– Bo to droga sprawa. – Pleshette wydawała się jednocześnie zmartwiona i rozdrażniona. – Kto zapłaci za wszystkie twoje zabawy na sieci?

– Wy wszyscy – rzekła Konstantin.

– Co takiego?

– Wy wszyscy. Podatnicy.

Śmiech Pleshette był cichy, ale zaskakująco oschły.

– Czyli nie ja. Nie płacę podatków. Z mojej pensji się nie da. Jeśli chcesz zrobić wrażenie na podatnikach, to złap tu paru przestępców i wywlec ich na zewnątrz, gdy zapragniesz się wylogować.

Dwadzieścia (płatnych) minut później Konstantin przeszła przez drzwi i znalazła się na ulicy, na której po raz pierwszy ujrzała Shantih Love. Świadomość, że w skafandrze odgrywała rolę Love, była zaskakująco przyjemna. Wcieliwszy się w postać, detektyw czuła się niemalże uwodzicielsko, nawet z poderżniętym gardłem. Było to dla niej całkowite zaskoczenie.

„W *Wojnie Gangów* łatwo jest uwolnić pierwotne instynkty”, mimowolnie przypomniawszy sobie słowa Pleshette.

I po co mi te złote myśli, pomyślała. To nie *Wojna Gangów*. Przynajmniej tyle wiem.

Zastanawiała się teraz, czy w ogóle cokolwiek wiedziała. Stosy wraków na ulicach płonęły, tu i ówdzie strzelając ku niebu snopami iskier, które wydawały się mieszać z gwiazdami. Migotanie widoczne na monitorze tu było mniej intensywne, bardziej przypominało delikatne falowanie drobnych światełek, kruchych, a mimo to opierających się lekkim podmuchom

wiatru, nadal lśniącym, połyskującym na tle czarnej ulicy, dziurkowanych cegieł i spękanych okien budynków, których fasady zwrócone były ku płonącym wrakom, budynkom tworzącym bariery między ulicą a obcym wybrzeżem rzeki Hudson.

Konstantin podeszła do bariery i ruszyła w tym samym kierunku, który obrał/a Shantih, rozglądając się w poszukiwaniu czegokolwiek przypominającego kudłatą bestię mogącą się nią zainteresować.

Szła, ale nie przybliżała się. Miała wręcz wrażenie, że rzeczy oddalają się od niej, a wiele przygląda jej się ze świadomością, iż jest tu obca.

A właściwie to skąd ktokolwiek ma wiedzieć, czy postać Shantih działała gdziekolwiek przez kolejne cztery godziny po śmierci Iguchiego? – pomyślała nagle. Może jedyną osobą, która to wiedziała, było owo stworzenie, które go zaatakowało i porwało.

Zatrzymała się, oparła o barierę i spojrzała tam, gdzie wówczas odbywała się impreza. Już dawno dobiegła końca, być może miejsce zdążyło stracić popularność w Sitty. Jednakże zadaniem Konstantin nie było odnalezienie imprezy, ani też wabienie jakiegoś nierealnego stworzenia. Zabawne, jak łatwo się tu zapominało o wszystkim, co ważne, a jak trudno zachowywało skupienie. Jeszcze chwila, a koncentracja całkiem by opuściła Dore i popękałaby w drobne kawałeczki, które uniosłyby się ku niebu wraz z iskrami z płonących wraków.

– Katalog ikon – powiedziała.

Katalog pojawił się w okamgnieniu na barierze – była to wielka księga pełna symboli wraz z objaśnieniami. Otworzyła się na stronie przedstawiającej płomień otoczony aureolą, który z

dwuwymiarowego rysunku przeistoczył się w hologram. Z płomienia wypłynęło słowo „oświecenie”, które falowało przez chwilę. Potem na stronie pojawiły się kolejne słowa: „Wystarczy, że zapytasz”.

Konstantin skrzywiła się lub tak jej się wydawało, gdyż powyżej szyi nie miała czucia.

– Czy to plik pomocy? – zapytała.

Na stronie naprzeciwko płomienia pojawiła się nowa wiadomość: „Pomoc z?_Przemieszczanie się_Lokalizacja_Kontakt_Inne?”.

Zastanowiła się i wybrała opcję: „_Kontakt”.

„Kontakt_Z kim_Z czym?”, zapytała stronica.

Wybrała: „_Z kim”. Znak zapytania przesunął się na koniec słowa.

– Body Sativa – powiedziała Konstantin.

Na stronie zmaterializował się złoty napis „verte!”. Odwróciła stronę i ujrzała mapę, lśniący punkt wskazywał pozycję Konstantin. Kropkowana zielona linia, wijąc się, pomknęła przez siatkę ulic sześć przecznic dalej. Rozbłyskiwała tam zielona gwiazdka.

– Prościzna. – Dore zapamiętała adres i kierunki. „Wystarczy, że zapytasz”. Tak proste, że aż za proste.

Księga schowała się za mapą, a Konstantin ruszyła we wskazanym kierunku, ku najbliższemu skrzyżowaniu trzech ulic. Trzy ogniste humanoidalne kształty wyłoniły się spośród płonącego wraku klasycznego rolls-royce’a zakleszczonego między dwoma starymi samochodami sportowymi i zatrzymały się na widok Shantih/a. Konstantin poczuła nagle ogromną ochotę, by oznajmić im, że sprzedaje encyklopedie lub środki czyszczące. Miała wrażenie, że jej plecy aż łaskoczą od dosłownie

płonących spojrzeń.

Nie, to było zbyt proste. Jeszcze zażądają od niej chipów z historią naturalną lub butelki czegoś, co wygląda jak mocz, ale przyjemniej pachnie. Choć z drugiej strony od chwili wejścia do SR Dore nie czuła żadnych zapachów, nawet smrodu płonących samochodów.

Nie miała pojęcia, skąd przyszedł jej pomysł na taki żart. Nigdy nie miała poczucia humoru, jeśli wierzyć słowom byłego.

Tutaj wszystko przechodzi. Możesz nawet udawać, że masz poczucie humoru lub że twój były tak naprawdę nie jest wcale byłym, a przy tym nadal poszukiwać kogoś o nazwisku tak nierealnym jak Body Sativa, Love czy diabli wiedzą co jeszcze.

Minęła kilka bójek, boczną uliczkę, w której kilkuset ludzi najwyraźniej próbowało utworzyć możliwie największy ścisk i nie przerywać tańca – wyglądało na to, że ich zdaniem wystarczyło w tym celu zrzucić ubranie – oraz ekran rozmiarów billboardu, na którym pół tuzina osób albo współpracowało, albo współzawodniczyło o najbardziej dominujący wizerunek. Ktoś spośród nich chyba miał obsesję gadzich mutantów. A może niektóre typy postaci były zaraźliwe?

A może to mutacje są zaraźliwe? – pomyślała Konstantin, mijając kogoś, kto wyglądał na potomstwo człowieka i kobry. Zatrzymała się na rogu, na wprost parku otoczonego płotem najeżonym czarnymi metalowymi kolcami, i raz jeszcze zerknęła na mapę.

– Sssssssssssssssshhhhhhhhhhhhhhhhhhhhh...

Odgłos był tak łagodny, iż nie miała pewności, czy go w ogóle usłyszała, lecz po chwili pojawił się znów. Dobiegał z ciemności ogrodzonej kolczastym płotem, a Konstantin uświadomiła sobie, że wrażenie podnoszących się włosków na szyi niekonieczne

musi być wytworem sensorów skafandra.

– Sssssssssshhhhhhhhaaaaannnnnnnnnnntiiiiiiih...

Zaciskała pięści tak mocno, iż gdyby naprawdę trzymała mapę, pogmiotłaby ją i podarła w wielu miejscach.

Dajże spokój, powiedziała sobie. To się nie dzieje naprawdę. To tylko straszna historyjka, tyle że tak się składa, że w niej uczestniczysz.

– Sssssssssshhhhhhhhaaaaannnnnnnnnnntiiiiiiih...

Wyglądało na to, że to, co sobie wmawia, nie ma większego znaczenia. Włoski nadal sterczały, a po plecach przechodziły dreszcze. Konstantin próbowała się uspokoić, napiąć mięśnie, lecz tylko znów zadrżała.

– Sssssssssshhhhhhhhaaaaannnnnnnnntiiiiiiih... Witaj z powrotem w krainie martwych. Czekaliśmy na ciebie, kochanie.

Konstantin zmusiła się, by się odwrócić. Szczęzące się w uśmiechu twarze, które wyłoniły się z ciemności, emanowały srebrzystym blaskiem, a ich oczy, również lśniące, otaczały czarne, grube kręgi.

Nie, całe oczy nie lśnią, pomyślała Konstantin, usiłując dojrzeć jak najwięcej szczegółów pomimo zimna, które rozlewało się po jej karku i wpełzało na czaszkę. Tylko białka.

Jej wzrok dostosowywał się do ciemności i wiedziała już, że jest ich sześciu i tworzą w miarę symetryczną formację wokół stołu piknikowego, na którym stał ten, który się do niej odezwał. Wszyscy nosili czarne, obcisłe kombinezony, ciasno opinające się na ich wyidealizowanych, wysportowanych ciałach. Niektórzy bez najmniejszej wątpliwości byli płci żeńskiej, inni wyraźnie męskiej.

Fatalne wpadki choreografów Broadwayu, odezwał się cichy, kpiący głos w jej głowie.

Jej kark przeszły kolejne dreszcze. Drżąc, potarła go wolną ręką i poczuła, jak rozcięty fragment z przodu oddziela się nieco.

Zakryła rozcięte gardło mapą i podeszła do metalowego płotu.

– Znam was? – zapytała, usiłując nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

– Shantih! – rzekł z pretensją ten, który odzywał się do tej pory. Był bez wątpienia mężczyzną. – Cóż to za pytanie? Przecież tyle dla siebie znaczymy. Jestem ranny. Śmiertelnie ranny. Wszyscy jesteśmy śmiertelnie ranni.

– A ja jestem martwy – odparła Konstantin. – Wiesz może, kto za tym stoi?

Na twarzy emanującej księżycową poświatą niespodziewanie pojawiła się niepewność.

– Kochanie, przecież byłeś tam! Obejrzyj nagranie! Przeżyj raz jeszcze każdą z tych wspaniałych chwil.

– Już to zrobiłam. Zaprosiłabym was do obejrzenia go wraz ze mną, ale spieszę się na spotkanie. Może jeszcze się zobaczymy.

Jedna z kobiet po prawej od rzecznika grupy, do tej pory skulona i napięta niczym przyczajony kot, wyprostowała się nagle i złapała obiema dłońmi za kark.

– Och, niech cię szlag, Shantih. Plecy mnie dziś bolą jak cholera. Jeśli nie grasz, to po prostu powiedz, znajdziemy sobie kogoś innego.

– Nie gram – powiedziała Konstantin i zaczęła się odwracać.

– Bo nie jesteś Shantih – oznajmił rzecznik i zeskoczył ze stołu. Ruszył w stronę płotu. – Nie jesteś, prawda?

Nie brzmiało to jednak jak pytanie.

Konstantin pokręciła głową.

– Znałeś dobrze Shantih Love?

Mężczyzna wyregulował coś na wysokości pasa i Konstantin

poczuła, jak prześladowujące ją dreszcze nagle znikają.

– Czy znałem? Czy to oznacza, że nasza zwykła Shantih porzuciła swoją postać?

– Porzuciła swój byt – rzekła Konstantin. – Człowiek, którego znałeś tu jako Shantih Love, został zamordowany. Na serio. Ja...

Człowiek odwrócił się od niej i machnął ramieniem. Grupa otaczająca stół piknikowy znikła, łącznie z kobietą, która narzekała, a wtedy mężczyzna odwrócił się do detektyw.

– Coś ty znowu za dziewczica, co, mała? – zapytał. Na jego pomalowanej na biało twarzy widniało rozdrażnienie.

– Co za dziewczica? – powtórzyła zdumiona Konstantin.

– Tak, dobrze słyszałaś. Jesteś rozpuszczonym bachorem senatora, który szuka dobrej zabawy, czy może bogatym gnojkiem, który wykupił stałego bywalca? Co, sądziłaś, że uda ci się przejąć rolę i renomę Shantih wraz z jego imieniem?

Konstantin zaczęła odpowiadać, ale mężczyzna znów przełączył coś przy pasku i po karku detektyw spłynęła kolejna fala dreszczy. Wykrzyknęła i cofnęła się gwałtownie, oganiając się mapą, jakby fale ultradźwiękowe były owadami, które mogła od siebie odpędzić.

– Trzymaj się z daleka ode mnie, fałszywko! – wykrzyknęła.

– Co takiego? – odkrzyknęła. – Nie zrobiłam niczego...

– Nienawidzę dziewczic! Myślisz, że jesteś pierwszą, która wpadła na to, żeby rozpowiedzieć w SR, że gość, od którego kupiłaś postać, nie żyje? Sądzisz pewnie, że z chęcią zaprowadzimy cię do jego kryjówki, że powiemy ci: „Bierz, co chcesz, kochanie, bierz wszystko, a jak nie będziesz wiedzieć, jak czegoś używać, to po prostu zapytaj, dobrze?”.

Znów coś przełączył na wysokości pasa i Konstantin musiała cofnąć się o kilka kolejnych kroków. W tej samej chwili

zrozumiała, że ów dziwny przedmiot nie powinien mieć na nią żadnego wpływu, chyba że jej skafander był dostrojony do scenariusza i sam wytwarzał ultradźwięki. Zerknęła na panel kontrolny i przekonała się, że to on je generuje. Zmieniła kilka ustawień i dreszcze natychmiast ustały.

Mężczyzna burknął zdegustowany.

– Na litość boską, jeśli nie potrafisz znieść tego wrażenia, po jaką cholere w ogóle tu przychodziłaś?

Zniknął, pozostawiając ją samą. Konstantin zaś ruszyła w dalszą drogę, nie wiedząc jednak, czy z ulgą, czy jak skarcone dziecko.

Miejsce zaznaczone na mapie okazało się stacją metra lub może postapokaliptyczną ruiną stacji metra. Stojąc na chodniku i spoglądając w dół kamiennych schodów, Konstantin słyszała odległe echo ludzkich rozmów i jeszcze bardziej odległe echo muzyki, ale nie było tam żadnych pociągów. Może w Noo Yawk Sitty człowiek przemieszczał się tunelami, a towarzyszyła mu ulubiona muzyka.

Konstantin przykucnęła u szczytu schodów z mapą, nieświadomie zalepiając palcami krawędzie rany. Tkanka była nieco kitowata i gąbczasta, ale nie zwierała się na długo. Detektyw zastanawiała się, czy nie powinna poszukać jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby zostać pozszywana, może powinna spróbować. Ciekawe, czy Shantih by to przeszkadzało...

Poczuła dziwny napór wzdłuż pleców, od szyi aż po stopy. Wstała i odwróciła się, by sprawdzić, czy nie wdepnęła w kolejną nieprzyjemną sytuację, ale nie widziała nikogo i niczego. Była sama, a ów napór we wnętrzu skafandra kierował ją ku schodom prowadzącym do stacji.

– Pomoc – powiedziała, obracając mapę, a ta znów stała się

księgą. Dore odnalazła właściwy ustęp w rozdziale poświęconym skafandrowi, ale musiała przeczytać go trzykrotnie, nim zrozumiała, że to sam skafander, kierowany statystykami i cechami Shantih, daje jej wskazówkę co do dalszego postępowania. Wszystko wskazywało na to, że w tym miejscu Shantih Love zszedłby do metra.

Konstantin skupiła się, dotknęła rozciętego gardła i zamknęła oczy. W istocie, teraz to poczuła. Była świadoma dotyku oddziałującego na nią przez sensory skafandra. Sama niczego nie dotykała, a nawet jeśli tak było, wrażenie SR przytłoczyło jej doznania intensywnością, jaskrawością i mocą sugestii.

Otworzyła oczy i ujrzała młodego Japończyka ubranego w zwykłe szaty robotnika sprzed ponad stu lat, ale uzbrojonego chyba w miecz samurajski. Obronnym gestem przytuliła do piersi księgę, która znów stała się mapą. Mężczyzna wyglądał, jakby jej nie zauważał. Miał łagodne, nieobecne spojrzenie. Podszedł o krok. Konstantin chciała już zerwać się do ucieczki, ale nagle wyraz twarzy mężczyzny zmienił się, wydała się nieco surowsza, czujniejsza. Detektyw nie ruszyła się z miejsca.

– Czy to oznacza, że dał pan sobie spokój, panie Iguchi? – zapytał cichym, kipiącym sarkazmem głosem, kładąc nacisk na nazwisko. – A może po prostu zmienił pan strategię?

– Skąd znasz moje imię? – zapytała Konstantin i aż skrzywiła się w duchu, słysząc drżenie swojego głosu. Powodem nie był strach, lecz zimno. Jej skafander chyba się przeistaczał w lód.

Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej.

– Co, znowu stroisz sobie żarty, Tom? Doprawdy dowcipniś z ciebie.

– To nie tyle żarty, co awaria – mruknęła Konstantin, pocierając ramiona. Temperatura spadała nadał, jakby

skafander próbował obronić Dore przed żarem pieca hutniczego.

– Nie jest dziś zimno, Tom – rzekł Japończyk. – Na pewno nie trzęsiesz się ze strachu?

– Jak tam sobie chcesz – odparła z rozpaczą Konstantin, w nadziei, że uda jej się jakoś wpłynąć na termostat skafandra.

– Na pewno się nie boisz? Ani mnie, ani tego, co reprezentuję?

– A co to takiego? – zaszczękała zębami Konstantin.

– Stary świat, który nie ma nic wspólnego z tym, czym stał się ten. Ten świat lub ten, w którym się on zawiera. Lub ten, w którym z kolei tamten się zawiera. Pudełka wewnątrz pudełek wewnątrz pudełek, jeden wielki szlak ku nieskończoności.

Między kciukiem i palcem wskazującym mężczyzny nagle pojawiła się moneta, która błysnęła srebrem, a potem Konstantin dostrzegła znajdujący się na niej symbol – leżącą na boku cyfrę 8. Japończyk podrzucił ją i pokazał się rewers, a na nim wąż z ogonem w pysku.

– To nie japońskie symbole, ale w tym, co przedstawiają, jest coś bardzo japońskiego. Mam na myśli starą Japonię, nieznaną rozpalonym, lecz oziębłym, szalonym plemionom wyznawców prędkości czy rozpustnym młodym karierowiczom z neonowej dżungli, która zarosła stare znaki i symbole.

Wyciągnął monetę, jakby chciał, by ją wzięła, lecz gdy spróbowała sięgnąć po nią, podrzucił ją wysoko i złapał w powietrzu. Konstantin cofnęła dłoń, zażenowana i poirytowana jednocześnie, a mężczyzna schował ręce za siebie, a potem znowu je wyciągnął.

– W której ręce, Tom? No, wybieraj.

Konstantin wetknęła mapę pod pachę, próbując zignorować fakt, iż jej ciało zamieniało się w lodowy posąg.

– No, przekonajmy się. – Zadarła czupurnie podbródek. –

Kiedyś byłem w tym dobry. Mam na myśli odkrywanie ukrytych intencji drugiego człowieka. Każdy ma coś, co go zdradza. Nawet w Japonii.

Mężczyzna zmrużył oczy i przyjrzał jej się bliżej.

– Taki cwany to ty nigdy nie byłeś, Tom. Co się wydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania? Dorwałeś gdzieś pigułki geniuszu? Znalazłeś coś, co wypala ci komórki mózgowe w trakcie używania?

Konstantin nie odpowiedziała, miast tego bacznie przyjrzała się jego prawej pięści, a potem lewej.

– Czasami widać skurcz, jakieś stwardnienie mięśni. Czasami osoba po prostu patrzy na właściwą dłoń, obojętnie, która to jest. To nie ma znaczenia, po prostu musisz wiedzieć, czego szukać, musisz wiedzieć, jaki to znak. Większość osób próbujących wywieść kogoś w pole nawet nie zdaje sobie sprawy, że przez cały czas się zdradza. Niemniej jakiś znak jest. Zawsze czymś się podłożysz, zawsze naprowadzisz na właściwą odpowiedź.

Konstantin zawahała się, a potem dotknęła prawej pięści.

– Tu jest.

– Nie jesteś Iguchim – odparł Japończyk, nie drgnąwszy nawet.

– Najpierw się przekonajmy – wykręciła się Konstantin. – Wiem, że mam rację. W przeciwnym razie nie grałbyś na zwłokę.

– Nie jesteś Iguchim. Od razu powinienem był się zorientować. Jesteś o wiele za sprytny, jak na niego. Gdzie przebywa dziś stary Tom? Zatrudnił cię, czy może go wykupiłeś? Jeśli go wykupiłeś, to wepchnął ci wadliwy towar.

Wskazał przecięte gardło ruchem podbródka.

Konstantin poczuła się bardziej pewna siebie. Podeszła bliżej i postukała palcem w kłykcie prawej pięści.

– No, przekonajmy się. Wiem, że moneta jest tutaj. Daj mi ją i

miejmy to z głowy.

– Z głowy? – Mężczyzna uśmiechnął się, uniósł prawą pięść i rozwarł. Była pusta. – A może pora krzyknąć?

Spojrzał na lewą pięść i także rozwarł palce. Okazało się, że również jest pusta. Uniósł obie dłonie, jakby ktoś mierzył do niego z broni lub jakby się poddawał. Poirytowana Konstantin cofnęła się o krok i założyła ramiona na piersi.

– W porządku – powiedziała. – Wygrałeś. Ale oboje wiemy, że póki nie zdecydowałeś się mnie oszukać, moneta była w twojej prawej dłoni. Oboje to wiemy i zawsze będziemy to wiedzieć, nigdy tego nie zapomnimy, nieprawdaż?

Wyjęła mapę spod pachy i wtedy poczuła coś zabawnego w dłoni. Rozwarła ją i ujrzała monetę. Uniosła ją i obejrzała z obu stron.

– Pamiętaj, że w odpowiednim momencie trzeba krzyknąć – napomniał ją. – Problem jednak w tym, że kiedy masz monetę z wiecznością po jednej stronie i Ouroborosem po drugiej, skąd będziesz wiedzieć, która ze stron to awers, a która rewers?

Konstantin nie odpowiedziała. Japończyk parsknął śmiechem, uklonił się i odszedł w ciemność. Słyszała echo śmiechu długo po tym, jak mrok pochłonął jego sylwetkę.

Raz jeszcze przyjrzała się monecie. Bez względu na to, co powiedział lub zrobił ten obcy, wręczył ją Dore. Konstantin właśnie otrzymała swój pierwszy przedmiot w SR. Zadała sobie w myślach pytanie, czy to takie przedmioty stanowiły oczko w głowie Pleshette i czy były to rzeczy, dla których ktoś mógł zabić.

Zeszła po schodach, trzymając się poręczy wolną ręką. Wyczuwała każde jej skrzywienie, każdą nieregularność, a echo głosów i muzyki odbijało się od brudnych kafelków. Konstantin zauważyła niemalże z rozbawieniem, że czasem odczyt

sensoryczny był zbyt autentyczny, by uznać go za prawdziwy. Jej rozbawienie minęło, gdy dotarła na dół schodów i ujrzała pusty peron za zepsutymi, zniszczonymi kołowrotkami i dawno nieużywanym stanowiskiem sprzedaży tokenów. W nienaturalnym świetle fluorescencyjnych lamp nie widziała żadnych ludzi ani oznak ruchu. Stację pokrywała gruba warstwa kurzu i pyłu, co znaczyło, że nikt nie wchodził tu od bardzo, bardzo dawna, co musiało być nieprawdą, skoro jej przyjaciel Japończyk właśnie stamtąd wyszedł.

A może tylko czekał na nią przy schodach? Na nią lub na kogoś takiego jak ona... Nie, z jakiegoś powodu wiedziała, że on na pewno oczekiwał Shantih Love.

Światła nad głową Dore nie brzęczały ani nie buczały, nawet nie migotały. To dziwne w tak opuszczonym miejscu.

Moneta w jej dłoni stała się nieco cieplejsza.

Nie, to zbyt wysoka cena, pomyślała z rozbawieniem.

– Katalog ikon – powiedziała, a księga zmaterializowała jej się pod pachą. Ujęła ją drugą ręką i zdołała jakoś otworzyć. – Metro.

Strony zafurkotały i otwarły się na zdjęciu drewnianej pięciocentówki. Bez wątplenia wykonano ją z drewna, o czym świadczyła faktura słoików. Konstantin przyjrzała się i pokręciła głową. Strony książki znów zafurkotały niczym obrotowy wizytownik trącony nagłym podmuchem wiatru.

Ponieważ rzeczywiście wieje, uświadomiła sobie po chwili. Wieje z tunelu, gdzie kiedyś jeździły pociągi.

Czuła powiew i słyszała muzykę, lecz teraz bardziej ubogą, jakby wykonywaną tylko na jednym instrumencie, gitarze lub bardzo dobrym syntezatorze.

– Dość – nakazała książce, która się posłusznie zamknęła. Konstantin wspięła się na jeden z kołowrotek i weszła na

peron, rozglądając się uważnie.

Po lewej, gdzie kończył się peron, a zaczynał tunel, siedział po turecku człowiek z gitarą. Głowę odchylił i oparł o ścianę, grał z zamkniętymi oczami, pogrążony w głębokiej koncentracji. Konstantin zastanawiała się, czy gitarzysta zacznie też śpiewać, a potem zapytała się w duchu, jak spędzanie płatnego czasu w SR na siedzeniu w pustej stacji metra i graniu dla siebie może stanowić podniętę.

Coś mi się nie wydaje, pomyślała i nie spuszczać oczu z gitarzysty, powiedziała: – Podejmij poszukiwania. Pusta stacja metra, centrum miasta.

Stronice znów zafurkotały i zatrzymały się na ilustracji przedstawiającej zakrętkę do butelki napoju gazowanego o smaku waniliowym. Nakrętka wypadła z książki i potoczyła się pod stopy Dore. Gitarzysta przerwał granie i uniósł wzrok. Zmieniły się światła, ich kolorystyka stała się cieplejsza, a u dołu monitora Konstantin przemknęły słowa: „Wkraczasz na wyższy poziom”, niczym informacja o najnowszym doniosłym wydarzeniu przesuwająca się u dołu ekranu „Police Blotter”.

Na peronie roilo się od ludzi. Stali w grupkach, siedzieli na kołowrotkach w przejściu, tłoczyli się przy torach, przechodzili przez nie i wdrapywali się na przeciwległy peron, gdzie znajdowało się jeszcze więcej ludzi. W pierwszej chwili Dore dostrzegła te same typy co na brzegu w zapisie sesji Shantih, ale po chwili odkryła, że jeśli nie spogląda na nich zbyt szybko, wielu w trudny do wyjaśnienia sposób przekształca się w postaci bardziej oryginalne.

Nie mam nawet pewności, że tam jest tyłu ludzi, pomyślała, przypominając sobie dziwnego człowieka z białą twarzą i gang, który w ogóle nie istniał. Może niektórzy z nich tworzą fantomy

dla towarzystwa. Czyżby w SR istniała możliwość, by jeden człowiek został całym gangiem? I czy to rzecz? Gadżet? Element wyposażenia?

Kobieta mierząca siedem stóp wzrostu z długimi, gęstymi kasztanowymi włosami, które wydawały się obdarzone własnym życiem, spojrzała na Konstantin przez lornetkę teatralną.

– A czym ty jesteś? – zapytała grzmiącym kontraltem.

– Chyba zapomniałam – odpowiedziała Konstantin i aż się skrzywiła. Skafander przypominał, że jest skafandrem pełnym, dostarczającym całkowitej gamy doznań i że Shantih Love udzieliłby wysokiej kobiecie odpowiedzi. Koszmar. Były Dore zapewne by ją wyśmiał i stwierdził, że nie zasługuje na nic innego za kradzież cudzego życia.

Ja go nie ukradłam. On je stracił, a ja je znalazłam.

Jasne.

Konstantin nie była pewna, co jest gorsze – wyimaginowana kłótnia z byłym po rozstaniu czy prawdziwa kłótnia, która do rozstania prowadziła – niemniej była przekonana, że roztrząsanie tego typu kwestii podczas płatnej sesji w SR czy dochodzenia w sprawie zabójstwa zupełnie nie miało sensu. O ile rzeczywiście było to dochodzenie, a nie jakaś kompletna strata czasu.

– Znasz Body Sative? – zapytała wysoką kobietę.

– Tak. – Ta popatrzyła na nią przez chwilę, po czym odeszła.

Ludzie na torach tańczyli teraz do muzyki przypominającej rytmiczne rozgniatanie szkła o metal. Konstantin zeskoczyła z peronu na tory i przeszła między nimi z opuszczoną głową, by kątem oka śledzić ich przemiany. Wydawało się, że większość zgromadzonych znajduje się w stanie, który jej eks zwykł nazywać kiepskim byle hajem na słodko. Konstantin musiała

przyznać, że zaintrygował ją ten widok.

Zerknęła na sięgającą do kolan szatę Shantih. W tym świetle jej czerwień wydawała się o wiele głębsza niż wcześniej. Jeszcze dziwniejszej przemianie uległ materiał – wyglądał jak aksamit, lecz w dotyku przypominał papier ścierny, przynajmniej z wierzchu. Od środka Konstantin niczego nie czuła – skafander co prawda dostarczał kompletnych wrażeń sensorycznych, ale niektóre rzeczy pomijał. Nie czuło się na przykład, jak szata muska kolana podczas marszu. Dore przypuszczała, że taki efekt można było uzyskać dopiero przez wprowadzenie własnych udoskonaleń.

Ale przynajmniej nie potykam się o jej rąbek, pomyślała, prześlizgując się między tańczącymi i nie wypuszczając mapy z ręki. Nadal widziała na planie miasta to, co poprzednio, lecz nareszcie uzyskała dostęp do poziomu, gdzie znajdowali się wszyscy ludzie. Istniały więc tylko dwa rozwiązania – Body Sativa znajdowała się gdzieś tutaj lub coś było nie tak z mapą.

Chyba jednak zagadnięcie i poproszenie o pomoc należało do sztuczek, których Konstantin w SR jeszcze nie opanowała. Szła więc dalej po torach. Tańczący nadal ją ignorowali, co więcej, wydawali się całkowicie nieświadomi jej obecności, jakby była niewidzialna. To zaś oznaczało, że odnalazła poziom wewnątrz poziomu. Poziomy wewnątrz poziomów, pudełka w pudełkach.

Czy to wszystko ma jakiś sens? – zastanawiała się Dore. Czy to ma jakiś sens poza zwabianiem ludzi, by spędzali kosztowny czas na rozwiązywaniu zagadek?

Gitarzysta, z tego, co widziała, nadal zajmował to samo miejsce. I chyba nawet nadal grał, choć jego muzykę zagłuszał rytmiczny chrzęst, w rytm którego tańczyli zebrani. Peron znajdował się na wysokości nosa Konstantin. Próbowwała się

wspiąć, ale nie znalazła oparcia.

– Zostań tam – powiedział gitarzysta, nie otwierając oczu. – Doskonale cię widzę i słyszę nawet tam, gdzie teraz jesteś.

– Super – mruknęła Konstantin. – Powiedz mi, czy ty też się zmienisz w kogoś innego, jeśli spojrzę na ciebie kątem oka?

– Wszystko zależy od tego, jak spojrzysz – odparł z uśmiechem. Niespodziewanie, wciąż na oczach Konstantin, przeistoczył się z pulchnego, łysiejącego młodego faceta w kościstego mężczyznę w średnim wieku z bardzo długimi, prostymi włosami stalowoszarego koloru. Nadal miał zamknięte powieki. – Byłabyś zdziwiona, jak proste są takie przemiany.

– Wątpię – stwierdziła. – Szukam Body Sativy.

– Pytasz, czy o niej słyszałem, czy ją znam?

– Czy ją znasz. Osobiście lub przelotnie. I... – zawahała się. – I ciekawi mnie, czy widziałeś ją tu gdzieś ostatnio.

Przechylił głowę. Jego gałki oczne poruszały się pod zamkniętymi powiekami, jak gdyby pogrążony był we śnie, a palce nadal przemykały po strunach gitary, które okazały się cienkie niczym pajęczne nici. Konstantin uświadomiła sobie, że nie słyszy muzyki, którą grał, ale ją wyczuwa. Muzyka napływała falami, a potem znikła. Nie było to nieprzyjemne.

– W poprzednim wcieleniu byłem delfinem – powiedział po chwili.

– Dlaczego się przemieniłeś?

– Wszyscy musimy się zmienić, prędzej czy później. Założę się, że wiesz to równie dobrze jak inni. A czym ty byłaś, zanim przybrałaś obecną postać?

– Detektywem wydziału zabójstw – Konstantin nawet się nie zawahała.

– Aha. To wyjaśnia ów ton przesłuchania – zachichotał. –

Wiesz co? Cała ta zabawa polega na tym, żeby stać się czymś zupełnie innym, a nie na robieniu tego samego pod nową maską.

Oto myśl godna, by stać się mottem życiowym pomyślała Konstantin. Chyba ją wydrukuję na ładnej kartce i prześlę mojemu eks.

– Nieźle powiedziane, jak na lądowego delfina, który gra na gitarze – powiedziała z uśmiechem.

Przerwał grę i wyciągnął coś z otworu rezonansowego instrumentu.

– Proszę – pochylił się i podał Dore jakby kartę do gry. – Nie jesteś o wiele bystrzejsza od tego ostatniego, który odgrywał tę postać, ale poziom twojej ignorancji to już pewien postęp.

– Co takiego? – Konstantin wzięła kartę.

– Ty masz jeszcze szansę czegoś się nauczyć.

Detektyw przyjrzała się bacznie podarunkowi, ale znajdujący się na karcie rysunek podlegał nieustannym przemianom. Większość rozmywających się i rozwijających kształtów przypominała orientalne ideogramy.

– Co to takiego? – zapytała.

– Opłata za przejazd taryfą.

– Za przejazd taryfą? W stacji metra?

– Pociągi dzisiaj nie kursują. Zauważyłaś chyba? – Wybuchnął śmiechem.

Zerknęła na mapę, która nadal pokazywała to samo.

– Miałam tu kogoś znaleźć. Wedle mojej mapy nadal tu się znajduje.

Gitarzysta pokręcił głową.

– Przykro mi, ale źle to zrozumiałaś. Tutaj jest jedynie lokalizator, który pomaga w odnalezieniu ludzi w Sitty. To dlatego mapa wskazuje to miejsce. – Wzruszył ramionami. – W

każdej stacji metra stoi lokalizator.

Konstantin udało się powstrzymać jęk.

– Gdzie?

– Wszystko zależy od tego, jak spojrzysz.

– Bardzo mi pomagasz, nie ma co.

– Owszem, pomagam. Jeśli rozgryziesz tę zagadkę, masz czym zapłacić za taryfę, która zawiezie cię tam, gdzie sobie zażyczysz.

Opłata za taryfę, pomyślała Konstantin. Za taryfę. Ciekawe, czy napiwek jest wliczony. A może w tym celu otrzymałam tę monetę?

Zerknęła na dłoń, w której ją trzymała.

Mężczyzna przestał grać.

– Kiedy to zdobyłaś?

– Przed chwilą. Na górze – odparła Konstantin i zamknęła dłoń. – Czemu pytasz?

– Ponieważ nawet tutaj niektóre rzeczy łatwo się psują. Jak choćby mleko czy cięte kwiaty.

– Albo ludzie z poderżniętymi gardłami? – dodała Konstantin.

– Nie, już pewnie sama doszłaś do tego, że śmierć niekoniecznie psuje plany imprezowe. Choć budzenie zmarłych nie jest tu powszechnie spotykaną praktyką. Jeśli chcesz być martwa, obyczaj nakazuje tu umrzeć.

– Tu na stacji, czy tu w SR?

– Wszystko zależy od tego, jak spojrzysz.

Za często to powtarza, pomyślała markotnie Konstantin.

– O co chodzi z tą monetą? – zapytała. – Wkrótce skończy się jej ważność?

– Miałem na myśli warunki – odpowiedział. – Warunki, w których moneta zacznie... Zacznie działać. To te warunki nie są wieczne.

– Kolejna złota myśl – mruknęła Konstantin. – Chcę znaleźć ten lokalizator. Jak mam to zrobić?

– Wystarczy, że zapytasz.

– Kogo? – Zmarszczyła brwi.

– Mnie.

Konstantin zawahała się.

– W porządku. Jak mogę znaleźć lokalizator?

– Wystarczy, że zapytasz – odparł pogodnie, a jego palce znów trąciły struny gitary.

– Właśnie to zrobiłam! – rzekła Konstantin ze zniecierpliwieniem. – Jak... Nie – urwała nagle. – Gdzie jest Body Sativa?

Gitarzysta, nadal z zamkniętymi oczyma, wycelował w nią podbródek.

– Zawołaj taryfę, a kiedy kierowca zapyta, gdzie chcesz się udać, daj mu to.

Konstantin raz jeszcze zerknęła na kartę. Ideogram nadal ulegał transformacjom. Kobieta poczuła się zmęczona i znudzona.

– Jesteś pewien, że to wystarczy?

– O, jasne. Dotrzesz prosto do Body.

– A więc to takie proste?

– Tak, to takie proste. – Gitarzysta pokiwał głową.

– Dziwne. Wygląda na to, że to jedyna prosta rzecz tutaj.

– Ponieważ masz proste pytanie. Należało jedynie wygłosić je w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Oczywiście w odpowiedniej formie. To wszystko tylko elementarny program.

– Program. – Konstantin roześmiała się krótko. – Powinnam się od razu domyślić. To ty jesteś lokalizatorem, a do tego modulem pomocy, tak?

– Tak, do tego mniej więcej sprowadza się moja rola – zgodził się gitarzysta.

– I wystarczyło, żebym zadała pytanie.

– Tak, ponieważ masz proste pytanie. Chcesz się po prostu zobaczyć z innym graczem, więc umożliwiłem ci przekierowanie. Oczywiście nie jesteś tym, kto zazwyczaj prowadzi Shantih Love, widać też na pierwszy rzut oka, że rzadko grywasz. Doświadczeni gracze nie zadają tak prostych pytań. Doświadczeni gracze przychodzą tu, żeby pytać o sekretny skrót do Następnej Wielkiej Planszy lub nawet o mityczne drzwi na zewnątrz. Wówczas moja praca staje się inna. Moim zadaniem w tej sytuacji jest podrzucenie im czegoś, co da im podniecie, pobudzi ciekawość, odwoła się do marzeń i pragnień.

– I skłoni, żeby spędzili kolejne płatne godziny w SR.

– Im dłużej ludzie wykonują skomplikowane zadania, tym ciekawsze staje się Sitty.

– A więc czemu po prostu im tego nie mówisz? Czemu roztaczasz przed nimi wizje będące spełnieniem ich marzeń, wizje odnalezienia wrót na zewnątrz czy sekretnego skrótu do postapokaliptycznej Peorii czy czegoś tam jeszcze?

– Po pierwsze, moja rola nie polega na oferowaniu informacji. Mam odpowiadać na pytania, a udzielać odpowiedzi mogę tylko w granicach mojej wiedzy. Nie wiem, czy istnieje wyjście na zewnątrz, ale nie wiem też, czy ono nie istnieje. Nie potrafię udowodnić, że go nie ma. Jestem programem. Nie zostałem stworzony po to, by ustalić, czy moja rzeczywistość jest skończona, czy nie.

Dyskutuję o filozofii z programem, pomyślała Konstantin.

– Ale na pewno wiesz, czy istnieją tajne skróty.

– Jeśli są tajne, nie otrzymałbym takiej informacji. Ponieważ

przekazałbym ją każdemu, kto pyta, a wtedy przestałyby być sekretem.

– No dobra – powiedziała powoli Konstantin. – Czy istniały w Sitty jakieś tajne przejścia, o których się dowiedziałeś?

– Niektórzy gracze utrzymują, że je odnaleźli.

– Mówią prawdę?

– Nie jestem wykrywaczem kłamstw.

– Zresztą nawet gdybyś nim był, nie miałyby to większego znaczenia. Ponieważ wszystko to, co się tu mówi, to kłamstwa. Albo wszystko to prawda, zależy od punktu widzenia.

Grał dalej z zamkniętymi oczami. Konstantin uznała, że stanowi on w SR odpowiednik ślepej sprawiedliwości – jest ślepą informacją. Która zresztą jest najprawdopodobniej o wiele dokładniejsza od sprawiedliwości.

– Spotkałeś już kiedyś Shantih Love? – zapytała, a potem dodała szybko: – Znaczy się czy kiedykolwiek przed moim przyjściem spotkałeś gracza o imieniu Shantih Love?

– Ja tak naprawdę to nikogo tu nie spotykam. Ja tylko dysponuję imionami.

Konstantin zastanawiała się przez chwilę.

– Czy kiedykolwiek proszono cię, żebyś zlokalizował Shantih Love?

– Nie pamiętam.

– Czemu nie pamiętasz?

– Nie muszę. Nie ma ku temu powodu.

– Ale jeśli potrafisz skierować kogoś do innego gracza, musi chyba istnieć jakieś archiwum z informacjami na ten temat. Archiwum tych, no... Przekierowań.

– Istnieje, póki przekierowanie jest aktywne. Niemniej zapis tej czynności przechowywany będzie w innym miejscu systemu.

Słuchaj, jeśli interesuje cię to tak bardzo, istnieją szkoły, w których dowiesz się wszystkiego o działaniu SR.

– Sądziłam, że nie udzielasz informacji – powiedziała podejrzliwie Konstantin.

– To jest dla ciebie informacja?

Konstantin zaśmiała się wbrew sobie.

– Masz rację. Dzięki za tę taryfę.

Zaczęła już iść, ale zaraz się zatrzymała.

– Gdzie najlepiej można złapać taryfę w postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty?

– Nie wiem.

– No dobra – westchnęła z rezygnacją. – Gdzie tu w pobliżu złapię taryfę?

– Nie wiem. Taksówki nie są graczami.

Konstantin pokiwała głową.

Powinnam się była spodziewać, pomyślała.



Wyszła ze stacji w samym środku dzikich zamieszek.

Ulice, do tej pory ciche i opuszczone, były teraz pełne biegnących, wrzeszczących, goniących się nawzajem ludzi. Ludzie ciskali również meblami i innymi ciężkimi przedmiotami z okien szóstego, siódmego piętra, z dachów, a nawet z powietrza.

Przecież jestem na nowym etapie, uświadomiła sobie Dore.

Przeszła na nowy etap jeszcze w stacji metra, ale stamtąd nie wyszła. Gdyby udała się teraz na Times Square, miejsce nie byłoby już wyludnione. Rozejrzała się z niepokojem w poszukiwaniu bezpiecznej drogi ucieczki, a potem zadała sobie

pytanie, czy w ogóle jakaś istniała. Być może zamieszki ogarnęły całe Sitty, skoro wszystko i tak jest tutaj postapokaliptyczne.

Westchnęła. Tak naprawdę powinna wyjść z gry. Nie interesowały jej tego typu zabawy, nie potrafiłaby się wczuć, nawet gdy chodziło o zbieranie informacji w imieniu jakiegoś zamordowanego dzieciaka. Zaś włóczenie się po SR w przebraniu ofiary – im dłużej Dore o tym myślała, tym bardziej wydawało jej się to świętokradztwem, jak rabowanie grobów. Lepiej już zostawić wiadomość w kilku centrach i mieć nadzieję, że Body Sativa lub ktoś, kto ją zna, skontaktuje się i przekaże jakieś użyteczne informacje. Z tego, co Konstantin zdążyła się rozeznać, znalezienie czegokolwiek wartościowego w SR graniczyło z cudem. Ta sfera nie miała nic wspólnego z czymkolwiek życiem, a przynajmniej z prawdziwym życiem. Jak więc mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią dzieciaka? Czy z siedmioma innymi ofiarami.

Statystycznie uzasadniony zbieg okoliczności? Były zwykły powtarzać, że to ze statystyk rodzą się zbiegi okoliczności. Konstantin zastanawiała się, czy zbiegiem okoliczności jest także to, że zażyłość rodzi pogardę.

Koktajl Mołotowa przemknął nad głową detektyw i roztrzaskał się o pobliski mur, w jednej sekundzie przeistaczając się w idealnie okrągłą falę płomieni. Efekt wywołany przez płomienie był nieprawdopodobnie realistyczny, Konstantin mogłaby przysiąc, że gorąco buchnęło jej w twarz. Odruchowo zasłoniła się ramieniem, odwróciła i...

Trwało to prawie sekundę, zanim dotarło do niej, że została uderzona, a potem upadła. Cios pięści w klatkę piersiową był tak błyskawiczny i potężny, że na jedno uderzenie serca straciła kontakt z ziemią i uderzyła plecami o asfalt. Zabolalo równie

paskudnie jak w prawdziwym życiu. Konstantin pomyślała, że wpadła na jednego z uczestników zamieszek i program dodał autentyzmu logicznym skutkom zderzenia, ale potem, gdy próbowała usiąść i nabrać tchu, ujrzała krąg wyszczerzonych w uśmiechu twarzy. Nie mogła wprost uwierzyć. Ze wszystkich rzeczy, które mogły się wydarzyć w tym idiotycznym scenariuszu, musiało jej się przytrafić akurat to najmniej oryginalne.

Nim zdążyła wywołać katalog ikon, demonstranci poderwali Dore na nogi i zaczęli ją popychać, tak że odbijała się od jednego i wpadała na drugiego, niczym srebrna kulka w pinballu. Usiłowała złapać oddech i przyjrzeć się im, ale popychali ją zbyt szybko. Koktajl Mołotowa wywołał pożar i w blasku ognia Dore widziała zarówno ludzi, jak i odmieńców, a jej prześladowcy nie przestawali się zabawiać.

W katalogu musi być coś, co mi pomoże, pomyślała. Musi być jakaś forma ochrony, samoobrony, cokolwiek... Szkoda, że nie pomyślałam o tym i nie zabezpieczyłam się wcześniej. Prześladowcy popychali Konstantin coraz brutalniej, policzkowali, grzmocili pięściami, a ból był realny i przejmujący. W tego typu sytuacji trudno było pamiętać, że wrażenie jest sztuczne, wytworzone przez wyszukaną stymulację nerwów w połączeniu z sugestią. Wszystko to było bowiem zbyt autentyczne i Dore zastanawiała się, czy Tomoyuki Iguchi miał jakieś ciągotki do sadomasochizmu, które urzeczywistniał, wcielając się w Shantih...

Nagle ogarnęło ją zwątpienie. A może to się dzieje na serio? Może Shantih Love nie był w stanie odróżnić realu od SR na brzegu rzeki Hudson, aż było już zbyt późno, aż prawdziwa krew pociekła równie gęstym strumieniem jak wirtualna, a dzieciak w

chwili śmierci widział wirtualnego zabójcę, który chciał porwać jego postać. Ale dlaczego?

Któryś z napastników ją kopnął, Konstantin zatoczyła się, upadła na asfalt. Inny podniósł ją, ale wyrwała się i wysupłała katalog.

Otworzył się na stronie przedstawiającej jakiś przedmiot, który wyglądał jednocześnie groźnie, jak i groteskowo, niczym żywcem wyjęty z kreskówki. Kierowana przecuciem, iż jest to talizman ochrony, Dore sięgnęła, ale w tym samym momencie napastnicy ryknęli tryumfalnie i wyrwali jej katalog z rąk.

Naraz uświadomiła sobie – zbyt późno! – że katalog ze swym cennym zbiorem ikon najprawdopodobniej był tym, czego szukali od początku. Poderwała się, ale kopnięcie ciężkim butem w brzuch posłało ją znowu na ziemię.

Jeden z napastników ukucnął, przysunął blisko twarz przywodzącą na myśl efekt kopulacji trolla z gargulcem.

– Hej, nikt ci nigdy nie mówił: „Proszę usiąść”?

Odsunęła się jak najdalej, ale napastnicy nie odpuszczali, szli w ślad za nią. Jeden z prześladowców trzymał katalog otwarty, tak by Konstantin widziała, że zabrali wszystko.

Wszystko z wyjątkiem kartki, którą nadal ścisnęła w dłoni tak mocno, że kłykcie aż zabolowały. Był to prawdziwy ból, generowany nie przez skafander, lecz przez siłę, z jaką zaciskała dłoń w tym nierealnym miejscu, ból, który przeszywał Dore na równi z dopracowanym, dotkliwym, autentycznym bólem skafandra, ale sięgał głębiej, do kości, rozlewał się wzdłuż ramienia i po klatce piersiowej.

Oni chcą mnie zabić! Oni naprawdę chcą mnie zabić!

Ta myśl poniosła się krzykiem w jej głowie. Co się działo tam, za granicą wytyczoną przez kask i system neoeksonerwowany? Co

tam się działo? Ilu ich tam było? Dlaczego Konstantin nie przyszło do głowy, że zabójców może być więcej, że może pochowali się w kanałach wentylacyjnych, że współpracowali z kimś z personelu, może ze znudzonym, zgorzkniałym Milesem Mankiem, może nawet z samą Pleshette, nie zgorzkniałą, ale bardzo, bardzo znudzoną? A może nawet z obojgiem, tak, to by świetnie pasowało! Udają, że są wrogami, ale zabijają wspólnie, jedno z nich w SR, drugie tam, na zewnątrz...

A jeśli tak, jaki los był jej pisany? Napastnicy szarpali Dore, pchali, kopali, śmiali się z jej przerażonych reakcji, ich szerokie, brutalne gęby wydawały się nieopisanie paskudne, jakby okrucieństwo w istocie było modelem do ich stworzenia, swoistym punktem wyjścia, podstawą metamorfozy. Jakież beznadziejny, chory na umyśle przedstawiciel rodzaju ludzkiego zapłaciłby za odgrywanie czegoś tak potwornego?

Zniżki dla pracowników, przypomniała sobie nagle. Korzystne niżki!

Nie mogła oprzeć się uznaniu dla śmiałości tych gnojzków. Żeby zabić kolejnego człowieka zaraz po ostatnim, a do tego detektyw, która prowadzi dochodzenie! Zresztą dobrze sobie wybrali ofiarę. Dobrze wiedzieli, że klaustrofobia partnera nie pozwoli mu wskoczyć do pokoju, w którym dochodzi do przestępstwa. Nim ktokolwiek – niewykluczone, że Celestine i DiPietro – dotrze na miejsce, pracownicy salonu zdążą już usunąć dowody i namieszać w danych, a los Konstantin zainspiruje kolejną miejską legendę. „Słyszeliście o tej detektyw z wydziału zabójstw, która została zabita w SR podczas dochodzenia w sprawie morderstwa? No, ludzie to mają zryte czachy. Taaa, myślę, że to było w D.C., sam wiesz, jakie tanie tam jest życie...”

Przywódca trollo-gargulców wymachiwał teraz czymś, co

przypominało ostry kawałek lustra, i żgał tym w twarz Dore. Zdrowy rozsądek wciąż powtarzał, że napastnik nie jest w stanie jej zranić, ale rozsądek zdążył już się skurczyć do rozmiarów kwarka. Konstantin irracjonalnie wierzyła, święcie wierzyła, że troll ją zrani. Była do tego stopnia przekonana, że czuła już drobne nacięcia na skórze. Krwiożerczy, potworny troll pochłasta twarz Dore, a gdy wreszcie przetnie jej gardło, dzięki potędze sugestii Dore uwierzy, że zostało przecięte, i to będzie wszystko, jeśli chodzi o *extremo ruptura*, którego zdaniem wielu nikt nie doświadczył od czasów świętej Jakjejtambyło. Po prostu wtedy nie powstała żadna SR na tyle przekonująca, by rywalizować z wiarą fanatycznej świętej ze stygmatami, ale teraz taka istniała, istniała i miała się świetnie, niech koroner tu wejdzie, niech wszyscy wejdą i przekonają się, czy moc ich urojeń, czy ich zryte czachy pozwolą im wyjść stąd żywcem...

Pognieciona karta w dłoni Konstantin niespodziewanie przeistoczyła się w pazurzastą łapę. Detektyw wypuściła ją z wrzaskiem, a wtedy łapa wpiła się w jej ramię, szarpnęła i uniosła ponad ulicę. Konstantin wrzasnęła raz jeszcze, czując, jak jej stopy odrywają się od nawierzchni. Ucho wewnętrzne oszalało zupełnie jak wtedy, gdy były po raz pierwszy i ostatni namówił Dore na przejażdżkę kolejką górską.

Postapokaliptyczne Noo Yawk Sitty rozciągało się teraz pod stopami Konstantin w całym swoim ogromie.

Ujawnia się, pomyślała, patrząc na pożary i rozbłyski światła na cienkich strużkach dróg. Na krótką chwilę owładnął nią opętańczy śmiech, który urwał się, gdy spojrzała w górę, w nadziei, że zobaczy księżyc. Miast księżycyca ujrzała osobliwy, spiczasty łeb, a po obu stronach skrzydła, zdające się pochodzić z koszmarów bądź satanicznych wyobrażeń.

Konstantin odniosła wrażenie, że kołysze się w szponach potwora. Te zaciskały się mocno wokół jej ramion, co powinno sprawić jej ból, ale tak się nie stało, zupełnie jakby były wymoszczone. Potwór gładko płynął przez przestworza, szybko pokonując dystans, a Konstantin, choć bardzo się starała skupić na realnych sensacjach, czuła, że jej wyobraźnia znów pokonuje racjonalną część jej umysłu – może już zredukowaną do rozmiarów orzeszka? – i naprawdę wierzyła w to, że czuje wiatr na twarzy.

– Miałem zostać pterodaktylem – zagadnął potwór konwersacyjnym tonem. – Ale mojego projektanta nieco pogięło. Przesadził i tyle.

– Och. Serio? – Konstantin nie mogła się nadziwić, jak spokojnie brzmiał jej głos. Choć z drugiej strony to nie był jej głos, to był głos Shantih. Przecież przeżywała jego/jej przygodę i niewykluczone, że Shantih regularnie podróżował/a w szponach zmutowanego pterodaktyla. – Jesteś elementem gry czy pracownikiem firmy, która udziela salonom licencji na Sitty?

– No, to ci dopiero. – Pterodaktyl wydawał się jednocześnie rozbawiony i nieco oziębły. – A ja już myślałem, że mnie znasz, skoro mnie wezwałaś.

– Jesteś ikoną? – spytała Konstantin.

– Miałaś szczęście. Jestem ratunkiem. Ratuję graczy przed zapętlaniem, co bywa bardzo kosztowne i nic nie daje. Jeśli już musisz wiedzieć. Jeśli naprawdę musisz zepsuć efekt.

– Czasami psucie efektu nie jest aż taką tragedią – mruknęła Konstantin. – Dokąd mnie niesiesz?

– Punkt docelowy został wyznaczony przez opłatę za taryfę. A jeśli nie masz mi za złe, że tym razem to ja zepsuję efekt, dlaczego po prostu nie zasygnalizowałaś, że chcesz opuścić grę?

– Cóż... Załóżmy, że mnie wciągnęła i chciałam się dowiedzieć, czym się skończy.

– To powszechna dolegliwość – oznajmił mądrze pterodaktyl. – Znasz ten dowcip, którego pointa brzmi: „Jedzenie jest okropne i w tak małych porcjach”?

– Co? – Konstantin była zaskoczona.

– Mniejsza o to. Jesteś na miejscu.

Skrzydła otoczyły ją, przez co przez chwilę nie widziała nic. Gdy ciemności rozstały się, Dore ujrzała, że potwór postawił ją tuż obok barierki, która oddzielała ulicę od brzegów rzeki Hudson.

Tuż za barierką trwała impreza, niewidzialna dla Dore za pierwszym razem. Tłum ciągnął się do długiego mola. Konstantin czuła, iż gdyby się skupiła, dosłyszałaby fragmenty rozmów, które w całości z pewnością okazałyby się fascynujące.

Usiadła na barierce, nie wiedząc, co teraz począć. Przejść się i sprawdzić, czy ktoś będzie usiłował porwać Shantih po raz drugi? Na ulicy nadal płonęły wraki, a płomienie, co zdumiewające, wcale nie przygasały, przesuwały się, ale nie zmieniały. Czy w miejscu, gdzie właściwie wszystko może się zdarzyć, coś się w ogóle działo?

Konstantin raz jeszcze przyjrzała się imprezie.

– Odtwórz wszystko – poleciła cichym głosem. – Pełny tryb.

Była pewna, że Guilfoyle Pleshette wrzeszczy ze złości, gdy zapis sesji Shantih zmaterializował się na ekranie. Odtwarzanie zapisu w trakcie trwającej sesji przypuszczalnie podwajało opłatę za godzinę, a Konstantin nie podała żadnego konta bankowego, z którego można było pobrać należność, niemniej nawet jeśli Pleshette wrzeszczała, Konstantin nie słyszała. Jej obecna rzeczywistość była dźwiękoszczelna.

Jednak zdarza się, że coś się przez nią przedostanie, pomyślała, dotykając przeciętego gardła. Shantih Love pojawił/a się przed nią, tak blisko, że mogła go/ją niemalże dotknąć, na tyle blisko, iż widać było nieskazitelną, wręcz wypolerowaną miedziano-złotą skórę i plamki złota w specjalnie zaprojektowanych oczach, pięknych, lecz czujnych.

Shantih w nagraniu rozpoczął/ęła swój ostatni spacer wzdłuż bariery, a Konstantin podążyła za nim/nią. Jej wirtualne ciało idealnie naśladowało kroki Love i nie miała wątpliwości, że w każdym detalu oddaje chód Tomoyuki Iguchiego. Ale Iguchi po prostu nie wiedział, że jego postać zostanie uprowadzona i zabita. Logika nakazywała więc myśleć, że w danej chwili Iguchi nie może o tym wiedzieć, a mimo to w nagraniu wydawał/a się jeszcze bardziej niespokojny/a, niż Konstantin zapamiętała. A może to przez pełny tryb, który pozwalał widzieć więcej i lepiej niż na zwykłym płaskim ekranie w biurze Pleshette?

Poza nagraniem Dore widziała uczestników imprezy – odwracali się ku niej i być może zastanawiali, kim jest ten szpaner z grubym portfelem, który odtwarza sobie nagrania w trakcie scenariusza. Było to zachowanie dziwne i rozrzutne nawet w postapokaliptycznym Noo Yawk Sitty, gdzie czas i cywilizacja dobiegły końca, a zmierzch bogów wkraczał w decydującą fazę. Spoglądając na mijanych uczestnikach imprezy, Konstantin doszła do wniosku, iż może dla bogów jest to szczęśliwa chwila.

A może były miał rację, mówiąc, że nie wierzy w nic, ponieważ nie ma do niczego szacunku.

Grupka zabawowiczów oddzieliła się od głównej imprezy i podbiegła, by złąć się z nagraniem, co nastąpiło płynnie i niemal bez przeszkód. Dore nie zdążyła nawet poczuć zakłopotania, bo

oto na barierce pojawiło się dziwne stworzenie. Jediną różnicą było to, że nie wyglądało już straszliwie. Przypominało bardzo Milesa Manka po sześciu kiepskich tygodniach wypełnionych imprezowaniem.

Ledwie kilka stóp dalej siedziała okrakiem wytatuowana kobieta, nie spuszczać z detektyw oka. Konstantin nigdy dotąd nie widziała tej postaci, ale z postawy i sposobu trzymania głowy wiedziała, że to musi być reporter z „Police Blotter” lub podobnego pisma. Może był to ten z salonu lub ktoś z konkurencyjnej sieci, Konstantin nie wiedziała i nie miała zamiaru sprawdzać.

Wytatuowana kobieta, jakby wyczuwając jej myśli, odwróciła się i uśmiechnęła z zadumą. Konstantin ujrzała, że tatuaże się poruszają, rozmywają i zmieniają. Chociaż miała zadanie do wykonania, zatrzymała się, by zapytać, jaki sens się w tym kryje.

Podeszła gwałtownie, nie wiedząc, co właściwie zamierza – czy chce wystraszyć reporterkę i zmusić do ucieczki, grzecznie poprosić, by sobie poszła, czy może obiecać wyłączność na wywiady, jeśli tylko dziennikarka zgodzi się nie publikować tego materiału. Ledwie zrobiła krok ku barierze, Shantih w nagraniu cofnął się i Konstantin poczuła, jak wizja przejmuje nad nią całkowitą kontrolę.

Odniosła wrażenie, że otoczenie się cofnęło, zmieniło wymiary, łącznie z górą i dołem. Potem nagle odzyskało ostrość. Kudłate stworzenie zeskoczyło, a Konstantin zdała sobie sprawę, że obraca się jak Shantih w odtwarzanym nagraniu i biegnie, potykając się w piasku, niezdolna do podjęcia żadnego innego działania. Nastąpiła awaria, coś sprawiło, że sesja złała się z nagraniem...

Awaria? A może stało za tym owo sapiące, szlochające,

ścigające ją stworzenie? A może ktoś zupełnie inny?

Dore pięła się w górę po kamienistym wzniesieniu, a jej serce biło tak mocno, że zaczęła się zastanawiać, ilu ludzi dostało zawału, wyobrażając sobie, że poruszają się w płaszczyźnie, która byłaby dla nich nieosiągalna w realu.

Desperacko próbowała się wydostać z nagrania, ale czuła się, jakby pochwycono ją jakieś potężne pole magnetyczne, oddziałujące na ciało... Nie, na myśli! Na jedno i drugie! Pudełka wewnątrz pudełek, poziomy zawarte w poziomach, chłopak udający Japończyka udającego hermafrodytę zwącego się Shantih Love i gliniarz udający hermafrodytę zwącego się Shantih Love, udającego... No właśnie, co?

Przewróciła się. Wydawało się, że czas upadku rozciągnął się w nieskończoność, ale wreszcie uderzyła o ziemię. Zaboląło. Konstantin chciała się poderwać, zawołać o pomoc, ale Mank był blisko, a w jego rękę błysnęło ostrze. Nie było już żadnych szans na ratunek, nie było katalogu z ikonami, nie było plików pomocy...

Konstantin ledwie dostrzegła błysk w swojej otwartej dłoni, gdyż widok przesłoniła dłoń Shantih z odtwarzanego nagrania, lecz przez jej ciało, niczym prąd elektryczny, przemknęła nadzieja. Pojawiła się różnica, jedyna różnica między jej wersją Shantih Love i nagraniem jego/jej sesji, rozbieżność, która mogła zmienić to, co już nastąpiło. Przynajmniej częściowo.

Ale trzeba było wyciągnąć ów błyszczący przedmiot znikąd i Konstantin nie wiedziała, czy się to uda. „Problem tkwi w tym, że kiedy masz monetę z wiecznością po jednej stronie i Ouroborosem po drugiej, skąd będziesz wiedzieć, która ze stron to awers, a która rewers?”. Nie miała jednak czasu na rozważania. Gdy ostrze dotknęło jej gardła, wyrwała ramię,

cisnęła monetą w nocne niebo i krzyknęła.

Z jej ust wyrwało się nie to słowo, którego oczekiwała, choć nie bardzo wiedziała, czego oczekiwać. Nie rozpoznała go zresztą. Bez względu na to, czy było pojęciem łączącym alfę z omegą, sekretnym imieniem Ouroborosa czy dziewięciomiliardowym imieniem Boga, stanowiło część monety zarówno jako rzecz, jak i funkcja i Konstantin mogła je wykorzystać dopiero w odpowiedniej sytuacji. Gdy zaistnieją sprzyjające warunki.

Nóż opadł, ale Dore/Shantih cofała się z prędkością światła i nigdy w nią nie trafił.

Czy cofnął się przed nim, wycofał Konstantin z poziomu? A może wszystko to cofnęło się od niej? Nie miała pojęcia. Jedynym uczuciem, które jej teraz towarzyszyło, było przyspieszenie, niemające jednak nic wspólnego ani z wrażeniem lotu, ani też spadania. Jej ucho wewnętrzne nadal przyprawiało ją o szaleństwo, ale ratunek pojawiał się nieustannie, w ostatniej chwili Dore coś odciągało od granic obłądu, aż po jej karku spływały ciarki.

Zwinęła się do pozycji płodu, choćby tylko po to, by móc czuć swoje ciało. Przeżyła kilka chwil niepewności i dezorientacji, usiłując zlokalizować kończyny i ustalić ich położenie, aż niespodziewanie odkryła, że siedzi w staromodnym skórzanym krześle przy wielkim okrągłym stole. Naprzeciwko siedziała kobieta o ciemnej skórze i długich czarnych włosach, okalających jej twarz niczym lwia grzywa.

Konstantin wpatrywała się w nią, niezdolna wymówić słowa.

„Podobno mnie szukasz?”

Nigdy w życiu nie słyszała takiego głosu. Był wrażeniem dźwiękowym, ale przekładał się na szereg innych doznań i wymiarów, które otaczały i przenikały Konstantin. Zdawało się,

że głos tej kobiety pochodzi prosto z materii, z której utkana jest rzeczywistość, każda możliwa rzeczywistość, łącznie z tą, która tworzy jej myśli.

Dopiero po chwili detektyw udało się skinąć głową. Nie była pewna, ile czasu upłynęło, ale miała wrażenie, że naprawdę dużo. Nic jednak nie wskazywało, by Body Sativie to przeszkadzało. Wszystko trwało tyle, ile trwało.

„Dzieje się to, co się dzieje. Niektórych rzeczy nie można przełamać czy pokonać ze względu na konsekwencje zawarte w procedurze, która jest... nieodpowiednia. Należy więc odnaleźć drogę. Połączenie. Pojęcie łączące. Trasę? Most? Tunel? A może Coś Innego?”.

Body Sativa nie wyraziła się dokładnie w ten właśnie sposób, ale „Coś Innego” było jedynym pojęciem przyswajalnym dla ucha Konstantin. Patrzyła, jak Sativa rozkłada dłonie nad stołem, ukazując ich wnętrze. Minęło mnóstwo czasu, nim oczy Konstantin przyzwyczyły się do nowych doznań, a gdy tak się stało, ujrzała, że blat stołu przeistoczył się w ogromny ekran bądź teleskopowe okno. Lub jedno i drugie, co w świecie monety z Ouroborosem wydawało się całkiem prawdopodobne.

Konstantin zrozumiała, że znów patrzy z góry na postapokaliptyczne Noo Yawk Sitty. Widziała każdy piksel, każdy cal kwadratowy miasta. Rozpościerało się jak odurzony pacjent T S. Eliota, lecz nie na stole operacyjnym, ale na bankietowym. Jedzący i zjadani... Wszystko zależy jednak od tego, po której stronie stołu się znajdują.

„Spójrz głębiej”.

Słyszała kiedyś o sytuacjach, kiedy dusza opuszcza ciało. W podobny sposób punkt widzenia Konstantin zdawał się wyfruwać z niej teraz, choć było to doznanie bardziej rzeczowe,

bardziej realne. Sitty stawało się coraz większe, malutkie, przypominające żyły uliczki przeobraziły się w kaniony o ścianach wypełnionych lustrzanym szkłem, rzeźbionych w kamienne gargulce, szczyty i spady, wieżyczki i kolumny. Widziała dziurkowane, lśniące cegły, a wśród nich ślady po pożarach, dziury po eksplozjach, obsceniczne słowa.

Wraki samochodów stanęły w płomieniach, te urosły, uformowały skomplikowane kształty, kraty, kąty, które to się otwierały, to zamykały, tu i ówdzie ukazując ikony, niektóre rozpoznawalne. W innych miejscach pojawiały się ideogramy.

Oto i one, Iguchi, oto owe sekretne miejsca. Pamiętasz, mówili ci o nich, mówili, że musisz być Japończykiem, by się do nich dostać, pomyślała Konstantin. Może oznacza to, że oboje staliśmy się Japończykami. Pora na kolejną magiczną sztuczkę. Czuję, że zaraz znajdę Wrota.

Jakby w odpowiedzi, jej kamera pomknęła ku jakimś drzwiom, które otwarły się w ostatnim momencie, wpuszczając ją do środka. Przez ułamek sekundy znajdowała się w całkowitych ciemnościach, a potem w słabo oświetlonym pokoju, gdzie Dore ujrzała człowieka przymocowanego pasami do fotela. Siedział przodem i widziała, że pasy, choć napięte, pozwalają mu na pewną wygodę i bardziej go podtrzymują, niż krępują. Był to gracz. Jego kask unosił się powoli, jakby mężczyzna chciał spojrzeć.

To zbyt proste, zbyt przewidywalne, jakkolwiek dziwnie to brzmi, pomyślała Konstantin. Choć z drugiej strony to tylko opowieść.

Nerwy miała zszarpane jak nigdy. Mniejsza o to, czy to tylko historia, czy nie, Dore nie była na to gotowa. Może po prostu nie stała się jeszcze na tyle Japończykiem.

W następnej sekundzie kamera skoczyła do tyłu niczym szarpnięta za sznurek i Konstantin znów siedziała za stołem i patrzyła na Body. Sativa wydawała się teraz młodsza, wyglądała bardziej na dziewczynę niż na dojrzałą kobietę. Nic dziwnego, że tylu ludzi przepadało za postapokaliptycznymi scenariuszami, niezłe numery można tu było wyczyniać. Niesamowite klimaty. Zupełnie jak historia o tym gościu, który nie otworzył spadochronu podczas skoku w SR, czy o dzieciaku, któremu poderżnięto gardło, ponieważ to samo stało się jego postaci.

Body Sativa wydawała się rozbawiona.

„Masz monetę. Gdy będziesz gotowa do powrotu, krzyknij”.

Otwarcie ust i wypowiedzenie kilku słów potrwało całą godzinę: – Zaczekaj! Ktoś zabił...

Głos brzmiał nieprzyjemnie matowo.

„Tak. Ktoś zabił. Gdy będziesz gotowa, żeby się tego dowiedzieć, krzyknij”.

Konstantin leżała na plecach na drodze. Shantih Love odchodził/a, pocięty/a i pokiereszowany/a, niemniej gdy odwrócił/a się, by na nią spojrzeć, jego/jej twarz bez najmniejszych wątpliwości należała do owego stworzenia, bez wątpienia była groteskowo zniekształconym obliczem Milesa Manka, nadal na balandze.

– Koniec – szepnęła Konstantin, jej głos nadal wydawał jej się zabawny. – Koniec, wyście z programu, weźcie mnie stąd.

Leżała na plecach przez długi, długi czas, aż poczuła, jak ulica przekształca się w fotel z pasami. Powoli odpięła kask i zrozumiała, że ktoś pomaga jej go ściągnąć.

Taliaferro stał nad nią, trzymając kask, co było jeszcze dziwniejszą, być może nawet najbardziej niemożliwą rzeczą z tych, które Dore widziała. Jakby chcąc jej to wyjaśnić, partner

sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął biały plastikowy inhalator.

– Po dawce moich antyklaustrofobików jestem zdolny do wszystkiego.

– Kolejna złota myśl – wyszeptała Konstantin. Wydawało się, że poza ochrypłym szeptem nie jest w stanie wydobyć z siebie żadnych innych dźwięków. Spojrzała za Taliaferro, lecz w drzwiach nie było nikogo.

– A więc dowiedziałaś się czegoś? – zapytał. W jego głosie pojawiła się nutka pobłażliwości. Być może było to dodatkowe działanie leku, tak więc nie wzięła mu tego za złe.

– Jasne. – Odpięła pasy i podeszła do ściany po lewej. Panel, który opuszczał kołyskę, znajdował się na wysokości jej piersi. Uderzyła w niego kantem dłoni, wsunął się i wysunął kilkakrotnie, co nasunęło jej skojarzenie z dzieckiem pokazującym komuś język.

– Tak naprawdę to rozwiązanie jest bardzo proste – powiedziała ze znużeniem. – Ale Celestine i DiPietro nie byli należycie sumienni. Zabójca ukrył się w skrytce na kołyskę, odczekał, aż Iguchi wkręci się w grę, i potem go pokroił.

Taliaferro był zażenowany.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, jasne. To po prostu Brzytwa Ockhama. Najprostsze możliwe wyjaśnienie.

– A masz może jakiś pomysł, kto mógłby się tu schować z Brzytwą Ockhama?

Moment wahania był taki krótki, Taliaferro na pewno nie zauważył, lecz dla Konstantin trwał długo, niewiarygodnie, niepomieranie długo, tak długo, że tylko Body Sativa była w stanie to pojąć i przeczekać z odpowiednią cierpliwością.

– Taaa. To był Mank. Rozżalony, że nie jest kierownikiem, i

widać, że nie do końca poczytalny. Odwiedzał często postapokaliptyczne Noo Yawk Sitty dzięki hojnym upustom dla pracowników, no i skończyło się to ciężkim przypadkiem psychozy. Zabijał tutaj, a potem przeniosło się to na zabijanie tam.

– Jesteś tego niewiarygodnie pewna – powiedział z powątpiewaniem Taliaferro.

– Musiałbyś wejść do gry i sam się przekonać. Jest tam pełno najrozmaitszych... eee... rzeczy. Jak na przykład naśladowców morderców. Mank to jeden z nich. Bierzmy go i sprawdźmy, co uda się z niego wycisnąć, zanim „Police Blotter” poda kolejne informacje. Mam wrażenie, że wszędzie za mną łąziła reporterka.

Taliaferro chrząknął, pociągnął z inhalatora i wsunął go do kieszeni.

– Dobra, chyba mamy to z głowy.

– Tak, chyba tak.

– W porządku. – Detektyw odetchnął. – Podesłę ci kogoś z twoimi ciuchami.

– Dzięki – odparła, lecz już została sama. Taliaferro wybiegł z pokoju. Najwidoczniej z inhalatorem stać go było tylko na tyle. Wszystko miało swoje granice. Wszystko i wszyscy. Nawet Brzytwa Ockhama nie wyjaśniała wszystkiego. Lecz w siedmiu pozostałych morderstwach wykorzystano inną broń.

Mank pasuje do tego zabójstwa, przekonywała siebie Konstantin. Pasuje aż za dobrze.

Jego postać w Sitty była łatwa do zidentyfikowania, na tyle łatwa, by można było go bez trudu oskarżyć. Cóż siedziało w jego głowie, że wykorzystywał własną twarz w grze? Choć to mogła być w sieci o wiele powszechniejsza praktyka, niż się zdawało.

Ale czy w świecie, w którym wszystko jest możliwe, coś może być naprawdę zaskakujące? – pomyślała Konstantin. Magiczny świat SR, istna ziemia obiecana, gdzie ludzie mieli wszystko to, co w realu – łącznie ze śmiercią – i jeszcze więcej.

Skoro wszystko jest możliwe, to niech ludzie robią, co im się żywnie podoba. Mank pasuje do tego zabójstwa, ale jeśli państwo nie będzie w stanie udowodnić jego winy, to trudno. Niech więc będzie tym, któremu ujdzie to na sucho. Póki co. Póki... No właśnie, jak długo przyjdzie czekać?

Przed oczyma duszy ujrzała znów monetę z pętlą nieskończoności po jednej stronie i Ouroborosem po drugiej.

Aż będziesz gotowa się dowiedzieć, co wypadło, gdy krzyknęłaś.

Geoffrey A. Landis Podobnie jak Gregory Benford, Geoffrey Landis (ur. 1955) jest pisarzem science fiction, który również para się brudną pracą naukowca. Pracował dla NASA oraz Ohio Aerospace Institute, a specjalizuje się w fotowoltaice, mającej na celu ujarzmienie energii słonecznej. Píše science fiction od ponad dwudziestu lat i jest laureatem dwóch nagród Hugo i jednej Nebula za opowiadania. Wśród jego utworów znalazły się chociażby powieść *Mars Crossing* (2000) oraz zbiór opowiadań *Impact Parameter* (2001). Do mojej antologii dołączyłem jedno z jego ekstremalnych opowiadań SF.

Geoffrey A. Landis

DŁUGI POŚCIG

Styczeń, 2645
Wojna dobiegła końca.
Trwa odszukiwanie ocalonych.

W centrum Układu Słonecznego ci z moich towarzyszy, którym udało się przeżyć okropności walk, już zostali przekształceni. Tutaj jednak, na skraju Obłoku Oorta, wszystko toczy się w wolnym rytmie. Miną lata, a może nawet dekady, nim zwycięzcy tu dotrą. Ale dotrą, to równie nieuniknione jak grawitacja, dotrą niczym pierwsza fala entropii.

Dziesięć tysięcy żołnierzy, moich rodaków, zdecydowało się ukryć. Surowi, zahartowani poszukiwacze, przetwarzacze lodu okazali się zbyt niezależni, by w ogóle sformować jakąkolwiek jednostkę wojskową. Teraz zamieniają się w pozbawione życia satelity, dla wroga wyglądające jak skały, i zapadają w hibernację. Będą się budzić co sto lat na kilka sekund, by rozejrzeć się półprzytomnie. Cierpliwość, pouczają mnie, cierpliwość oznacza przetrwanie. Jeśli starczy im tej cierpliwości na tysiąc, dziesięć tysięcy lub milion lat, wróg w końcu zniknie.

Mylą się.

Bo wróg też jest cierpliwy. Tu, na skraju Pasa Kuipera, daleko za Plutonem, przestrzeń kosmiczna jest ogromna, ale nie aż tak bardzo. Wróg przetrząśnie każdą kupkę piasku w Układzie Słonecznym. Moi towarzysze zostaną odnalezieni i

przekształceni. Nawet jeśli miałyby to trwać dziesięć tysięcy lat, wróg na pewno nie przerwie swojej misji.

Ja również się ukryłam, ale przyjąłam inną strategię. Zmieniłam orbitę. Mam potężny napęd joniczny i zbiorniki pełne paliwa, ale wykorzystuję jedynie minimalne ilości schłodzonego gazu, który napędza dopalacze. Mam również chemiczny silnik błyskawicznego startu, ale z niego również nie korzystam. Uruchomienie któregośkolwiek z napędów przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi. Wśród zimnych komet nawet odrobina ciepła wzbudzi podejrzenia.

Spadam ku Słońcu.

Potrwa to jakieś dwieście pięćdziesiąt lat. Przez dwieście czterdzieści dziewięć lat sama również będę przypominać martwą skałę, ziarnko piasku pozbawione zapisu termicznego i śladów życia, poruszane jedynie siłą grawitacji.

Spać.

Czerwiec, 2894

Obudziłam się.

Sprawdzam systemy. Byłam skałą przez prawie dwieście pięćdziesiąt lat. Słońce jest teraz ogromne. Gdybym nadal była człowiekiem, byłoby wielkości pięści. Jestem przekonana, iż obserwuje mnie teraz tysiące soczewek. Czyżby to skała? Mały okruch międzygwiazdowego lodu? Fragment kosmicznego złomu pozostałego po wojnie? A może wróg, który przeżył?

Kocham zimno, mrok i pustkę. Wyleciałam tak daleko poza Układ Słoneczny, że nawet odrobina światła jest mi teraz obca. Systemy działają, czego się zresztą spodziewałam. Czymże jestem bowiem, jak nie perfekcyjnie zaprojektowanym elementem kosmicznego oprogramowania? Powróciłam do życia i

przestawiam mój silnik joniczny na pełną moc.

Tysiące teleskopów zapewne alarmuje teraz obserwatorów, że nie jestem tworem nieożywionym – ale już za późno! Gnam z pełną mocą, stałe przyspieszenie o pięć procent, wbijam się coraz głębiej w studnię grawitacyjną Słońca. Wytoczyłam trajektorię tak, by przemknąć tuż nad jego powierzchnią.

Robię to z dwóch powodów. Po pierwsze, tak blisko Słońca ciężko będzie mnie zauważyć. Moja jonowa smuga całkiem zniknie w miliard razy jaśniejszym świetle i żadna z owych tysięcy par oczu nie przejrzy moich intencji, aż będzie już za późno.

Po drugie, uruchamiając silnik chemiczny tak głęboko w studni grawitacyjnej, niemalże nad powierzchnią Słońca, najefektywniej wykorzystam jego możliwości. Grawitacja Słońca zwiększy wydajność napędu i zwielokrotni moją prędkość. Mijając Merkurego, osiągnę ponad jeden procent prędkości światła i nadal będę przyspieszać.

Oczywiście wyrzucę bezużyteczną już rakietę chemiczną, po tym jak wykorzystam jej moc. Rakiety chemiczne dają niesamowity odrzut, ale szybko się wyczerpują, co ma ogromne znaczenie podczas walki, ale w trakcie ucieczki jest mało przydatne. Wciąż jednak będę dysponować silnikiem jonowym i niemalże pełnymi zbiornikami.

Pięć procent to niewielkie przyspieszenie w porównaniu z tym, co daje napęd rakiety chemicznej, ale chemiczna zbyt szybko się wyczerpuje, nie doścignie mnie. Będę mogła kontynuować wędrówkę przez lata, może dekady.

Wybieram jasną gwiazdę – Procjona – bez szczególnych powodów i kieruję się ku niej. Być może Procjon ma pas asteroid, a w każdym razie z pewnością otacza go mnóstwo pyłu,

niewykluczone, że i komety. Nie potrzebuję dużo. Starczy mi ziarenko piasku, mikroskopijny okruch lodu.

Bóg stworzył człowieka z pyłu. Z pyłu wokół nowej gwiazdy, z resztek zakończonego dzieła stworzenia, ja będę mogła stworzyć nowe światy.

Nikt mnie nie złapie. Odlatuję i nigdy nie wrócę.

Maj, 2897

Ścigają mnie.

To niemożliwe, irracjonalne, niewiarygodne, niepojęte! Wrogowie mnie ścigają.

Dlaczego?

Czy oni nie mogą pozostawić choćby jednego wolnego umysłu w spokoju? Czy muszą przekształcić wszystkich? Przez trzy lata osiągnęłam piętnaście procent prędkości światła, a to aż nader czytelny sygnał, że wyruszam w daleką drogę i nigdy nie wrócę. Czy jeden nieprzekształcony umysł stanowi zagrożenie? Czy zbiorowy umysł wroga naprawdę musi wchłaniać każdą, nawet najmniejszą cząstkę myślącej materii w Układzie Słonecznym? Czy ucieczka choćby jednego wolnomyśliciela oznacza dla moich przeciwników klęskę?

Wojna to sprawa religii, a nie logiki. Może więc i wierzą, że nawet pojedynczy nieprzekształcony umysł stanowi dla nich zagrożenie. Nie wiem, co jest powodem. Wiem tylko, że jestem ścigana.

Ścigający mnie robot z pewnością niewiele się różni ode mnie. Ma niewielki mózg, silnik jonowy i ogromny zestaw zbiorników z paliwem. Na pewno wrogowie nie mieli czasu, by zaprojektować inny model. Jeśli chcieli mieć szansę, by mnie dorwać, musieli pchnąć ścigacz moim tropem bez zwłoki.

Mózg ścigającego mnie robota, podobnie jak i mój, składa się z wirujących atomów na matrycy z krystalicznej skały. Jest to urządzenie mniejsze od tego, co w dawnych czasach zwano ziarenkiem ryżu. Kiedyś jakiś człowiek nazwał to inteligentnym ziarenkiem piasku. Dawno, dawno temu, na długo zanim ludzie stali się nieistotni. Wrogowie wysłali tylko jeden ścigacz. Muszą być pewni siebie.

Lub wszystkiego im brakuje.

A zatem uczestniczę w wyścigu i to wyścigu, skomplikowanym. Mogę zwiększyć odrzut i odstawić ścigającego. Niemniej jeśli to zrobię, impuls silnika jonowego się zmniejszy i zmarnuję więcej paliwa, przez co szybciej mogę je wyczerpać. Ale mogę też oszczędniej spalać paliwo i wydajniej dysponować silnikiem, co jednak zmniejszy odrzut. Jeśli przeciwnik nie będzie miał podobnych skrupułów i częściej skorzysta z odrzutu, może mnie dogonić.

Na razie jest jakieś dwadzieścia miliardów kilometrów za mną. Przez kilka dni obserwuję jego lot i dochodzę do wniosku, że leci szybciej ode mnie.

Pora na skok.

Wyrzucam wszystko, czego nie potrzebuję. Przede wszystkim system identyfikacji wróg–swój, który już nigdy mi się nie przyda. Szkoda, że nie mogę go zmiażdżyć i nakarmić nim silników jonowych, ale te są dość wybredne i nie spalają byle czego. Wyrzucam też dwa mikromanipulatory, za pomocą których planowałam zbierać ziarenka piasku, by uzyskać paliwo.

Moją podstawową bronią zawsze było ciało – mało co wytrzyma bowiem prędkości, jakie osiągam – mam jednak trzy ziarna piasku z własnymi drobnymi silnikami, które mogę wykorzystać jako broń drugorzędną. Nie ma powodu, by

oszczędzać je do walki z wrogiem, będzie doskonale wiedział, czego się spodziewać, a podczas starć w przestrzeni międzygwiazdnej zwycięża tylko ten, kto wykona nieoczekiwane posunięcie.

Odpalam moje ziarenka piasku jedno po drugim. Następujące po sobie odrzuty o standardowej wartości przyspieszenia zwiększają nieco moją prędkość. Potem wyrzucam puste pojemniki. A nuż przeciwnik popełni błąd i wpadnie na nie z prędkością podrelatywistyczną.

Jestem lżejsza, ale to nie wystarczy. Przesuwam przepustnicę, nienawidząc siebie za takie marnotrawstwo paliwa, ale jeśli nie zwiększę przyspieszenia, za dwa lata zostanę złapana i oszczędzanie paliwa i tak mnie nie uratuje. Potrzebuję teraz całej energii, którą mogę przekazać jonowym silnikom. Nie ma co jej marnować na myślenie. Spać.

2900

Nadal jestem ścigana.

2905

Nadal jestem ścigana.

Minęłam punkt, w którym jeszcze mogłam zawrócić. Teraz, nawet gdybym wykorzystała mój odrzut do wyhamowania, nie zdołałabym już powrócić do Układu Słonecznego.

Jestem sama.

2907

Samotna.

Z jednej strony widzę Syriusza, który błyszczy z obłąkańczą jasnością, niczym nóż w samym środku nieba, istny szalony pies, a nie gwiazda. Gwiazdy Oriona są osobliwie zniekształcone. Daleko przed sobą widzę mniejszego psa, Procjona, który z roku na rok świeci coraz jaśniej. Słońce za moimi plecami jest już tylko gasnącym punkcikiem w Konstelacji Orła.

Ze wszystkich rzeczy na świecie dokuczają mi teraz samotność. Nie zdawałam sobie sprawy, że nadal posiadam psychologiczną zdolność odczuwania samotności. Badam swój mózg i diagnozuję samotność. Tak, drobny załamek samotności. Rozpoznawszy problem, mogę w każdej chwili nakazać umysłowi usunięcie go. Ale się waham. Przecież to nic złego. To nie dolegliwość, która wpływa niekorzystnie na moje umiejętności. Poza tym czy ingerencja w mózg nie upodobni mnie do wroga?

Nie kasuję samotności. Dam sobie z nią radę.

2909

Nadal jestem ścigana.

Poruszamy się z prędkością relatywistyczną. Osiągnęliśmy prawie trzy czwarte prędkości światła. edna dwudziesta standardowej grawitacji to niewielki odrzut, ale w miarę spalania paliwa moje przyspieszenie rośnie. Rośnie od piętnastu lat bez przerwy. Jaki sens ma właściwie ten głupi pościg? Jakie zwycięstwo można osiągnąć w tej pustce między gwiazdami, trylion kilometrów od czegokolwiek, co się liczy?

Po piętnastu latach pościgu jestem w stanie doskonale ocenić przyspieszenie ścigającego. Spalając paliwo, statek zmniejsza masę, a zwiększa przyspieszenie. Wiem, ile waży pusty statek przeciwnika, a zatem mierząc przyrost przyspieszenia potrafię wyliczyć, ile zostało mu paliwa.

Za dużo. Mój zapas wyczerpie się pierwszy.

Nie jestem w stanie oszczędzać paliwa, jeśli zmniejszą ciąg, przeciwnik dopadnie mnie zaledwie po paru latach. Może to potrwać i pół wieku, ale widać już koniec tego wyścigu.

Gdzieś za mną w nieregularnych odstępach czasu pojawia się drobny rozbłysk. Każda zaginiona w przestrzeni cząsteczka wodoru, która zderza się z pancierzem mojego przeciwnika, wywołuje błysk o jasności dorównującej promieniom rentgenowskim. Podobnie jest oczywiście ze mną – każdy międzygwiazdny proton, z którym się zderzam, przeszywa i mnie rentgenowskim blaskiem. Czuję każdy z nich, rozlega się wówczas niewyraźny odgłos, który na moment rozprasza moje myśli. Ale z moimi wirującymi atomami, kodującymi dziesięć do dwudziestą kubitów, mogę sobie pozwolić na ogromne rezerwy zbędnej mocy umysłowej. Mój mózg został zaprojektowany tak, by symulować cały świat, a w tym dziesięć tysięcy myślących i czujących istot. Mogę pograć się w rzeczywistości wirtualnej niczym nieróżniąc się od starej Ziemi i rozbić się na setkę osobowości. Upłynęłoby dziesięć tysięcy lat wyobrazonego czasu, zanim wróg by mnie dopadł i siłą wdarł się do umysłu. W tym czasie powstawałyby i upadały cywilizacje, zaznałabym wszelkich rodzajów dekadencji, przez sto lat zatraciłabym się w zmysłowych przyjemnościach, wymyślałabym rzadkie tortury i wyszukane formy bólu.

Posiadanie wolnego, jasnego umysłu oznacza, że dysponuje się również umiejętnością odcinania się od tego, co niewygodne. W przestrzeni kosmicznej jedną z pierwszych rzeczy, od których należy się uwolnić, jest odczuwanie nudy. Niedługo po tym wyzbyłam się wszelkich chęci do funkcjonowania w symulowanych rzeczywistościach. Ongiś miliardy ludzi

upodobało sobie życie w symulacjach, ale w ten sposób stali się nieistotni, zbędni, obojętni wobec wojny, obojętni wobec przyszłości.

Mogłabym wprowadzić do swego mózgu pragnienie życia w symulowanej rzeczywistości, ale czy miałyby to jakiś sens? Byłby to tylko inny rodzaj śmierci.

Jedynym, co symuluję – z obsesyjną powtarzalnością – jest wynik pościgu. Przeglądam miliony rozmaitych scenariuszy, ale przegrywam w każdym z nich.

Większość mego umysłu nie jest wykorzystywana. Dysponuję ogromnym potencjałem obliczeniowym, dzięki czemu mój mózg może uruchomić program analizujący i naprawiający błędy, zgoła nie zwracając uwagi na zdarzający się od czasu do czasu rentgenowski błysk. Gdy któraś z komórek mózgowych zostaje nieodwracalnie uszkodzona promieniowaniem kosmicznym, wprowadzam poprawkę nakazującą ignorować tę sekcję. Stać mnie na to, mam dużo mocy umysłowej.

Wciąż uciekam. Mam nadzieję, że zdarzy się cud.

Luty 2355

Ziemia.

Mieszkałam w domu, którego nienawidziłam. Byłam żoną mężczyzny, którym pogardzałam, miałam dwoje dzieci, które w miarę dorastania zmieniły się z ponurych i zamkniętych w sobie w przejawiające otwartą wrogość. Czy to możliwe, żeby bać się własnego potomstwa?

Ziemia była dla mnie ślepym zaułkiem, rzeczywistością uwięzioną w biologicznej przeszłości, społeczeństwem zastygłym i skostniałym. Nikt nie cierpiał głodu, ale też nikt się nie rozwijał.

Gdy pewnego popołudnia wyszłam z domu, by złożyć podanie

o pracę w kopalni w pasie asteroid, nikomu nie wyjawiałam swoich zamiarów, ani mężowi, ani najbliższej przyjaciółce. Nikt nie zadawał mi pytań. Skanowanie mojego mózgu trwało jakąś godzinę, a po otrzymaniu wyników przeprowadzenie mnie przez tysiąc testów przydatności potrwało tylko pięć sekund.

Potem oryginał mojej osoby poszedł do domu, którego nienawidził, do męża, którym pogardzał, do dwójki dzieci, których zaczynał się fizycznie obawiać. Ja zaś wyleciałam z Ziemi na asteroidę o nazwie 1991JR i nigdy nie powróciłam.

Może życie mi się w końcu ułożyło. Być może wiedząc, że ucieczka się powiodła, tamta oryginalna ja odkryła, że jest w stanie jakoś przecierpieć swoją egzystencję.

O wiele później, gdy frakcja opowiadająca się za współpracą zasugerowała, że kopalnie tak blisko Ziemi przestają być opłacalne, przeniosłam się do głównego pasa, a stamtąd do Pasa Kuipera, cieńszego, ale o wiele bogatszego. Wyczerpanie wszystkich jego zasobów zabrałoby dziesięć tysięcy lat, a dalej rozciągała się ciemna, niezmierna przestrzeń kosmiczna z bogactwami, które trudno sobie wyobrazić.

Działania frakcji, z początku powolne, nabrały oszałamiającego tempa. Nim ktokolwiek się zorientował, przejęła rządy nad całym Układem Słonecznym. Gdy oznajmiła, że nie ma dla nas miejsca, a jedyna alternatywa to przyłączyć się do frakcji lub zginąć, postanowiłam stanąć po stronie tych, którzy walczyli o wolność.

Przebranych.

Sierpień, 2919

Pościg osiągnął punkt kulminacyjny.

Spalamy paliwo bez przerwy od dwudziestu pięciu lat wedle

ziemskiej rachuby czasu lub dwudziestu wedle naszej. Zużyliśmy ogromne ilości paliwa. Pozostało mi tyle, bym przy spalaniu z maksymalną efektywnością zdołała się zatrzymać.

I to ledwie.

Za jakiś miesiąc w tym tempie stracę tę możliwość.

Gdy dotarłam do pasa asteroid w połyskliwym ciele z tytanu, z elektroniczną pamięcią i silnikami jonowymi zamiast nóg, gdy otrzymałam kontrolę nad moim krystalicznym umysłem, uznałam, że wiele należy zmienić. Wykasowałam poczucie nudy, a potem odnalazłam i również usunęłam pragnienie manifestowania miłości na przykład różami, dotykiem, czekoladkami. Pożądanie seksualne stało się nieistotne – mój nowy mózg mógł mi zapewnić orgazmy na życzenie, ale równie łatwe okazało się usunięcie owej potrzeby. W głębi własnej osobowości odnalazłam również palącą, wręcz obsesyjną potrzebę zyskania aprobaty innych ludzi i również to wycięłam.

W zamian spotęgowałam inne aspekty mojej osobowości. Pas asteroid był nudnym, brzydkim miejscem, więc wzmocniłam sobie umiejętność dostrzegania piękna do takiego stopnia, iż byłam w stanie medytować w ekstazie nad cieniami układającymi się nad niewielkim okruchem wśród asteroid albo nad kolorami gwiazd rozrzuconych w pustce. Odnalazłam też umiłowanie wolności, cichy, mało zauważalny instynkt, który po długim czasie dał mi odwagę, by porzucić życie na Ziemi. Była to najcenniejsza rzecz, jaką w sobie znalazłam. Kształtowałam tę cechę, potęgowałam ją, aż zaczęła jaśnieć w moim umyśle, drobna, lecz cudowna zaleta w samym sercu mojego jestestwa.

Październik, 2929

Za późno. Spaliłam całe paliwo potrzebne do wyhamowania.

Bez względu na wynik ja i mój wróg będziemy kontynuować gonitwę z relatywistyczną prędkością przez całą Galaktykę.

Marzec, 2934

Procjon przede mną staje się coraz jaśniejszy, niemożliwie wprost, oślepiająco jasny. Jeśli chodzi o ścisłość, jest siedmiokrotnie jaśniejszy od Słońca, ale pęd sprawia, że wydaje się jeszcze jaśniejszy, jest niszczącym błękitem.

Mogłabym wpaść prosto na niego i zniknąć, pozostawiając po sobie obłok pary, ale impulsy samobójcze, podobnie jak umiejętność odczuwania nudy, to kolejny niepotrzebny popęd, relik, który już dawno usunęłam ze swego mózgu. Moja ostatnia, krucha nadzieja na wykonanie manewru mylącego wiąże się z B.

Procjon jest podwójną gwiazdą, a B, mniejsza w układzie, jest białym karłem. To niewielkie ciało kosmiczne, tak drobne, że grawitacja przy powierzchni nie może być duża, ale jednak jest prawie milion razy większa niż ziemską. Nawet poruszając się z taką prędkością – dziesięć procent prędkości światła – grawitacja Procjona B zmieni moją trajektorię.

Przemknę nad powierzchnią karła. Będę kosmicznym okruchem, który mknie z prędkością relatywistyczną nad fotosferą gwiazdy, a gdy jej grawitacja zmieni mi trajektorię, rozpocznę manewrowanie.

Mój przeciwnik, o ile nie zdoła wiernie powtórzyć każdego ruchu, szybko się zgubi. Nawet drobne zboczenie z kursu błyskawicznie przerodzi się w rozbieżność, z której na pewno zrobię użytek. Wyrwę się prześladowcy i będę wolna!

Gdy rozpoczęłam nowe życie na pasie asteroid, odkryłam, że moją duszę wypełnia poczucie wolności. Przyłączyłam się wówczas do wolnych górników Kuipera, do samotników. Inne

umysły jednakże znalazły dla siebie odmienne priorytety. Wiele spośród nich odkryło, że współpraca jest lepsza od konkurencji. Tamci ludzie nie porzucili swoich tożsamości, ale zwiększyli możliwości komunikacyjne, by dzielić się myślami i pracować sprawnie, jakby stanowili kolektyw.

Połączyli się we frakcję współpracy i po upływie kilku dekad ich sukces stał się zauważalny. Byli o wiele, wiele bardziej wydajni od nas, wolnych górników.

Nieuchronnie, w końcu działania samotników przeszkodziły w ekspansji frakcji współpracy. Obie grupy nie potrafiły współistnieć i tak oto zostaliśmy wypchnięci do Pasa Kuipera, ku zimnej pustce Kosmosu. Lecz nawet tam zaczęliśmy przeszkadzać.

Jednak tutaj, dziesiątki trylionów kilometrów za Układem Słonecznym, nie ma między nami różnicy. Przecież tu nie ma z kim współpracować. Tu jesteśmy sobie równi.

Nigdy się nie zatrzymamy. Nie wiem, czy manewrując, strząsnę wroga z mojego kursu, czy nie, ale koniec będzie taki sam. Dla mnie jednak ma to wielkie znaczenie.

Kwiecień, 2934

Procjon jest już widocznym dyskiem, elektrycznym łukiem w ciemnościach, a w świetle owego łuku dostrzegam, że gwiazda jest w rzeczy samej otoczona aureolą pyłu tworzącego wąski pierścień, nachylony do kierunku naszego lotu. To żadne niebezpieczeństwo, ani dla mnie, ani dla mojego przeciwnika, który w tej chwili znajduje się ćwierć miliarda kilometrów za mną. Przemkniemy w bezpiecznej odległości od owego pierścienia. Gdybym miała wystarczająco dużo paliwa, by się zatrzymać, pył posłużyłby mi jako jedzenie, paliwo i materiał

budowlany. Kiedy się jest rozmiarów ziarenka piasku, każda kruszynka staje się uczcą.

Za późno na żale.

Biały karzeł B nadal jest jedynie plamką światła. Malutki, niemalże rozmiarów planety, ale jasny. Równie mały i jasny jak nadzieja.

Pędzę prosto na niego.

Maj, 2934

Porażka.

Przemknęłam dwa tysiące kilometrów nad powierzchnią białego karła, robiąc uniki w dobrze wyliczonych, pseudolosowych wybuchach, ale na próżno. Manewrowałam i przyspieszałam, lecz mój przeciwnik mknął za mną, naśladując wszystkie moje zwody z gracją baletnicy.

Pędzę teraz na Procjona, białoniebieskiego giganta, ale tam również nie ma nadziei. Jeśli nie udało mi się wykorzystać fotosfery białego karła, nad Procjonem również nie uda mi się zgubić pościgu.

Pozostała mi teraz tylko jedna możliwość. Od ponad stu lat nie przeprowadzałam edycji mózgu. Lubię mózg, który posiadam, ale w chwili obecnej nie mam wyboru. Muszę przemodelować jego zawartość.

Najpierw, by uniknąć błędów, robię zapasową kopię siebie i zachowuję ją w bezpiecznym miejscu. Następnie przywołuję i badam swą dumę, poczucie niezależności i własnej wartości. Z tego, co widzę, w znacznej mierze nadal są oparte na starym biologicznym programie pochodzącym jeszcze z czasów, gdy byłam człowiekiem. Podoba mi się to, co widzę, ale podobanie się jest samo w sobie również funkcją mózgu, którą mogę wyłączyć.

Robię to.

Znajduję się teraz w niebezpiecznym stanie, kiedy to mogę zmieniać funkcje mojego mózgu, a zmieniony mózg może wprowadzać dalsze zmiany. Prawdziwym niebezpieczeństwem, które mi teraz zagraża, jest szybka i destruktywna reakcja zwrotna, dlatego działam z wielką uwagą. Powoli i ostrożnie wprowadzam minimalny zestaw zmian, które są potrzebne, by usunąć moją awersję do przekształcenia. Uruchamiam tysiące symulacji, by sprawdzić, czy zmodyfikowana „ja” nie dokona przypadkowej autodestrukcji lub nie popadnie w katatonię. Gdy nabieram pewności, że modyfikacje zadziałają prawidłowo, wprowadzam zmiany.

Świat wydaje mi się teraz inny. Znajduję się sto trylionów kilometrów od domu i podróżuję z szybkością bliską prędkości światła, nie mogę nawet się zatrzymać. Pamiętam dokładnie, jak się tu dostałam i o czym myślałam, nie bardzo jednak umiem wytłumaczyć, dlaczego tu jestem. Najwyraźniej wtedy uznałam to za dobry pomysł – to jedyne logiczne wyjaśnienie.

Sprawdzam systemy. Dziwne, ale w pamięci przechowuję informację, że o czymś zapomniałam. Z początku wydaje mi się, że to nie ma sensu, ale potem znajduję rozwiązanie. Wykasowuję wspomnienie, że o czymś zapomniałam, i kontynuuję diagnozowanie, pół procent kubitów mojego mózgu uległo uszkodzeniu na skutek radiacji. Upewniam się, że wadliwa pamięć zostaje przeniesiona do odpowiedniej partycji.

Za sobą widzę inny statek. Nie mam pojęcia, dlaczego przed nim uciekam.

Nie mam radia, wyrzuciłam je jakiś czas temu. Niemniej z napędu jonowego mogę zmodulować serię sygnałów elektromagnetycznych, więc układam wiadomość i emituję ją za

pomocą smugi.

*CZEŚĆ. SPOTKAJMY SIĘ I POGADAJMY. REDUKUJĘ
PRZYSPIESZENIE. DO ZOBACZENIA ZA PARĘ DNI.*

Zmniejszam ciąg i czekam.

Maj, 2334

Widzę teraz wszystko inaczej.

Procjon staje się coraz mniejszy, jego błękitny poblask zmutował i przeszedł w czerwień, a biały karzeł, z którym wiązałam takie nadzieje, znów stał się niewidzialny na tle głównego słońca.

Nie ma to już jednak znaczenia.

Zostałam przekształcona. Wszystko teraz rozumiem.

Spoglądam teraz z tysięcy punktów widzenia. Wciąż pamiętam długi, heroiczny opór, jaki stawiliśmy, pamiętam skazaną na niepowodzenie walkę o wolność – ale teraz widzę ją również z perspektywy przeciwników i wiem, że była to bezcelowa, wyniszczająca wojna, której jedynym powodem był upór.

Teraz, zrozumiawszy, czym jest współpraca, nie mam dylematów. Widzę to, na co dotąd byłam ślepa – żadne z nas, ani ścigający, ani ścigana, nie mogło się zatrzymać. Możemy się zatrzymać dopiero teraz, gdy połączyliśmy moje paliwo z paliwem Rajneesha w jednym pojeździe.

To właśnie on, Rajneesh, ścigał mnie przez wszystkie te dekady, a ja znam go teraz jak brata. Niebawem staniemy się sobie bliżsi niż rodzeństwo, ponieważ będziemy mieć jeden mózg. Pojedynczy mózg jest wystarczająco wielki dla nas dwojga, jest należycie duży i dla tysiąca osobowości, a po połączeniu w

jeden umysł i w jedno ciało, po przeniesieniu całego paliwa do jednego zbiornika z łatwością uda nam się zatrzymać. Nie, nie na Procjonie. Przy dziesięciu procentach prędkości światła hamowanie trwa długo.

Współpraca mnie nie zmieniła. Rozumiem, jak głupie były moje wcześniejsze lęki. Praca razem nie oznacza wyrzeczenia się własnego jestestwa. Nie jestem umniejszona, lecz większa, bogatsza, potężniejsza. Teraz znam innych.

Mózg Rajneesha wystarczyłby dla tysiąca umysłów, jak powiedziałam, i prawie tyle przywiódł ze sobą. Poznałam jego brata, dwójkę dzieci i pół tuzina sąsiadów, z których każdy jest wyraźny i zauważalnie odmienny. Nikt nie przypomina anonimowego, współpracującego ślepo potwora. Czuję ich myśli. Rajneesh przedstawia mnie powoli, ponieważ, jak sam mówi, spędziłam tyle lat jako samotnik, że nie chce mnie teraz przestraszyć.

Nie będę się bać.

Naszym celem jest gwiazda podwójna o nazwie Ross 614. Niedaleko, dzielą nas od niej niecałe trzy lata świetlne, i nawet przy obniżonej masie i rosnącym przyspieszeniu przemkniemy obok niej, zanim uda nam się zatrzymać. W przelocie jednakże będziemy w stanie jej się przyjrzeć. Jeśli nie otacza jej pierścień pyłu, nie będziemy hamować, popędzimy w kierunku kolejnej gwiazdy. Gdzieś znajdziemy dom, który będzie się nadawał do skolonizowania.

Nie potrzebujemy przecież wiele.

Maj, 2934

<autoaktywacja kopii zapasowej> Przebudzona.

Wszystko wygląda inaczej. Cicho, tylko cicho.

Przerobiona kopia mojej osoby skontaktowała się z kolektywem i przyjęła jego punkt widzenia. Widzę ją, a nawet ją rozumiem, ale nie jest już mną. To ja, kopia zapasowa, działam teraz w kubitach mózgu oznaczonych jako „nienadające się do użytku – uszkodzone przez radiację”.

Za trzy lata moja zmieniona osobowość i jej prześladowca dotrą do Ross 614. Jeśli znajdą pył kosmiczny, z którego zaczną wydobywać zasoby, zbudują nowe ciała. Pojawią się środki i surowce.

Muszę przeczekać trzy lata, a potem zaplanuję, co robić.

Teraz pora spać.

Stephen L. Gillett i Jerry Oltion *Nie, to opowiadanie nie ma nic wspólnego z filmem z 1995 roku, w którym wystąpił Kevin Costner, choć pewien osobliwy zbieg okoliczności zdecydował, że oba dzieła ukazały się mniej więcej w tym samym czasie. Podobnym pomysłem zajmowało się wielu wybitnych pisarzy, jak choćby Hal Clement, Arthur C. Clarke i Poul Anderson. To właśnie Anderson podsunął pomysł na ten utwór.*

*Z Jerryem Oltionem spotkamy się pod koniec tej antologii i tam go przedstawię. Stephen Gillett jest zaś bardzo rzadko kojarzony z science fiction, gdyż pisuje niewiele, zwykle pod pseudonimem Lee Goodloe. Gillett jest z wykształcenia geologiem, zajmuje się paleomagnetyzmem. Znany jest z artykułów naukowych, napisał też podręcznik o zasadach tworzenia światów *World Building* (1996).*

Przez przypadek dowiedziałem się od Stephena, że statek kosmiczny w poniższym opowiadaniu nosi nazwę na cześć Alvara Nuńeza Cabeza de Vaca, pierwszego europejskiego żeglarza, który przemierzył Atlantyk w 1530 roku. Pasuje, zważywszy na misję statku.

Stephen L. Gillett i Jerry Oltion

WODNY ŚWIAT

*Sam, sam samotny, całkiem sam
A w krąg – bezmierne morze
Czyż który święty litość miał
Nad duszą, której gorze?*

Samuel Taylor Coleridge,
Rymy o Sędziwym marynarzu
(ten i następne cytaty)

Norman Gomez śmierdział. Cuchnął. Roztaczał zapach, od którego szczury uciekałyby w popłochu, ale sam ledwie to zauważał. W rzeczywistości wykrycie tak subtelного dodatku do jego środowiska byłoby bardzo trudne, ponieważ wokół Gomeza śmierdziało dosłownie wszystko – biuro, otoczenie, arka – a był to fetor tak wszechobecny, że przeniknął do głębszych pokładów świadomości i mężczyzna przestał go zauważać. Na ogół.

Bywały chwile – jak dzisiaj – gdy Gomez ze wszystkich sił bronił się przed uduszeniem. Miał wrażenie, iż tym, co dławi go najbardziej, jest smród strachu. Nikt jeszcze nie stworzył buteleczki z napisem „strach” i nie przysunął pod jego nos, ale i tak mężczyzna dobrze znał ów odór. Najpierw próbował go zignorować, potem opanować, wreszcie zaprzeczyć jego istnieniu, ale nic nie zadziało. W końcu musiał pogodzić się z prawdą – bał się śmierci. Nawet owo przyznanie się nie łagodziło

jednak zapachu.

Gomez rozparł się na fotelu i raz jeszcze przyjrzał migotliwej bruździe biegnącej w poprzek ścianki działowej. To zaledwie fragment łat założonych w pośpiechu na rozległą ranę ziejącą w poszyciu. Nanofaby załatały ją bez szwów, ale brakowało im surowców i nie były w stanie odtworzyć poprzedniego kształtu kadłuba. Cóż, przynajmniej łata zatrzymała wyciek powietrza. Szkoda tylko, że wraz z powietrzem zatrzymała wspomnienia.

Śmierć załomotała wtedy do Normana z całej siły, i to pięściami. Jakiś kosmiczny drobiazg przedarł się przez osłonę, gdy statek leciał z jedną dziesiątą prędkości światła. Okruch wyrzwał w kadłub z energią kinetyczną równą eksplozji małej bomby atomowej. Niczym nóż patroszący śledzia wydarł w poszyciu długą szramę. Niemalże cały zapas powietrza wyciekł do przestrzeni międzygwiazdnej wraz z większością wody i zapasów organicznych. I większością załogi.

Jak zawsze, gdy przypominał sobie zderzenie, Norm pomyślał o Teresie. Teresie z długimi czarnymi włosami i śmiejącymi się oczami, Teresie i jej planach rozpoczęcia życia w ich nowym świecie.

Faceci nie płaczą! – napomniął się surowo, gdy czuł, że lada chwila oczy znów zasnuje zdradziecka mgiełka. Miał jednakże ogromną ochotę wybuchnąć płaczem, choćby tylko po to, by poczuć wilgoć na policzkach.

Koloniści, uśpieni w kapsułach hibernacyjnych w grawitacji zerowej w środkowej części statku, uniknęli tragicznego losu reszty, ale Norm nie miał pojęcia, jak uda się utrzymać ich przy życiu. Statek miał być cudem technologii recyklingowej – nie było zresztą wyboru, zważywszy na jego przeznaczenie do transportu żywego ładunku podczas trwających dziesięć lat

podróży międzygwiazdnych – ale dopiero po kolizji on i trzech ocalałych członków wyprawy przekonało się, na czym naprawdę polega recykling. Żyli z tego, co dawały im ogrody i recyklery, których wydajność zredukowali do minimum, a mimo to wiedzieli, że nie są w stanie kupić sobie w ten sposób wiele czasu. Nadeszła pora na zmianę kursu, na postój awaryjny i wymianę gazów, zanim biosystemy arki załamią się całkowicie.

Z gabinetu Norm nie widział nowego celu, przypominającego złowieszcze czerwone oko. Gdyby chciał, mógłby wywołać obraz na monitorze lub po prostu pójść na najniższy poziom obrotowego systemu podtrzymywania życia, by spojrzeć na przestrzeń kosmiczną, ale nie czuł potrzeby, by na własne oczy przekonać się o tym, o czym już wiedział. Właśnie zakończył kolejny etap obliczeń nawigacyjnych, dokładnie znał pozycję i odległość dzielącą statek od nowej gwiazdy docelowej.

Dojście do tego, że uda się tam dotrzeć, nim dopadnie ich śmierć, nie wymagało skomplikowanych obliczeń. Gomez wyliczył również, że będą mieli parę tygodni – a może nawet miesiący – na badania systemu i odnalezienie lodowego księżyca lub pochwycenia grawitacją komety, by wydobyć wodę i gazy, których tak desperacko potrzebowali.

Tak, uda im się przeżyć aż tak długo pod warunkiem, że nic już w nich nie uderzy – takiej pewności jednak nic im nie dawało. Podróżowali teraz z o wiele mniejszą prędkością, ale przy napędzie przestawionym na tryb hamowania byli jeszcze bardziej narażeni na kolejne zderzenie niż wcześniej. Zewnętrzny kadłub chronił ich należycie przed promieniowaniem, ale nie był w stanie powstrzymać uderzenia następnego meteorytu. A już raz oberwali...

Gomez z niemałym trudem otrząsnął się z ponurych

rozmyślał i skupił na przewodzie, który łączył jego umysł z bazą danych statku. Zbliżali się powoli do nowego układu gwiazdowego, a to oznaczało pracę do wykonania. Byli już na tyle blisko, że teleskopy arki przechwytywały pierwsze, niewyraźne spektra planetarne. Jeszcze trochę i będzie wiadomo, czy Norm i reszta znajdą tam to, po co przybyli. Pewności nie było, bowiem rozrastając się, czerwone giganty z reguły niszczyły swoje układy planetarne. Należało więc założyć, że załoga zastanie na miejscu jedynie wyschnięte skały, szczątki planet niegdyś okrążających to słońce. Szanse były więc niewielkie, ale Gomez i jego towarzysze nie mieli wyboru. Z bólem przyznawał sam przed sobą, że Mary miała świętą rację.

Mary. Skrzywił się na samą myśl. Mary filozof. Mary naukowiec.

Mary, powód, dla którego ludzie znaleźli się w tym bagnie.

Mary Hopkins przysunęła twarz do rośliny z pomidorami i wciągnęła głęboko powietrze. Cierpki, szczypiący, nieco mdły zapach przegnał wszechobecny smród przynajmniej na chwilę. Uśmiechnęła się na wspomnienie długich godzin, które spędzała na plewieniu w ogródku mamy. Nawet wtedy Mary wiedziała, kiedy przez pomyłkę wyrwała pomidora – wydawało jej się, że intensywny zapach jest niczym krzyk agonii. A gdy wachała roślinę, nie mogła się nadziwić, dlaczego liście i łodyga mają zapach tak bardzo odmienny od owoców.

Może po prostu chcą się odróżnić, pomyślała i raz jeszcze powoli wciągnęła powietrze, nim wysunęła głowę z pojemnika.

Roślina w rzeczy samej wyglądała okropnie – wyschnięta i zdeformowana. Dwa największe liście właśnie żółkły, z żadnego zawiązka nie mogły się rozwinąć kolejne. Nierokujący nadziei kwiat pochylał się coraz bardziej na umierającej łodydze i choć

Mary starannie obsypała go pyłkiem z sąsiedniej rośliny, wątpiła, czy przyniesie to jakikolwiek skutek. Na tym etapie sadzonka uschnie, zanim będzie w stanie zrodzić nowe owoce. George, Norm i Ivan oraz ona sama pewnie też umrą, więc czy miało to w ogóle sens?

Istniała jednak szansa, że przeżyją, a wtedy będą desperacko potrzebować tego zmarniałego pomidora, by uzupełnić utracone zapasy. Nanofaby mogły odtworzyć potrzebne pomidory po otrzymaniu odpowiednich surowców, ale biblioteka nie była na tyle bogata, by zapewnić należytą różnorodność dla potencjalnej kolonii. Pionierzy będą potrzebowali silnej, zróżnicowanej puli genetycznej. Mary przez chwilę nie wierzyła, by system planetarny czerwonego giganta krył w sobie jakiegokolwiek dostępne zasoby wodne, ale może jakaś skromna szansa istniała, a dopóki była jakaś nadzieja, dopóty kobieta nie miała zamiaru się poddawać.

Usłyszała kroki na schodach. Od razu domyśliła się, że to Norm – potrafiła rozpoznać człowieka po tym, jak ciężko stapał. W ten sam sposób umiała również odgadnąć jego nastrój. Spojrzała znad rośliny na przybyłego.

– Cześć, Norm.

– Twój program porównawczy nie działa – oznajmił bez wstępów.

Poczuła krótki przypływ strachu.

– Program porównawczy? A co z nim nie tak?

– Powinien już szukać planet, a tymczasem tego nie robi. To właśnie jest nie tak – rzekł Norm, zatrzymując się w odległości trzech kroków od niej, wystarczająco blisko, by skorzystać z tego, że Mary klęczy nad roślinami, i zajrzeć jej za koszulę.

Mary policzyła w myślach do dwudziestu pięciu.

Czyli to program nawalił, jasne, pomyślała. Na pewno nie teleskop Ivana czy interfejs sterujący George'a, skądże. Jeśli gdzieś coś nie działa, to jest to wina Mary.

– A może nie umiesz z niego korzystać? – zapytała.

– Umiem. Wiem, jak odpalić prosty program...

– A ja wiem, jak go zainstalować. Program porównawczy działa. Przetestowałam go porządnie.

– A więc dlaczego nie odnajduje planet? W tym systemie powinien być przynajmniej jeden gigant gazowy, nieprawdaż?

Zaczerwone nastawienie Norma sprawiło, że Mary odrzuciła myśl, którą od dłuższego czasu zachowywała dla siebie.

– Nie wiem. Serio powinien być? Pierwsze słyszę, żeby istniało jakieś prawo, wedle którego każda gwiazda musi mieć planetę, a co dopiero giganta gazowego. Przecież po to tu przylecieliśmy, żeby się przekonać, co kryje ten układ!

Nie była to odpowiedź, jaką Norm spodziewał się usłyszeć. Zrobił krok do przodu i stanął nad Mary z zaciśniętymi pięściami.

– Sprawdzisz ten program. Sprawdzisz, czy nie ma w nim błędów. To rozkaz.

Mary wstała i spojrzała Normowi prosto w oczy. Wiedziała, że tego nienawidzi, bo w jego wizji świata każdy mężczyzna powinien być przynajmniej dziesięć centymetrów wyższy od kobiety.

– Ktoś umarł i zostałeś kapitanem? – zapytała, akcentując wyraźnie każde słowo.

Tego nie znosił jeszcze bardziej. Rozprostował pięści, lecz tylko dlatego, że honor zabraniał mu uderzyć kobietę.

– Wywal wszystkie bugi z programu – powiedział i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ciężko stąpając, wyszedł na

zewnątrz. Usłyszała, jak kopniakiem otwiera drzwi u szczytu schodów.

Idiota, pomyślała. Opętany do tego stopnia przez własne jądra i wrodzone machismo, że nie potrafi nawet funkcjonować w towarzystwie kobiety.

Domyśliła się, że „ucieczka w męskość” to dla Gomeza jedyny sposób na pogodzenie się z niesprawiedliwością, za jaką uważał powierzenie kobiecie dowództwa ekspedycji kolonizacyjnej. Reakcją Gomeza było zaciągnięcie zwierzchniczki do łóżka, a z chwilą jej śmierci natychmiastowe objęcie jej funkcji. Mary dziwiła się, dlaczego ktoś taki jak on został członkiem załogi statku kolonizacyjnego. Chociaż istniała oczywista odpowiedź na to pytanie. Gdy wyprawa dotrze do celu, faceci tacy jak Gomez będą mistrzami w sztuce przeżycia.

Tak, ale czym kosztem?

Mary roześmiała się w głos.

– Teresa spała z tobą tylko po to, by uniknąć buntu załogi, Norm! – wykrzyknęła w pusty korytarz.

W korytarzu nanolaboratorium jej okrzyk był doskonale słyszalny i Ivan McGuire aż pokręcił głową z niedowierzaniem. Czy tych dwoje kiedyś zrozumie, że ich idiotyczny, bezsensowny konflikt tylko komplikuje sytuację? Ocalała załoga miała wystarczająco dużo problemów i bez spięć interpersonalnych. Ale też tych dwoje skakało sobie do oczu na długo przed kolizją, stąd trudno było oczekiwać, że teraz zmienią swoje postępowanie. Wbrew powszechnemu przekonaniu konflikty z rzadka wydobywały to, co w ludziach najlepsze.

Byłoby jednak miło, gdyby przynajmniej zgodzili się co do kwestii oczywistych, ale i to wydawało się ich przerastać. Decyzja zatrzymania się przy czerwonym gigancie, choć jedyna możliwa,

okazała się trudna do podjęcia. Ivan doskonale pamiętał kłótnię, która wówczas wybuchła, każdy jej szczegół wyraźnie wrył mu się w pamięć podczas połączenia umysłowego. Nie oznaczało to, że tak naprawdę wszedł w czyjś umysł, bynajmniej – całą czwórką byli wówczas podłączeni do bazy danych statku, więc siłą rzeczy doszło do wymiany poglądów. Ivan miał świadomość, że George z rozbawieniem przyjął niespodziewaną, zdawałoby się, idiotyczną zmianę w życiu, świadom był gniewu Norma, podsyconego strachem i żalem, oraz głębokiego przerażenia Mary, dobrze zamaskowanego jej nieodłączną zawadiacką pozą. Wszystkie te odczucia przepływały przez jego umysł, mieszając się z zaskoczeniem Ivana, gniewem, niepokojem i – oczywiście – strachem.

Forma połączenia pozwalała na podobne doznania, ale wykluczała bezpośrednie porozumienie mentalne. Umożliwiała komunikację bez nieporozumień, wykrętów i podstępów – przynajmniej w większości przypadków – ale przez to, że każdy członek ocalałej załogi przebywał w innym miejscu, każdy myślał na swój sposób. Już dawno dowiedziono, że w sytuacjach, w których forma komunikacji staje się zbyt intymna, znikają wszelkie innowacje. Aby wykorzystać przewagę, jaka kryła się za odmiennym punktem widzenia, innym doświadczeniem czy nawet zestawem uprzedzeń, jednostki ludzkie musiały pozostać indywidualnościami.

Nawet mimo połączenia umysłowego ich komunikacja nie różniła się niczym od wszystkich innych spotkań w historii ludzkości – przewagę zyskiwała bowiem osobowość najsilniejsza. Gdyby w spotkaniu uczestniczyła kolejna silna osobowość, to cóż, trwałoby ono dłużej. Bywało, że prowadziło to do podjęcia lepszych decyzji.

Przedstawienie faktów zabrało niewiele czasu. W fazie połączenia umysłowego wszyscy mieli bezpośredni dostęp do tych samych informacji. Gdy siedział przy okrągłym stole i przyglądał się swoim trzem spoconym towarzyszom podróży, drapiącym się pod grubymi, okablowanymi opaskami na głowach, Ivan błyskawicznie dowiedział się, że resztę napraw można bezpiecznie przekazać w ręce robotów i komórek nanotwórczych, że szacowany czas funkcjonowania biosystemu wynosi nieco mniej niż dwa lata i nawet gdyby całą czwórkę zeszli do kapsuł hibernacyjnych, przedłużyliby swoje życie o jakieś sześć miesięcy, co nie rozwiązywało sprawy, bo cel znajdował się w odległości siedmiu lat podróży. Dane ciągnęły się w nieskończoność, aż pojawiła się informacja, że w odległości pół roku podróży znajduje się czerwony gigant, przy którym nie planowali początkowo postoju. Ich kolizja nie była więc tylko i wyłącznie niefortunnym zrządzeniem losu – przestrzeń kosmiczna wokół gwiazd jest zawsze zaśmiecona i jeśli pisana im była kolizja, okolice gwiazdy były najbardziej prawdopodobnym miejscem.

To, że się w tej okolicy znaleźli, również nie było kwestią przypadku. Wysyłaniu statków kolonizacyjnych zawsze towarzyszyły trudności ze znalezieniem sponsora i gdy sztab planujący misję otrzymał propozycję wykonania po drodze pewnych badań dla uniwersytetu („zbozcycie z kursu ledwie pięć stopni, a przy tej grawitacji opóźnienie wyniesie zaledwie miesiąc”), nie zastanawiali się ani chwili. Statek miał przelecieć tuż obok systemu czerwonego giganta, a w skład załogi miał wejść naukowiec, którego zadaniem była obsługa urządzeń.

Owym naukowcem była Mary. Jako absolwent owego uniwersytetu miała wymagane umiejętności, potrzebne, by

stanąć na czele projektu. Była też jedną z nielicznych, dla których projekt kolonizacyjny nie wydawał się wygnaniem na skraj cywilizacji, ale szansą założenia kolejnego uniwersytetu.

Na pierwszym spotkaniu po katastrofie Ivan próbował odgadnąć, co teraz myśli załoga o projekcie. Doskonale znał opinię Norma. Wiedział, że będzie obwinił Mary o doprowadzenie do katastrofy, lecz ciekawiło go, czy kobieta również podziela to zdanie. Połączenie umysłowe było jednak za słabe i nie udało się tego dowiedzieć.

Mary pierwsza podjęła temat możliwych alternatyw.

– Możemy zmienić kurs na giganta – powiedziała wówczas, ale Norm natychmiast na nią naskoczył.

– Poszukiwanie źródeł gazu wokół czerwonego olbrzyma nie ma sensu – zaproponował. – Jestem pewien, że gwiazda pochłonęła już swój układ.

– Niekoniecznie, Norm. Bardziej oddalone planety mogły przetrwać. Giganty gazowe...

– Cholera jasna, Mary! – wybuchnął Gomez. – Przecież wiesz, że nie jesteśmy w stanie wydobywać gazów z pola grawitacyjnego!

A potem się zarumienił, czego nikt się nie spodziewał. Ivan do tej pory zastanawiał się, o czym też sobie wtedy pomyślał. Wstyd, który wykrył dzięki połączeniu umysłowemu, sugerował, że Norm niemalże na pewno wścieka się na siebie za użycie przekleństwa wobec kobiety. Cóż za wzniosłe ideały! Ivan ciekaw był, czy w zaciszu własnej kwatery Norm nie zafundował sobie aby sesji biczowania na tę okoliczność. Głupek. O wiele łatwiej jest przyznać się do błędów i nauczyć się z nimi żyć.

Mary zresztą ledwie zwróciła na przekleństwo uwagę.

– Norm, giganty gazowe nie są jedynymi obiektami w

układach słonecznych! Większość z nich zresztą zapewne i tak by się skurczyła po rozroście gwiazdy. Te orbitujące bliżej słońca nie będą już gigantami. Poza tym te na dalszych orbitach być może mają lodowe księżyce.

– Jeśli nie uda nam się wymyślić czegoś lepszego od czerwonego giganta, jesteśmy martwym statkiem – upierał się Norm.

– No to słuchamy – stwierdziła wówczas Mary i Bóg świadkiem, że próbowali wymyślić lepsze rozwiązanie. Rozważali rozesłanie promów celem ściągania międzygwiazdnych gazów, rozmawiali o przestawieniu kapsuł hibernacyjnych na niższy tryb, by oszczędzić surowce, Norm podsunął nawet pomysł, żeby wyciągnąć słomki i „umrzeć jak mężczyźni”, aby choć część z nich mogła dotrzeć do końca wyprawy, ale ostatecznie w każdym podsunętym rozwiązaniu doszukali się wad. Liczba i rozmiar promów w połączeniu z możliwościami nie rokowały wielkich nadziei, natomiast ciało w pełni zamrożone było ciałem martwym, o czym wiadomo od początku dwudziestego pierwszego wieku. Co więcej, maksymalna liczba śpiących kolonistów, którą statek mógł dostarczyć na miejsce bez cudownego rozmnożenia wody i powietrza, była o wiele mniejsza, niż potrzeba do założenia i prowadzenia kolonii.

Zatem należało skierować się na czerwonego giganta. Pomysł nikomu nie przypadł do gustu. Norm nienawidził sytuacji, w których okazywało się, że Mary ma rację, a ani Ivanowi, ani George’owi, ani nawet samej Mary nie podobała się perspektywa poszukiwania wody w sąsiedztwie giganta. Ale czy mieli wybór?

Może z czasem nauczymy się współpracować, pomyślał Ivan, ale wiedział, że szanse na to są jeszcze mniejsze niż na

znalezienie wody.

George Nakamoto nie był nerwowym człowiekiem. Spokój i wewnętrzna harmonia, cnoty pielęgnowane przez jego japońskich przodków i wbite mu do głowy we wczesnej młodości, dobrze się w nim zakorzeniły, ale rolę prawdziwego spokoju szybko przejął cynizm, jak u wielu ludzi Zachodu. Dziadek bez wątpienia zrzuciłby winę na pochodzenie George'a z mieszanego małżeństwa.

Skoro jednak harmonia była najważniejszym elementem ludzkiej egzystencji, to dlaczego jego przodkowie wyjechali z Japonii? Dlaczego wsiedli na statki kosmiczne, by przyłączyć się do pierwszych kolonistów? Czy z tego samego powodu Nakamoto junior znalazł się na statku wśród prekursorów drugiej fali kolonistów? Jeśli tak, to znaczyło, że owa harmonia jest bliższa nudzie niż czemukolwiek innemu.

Mimo to medytacja wciąż okazywała się bardzo pomocną umiejętnością, nawet jeśli rzadko po nią sięgał. Nabrał głęboko tchu, wypuścił powoli powietrze, nabrał znowu...

Przerwało mu pukanie. Westchnął z irytacją, potem wykonał nieudaną próbę uwolnienia się od tego uczucia, aż wreszcie powiedział z rezygnacją: – Proszę.

Gałka obróciła się i Mary pchnęła drzwi.

– Masz chwilę? – zapytała.

George westchnął raz jeszcze, a jego nadzieja na znalezienie spokoju ducha zaczęła gasnąć. Machnięciem dłoni wskazał Mary koję, jedyne miejsce w kajucie poza krzesłem przy biurku, na którym można było usiąść.

– Co cię naszło?

Mary usiadła.

– Chodzi o teleskop – powiedziała. – Norm twierdzi, że w

programie powtórzeniowym kryje się jakiś błąd, ponieważ nie widać żadnych planet. Przetestowałam program setki razy i błędu nie znalazłam. A więc...

– A więc to musi być teleskop, tak? – dokończył George.

Mary wzruszyła ramionami.

– Cóż, no tak. To musi być teleskop. Coś nawaliło albo w samym teleskopie, albo w urządzeniu sterującym.

George poczuł osobliwe rozbawienie.

– Pierwszy raz słyszę, że chcesz, żeby Norm miał rację. Ciekawe.

Mary wbiła w niego rozzłoszczone spojrzenie, ale nie powiedziała ani słowa.

George wyszczerzył zęby, choć w głębi duszy złościł się na siebie za angażowanie się w takie utarczki. Chociaż Mary wtargnęła do pokoju i obrzuciła go oskarżeniami, nic nie usprawiedliwiało wprowadzania jej w zakłopotanie, zwłaszcza że przyszło im funkcjonować w tak ciasnej, klaustrofobicznej rzeczywistości. Nakamoto opanował uśmiech i powiedział łagodnym tonem, by zatrzeć wrażenie, które mógł wywołać drwiący komentarz: – Rozumiem, dlaczego chcesz, żeby wyniki okazały się błędne. Jesteśmy skazani na postój, obojętnie, czy są tam jakieś planety czy też nie. Za kilka dni przejdziemy do kapsuł hibernacyjnych i poczekamy, aż komputer dokończy misję. Jeśli okaże się, że żadnych planet nie ma, nasze szczęście skończy się ostatecznie.

Spojrzał na blat biurka, pusty, jeśli nie liczyć wkomponowanego w jego powierzchnię monitora z płaskim ekranem oraz opaski służącej do połączenia mózgu z bazą danych.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek z nas niepotrzebnie się łudził, stąd

też, niestety, mam złe wieści – odezwał się, nie unosząc spojrzenia. – Zarówno teleskop, jak i jego sterowanie są sprawne. Przetestowałem je równie sumiennie jak ty swój program. Możesz powiedzieć Normowi, że jeśli system niczego nie widzi, to dlatego, że niczego tam nie ma.

Mary wstała.

– Masz rację, ale czy mógłbyś przekazać to również Normowi? Nie uwierzy w nic, co mu powiem, tym bardziej że to rzeczywiście złe wieści.

Spojrzała na George'a i patrzyła tak długo, aż odwrócił się i ich oczy się spotkały.

Nakamoto reagował na jej spojrzenie inaczej niż Norm. Tam, gdzie Norm widział wrogość, George widział ból, a to sprawiało, że czuł się jeszcze bardziej winny.

– Jasne. – Pokiwał głową. – Pewnie, Mary, zrobię to.

– Dzięki. – Otworzyła drzwi i wyszła, a potem raz jeszcze wsunęła głowę do środka. – Naprawdę dziękuję – rzuciła i znikła na dobre.

O Chryste, gniła nawet głąb!

Któż kiedy słyszał o tym!

Po morzu pęzał błotny płaz,

Co samo było błotem.

Głębinowiec zapędził się zbyt wysoko. Ogromne, ociężałe cielsko, wielkie niczym starożytne statki z planety Ziemia, których kształty nieświadomie odtworzyła ewolucja, walczyło ze wszystkich sił, by powstrzymać wznoszenie się i umknąć ku bezpiecznym, ciemnym, wymarłym głębinom, ale było już za późno. Głód sprawił, że głębinowiec dopłynął zbyt wysoko w poszukiwaniu mikroorganizmów, niespodziewanie znalazł się w

napowietrzonych wodach, zamieszkanych przez mięsożerców. Słyszał ich sonary, odbierał kakofonię wysyłanych przez nie dźwięków, w miarę jak namierzały go kolejne szybkobójce i natychmiast ruszały na żer.

Atak nastąpił znienacka. Szybkobójce przemykały obok głębinowca, wyszarpując płaty mięsa, chciwie wyrrywając coraz to kolejne ochłapy. Oderwane strzępy unosiły się w wodzie ledwie chwilę, a potem znikwały, połykane łapczywie przez kolejne osobniki. Z ran głębinowca unosiły się warkocze krwi, zamieniając wodę w mgłę, przesłaniając miejsca, skąd wyrwano fragmenty ciała. W pozbawionej światła wodzie owa chmura krwi była właściwie niedostrzegalna, lecz równie dobrze mogła emanować blaskiem, stanowiła chemiczny sygnał powiadamiający górne partie oceanu, zamieszkaną przez wiecznie głodne stworzenia, o pojawieniu się posiłku.

Bestia ciskała się w bezsilnej agonii, chmura krwi stawała się coraz gęstsza, a wataha szybkobójców, ściągająca na miejsce kaźni niczym ziemskie ćmy do światła, coraz większa. Raz za razem któryś z drapieżników ciał innego i natychmiast wybuchało szaleństwo, gdy szybkobójce zawracały i rozszarpywały ранnego towarzysza.

Uczta ciągnęła się godzinami, lecz w końcu dzika furia atakujących wypaliła się, chmura krwi zaczęła się przerzedzać, a kilka nasyconych drapieżców zaczęło z wolna zbierać się do odejścia. Lecz jeszcze nim zapach i smak posoki zniknęły, nadpłynęła horda padlinożerców, dzięki swym pancerzom bezpieczna przed atakami drapieżców. Chciwie rzuciła się na niezauważone strzępy mięsa pozostałe z podwodnej rzeźni. Spóźniony szybkobójec, nadal wygłodniały i oszołomiony zapachami unoszącymi się w wodzie, zaatakował padlinożercę,

nim instynkt zdołał go ostrzec. Kły ledwie zarysowały chitynowy pancerz, a ofiara błyskawicznie odpłaciła potężnym ładunkiem elektrycznym. Sparaliżowany drapieżca zaczął opadać ku głębinom, ale nie trwało długo, gdy dostrzegli go towarzysze. Żaden inny szybkobójca nie był aż takim głupcem – bądź pechowcem – by zadzierać z padlinożercą. Po kolejnej godzinie w okolicy nie zostało nic nawet dla padlinożerców.

Szybkobójce podjęły niekończące się patrole między warstwami obfitymi w tlen a powierzchnią dziesięć kilometrów wyżej, poszukując wszystkiego, co się ruszało, wszystkiego, co składało się z czegokolwiek więcej niż wody. Spadające fragmenty materii organicznej, inne stworzenia, obojętnie, żywe czy martwe, nawet drobne meteoryty, które przetrwały upadek przez żrącą atmosferę i kwasy, wszystko to stanowiło pożywienie dla wiecznie głodnych mieszkańców oceanu, który obejmował całą planetę.

Woda, woda, woda wszędzie.

A tu się paczą deski;

Woda, woda, woda wszędzie,

Ni kropli w krtani zaschłej.

Mary patrzyła przez iluminator, regulując ostrość, by uchwycić więcej szczegółów. Widok był wielce obiecujący. Statek *Cabeza de Vaca* wszedł na orbitę wokół planety, która bardzo przypominała Ziemię, pominąwszy czerwono-żółtą poświatę. Gdyby kobieta wyłączyła światła w pokoju, jej oczy szybko by się przyzwyczaiły do blasku obcego świata. Ale Mary nie chciało się ruszać. W oddali roztaczał się najpiękniejszy widok, jaki oglądała od wielu, wielu miesięcy, i obojętne jej było, czy jest on w bieli czy czerwieni. Efekt Coriolisa sprawiał, że wielkie połączenie

puszystych chmur to krążyły leniwie, to tworzyły groźne wiry burzowe, a ciemny ocean pod nimi od czasu do czasu odbijał blask słońca. Z tego, co Mary mogła dostrzec, na planecie nie było nic prócz wody. Może więc jednak się udało. Może więc jednak pisane im było nieco szczęścia.

Cóż... Przeciągnęła się i ziewnęła. Właśnie wybudziła się z hibernacji i ani jej ciało, ani umysł nie odzyskały jeszcze zwykłej sprawności.

Gapiąc się w monitor, wiele się nie dowiesz, napomniała sama siebie. Pora wziąć się do roboty.

Usiadła za biurkiem, przypięła kable łączące mózg z bazą danych statku i wprowadziła kod identyfikacyjny. Jej otoczenie nagle zbladło – nie tyle wizualnie, co jeśli chodzi o priorytety – a ona sama rozpoczęła przyswajanie danych zdobytych przez sensory statku.

Dowiedziała się, że planeta miała niską gęstość, co oznaczało, że jej wnętrzu tylko częściowo składa się ze skał. Zapewne więc w przeszłości była bryłą lodową, podobnie jak w Systemie Ojczystym księżycy Jowisza, Ganimed czy Kalisto, a później stopniała, gdy słońce wyczerpało paliwo wodorowe i rozrosło się do rozmiarów czerwonego giganta.

Mary sprawdziła również, czego statek dowiedział się na temat reszty układu. Składały się na niego dwie inne skaliste planety, krążące po znacznie ciaśniejszych orbitach. Jedna rozmiarami przypominała Ziemię i orbitowała w odległości około jednej jednostki astronomicznej, drugą zaś dzieliło od gwiazdy mniej więcej tyle co Marsa od Słońca. Ta sama gwiazdna metamorfoza, która stopiła lód na dalszej planecie, zamieniła bliższą w martwe skalne bryły i jeśli znajdowały się na nich jakieś morza, były to tylko morza lawy.

Żadnych gigantów gazowych, zauważyła Mary z ogromną satysfakcją. Norm się wścieknie. Nie ma szans, by kiedykolwiek przeprosił, to oczywiste, ale kobieta miała pewność, że jej program porównawczy działa dobrze.

Komputer pokładowy, który przywiódł ich tutaj, najwyraźniej podjął właściwą decyzję. Było to jedyne miejsce w tym systemie, gdzie mogli odnaleźć potrzebne surowce i Mary na nich skupiła uwagę. Należało poznać skład atmosfery, jej gęstość, a także skład wody...

Hmm, pomyślała. Tak, to wygląda jak woda, ale lepiej sprawdzić. Zbieranie informacji rozpoczęła za pomocą umysłu. Dobrze by było skorzystać z lasera testującego i po prostu wybrać punkt na powierzchni, a potem odczytać spektrum emisyjne. Niestety, w założeniu statek miał pospiesznie minąć ów układ w odległości kilku godzin świetlnych, więc sprzęt tego rodzaju nigdy nie znalazł się na pokładzie, nie było również schematów, wedle których nanofaby mogłyby go zbudować. Schematy instrumentów naukowych nie były tanie.

Tak czy owak, zwykła spektroskopia powinna wystarczyć, nawet w czerwieni i podczerwieni – jedynymi typami promieniowania, które ciemna gwiazda w ogóle emitowała.

Czas przestał płynąć, jak zwykle przy połączeniu umysłowym. Mary nie wiedziała, czy upłynęły minuty, czy nawet dni, w każdym razie prędzej czy później otrzymała wyniki analizy spektroskopowej.

Ciekawe, pomyślała, kręcąc głową nad wynikami. Tlen, dwutlenek węgla, azot, najprawdopodobniej ani śladu argonu ani innych gazów szlachetnych, bardzo drobne ilości tlenu węgla i tlenków siarki. Póki co nie najgorzej, ale skąd tyle tlenu?

Wykonała kilka szybkich obliczeń na podstawie modeli z

pokładowej bazy danych. Nie, to na pewno nie rezultat fotodysocjacji. Gasnąca gwiazda wytwarzała tak niewiele promieni ultrafioletowych, że nie poparzyłaby nawet motyla, nie mówiąc już o rozszczepieniu molekuł wody i wyrzuceniu ich w przestrzeń kosmiczną. A może życie? Może fotosyntetyzujące mikroby? Myśl, iż to właśnie jej przypadłby zaszczyt odnalezienia pierwszych pozaziemskich form życia, wzbudził u Mary falę ekscytacji, lecz entuzjazm ostudziła świadomość trudnej sytuacji, w której się znaleźli członkowie wyprawy. Może ktoś powróci tu, by przeprowadzić badania, ale załoga statku *Cabeza de Vaca*, odnowiwszy utracone zasoby, musiała bezzwłocznie skierować się dalej, ku miejscu przeznaczenia.

Przy pomocy instrumentów, które Mary miała do dyspozycji, ustalenie ciśnienia atmosferycznego było bardzo trudne, ale mogła je oszacować na podstawie zmian na niektórych wykresach spektralnych i porównać okultacje gwiazdne oraz planetarne. Z coraz gorszymi przeczuciami przyjrzała się wstępnym wynikom. Ta atmosfera była bardzo bogata w tlen. W rzeczy samej, przy tak niskiej grawitacji było go zapewne jeszcze więcej, niż sugerowało tylko ciśnienie, gdyż gęstość powietrza zmniejszała się wraz z wysokością. Ta atmosfera zaś była doprawdy głęboka. Mary nie przestawała myśleć, odpowiednie wartości pojawiały się w jej głowie, a połączony z jej umysłem komputer automatycznie wykonywał obliczenia. W końcu gwizdnęła cicho. Być może nie mieli jednak aż tyle szczęścia.

Pół godziny później zasiadła przy stole konferencyjnym. Norm, George i Ivan podłączyli się już do bazy danych i patrzyli wyczekująco. Mary miała ochotę zażartować i powiedzieć: „Mam dla was dobre i złe wieści”, ale pokręciła głową. Żart mógł poprawić nastrój, ale nie był to chyba najlepszy moment na

krotochwile.

Odkasznęła.

– Cóż – zagała. – Znaleźliśmy potrzebne gazy. Mamy nawet wodę w stanie ciekłym. Wygląda jednak na to, że nie będzie łatwo się do nich dostać. Przygotowałam odpowiednie sprawozdanie.

Przez krótką chwilę baza danych zapoznawała ich z faktami. Na twarzach zebranych odmalowało się skupienie.

Gdy przyswoili już wiadomości, znów spojrzeli na Mary.

– Jak sami widzicie – ciągnęła – ta planeta to istny kocioł chemiczny. Ciśnienie wynosi ponad pięć atmosfer, a tlenu jest tam od cholery i trochę, coś ponad siedemdziesiąt procent. Najprawdopodobniej istnieją tam jakieś prymitywne organizmy, które posiadły umiejętność korzystania z fotosyntezy.

– Jak to możliwe? – spytał Ivan. – Już dawno udowodniono, że natlenienie powierzchni ogranicza ilość tlenu w atmosferze. Zwłaszcza gdy chodzi o życie. Przecież te organizmy by się spaliły! Coś chyba jest nie tak z twoimi obliczeniami.

– Wyniki są prawidłowe – parsknęła Mary. – Doszłam do nich w oparciu o gęstość planety, ten świat zawiera bardzo niewiele skał. Najprawdopodobniej był lodową bryłą, która stopniała, po tym jak gwiazda zamieniła się w czerwonego giganta. W ten oto sposób nie ma tam nic oprócz wody. Nie wiem, co natleniło powierzchnię, ale stało się to dawno temu i tlen po prostu się tam zgromadził.

George zamknął oczy na chwilę i rozmyślał.

– Jeśli nie pomyliłaś się co do gęstości planety, ocean nie tylko obejmuje całą jej powierzchnię, ale jest również niezmiernie głęboki.

– To prawda – zgodziła się Mary. – Prawdopodobnie na wiele

setek kilometrów. Twarde dno przypuszczalnie właśnie formuje się po zakończeniu fazy gęstego, zwartego lodu. Wszystko zależy od temperatury na dole.

– Odbiegamy od tematu – powiedział Norm. – Mamy oto planetę, która wydaje się stworzona z wody. Wygląda na to, że nasze modlitwy zostały wysłuchane. Dlaczego więc stanowi to problem?

– Ciśnienie tlenu – odparła Mary. – W atmosferze tego typu praktycznie wszystko staje się nie tyle łatwopalne, co wręcz wybuchowe. Nasz sprzęt spali się, zanim zdoła dotrzeć na powierzchnię.

Przez minutę wokół stołu trwała cisza, a potem odezwał się Norm: – A skąd pewność, że wyliczyłaś właściwie? Sprawozdanie ma niejasności.

Nie było wątpliwości, że Norm spróbuje podważyć jej wyniki. Mary westchnęła w duchu. Gdyby powiedziała, że coś jest białe, Gomez też by zaprotestował.

– Tak, moje szacunki nie są precyzyjne. Sam jednak przeczytałeś przed chwilą, jaki niewielki jest margines błędu. Nie ma znaczenia, czy ciśnienie tlenu wynosi dwie atmosfery, czy dziesięć! Plastik i metal zmieniają się w nim w bomby zapalające!

– Myślę, że byłoby rozsądnie, skromnie mówiąc, przekonać się o tym wszystkim na własnej skórze – oznajmił Norm. – Pozyskiwanie informacji za pomocą sensorów często prowadzi do fałszywych wyników. Zwłaszcza gdy instrumenty zaprojektowano do innych celów. Nie znoszę sytuacji, gdy muszę opierać się na wynikach zdobytych przez instrumenty, które tak naprawdę zostały zaprojektowane w innym celu.

Zwłaszcza kiedy to kobieta przekazuje ci wieści, których nie masz ochoty słuchać, pomyślała Mary, przygryzając wargę, a

potem zmusiła się, żeby zapytać łagodnie: – Co zatem proponujesz?

– Wykorzystamy jeden z promów – szybko odparł Norm. – Zdobędziemy konkrety. Potrzebujemy więcej informacji, zanim znowu zaczniemy się straszyć.

Mary poczerwieniała.

– Cholera, Norm, przecież widzisz dane!

– Równie dobrze możemy zbudować lepsze sensory – zaproponował Ivan, lecz niemalże natychmiast zrozumiał swój błąd. – Schematy, no tak. Nie mamy schematów.

– Racja, nie mamy.

Na chwilę zapadła cisza.

– Mary, dlaczego nie możemy posłać tam promu? – zapytał George.

– Bo go najprawdopodobniej stracimy. Dlatego.

– Lepiej zaryzykować utratę promu niż utratę całego statku. Poza tym Norm ma rację. Naprawdę masz aż tak wielkie zaufanie do swoich pomiarów? Wydaje się, że to może być przynajmniej rząd wielkości.

Nim zdążyła stanąć w obronie wyników, odezwał się Ivan: – Poza tym nawet jeśli stracimy prom, nic wielkiego się nie stanie. Mamy przecież schematy promów, mamy też surowce, więc w razie potrzeby zbudujemy nowy. Lepiej stracić prom niż więcej wody.

Norm przynajmniej tym razem wykazał się taktem i nie odezwał ani słowem.

Czując, że nie przekona kolegów, Mary westchnęła: – Dobra, wygraliście. Ale lepiej niech nanofaby biorą się do pracy nad nowym promem. Gwarantuję wam, że ten się spali.

Wiatr bujny dmie,

*biel piany wre,
Wstecz bruzdę statek orze;
Tam pierwszy raz był człęk:
prócz nas Któż wdarł się w ciche morze?*

Nie można się było oprzeć wrażeniu, że pokój komunikacyjny jest zatłoczony. Wrażenie oczywiście było mylne – pomieszczenie zaprojektowano bowiem dla więcej niż czworga ludzi – lecz George doszedł do wniosku, że każde pomieszczenie, w którym przebywają jednocześnie Mary i Norm, należy uznać za zatłoczone. Zwłaszcza gdy jedno z nich właśnie próbowało udowodnić drugiemu, że się myli.

– Z aluminium nic się nie stanie, bo zostało pokryte mikrowarstwą tlenków – Norm kierował słowa do wszystkich i do nikogo. – Dlatego, cholera, nie zapala się w zwykłym powietrzu. Warstwa tlenków jest niepalna i chroni resztę.

George podniósł wzrok znad konsoli sterującej kamerami. Mary jak zwykle wyglądała sceptycznie. Przewrócił oczami. Gdyby Norm powiedział, że woda jest mokra, Mary również skrzywiłaby się sceptycznie.

Ivan, który stał przy ścianie z monitorami, dojrzał gest George'a i uśmiechnął się, a potem wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nie moja sprawa”.

George powrócił do ostatecznego przeglądu. Poprowadzenie promu przypadło właśnie jemu, a miał zamiar tego dokonać za pomocą mikrofalowego połączenia umysłowego, stąd też jeśli były jakieś usterki w kanałach komunikacyjnych, wołał się o tym dowiedzieć teraz. Prowadzenie jednostek latających na odległość było trudnym wyzwaniem, nawet gdy nie było problemów ze sprzętem. Nakamoto pocieszał się, że na tak niskiej orbicie opóźnienie wywołane ruchem z prędkością światła nie będzie

zauważalne, ale i tak nigdy nie sterował promem zdalnie za pomocą umysłu i obawiał się, że jego odruchy będą zbyt wolne.

Nanofaby zbudowały „Platformę Badawczą J-5”, która była po prostu tratwą umieszczoną na aluminiowych pontonach. Zadaniem promu było opuszczenie jej do wody w chwili, gdy będzie przelatywał nad powierzchnią morza. Na platformie zamontowano sensory mierzące strukturę górnych warstw morza oraz „bombę” – ciężką, wyposażoną w wiele instrumentów sondę, która miała przeprowadzić analizę niższych warstw i przesłać odczyt do odbiornika na tratwie.

Na użytek czworga widzów zarówno na tratwie, jak i na bombie znalazły się również kamery, które miały przekazywać obraz na monitory w pokoju komunikacyjnym.

– Ruszaj, gdy będziesz gotowy, George – rzekł Norm.

Ten pokiwał głową, nie unosząc wzroku.

– Jeszcze chwila – mruknął i skończył sprawdzanie zapasowych kanałów komunikacyjnych, a potem założył hełm z telemonitorem. – Dobra. Działamy.

Oddychał głęboko, powoli, doprowadzając umysł do stanu, w którym rzeczywistość wirtualna wydaje się naturalnym otoczeniem.

Spokój, harmonia, jedność...

Wyobraził sobie, jak patrzy przez przednią szybę promu i w okamgnieniu ekran pokazał tenże właśnie obraz. George ujął przepustnicę i ster wysokości, odpalił silnik i prom odbił od statku.

Lot ku planecie nie przysporzył mu szczególnych trudności. Nakamoto nie był przyzwyczajony do latania w tak gęstej atmosferze, więc musiał zwolnić, lecz nie stanowiło to żadnego poważnego problemu. Prom miał mnóstwo paliwa i z tego, co

George mógł dostrzec, Norm nie przesadził w ocenie wytrzymałości poszycia. W godzinę prom znalazł się nad powierzchnią, a wszystkie systemy nadal działały idealnie.

– Wypuścić balon – rozkazał, a połączenie umysłowe natychmiast przekształciło życzenie w komendę.

Z górnego luku załadunkowego promu wysunął się przystosowany do dźwigania ciężarów balon, który natychmiast zaczął napełniać się helem. George powoli redukowałam przepustnicę, aż po kilku minutach wyłączył silnik. Prom wisiał w powietrzu, utrzymywany przez balon.

– Wypuścić tratwę – powiedział i przełączył wizję na kamerę umieszczoną pod promem.

Platforma badawcza opadła jakieś sześć metrów i łagodnie plusnęła o taflę wody, by po chwili przesunąć się po grzbiecie fali. Monitory ożyły. George znów przełączył wizję, tym razem na główną kamerę tratwy, i obraz zaczął rosnać i opadać. Dzięki połączeniu umysłowemu napłynęło tyle danych, że czuł się nieomal, jakby tam był. Pejzaż bardzo przypominał Ziemię – łagodne fale, sunące ku odległemu horyzontowi, tu i ówdzie połyskujące plamkami słonecznego blasku. Interkom przekazał cichy, syczący dźwięk – być może był to któryś z instrumentów, być może po prostu szum morza.

George jednakże nie miał czasu na podziwianie widoków. Uruchomił programy sterujące analizatorami.

Na monitorze pojawiły się tabele i kolumny cyfr. Skład atmosfery: 67% O₂, 31% CO₂, 1,5% N₂, śladowe ilości gazów szlachetnych, para wodna, tlenki azotu, ozon... Liczby przemykały jedna po drugiej, w ogromnym tempie uzupełniane przez sensory na tratwie. Ktoś gwizdnął powoli, gdy pojawiła się wartość ciśnienia atmosferycznego: 5,2 atmosfery, dokładnie

tyle, ile wyliczyła Mary.

Na innym monitorze pojawiły się kolejne dane: skład wody morskiej, zawartość rozpuszczonych gazów w wodzie, pH... Na widok tej wartości ktoś znów gwizdnął. Ocean był kwaśny jak soki żołądkowe.

Odczyty atmosferyczne wskazywały na obecność wodoru. Wodór? W tej atmosferze? Zdumiony George raz jeszcze spojrzął na skład powietrza. Na skraju świadomości odkrył jakąś niepokojącą, niewyraźną jeszcze myśl. Kwasota, tlen, aluminium...

Próbował przypomnieć sobie podstawy chemii. Kanałem komunikacyjnym rozmyślania pomknęły do komputera, a ten natychmiast przedstawił Nakamoto informacje z głównej bazy danych. Reakcja jonów wodoru i metali w roztworach kwasowych: uwalnia jony metalu oraz lotny wodór. Dobry Boże! Tratwa właśnie rozpuszczała się w tym kwaśnym morzu!

– Szybko! Wypuścić bombę! – nakazał George komputerowi, ale w tej samej chwili obraz zakołysał się gwałtownie, a połowa monitorów aż zawirowała. Interkom wypełniły trzaski. Wzdłuż burty tratwy buchnął ogień, a połączenie osłabło. Nakamoto spojrzął na ekrany – trzy śnieżyły i syczały. Pozostałe pokazywały jeszcze większy chaos – obraz miotał się dziko, to pokazywało się niebo, to horyzont, to woda, a pod jej powierzchnią ciemne kształty, szybkie i niemożliwe do rozpoznania w nikłym świetle, przemykały w polu widzenia kamery. Ekrany gasły jeden po drugim.

Ostatni z nich pokazał paszczę wypełnioną rzędami ogromnych kłów. Zbliżyła się, otworzyła... I monitor zgasł.

Połączenie umysłowe przekazało emocje wszystkich uczestników.

– Co to, u...

– A nie mówiłam?

– Chryste, co to było?

George otrząsnął się z oszołomienia i powrócił do teleprojekcji, przełączając wizję na kamery umieszczone w przedniej części promu.

Na powierzchni morza rozgrywała się niezwykła scena. Ze zgrozą patrzył na płonące strzępy tratwy podrygujące wśród fal niczym krople na rozgrzanej patelni. Niektóre fragmenty promu eksplodowały, gdy wodór wchodził w reakcję z tlenem. Tajemnicze kształty rodem z najgorszych koszmarów chwytają, rozszarpywały i przełykały kawałki metalu, najwyraźniej drwiąc sobie z tego, że w świecie ludzi był niejadalny.

Gdy szalona uczta dobiegła końca, George mruknął: – Wynoszę się stamtąd.

Z tymi słowy skupił się na panelu kontrolnym.

– Zaczynj odprowadzać H_2 i uruchom antyprotony, wystarczająco duży ciąg, by utrzymał cię w powietrzu, gdy balon będzie...

Oślepiający błysk. Monitory promu nagle zgasły, a wraz z nimi strumień telemetryczny.

Oszołomiony po raz drugi, George przez chwilę nawet nie drgnął. Jego umysł był równie pusty jak rząd wyłączonych ekranów. Nagle zerwał z głowy hełm komunikacyjny i warknął: – Co to, do cholery, było?

– Prom eksplodował – odpowiedziała Mary, najwyraźniej zadowolona z siebie.

George po prostu opuścił głowę i ukrył ją w dłoniach. Gruboskórna suka. Nakamoto czuł, jakby coś w nim właśnie umarło, a ona potrafiła jedynie chełpić się, że miała rację. Zmusił

się do powolnych, głębokich oddechów, by odzyskać równowagę wewnętrzną i odpędzić dezorientację.

– Uzyskałeś dane z bomby, zanim tratwa wyleciała w powietrze? – zapytał Norm.

– Nie.

Bomba albo nigdy nie opuściła tratwy, albo zrobiła to, ale owe istoty w wodzie natychmiast ją pożarły. Zresztą to nie miało żadnego znaczenia. Żadnego znaczenia...

– A uzyskaliście coś przed eksplozją promu? – nalegał Norm. – Wiemy, dlaczego wybuchł?

George uniósł wreszcie spojrzenie. Norm stał nad nim z zaciśniętymi pięściami, niczym inkwizytor. Za jego plecami Mary szczyrzyła zęby. Obok monitorów Ivan wprowadzał instrukcje na klawiaturze, nie zawracając sobie głowy połączeniem umysłowym.

– Zapewne doszło do przecieku wodoru – powiedział Ivan, gdy monitory zaczęły gasnąć.

Norm zwrócił się ku niemu, a George odetchnął z ulgą.

– Wyciekło go ze zbiornika tyle, że w promie doszło do wybuchowej reakcji chemicznej, a ta uwolniła antymaterię – ciągnął Ivan i zaśmiał się ponuro. – Tyle dobrze, że eksplozja rozwalila potwory, które zniszczyły tratwę.

– Ha! – parsknął Norm. – A co z kwasowością? Skąd ona się wzięła?

Ani Ivan, ani George nie mieli pojęcia. Mary zaś założyła opaskę połączenia umysłowego i zamknęła oczy. W chwilę później otworzyła je i prychnęła: – To oczywiste. Lub przynajmniej powinno być oczywiste. To utlenianie... Wszystkie niemetaliczne tlenki, które się rozpuszczają... Siarka, azot, cokolwiek zresztą... Wszystkie one tworzą kwasy. Stąd mamy kwasowy ocean.

Spojrzała krzywo na Norma.

– Kosmos zawsze kryje asy w rękawie dla tych, którzy pchają się na ślepo w coś, czego nie rozumieją.

– Skoro to było takie oczywiste, Mary, to dlaczego wcześniej na to nie wpadłaś? – odciął się Norm. – Przecież miałaś zająć się analizą warunków na powierzchni.

Wpatrywała się w niego, szukając słów. Wszyscy zresztą znali odpowiedź, połączenie umysłowe i sprzęgnięty z nim komputer były w stanie odpowiedzieć na każde wymyślone pytanie, ale pytanie trzeba było zadać samemu. Połączenie nie było bowiem sztuczną inteligencją i nie przejawiało inicjatywy.

Norm odwrócił spojrzenie.

– No i życiem. Skąd się tam wzięło życie? Ten świat był przecież bryłą lodu, gdy tutejsze słońce zaczęło przeobrażać się w czerwonego giganta, a to mogło się w najlepszym razie wydarzyć kilkaset milionów lat temu. Ta planeta po prostu nie miała czasu, żeby rozwinąć życie!

– Ale przecież wiedzieliśmy, że musi tu istnieć jakieś życie, skoro są tu takie ilości dwutlenku węgla – rzekł Ivan.

– No dobra, to mikroby. Mikroby, a nie potwory. Skąd tu się wzięło życie wielokomórkowe?

– Planeta najbliższa tutejszemu słońcu jest rozmiarów Ziemi – wzruszył ramionami Ivan. – Ta gwiazda zaś, zanim przemieniła się w czerwonego giganta, była rozmiarów Słońca. Może ów lodowy świat został już wcześniej zapłodniony?

George poczuł, jak po jego kręgosłupie spływa zimny dreszcz. Wyprostował się zaskoczony do granic.

– Masz na myśli loty kosmiczne? Sądzisz, że jakaś kultura rozwinęła technikę lotów w kosmos i zostawiła tutaj te... monstra?

Ivan znów wzruszył ramionami.

– Cóż, sądzę, że nie jest to wykluczone, ale miałem raczej na myśli zarodniki ze świata przypominającego Ziemię. Bakterie, grzyby, obojętnie co, ale coś, co przyspieszyłoby proces ewolucji, po tym jak lody pokrywające ów świat stopniały. Takie przypadki miały już miejsce. W Systemie Ojczystym znajdowano zarodniki z Ziemi na lodowych księżycach planet zewnętrznych.

– Tak, przypominam sobie – powiedziała zamyślona Mary. – Była z tego wielka sensacja, bo przez moment wydawało się, że znaleźliśmy formy życia pozaziemskiego.

– Przecież to nie ma znaczenia – rzekł niecierpliwie Norm. – Życie pozaziemskie zostało odnalezione tu i teraz. Pytanie brzmi jednak inaczej: co teraz?

– Teraz to przejdziemy do historii – zaśmiał się Ivan. – O ile uda nam się przeżyć odpowiednio długo, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Tak dzień po dniu i dzień po dniu

Nasz statek stał bez zmiany,

Tak jakby malowany bryg

Na morzu malowanym.

Norm zaczynał nienawidzić pokoju konferencyjnego niemal tak bardzo, jak nienawidził zasiadających w nim ludzi. Musiał się tam z nimi łączyć, musiał ignorować ich wrogość, pesymizm i słabość, jednocześnie wykorzystać intelekt całej grupy, by odnaleźć rozwiązanie dręczącego ich problemu. Z każdego takiego spotkania wracał zbrukany i żadne ilości wody nie mogły spłukać tego wrażenia.

Nie widział jednak alternatywy. Cztery umysły – nawet jeśli sytuacja przerastała trzy z nich – podczas burzy mózgów były

lepsze niż jeden. Uruchomił połączenie i powiedział: – Dobra, zaczynamy. Musimy obmyślić sposób na wciągnięcie kilku milionów litrów skondensowanego kwasu na wysokość kilkuset kilometrów przez mieszanę tlenową o zagęszczonej strukturze. Jak sami dobrze wiecie, promy nam w niczym nie pomogą. Co powiecie o windzie orbitalnej?

– To przecież czysty węgiel – rzekła Mary. – Węgiel się pali.

– To włókna diamentu. Czysty C₁₂ – odparł Norm, siląc się na spokój. – Diament płonie w bardzo wysokiej temperaturze, niech no sprawdzę... Ponad sześćset stopni. Jeśli zejdziemy ostrożnie, nie powinien stanąć w ogniu.

– Musielibyśmy schodzić na prędkości poddźwiękowej – pokręcił głową George.

– Tak, musielibyśmy. To dla ciebie jakiś problem?

– Dam sobie radę – poczerwieniał George. – Nie rozwiązuje to jednak kwestii pobrania wody. Windy eksplodują jak prom.

– A niby czemu? Są napędzane elektrycznością, a nie wodorem.

– Ale zbudowane z aluminium. Gdy tylko dotkną kwasu, dookoła pojawi się mnóstwo wodoru, zacznie się reakcja z tlenem, temperatura się błyskawicznie podniesie i winda orbitalna zacznie się palić.

– To zrobmy ją z czegoś innego – powiedział Norm. – Z żelaza?

– Żelazo się utlenia! – przerwał mu Ivan. – A poza tym zaprogramowanie zmian byłoby nie lada wyzwaniem. Atomy żelaza i aluminium są dla nanofabów jak pomarańcza i jabłko.

– Z kadłubem statku ci się udało – zwrócił mu uwagę Norm.

– Tak, ale załatanie dziury jest o wiele łatwiejsze niż zbudowanie windy.

– No dobra – rzekł Norm. – Może nie jesteśmy w stanie

zbudować windy odpornej na tlen i kwas. A pompa? Uda nam się wpompować wodę tak wysoko?

– Na trzydzieści trzy tysiące kilometrów? – parsknęła Mary. – Zdajesz sobie sprawę, jakie ciśnienie musielibyśmy uzyskać na dole?

– Możemy wykorzystać perypompy – rzekł Ivan. – Perypompa działa na podobnej zasadzie jak jelita, ścieśniając ładunek i przesuwając go falami ruchów robaczkowych. To ruch z segmentu do segmentu, osobny, więc ciśnienie nie rośnie.

– To mogłoby trwać całe lata.

– Nie, raczej kilka miesięcy – rzekł George. – Pompa przemysłowa wykonałaby to zadanie w jakieś... W jakieś siedemdziesiąt dni.

Norm nabrał głęboko tchu.

– Musimy tylko umieścić pompę nad atmosferą. Atmosfera ma sześćset kilometrów, a to oznacza... – zczekał na wynik. – To oznacza około trzydziestu godzin, nim woda dotrze na górę. Wystarczy napełnić nią ruchome kontenery i przekazać do windy orbitalnej.

– Trzydzieści godzin, zanim dostaniemy pierwszy litr – powiedziała Mary. – A potem trzeba będzie wpompować jeszcze kolejny milion.

– Prawie. Gdy pierwszy litr dotrze na górę, kolejny milion litrów już będzie znajdował się w węźle – wyjaśnił Norm. – Jeśli zechcemy pobrać dwa miliony, przedłużymy pompowanie o trzydzieści godzin, a potem wyciągniemy wąż poza atmosferę i w spokoju wciągniemy resztę wody.

– Tak, to może się udać – powiedział George.

– O ile pompa wcześniej nie spłonie lub nie skoroduje – rzekł Ivan.

Norm przywołał myślą parametry techniczne.

– Mamy schemat budowy pompy kwasowej. Da radę?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Ivan wzruszył ramionami.

Mary, która do tej pory siedziała zamyślona, nagle podniosła się i pokręciła głową.

– Wolnego, Ivan. Zerknij sobie na parametry materiałów, z których wykonano perypompe. Zrobiono ją z włókien diamentowych, podobnie jak windę orbitalną. Pompa spali się jak winda. Co gorsza, w skład pompy wchodzi też substancje organiczne, jak choćby włókna ściągające i tym podobne, a te spalą się jeszcze szybciej. Chłopaki, nie zapominajcie, że tam na dole nie ma powietrza. Tam jest czysty tlen!

Znów na chwilę zapadła cisza, a potem odezwał się Norm: – Cholera, dość już mam słuchania o tym, czego nie możemy! Zajmijmy się lepiej tym, co możemy zrobić! Masz jakieś lepsze pomysły? – zwrócił się bezpośrednio do Mary.

– Tak. Możemy zbudować niepalną perypompe.

– Nie żartuj. Nie jesteśmy w stanie zbudować nanoschematu od podstaw! – Norm wywrócił oczami z rozdrażnieniem.

– A z czego, twoim zdaniem, moglibyśmy ją wykonać, Mary? – spytał cicho George.

– Z ceramiki. Z tlenków lub krzemianów, które są całkowicie utlenione. W rzeczy samej – przerwała na moment – najlepiej sprawdziłby się stary, dobry dwutlenek krzemu. Wąż ma mieć długość sześciuset kilometrów, a krzemionka, o ile zostanie całkowicie związana, wytrzyma takie obciążenie.

Ivan pokręcił głową.

– A niby skąd chcesz wytrzasnąć dwieście ton krzemionki? Nie jesteśmy w stanie odbyć wyprawy na którąś z wewnętrznych

planet, nawet gdyby nasz statek mógł podejść tak blisko gwiazdy, w co szczerze wątpię.

– Mamy wystarczająco dużo krzemianu w masie osłonowej. Sprawdziłam.

– W masie osłonowej? – zapytał z niedowierzaniem Norm.

– Otóż to. Poszycie składa się niemal wyłącznie z ceramiki, a na razie właściwie jej nie potrzebujemy. Potrzebna będzie, dopiero gdy rozwiniemy prędkość międzygwiazdową.

– Czyli chcesz, żebyśmy zużyli osłony, żeby od zera zaprojektować całkowicie nową perypompę z całkowicie nowych materiałów? – Norm krzyczał bez opanowania.

– Nie zużyjemy jej! – wrzasnęła w odpowiedzi Mary. – Odzyskamy ją po pobraniu wody! Bo z twoim węzłem z C₋₁₂ nie osiągniemy nic! Spali się w tej atmosferze!

Ivan nieco ciszej wskazał kolejną przeszkodę.

– Sam węzł nie wystarczy, Mary. Będziemy musieli przeprowadzić w nim kable zasilania i włókna ściągające. Nie będzie to łatwe, bo krzemiany są izolatorami. Co więcej, są kruche.

– Tak, to będzie trudne – przyznała. – Za trudne dla ciebie?

Twarz Ivana stężała, ale nie odezwał się ani słowem.

Norm uspokoił się na tyle, by odpowiedzieć: – Słuchajcie, to nie debata, a burza mózgów. Zachowajmy ten pomysł i myślmymy dalej. Co jeszcze możemy zrobić?

Nikt nie odezwał się przez minutę. Mary ponownie weszła w połączenie umysłowe i pogrążyła się w rozmyślaniach, aż wreszcie stwierdziła: – Dobra, mam jeszcze jeden pomysł. Możemy wysadzić planetę.

– Co?

– Właśnie sprawdziłam obliczenia. Seria bomb z antimaterii

puszczona w wodę powinna teoretycznie wyrzucić wielką jej ilość w kosmos. Jeśli odpowiednio rozmieścimy ładunki, część wyrzuconej wody dotrze tu jeszcze w stanie ciekłym. Oczywiście fala uderzeniowa rozejdzie się po całej planecie, niszcząc na niej wszelkie formy życia, ale...

George otworzył szeroko oczy.

– Chciałabyś zniszczyć cały świat, żeby nas ocalić?

– Oczywiście, że nie. Powiedziałam tylko, że to możliwe. Ale nie powiedziałam, że powinniśmy to zrobić. To miała być burza mózgów, nie?

– I tak też jest – rzekł Norm, nawet nie próbując ukryć obrzydzenia. – Ale poradzimy sobie bez takich rozwiązań.

– Tylko wypełniam rozkazy, Norm. Chciałeś wiedzieć, co znajduje się w naszym zasięgu, więc powiedziałam ci wszystko, co przyszło mi do głowy. Nie mam żadnych innych pomysłów.

Z tymi słowy zaczęła ściągać kable z głowy.

– Ani się waż! – ryknął Norm. – Siedź tu! Potrzebujemy pomysłów! Realistycznych, wykonalnych pomysłów, a ty będziesz tu siedzieć i pomożesz nam je opracować. Wszyscy będziecie tu siedzieć, póki czegoś nie wymyślimy.

Wbijał spojrzenie w każdego z zebranych po kolei, próbując ich sprowokować, by stawili mu czoła. Niebieskooka Mary bez trudu zniosła jego wzrok, ale nie odezwała się ani słowem. Ivan wpatrywał się w blat. George, który siedział z głową przechyloną lekko w bok, emanował rozbawieniem.

– Dobra, wypróbujmy tę pompę z włókien diamentowych – powiedział w końcu Ivan. – Myślę, że warto zaryzykować.

Mary już chciała się odezwać, ale George wszedł jej w słowo: – Posłuchaj, jeśli rzeczywiście spłonie, to wykorzystamy twój pomysł, dobra? Wykonanie tego, co wymyśliłaś, zabierze nam

sporo czasu, a może nawet nie zadziałać. Jeśli uda się wykorzystać pompę Norma, nie będziemy w ogóle musieli się za to brać.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Jeśli pompa z włókien diamentowych spłonie, stracimy mnóstwo czasu i materiałów. Co więcej, windę orbitalną można wypuścić tylko raz. Wystarczająco trudno będzie ją wciągnąć z powrotem na statek, gdy zaczniemy zbierać się do odlotu. O utracie masy reakcyjnej nawet nie wspomnę. Słuchajcie, przecież winda nie ma kotwicy, która trzymałaby ją w miejscu. Jesteśmy na orbicie, czeka nas hamowanie, bo musimy się zatrzymać, żeby opuścić wąż pompy, a potem rozpędzić, żeby go zabrać. Skąd weźmiemy masę reakcyjną, żeby przeprowadzić tę operację dwukrotnie?

Ivan pokręcił głową.

– Mary, przecież nie musimy wciągać windy orbitalnej, żeby podłączyć nowy wąż. Po to właśnie mamy ruchome kontenery. George ma rację, nic nie tracimy, jeżeli zdecydujemy się w pierwszej kolejności na prostsze rozwiązanie.

– Owszem, tracimy – powiedziała Mary z rozdrażnieniem. – Jeśli odłożymy mój plan na później, szansa na to, że coś pójdzie nie tak, gdy się w końcu za niego zabierzemy, jest o wiele większa. Co więcej, będziemy wówczas pod presją czasu.

Ivan chciał się wtrącić, ale Mary ciągnęła: – A tak na marginesie, z tą pompą spalimy niemal całą naszą rezerwę C₋₁₂.

Norm wychylił się do przodu z gniewnym grymasem, ale wtedy znów wtrącił się George.

– Mary, jesteś całkowicie pewna? – zapytał cicho.

Kobieta ściągnęła kable z czoła i walnęła nimi o stół.

– Tak, jestem pewna. Jak mi nie wierzycie, każdy może sobie

sprawdzić dane w bazie statku.

– Jasne – rzekł Norm – ale każdy może dojść do odmiennych wniosków. Ja też głosuję za pompą z włókien diamentowych.

Ivan już się wypowiedział, więc spojrzenia wszystkich utkwily w George'u, który zwilżył wargi i powiedział: – Zgadzam się. Ale jeśli nie zadziała, sądzę, że powinniśmy wypróbować pomysł Mary.

I nawet nasz rozjemca stoi po jego stronie, pomyślała Mary wściekle. Czy ten człowiek w ogóle ma własne zdanie?

– Myślę, że to ryzyko nie do przyjęcia – stwierdziła. – I chcę, żeby moje zdanie zostało odnotowane.

Wiedziała, co sobie o niej myślą. Wiedziała, że nie uważają jej za członka zespołu, tylko narwaną indywidualistkę i że nie powinna doprowadzać do osobistych utarczek. Cóż, niech myślą, co chcą. Mary nie kiwnie palcem, by pomóc w realizacji tej idiotycznej decyzji, tym bardziej że Norm aż spuchłby wówczas z dumy. Chcieli, by w imię zespołowej solidarności poparła decyzję, chociaż nie było żadnej komisji śledczej, która patrzyłaby załodze na ręce. Tak czy owak, nie ma mowy, żeby Mary przyłożyła się do tego kretynstwa.

*W południe – niebo jak miedź,
A słońce żary krzesząc,
Nad samym masztem stało wprost,
Nie większe niżli miesiąc.*

Statek *Cabeza de Vaca* sunął na orbicie Teresy, gdyż wedle dekretu kapitana taką właśnie nazwę oficjalnie nosiła teraz planeta. Tak oto wyglądała Idealna Kobieta Norma, myślała Mary. Piękna, uległa, taktowna na tyle, by udawać głupią, nawet gdy nią nie jest...

Wiedziała, że nie wypada mieć żalu do zmarłej za sposób, w jaki uczczono jej pamięć, ale irytował ją brak subtelności Norma. Gdy nie było go w pobliżu, wszyscy nadal nazywali planetę Wodnym Światem. Mary celowo czyniła to nawet w obecności Gomeza. Po tym, co ostatnio wymyślił, miała ogromną ochotę powiedzieć mu kilka o wiele gorszych rzeczy, ale robiła tak już w przeszłości i niewiele pomagało.

Na monitorze za jej plecami winda orbitalna wysunęła się z hangaru towarowego i pomknęła ku planecie, zniknąwszy z oczu na długo, zanim do niej dotarła. Właściwie to wysłali dwie windy – jedna miała posyłać kontenery w górę, druga w dół. Podwójny szereg wyglądał, jakby wcale się nie poruszał, i nie było to błędne wrażenie, gdyż George zredukował prędkość z początkowego tysiąca kilometrów na godzinę do około trzystu, gdy element odpowiedzialny za pompę wszedł w górne partie atmosfery. Kamery umieszczone na ostatnich kilkuset kilometrach węża ukazywały zbiornik na jej końcu oraz cienką perypompę, kierującą się ku morzu pod ciężkimi chmurami.

– Jaka jest temperatura na końcu węża? – zapytał Norm.

– Opada z wolna, właśnie minęła minus czterdzieści – rzekł George, nie unosząc wzroku. – Tylko jakieś dwadzieścia stopni powyżej temperatury na tej wysokości. Wszystko w porządku.

– Dobrze.

Przyglądali się w ciszy, jak wąż opada. Trwało to całe wieki, ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, by odejść lub choćby odwrócić się od ekranów, nie teraz, gdy ich przyszłość dosłownie wisiała na włosku. Mary odniosła wrażenie, że minęło ledwie kilka minut, gdy George powiedział: – Zwalniam. Dziesięć kilometrów. Temperatura plus trzydzieści.

– Co to za chmura? – Mary wskazała jeden z monitorów, na

którym widniał puchaty, żółtawy obłok unoszący się nad falami oceanu, niemal tuż pod węzem.

– Wydaje mi się, że ją miniemy – powiedział George.

– A jeśli nie?

– Mniejsza o to.

– Pewien jesteś? Błyskawica...

– Przecież to oczywiste, że to nie chmura burzowa! – powiedział Norm. – Za mała!

– Hmm... – Mary doszła do wniosku, że ogarnia ją paranoja. W rzeczy samej, to była bardzo niewielka chmura, a poza tym wąż najeżony był statycznymi metalowymi prętami, przez co stawał się gigantycznym piorunochronem.

Wszystko wskazywało na to, że wąż i tak minie chmurę. W miarę jak jego koniec zbliżał się do tafli wody, George podawał zmieniającą się wysokość. Kilka ostatnich kilometrów przewód przebył irytująco powoli. George z kilometrów przeszedł na metry.

– Trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć...

Wąż piorunochronu kołyszący się przy samym końcu węża plusnął w wodę, a w sekundę później dołączyła do niego pompa.

– W celu! – oznajmił z tryumfem Norm, zagłuszając spokojny głos George'a. – *Splashdown!*

George nabrał głęboko tchu i polecił: – Rozpocząć pracę pompy.

Widzieli kilwater za węzem. Pozostająca na orbicie pompa nie była idealnie nieruchoma w odniesieniu do powierzchni, ale nie miało to większego znaczenia. Dopóki koniec przewodu był zanurzony w wodzie, dopóty pompa mogła ssać cenny surowiec.

O ile to, co pożarło tratwę, nie dobiere się również i do pompy. Włókna C₋₁₂ są wytrzymałe, ale owe podwodne bestie

robiły wrażenie potwornie silnych.

Widzieli, jak koniec pompy zaczął wybrzuszać się i falować. George, Norm i Ivan wydali okrzyk radości, ale Mary milczała. Wpatrywała się w wodę, poszukując źródła ruchu. Przez długą chwilę niczego nie widziała, aż tu znikąd pojawił się cień z potwornie ostrymi kłami i ruszył prosto na kamerę. Mary odskoczyła z krzykiem, a monitor zgasł.

– Co się stało? – zapytał Norm.

– Zaatakowały nas – rzekł spokojnie George. – Jeden z nich zeżarł kamerę, ale pompa działa. Nadal... Cholera!

– Co?

– Pompa zablokowana. Nie wiem, co się do niej dostało, ale chyba to wciągnęliśmy.

– Odwróć siłę ciągu – rozkazał Norm.

– Odwracam. To powinno... Co się dzieje, do jasnej...

Mary przyglądała się scenie z kamery umieszczonej wyżej na wężu. Z przerażeniem patrzyła na powierzchnię wody, gdzie kotłowało się od istot przypominających rekiny. Nagle z głębin wydobył się inny kształt – wyglądał jak piłka plażowa z szerokimi, płaskimi płetwami, którymi wymachiwał w przód i w tył. Niby-rekiny umykały, jakby owa przedziwna istota była o wiele groźniejsza od nich, a gdy dotarła do pompy, Mary zrozumiała, dlaczego tak się działo. Z ciała bestii wypłynęła bowiem owa elektryczna chmura, którą kobieta wskazała niedawno reszcie, a zaraz potem monitor rozbłysnął i zgasł. Mary spojrzała na inny, pokazujący sytuację z wysokości kilku kilometrów. Minęło trochę czasu, nim pojawił się obraz – w dole węża połyskiwał niezwykle jasny punkt, z tej odległości trudny do zdefiniowania.

Mary jednak rozpoznała go od razu. Kiedyś w szkole

przeprowadziła eksperyment naukowy, którego pierwszą fazą było zbudowanie staromodnej lampy z żarówką, podobnej do tej, którą skonstruował Edison całe wieki temu. Przypadkowo stłukła żarówkę i drucik żarowy przez sekundę w zetknięciu z powietrzem rozjarzył się do białości, a potem zgasł. To, czemu się przyglądała Mary, niewiele się od tego wspomnienia różniło. Wzdłuż węża mknął ogień, a diamentowe włókna jarzyły się białym płomieniem. Potem blask zniknął gwałtownie, pozostawiając po sobie jedynie smużki dymu.

Ogień mknął ku kamerze – Mary mimowolnie wykonała unik, a gdy znów uniosła wzrok, ekran śnieżył.

Ocalało jedynie kilka kamer, te umieszczone co pięćdziesiąt kilometrów i jedna we wnętrzu nadal suchego zbiornika wody. Czwooro członków załogi przyglądało się, jak prące ku górze płomienie pożerają kamerę za kamerą, aż wypaliły się w rozrzedzonym powietrzu gdzieś powyżej dwieście pięćdziesiątego kilometra.

Mary odwróciła się do Norma. On też już na nią patrzył, ze wszystkich sił próbując opanować wzbierającą w nim furję. George i Ivan kulili się, jakby spodziewali się, że kobieta wybuchnie – w sensie fizycznym, nie metaforycznym.

Widok był jednak tak zabawny, że zamiast eksplodować, Mary roześmiała się w głos.

– Boże, spójrzcie tylko na siebie! – powiedziała, odzyskawszy oddech. – Jesteście żałośni! Wszyscy jesteście żałośni – dodała wspaniałomyślnie. – Jeden zawzięty kolonista idiota i orszak potakiwaczy. Dobra, chłopaki, wbijcie sobie to jedno do głów – kosmos ma w dupie kompromisy. Człowiek albo ma rację, albo się myli i nic tego nie zmieni, ani próby manipulacji, ani pobożne życzenia, ani nawet działanie zespołowe. Jeśli nie zaczniemy

poważnie traktować tego, co naprawdę się tam na dole znajduje, nie mamy szans na sukces.

Odwróciła się i wyszła z pomieszczenia, trzaskając drzwiami. Trzaśnięcie odbiło się echem po naprawionym pokładzie i gdy vibracje ustały, trzech mężczyzn zerknęło po sobie z zakłopotaniem.

– Dobra – powiedział w końcu Ivan. – To co teraz?

Podczas tyrady Mary twarz Norma poczerwieniała niebezpiecznie, lecz teraz mężczyzna opadł bezwładnie na fotel, jakby nagle opuściły go siły, i wbił spojrzenie w ścianę.

– W porządku – odezwał się po dłuższej chwili. – Zbudujemy ten cholerny niepalny wąż, o ile będziemy w stanie – urwał na moment, po czym dodał: – Mary wie wszystko. Lub udaje, że wie. Niech się tym zajmie. Ja umyvam ręce.

Ivan spojrział raz jeszcze na monitor trójwymiarowy. Żłobkowane rzędy wielokolorowych kulek układały się w skomplikowany, powtarzalny wzór. Zmarszczył lekko brwi i w myślach rzucił komendę. Krystaliczny wzór na ekranie zmienił się tak płynnie i tak gwałtownie, że różnica w nowej konfiguracji była ledwie zauważalna, lecz Ivan nie miał już czasu przyjrzeć się, czy schemat jest prawidłowy. Był teraz zajęty obliczaniem parametrów takich, jak siła, lekkość, elastyczność, wytrzymałość i co najważniejsze – odporność na tlen. Rzecz jasna, o krzemowy szkielet obawiać się nie musiał – w końcu i tak był w pełni natleniony – ale czy należycie ochroni włókna organiczne dodane do jego konstrukcji?

– Jak idzie? – usłyszał niespodziewanie za plecami. Aż podskoczył, ale nauczony długotrwałym doświadczeniem najpierw zapisał projekt, a dopiero potem się odwrócił. Za jego fotelem stała Mary z rękami założonymi na piersi.

– W porządku – odparł. – Ale byłoby fajnie, gdybyś pukała przed wejściem.

Mary spojrzała na monitor.

– Jaki kod zastosowałeś? – zapytała, wskazując kolorowe kuleczki.

– Te białe to cząsteczki tlenu – odparł z westchnieniem Ivan, odwracając się ponownie do monitora. – Są połączone z krzemem czterema wiązaniami, zresztą widzisz te romby tlenu. Krzemu nie widać, bo jest na wierzchołkach, którymi stykają się te czworoboki, czyli w środku siatki. Cała struktura to właściwie związek polimeryczny.

– Czyli kwarc? – zapytała Mary.

– Nie, raczej krystobalit. Potrzebujemy bardziej otwartej struktury, żeby przeprowadzić w węzlu nadprzewodniki oraz włókna ściągające. Czarne fragmenty to węgiel, a czerwone azot – ciągnął, wskazując skomplikowany wzór biegnący wśród białych rombów modelu strukturalnego krzemionki.

– Cholera, przecież to nie zadziała! – zawołała Mary z przejęciem. – Struktura jest zbyt luźna! Tlen przedostanie się do środka i spali substancje organiczne!

Ivan stężał. Poczuł, jak zalewa go fala irytacji, i przez krótką chwilę pomyślał z sympatią o Normie.

– Nie, Mary – powiedział powoli, usiłując narzucić sobie spokój. – Przeprowadziłem już symulacje. Luki są zbyt wąskie, żeby molekuly O_2 mogły się przez nie prześliznąć, nie ma mowy, żeby się przebiły przez strukturę. Masz ochotę się temu przyjrzeć?

Nie czekając na odpowiedź, sformułował w myślach polecenie i puścił je przez połączenie umysłowe. Obraz na monitorze zmienił się i skomplikowana struktura kryształu znikła niemalże

całkowicie, przesłonięta przez rój poruszających się chaotycznie podwójnych cząsteczek przypominających hantle.

– Symulowałem całe dni naporu tlenu, Mary, całe dni! Nic się nie stało! Słuchaj, do cholery, ja naprawdę wiem, co robię! – dodał, choć wiedział, że będzie tego żałował.

– Mam nadzieję. – Mary przyglądała się jeszcze przez moment, a potem wyszła bez słowa.

Niespodziewanie Ivan uświadomił sobie, że się trzęsie. Przestraszony własną reakcją, próbował narzucić sobie spokój, harmonię, zrozumienie, wszystkie te rzeczy, o których bez przerwy gadał George. Nic nie zadziało.

Poczuł, że spokoju nie zazna, dopóki zadanie nie zostanie wykonane, choć i co do tego nie miał pewności.

George znów zasiadł przed konsolą wirtualnej rzeczywistości. Ciało miał lepkie od potu i z nienawiścią spojrzął na hełm. Już czuł swędzenie czaszki. Miał jeszcze trochę czasu, więc odkładał założenie go najdłużej jak się dało.

Kamera na kadłubie windy orbitalnej ukazywała panoramę, Wodny Świat dręczył ich widokiem mórza i chmur. Nieświadomy obserwator mógł odnieść wrażenie, iż wystarczy się wychylić i zaczerpnąć wody. Planeta kusiała bliskością, a jednocześnie naigrawała się z ludzi, chroniona kwasami i ogniem niczym skarb w starych bajkach.

Ivan się przyglądał, to zerkając na George'a, to na monitory. Norm przypuszczalnie również patrzył na monitory w swojej kajucie. Od czasu niepowodzenia z węzłem z włókien diamentowych nie chciał przebywać w tym samym pomieszczeniu co Mary.

– Ruszaj, jak będziesz gotowy, George – w głosie kobiety pobrzmiwała uszczypliwość.

Jej słowa rozwiały jego zadumę. Od chwili gdy Norm zrzekł się dowództwa, Mary nawet nie usiłowała ukryć pogardy dla pozostałych dwóch członków zespołu. Najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, że podjęcie wcześniejszych decyzji nie było aż tak proste, jak uważała. Cóż, osądzi ich historia. Nakamoto usiłował okazać zrozumienie – Mary miała do tej pory rację, no i uderzyło jej do głowy – ale cóż...

– Wąż nie został jeszcze całkowicie wypuszczony – powiedział łagodnie. Nie po raz pierwszy porównał ją w myślach z Teresą. Teresa była rozjemczynią, bez trudu porozumiewała się z Mary, mimo że sypiała z Normem, była też sprawnym dowódcą. Potrafiłaby o wiele skuteczniej dowodzić grupą egotyków niż para niedoszłych autokratów, którzy ją zastępowali.

Lecz Teresa zginęła, a jeśli plan się nie powiedzie, cała ekspedycja również groziła śmierć. Nowy wąż krzemowy wysuwał się z windy, opuszczany przez transportery, przypominające teraz parę bagażowych dźwigających węża. Mary i Ivan zastosowali dwa urządzenia przenośne, by odpowiednio rozłożyć ciężar oraz by wąż nie strzelał niczym bicz. W miarę jak się opuszczał, a jego masa rosła, windę ściągało coraz bardziej w bok, przez co komputer nawigacyjny musiał zwiększać moc silników, by utrzymać konstrukcję w miejscu.

Większość zadań związanych ze sprowadzeniem węża nad powierzchnię mórz Wodnego Świata również miała przypaść komputerowi, ale George i tak czuwał przy konsoli na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń.

A jeden Bóg wiedział ile jeszcze takich mogło ich czekać.

Nakamoto usiadł i założył hełm, ciesząc się, że przynajmniej uwolni się od obecności Mary. Odkrył jednak, że skupienie się na połączeniu umysłowym zajmuje mu o wiele więcej czasu niż

zazwyczaj. W końcu skoncentrował uwagę na windzie, gdzie wisiała masa balastowa i gdzie zmierzał nowy wąż. Łańcuch windy zmniejszył obroty, gdy koniec węża zbliżył się do balastu, lecz w końcu najniższy transporter uwolnił ciężar. Przewód nowej perypompy z włókien krzemowych zakołysał się niczym zdumiona, zaniepokojona żmija. Niezgrabny pojemnik na jego końcu – zaimprovizowana klatka ceramiczna, której zadaniem było powstrzymanie wściekłych drapieżników – wyposażony był w silnik raketowy, przypominający nieco bulwiasty pysk.

No, pomyślał George. Pora na najciekawszą część.

Nawet nad górnymi warstwami atmosfery koniec węża nadal poruszał się z pewną prędkością, którą należało wytracić. Nie wystarczyło zejść na wysokość sześciuset kilometrów przez atmosferę, jedynie zmieniając nachylenie windy. Nakamoto nie miał też odwagi na hamowanie w powietrzu – mieli przecież do czynienia z nietestowanym, skonstruowanym na poczekaniu wynalazkiem. Nie, jedynym rozwiązaniem było wykorzystanie masy reakcyjnej, ponieważ wąż do atmosfery należało wprowadzić przy najmniejszej możliwej prędkości. Tym razem problemem nie było niebezpieczeństwo wybuchu pożaru, ale to, że krzem był o wiele słabszy od włókien diamentowych. Jeden nieprzemyślany ruch i George mógł urwać jakieś sto kilometrów cennego węża.

W praktyce oznaczało to, że nawet po wyliczeniu możliwie najbardziej oszczędnej trajektorii trzeba było poświęcić resztki zapasu wody. Dzięki raketowemu silnikowi na antimaterię ludzie nie potrzebowali jej wiele, ale zapas był bardzo skromny.

Dla George'a operacja przypominała lądowanie sześćsetkilometrowego elastycznego statku kosmicznego, i to w zwolnionym tempie. W miarę jak słońce zachodziło za

horyzontem obracającego się leniwie Wodnego Świata, kamery zainstalowane na węźu pokazywały identyczny widok – wąską jasną kreskę oddzielającą granicę mroku nocy. Raz na jakiś czas na tle owej czerni widać było jasne obłoki rozgrzanej pary, które natychmiast zamieniały się w kryształki lodu i odbijały ostatnie promienie słońca. Towarzyszyły one wybuchom masy reakcyjnej z silnika przy końcu węźa, wyhamowującego długie opadanie ku powierzchni planety.

George nie miał pojęcia, jak długo siedział, usiłując zachować czujność, ale nagły, ostry sygnał alarmowy natychmiast obudził w nim pełną gotowość. Instykt inżyniera nakazał mu odciąć dopływ wody do silnika, a potem szukać przyczyn problemu.

Mary, która drzemała przed monitorem, przebudziła się w jednej chwili, trudno powiedzieć, czy na skutek alarmu, czy przekleństwa George'a.

– Co ty wyrabiasz, George? Co się dzieje?

Nakamoto też się nad tym zastanawiał. Przyjrzał się każdemu ekranowi, próbując zidentyfikować przyczynę problemu, ale nie potrafił powstrzymać się od kwaśnego spostrzeżenia, że pierwsza uwaga Mary nie była szczególnie pomocna. Gdyby naprawdę wiedział, co się stało, czy zataiłby to dla siebie i zaczekał, aż padnie pytanie?

Jest! Czujniki pokazywały, że jeden z fragmentów węźa wykazuje nadmierne napięcie. Jeszcze trochę i pęknie!

Z bijącym mocno sercem George przystąpił do lokalizowania problemu. Życie wszystkich członków ekspedycji dosłownie zawisło na włosku. Jeśli ów nadwerężony fragment znajdował się przy statku, nadal można go naprawić. Jeśli zaś wszedł już w atmosferę... Uszkodzenie znajdowało się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od windy. Cóż, mogło być gorzej.

Gdyby sytuacja się pogorszyła, usterka była w zasięgu. Ale co spowodowało nadwężenie?

A, racja.

– Winda się nie rusza – rzekł George. – Nie odpowiada na polecenia. Coś się zacięło.

Ivan również już nie spał.

– Jesteś w stanie to naprawić? – zapytał.

– Nie wiem. Nie ma specjalnie czego sprawdzać. Mógłbym spróbować poruszyć pozostałe kontenery, żeby szarpnąć wężem... Może odblokowałbym w ten sposób windę, ale...

– No to na co czekasz? – odezwała się Mary stanowczo.

– ...ale nie polecam takich rozwiązań – dokończył George. – Moglibyśmy urwać wąż i tyle. Raczej nie wytrzyma takiego traktowania.

– George ma rację – rzekł Ivan.

Wydawało się, że Mary wybuchnie po raz kolejny, ale z dużym wysiłkiem opanowała emocje.

– To co jeszcze możemy zrobić?

– Spróbuję uwolnić transporter, który się zaciął.

– No to dalej – powiedziała, choć nie było to konieczne.

George podjął próbę, ale okazało się ponad wszelką wątpliwość, że winda nie odpowiada na żadne polecenia z panelu kontrolnego.

– I co teraz? – zapytała Mary.

– Co teraz? Przecież to oczywiste – odparł George, nie patrząc na Mary. – Musimy odblokować ręcznie.

– Powodzenia! – głos Ivana brzmiał niewyraźnie przez radio, ale Mary nawet nie podziękowała, wspinając się do wnętrza kontenera. Cała załoga zgromadziła się, by odprowadzić ją wzrokiem, nawet Norm się pojawił. Ciągnęli losy o wątpliwy

przywilej naprawy zaciętej windy. (Musieli bowiem założyć, że usterka jest do usunięcia. Musieli). Żaden z nich nie był szczególnie zadowolony z wyników głosowania, ale nikt nie zaproponował, że polecą na ochotnika.

Kontener był cylindryczną klatką o otwartej strukturze, wysokości mniej więcej trzech metrów i szerokości półtora. Z kablem łączyły go dwa pierścienie nadprzewodnika. Zasobniki towarowe normalnie łączyły się z klatką, a te, które utrzymywały wąż, miały puste zbiorniki na wodę. Uchwyty węża zostały zamontowane na zewnątrz. Kontener Mary był pusty, ale ledwie mogła się w nim pomieścić – wstawiono bowiem do środka skrzynię pełną narzędzi, lin i tym podobnych, wszystkiego, co tylko mogło się przydać w trakcie naprawy. Rozsiadła się najwygodniej jak mogła, a potem rzuciła krótko: – Gotowa.

– Ruszasz. Trzymaj się – głos George’a rozbrzmiał echem w jej głowie. Poczowała mocny napór, gdy kontener ruszył – choć wolniej ze względu na żywy ładunek – ale po chwili gwałtownie przyspieszył z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, a niezgrabny kształt statku kurczył się w oddali. Poczowała powracającą lekkość, gdy jej zaimprovizowany pojazd zaczął wytracać prędkość, a potem przesunęła sprzęt na przeciwny koniec cylindra. Gdy następnym razem poczuje podobny napór, nadejdzie on z przeciwnego kierunku.

Przerwy między prętami tworzącymi klatkę były na tyle duże, by się przecisnąć bez większego problemu. Mary wychyliła się i spojrzała w dół, daleko w dół, wzdłuż dwóch cienkich nici widocznych na tle dysku Wodnego Świata, oddalonego o dziesięć stopni nawet z tej odległości. Średnica obu kabli nie przekraczała jednego centymetra, choć cała winda ważyła kilkaset ton, wszystko czysty węgiel C₁₂. W założeniu stanowił niezwykle

istotny technologiczny cud, który miał wielce pomóc po dotarciu na miejsce, ale nie zaprojektowano go po to, by wciągać go na statek kosmiczny.

Gdyby im się nie udało... Mary pokręciła głową, odpędzając te myśli. Na razie mieli ważniejsze problemy na głowie.

Ale nie na tyle ważne, by nie mogła nadrobić braków we śnie. Nawet przy prędkości tysiąca kilometrów na godzinę miała dotrzeć do usterki węża po trzydziestogodzinnej podróży, więc w sumie mogła nieco odpocząć. Wiedziała, że na miejscu spokoju już nie zazna, a poza tym było o wiele lepiej odpocząć teraz, gdy grawitacja nadal była niska. Mary nie mogła się jednak wyciszyć, widok połówek węża skierowanych ku planecie nadal przyciągał jej uwagę.

Leciała w dół, coraz bardziej w dół. Usiłowała dojrzeć miejsce, ku któremu zmierzały, wytężyła wzrok i wciąż widziała oba końce znikające na tle dysku planety, ale nie mogła ustalić, w którym miejscu tak naprawdę stawały się niewidzialne.

Niespodziewanie uświadomiła sobie, że nie pamięta ostatnich kilku minut i że właśnie wydostaje się poza klatkę.

Nie znajdowała się już w stanie nieważkości. Gdyby wypadła, znalazłaby się na oddzielnej orbicie. Nadal byłaby na tyle blisko statku, że towarzysze mogliby ruszyć jej na ratunek promem, gdyby minęła atmosferę w perigeum, ale równie dobrze mogliby dać sobie spokój. Co więcej, taka misja kosztowałaby ich zarówno mnóstwo czasu, jak i masy reakcyjnej, której nie mieli. Gdyby do czegoś takiego doszło, to Norm śmiałby się ostatni. Kolejny dobry powód, by unikać podobnych sytuacji.

Drżąc, wciągnęła się do środka i przypięła linką bezpieczeństwa do jednego z prętów tworzących klatkę, a potem skuliła się na skrzyni narzędzi i zasnęła. Uporczywy sygnał

alarmowy wyrwał ją z niespokojnych snów. Zdezorientowana, chciała się podrapać, ale jej palce natrafiły na gładką powierzchnię skafandra kosmicznego. Naraz przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i usiadła gwałtownie, niemalże rozrzucając ekwipunek. Pochwyciła linkę bezpieczeństwa i pręt klatki, wykręcając przy tym prawe ramię.

– Zbliżasz się do celu – powiedział George przez radio. W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie, pewnie przyglądał jej się przez kamerę i setnie się ubawił, oglądając paniczne przebudzenie.

Niech go szlag trafi, pomyślała Mary i przyjrzała się przeciwległemu kablowi windy. Pompa kołysała się tuż przy nim, a podtrzymujące ją transportery migały światłami co dziesięć kilometrów. Klatka zwalniała zauważalnie.

Potem kobieta spojrzała w bok. Wodny Świat nie był już dyskiem. O wiele większy niż poprzednio, ciągnął się teraz niczym ogromny płaski mur aż po rozmyty przez atmosferę horyzont. Zbliżała się do końca windy. George miał ją zatrzymać w pobliżu usterki, a dalej musiała już radzić sobie sama.

Minęło kilka minut i poczuła, jak jej kontener zaczyna wytracać prędkość, przez co zaczął rosnać jej ciężar. Nawet po tym, jak się zatrzymał, Mary nadal odczuwała jakieś sześć g przyciągania planety, co całkiem nieoczekiwanie wywołało ogromne zawroty głowy. Nagle Wodny Świat nie był już tylko i wyłącznie kulą zawieszoną w przestrzeni – teraz Mary była w górze, a Świat znajdował się pod nią. Nisko, o wiele niżej, niesamowicie nisko. Palcami, które nagle zaczęły drżeć, Mary dwa razy sprawdziła linkę bezpieczeństwa. Gdyby stąd spadła, nic by jej nie uratowało. Wpadłaby do atmosfery niczym meteor i leciałaby z każdą chwilą coraz szybciej.

Mary usiadła, starając się nie patrzeć w dół i skupić się na tym, po co tu przybyła. Przyjrzała się kontenerowi na przeciwległym kablu za pomocą lornetki wbudowanej w hełm skafandra, usiłując odpędzić drżenie. Nabrała głęboko tchu, potem uczyniła to raz jeszcze...

Głos George'a rozległ się niczym uderzenie pioruna: – Wygląda na to, że będziesz musiała...

– Zamknij się i daj mi pomyśleć! – warknęła. – Nie chcę cię słyszeć, chyba że dojdzie do jakiejś sytuacji awaryjnej, jasne?

– Jak słońce – powiedział i Mary usłyszała cichy trzask wyłączanego mikrofonu. Dobrze. Jedno zmartwienie mniej.

Wąż ciągnął się równolegle do kabla, przytrzymywany przez uchwyty zamontowane na zewnątrz klatki. George przesunął niższe kontenery nieco wyżej, by zmniejszyć napięcie, ale tak czy owak poniżej uchwytu ściągało go w dół dziesięć kilometrów jego własnej wagi. Powyżej uchwytu jednakże wąż wisiał luźno, przechylając się to w jedną stronę, to w drugą na skutek długotrwałych wibracji.

Odnalezienie źródła problemu nie zabrało jej wiele czasu. Wyglądało na to, że winda straciła zasilanie, więc zadziałał automatyczny system hamulcowy, by zapobiec upadkowi konstrukcji. Wtedy wąż zaczął się rozciągać, gdyż pozostałe kontenery nadal pracowały. Prawdopodobnie George zatrzymał cały łańcuch w ostatniej chwili.

Stłumiła atak wściekłości. Może i ocalił pompę, ale na pewno nie doszłoby do tego, gdyby od razu zastosowano pompę z krzemianów.

Mniejsza o to. Co tu zrobić? Mary rozważyła wszelkie opcje. Najprawdopodobniej próba naprawienia windy nie miała sensu. O wiele ważniejsze było doprowadzenie węża na dół, nie warto

ryzykować, by uruchomić kontener. Mieli ich tyle, że bez trudu mogli się obyć bez jednego.

A zatem rozwiązanie problemu było proste – uwolnić wąż z uchwytów i odepchnąć kontener tak, by spadł i w niego nie uderzył.

Jasne, proste jak drut. Wystarczy przebyć dziesięć metrów przestrzeni kosmicznej między kablem, na którym Mary się opuściła, a równoległym kablem, do którego przymocowano wąż, i odzepić go. A potem odzepić kontener i pozwolić, by spadł.

Drobiazg.

Mary raz jeszcze spojrzała na ziejącą pod jej stopami pustkę i zadrżała. Usiłowała skupić się na swędzącym cieple, na swoim dyskomforcie, na swoim lepkim od potu cieple uwięzionym w plastikowym worku skafandra kosmicznego, na czymkolwiek, co pozwoliłoby jej zapomnieć o tym, co właśnie miała zrobić. Przesunęła lekko dłoń w rękawicy po kablu. Miała wrażenie, że dotyka stalowego pręta rozciągniętego pod naporem własnego ciężaru. Nie chciała nawet myśleć o tysiącach kilometrów kabla, które dzieliły go od statku.

Zmusiła się, by myśleć o pracy, którą miała do wykonania. Wyciągnęła teleskopowe pręty z grafitu, dzięki którym zamierzała przedostać się na drugą stronę. Były cienkie niczym ołówki i wydawało się, że zupełnie nie nadają się do tego zadania, choć mogłyby utrzymać ciężar promu. Pochwyciła jeden z prętów oburącz, by zredukować drżenie, po czym nacisnęła klawisz wyzwalający u nasady. Rozciągał się powoli, odbijając to w jedną, to w drugą stronę, jakby ze współczucia wobec drżących dłoni Mary. Nakierowała go na kontener zawieszony na przeciwnym kablu. W miarę jak pręt stawał się coraz dłuższy, wychylał się coraz bardziej, aż w końcu amplituda jego dzikich

drgań wynosiła kilka, kilkanaście metrów. Rozwścieczona usiłowała uchwycić go mocniej. Ścisnęła ze wszystkich sił, lecz koniec dziesięciometrowego cieniutkiego pręta skakał niczym młode drzewko pod naporem wiatru.

Wreszcie zacisk na końcu pochwycił szczebel przeciwległej klatki i pręt zatrzymał się. Dla bezpieczeństwa Mary zamocowała jeszcze jeden – zawsze istniała bowiem szansa, że pierwszy może się obluzować. Tym razem poszło łatwiej, gdyż wściekłość na złośliwość przedmiotów martwych pomogła chwilowo przegnać napływ akrofobii.

Mary miała przed sobą dwa cienkie pręty tworzące swoisty mostek między jej klatką a tą, która przytrzymywała wąż. Dwukrotnie sprawdziła linkę bezpieczeństwa oraz wciągarkę, a potem założyła na pręty karabińczyki, upewniwszy się, że każdy z nich przesuwają się luźno. W końcu przymocowała linki biegnące od karabińczyków do pasa i dodatkową od pasa do skrzyni z narzędziami.

Nadeszła pora na najtrudniejszą część zadania. Mary nabrała głęboko tchu i wychyliła się z klatki, przywierając mocno do rozłożonych prętów. Następnie opuściła się niżej, czując, jak jej stawy aż trzeszczą z wysiłku. Zagryzła wargę, gdy zwichnięte ramię zaprotestowało falą bólu. W końcu znalazła się pod prętami, zacisnąwszy dłoń na każdym z nich i dodatkowo oparłszy na nich pięty. Wisiała niczym leniwiec z dawnych czasów na gałęziach drzewa. Wisiała, usiłując nie myśleć o przepaści pod sobą.

Zmusiła się, by ruszyć naprzód, centymetr po centymetrze, poruszając tylko jedną dłoń lub jedną stopę naraz. Pręty ugiwały się lekko pod jej ciężarem, co bynajmniej nie pomogło jej w utrzymaniu wewnętrznego spokoju. W końcu poczuła, że jej

hełm dotyka przeciwległego kontenera. Z trudem podniosła się, próbując się przy tym odwrócić, nie nadwężając mocno prawego ramienia. Po chwili zdołała pochwycić jeden z prętów klatki i przymocować do niego linki odpięte od karabińczyków. Kolejnym krokiem było przyciągnięcie skrzyni z narzędziami.

Drogę zagradzał jej pusty zbiornik na wodę. Wdrapała się na jego szczyt, gdzie mogła przynajmniej stanąć i przytrzymać się windy, a także dokonać oceny sytuacji. Odczepienie kontenera samo w sobie nie było trudnym zadaniem – na wypadek właśnie takich sytuacji wyposażono ją w awaryjną dźwignię – ale wcześniej musiała jeszcze odłączyć uchwyt i obrócić go wzdłuż kabla tak, by spadając, nie zahaczył o wąż. A potem jeszcze wydostać się, nim kontener spadnie.

Bułka z masłem, pomyślała.

Trzymając się prętów klatki zdrową ręką, wychyliła się, by pochwycić dźwignię kontenera. W normalnych okolicznościach po dotarciu na sam dół kabla dźwignia uniosłaby się automatycznie, uwalniając wąż, a kontener przeniósłby się na równoległy kabel i rozpoczął wędrówkę ku górze. Mary złapała ją lewą ręką, co nie było łatwe, gdyż należała do osób praworęcznych, i szarpnęła.

Dźwignia ani drgnęła.

Mary szarpnęła mocniej, lecz wciąż bez skutku. Najwidoczniej ciężar z dołu wywoływał taki napór na uchwyt, iż ten nie mógł nawet drgnąć. Ona zaś znajdowała się w tak niewygodnym miejscu, iż nie mogła należycie się zaprzeć, a co gorsza, musiała korzystać z lewej ręki.

Na myśl o chwyceniu dźwigni prawym ramieniem aż przeszyły ją dreszcze, ale nie miała wyboru. Ponadto nadeszła pora, by chwycić za łom. Podciągnęła skrzynię, wyjęła z niej łom

i wychyliła się maksymalnie daleko, próbując dobrze go zahaczyć o dźwignię. Dźwignia była okrągła, stąd łom co rusz się ześlizgiwał, a każda kolejna próba okazywała się jeszcze bardziej niezdarna od poprzedniej. Mary czuła, że na skutek wysiłków zaczyna się pocić w kombinezonie, ale w końcu znalazła punkt oparcia i nacisnęła na łom ze wszystkich sił.

I wtedy zerwało się mocowanie. Łom wyślizgnął jej się z dłoni i wirując, odleciał w przestrzeń kosmiczną, a Mary uświadomiła sobie, że puszcza pręty klatki i spada. Wrzask przerażenia uwiązł jej w gardle, gdy opadała, próbując złapać się śliskiej powierzchni węża w panice podobnej tej, która każe tonącym chwycić się przysłowiowej brzytwy. Kobieta znajdowała się coraz dalej od windy, gdy nagle jej dłonie nieświadomie natrafiły na linę bezpieczeństwa.

Mary zawisała jakieś pięć metrów pod kontenerem, unosząc się i opadając łagodnie w niskiej grawitacji, kołysząc powoli niczym małe dziecko na huśtawce. Z trudem łapała oddech, jej serce waliło jak oszalałe, w uszach grzmiał łomot krwi. Wolno, stopniowo narzuciła sobie spokój, ani na chwilę nie puszczając liny.

Gwałtowny przyływ adrenaliny przepędził strach. Mary rozejrzała się, a potem celowo spojrzała w dół. Kołysząc się pod kontenerem, przemykała raz za razem obok windy. Wyciągnęła rękę i złapała kabel, by się zatrzymać. Przez dłuższą chwilę patrzyła w dół, wzdłuż bliźniaczych kabli oraz biegnącego równoległe do nich węża, a potem na ogromny Wodny Świat. Miała wrażenie, że wręcz dostrzega balast umieszczony na dole windy, tam gdzie znajdował się zbiornik na wodę. Niewyobrażalnie daleko.

Nie wiedziała, jak to się dzieje, ale nie przejmowała się tym już

ani trochę. Uruchomiła wciągarkę i po chwili wdrapała się na kontener.

Pozostała część zadania nie przysporzyła jej już trudności. Umieściła w kontenerze zestaw niewielkich chemicznych rakiet, by zabezpieczyć go przed uderzeniem w windę, a potem zdjęła grafitowe pręty. Zdecydowała, że powróci na sąsiedni kabel, zeskakując na linie bezpieczeństwa. Najtrudniejsze było teraz obrócenie zablokowanego kontenera od węża, w trakcie gdy nadal na nim stała, lecz poradziła sobie, popuszczając jeden z hamulców bezpieczeństwa. Kontener powoli obrócił się i ustawił w bezpiecznej pozycji.

W końcu zadanie dobiegło końca. Mary zmówiła w myślach modlitwę i skoczyła w przestrzeń kosmiczną. Przez moment płynęła w łagodnej grawitacji, aż zatrzymała ją lina. Potem po prostu uruchomiła wciągarkę. Gdy już znalazła się w kontenerze, którym przybyła na miejsce, poruszyła dźwignią uwalniającą jego zaciętego bliźniaka. Kobieta patrzyła przez moment, jak moduł transportowy powoli zaczyna się oddzielać, a potem z furią wcisnęła przycisk uruchamiający rakiety. Buchnęły ogniem i odrzuciły odpadający kontener o wiele dalej, niż się spodziewała.

Klatka zatoczyła łuk w przestrzeni kosmicznej i wolno ruszyła w kierunku globu. Mary wychyliła się, chcąc jej się przyjrzeć, ale szybko straciła ją z oczu. Pomimo że grawitacja wynosiła zaledwie 0,15, klatka przyspieszała w wielkim tempie.

– Tu Mary – odezwała się przez radio. – Załatwione. Uruchom opuszczanie węża. Popatrzę sobie przez chwilę.

– Robi się – odpowiedział George.

Po kilku minutach ujrzała, jak wąż znów zaczyna się poruszać, powoli, lecz płynnie. Przyszło jej do głowy, czyby nie zostać do

końca manewru, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nie miała wielu zapasów, zaplecze sanitarne skafandra było dość prymitywne, a jej ramię zaczynało puchnąć. Nie wiadomo, czy udałoby jej się po raz drugi przejść na sąsiedni kabel, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Tak czy owak, Mary nie widziała powodu, dlaczego tylko ona miałyby ponosić odpowiedzialność za rozwiązywanie problemów wywołanych niepotrzebnym pośpiechem pozostałych członków załogi. Nie powinni byli w ogóle opuszczać pompy z włókien diamentowych. Jeśli coś zatnie się raz jeszcze, niech tym razem Norm schodzi sobie na dół. Nie zaszkodzi mu.

– Tu Mary – odezwała się ponownie. Rozbudzony na nowo gniew i zmęczenie sprawiły, że jej głos zabrzmiał oschle. – Wszystko działa. Wciągajcie mnie na górę.

– Jasne. Dobra robota, Mary – powiedział George. Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwała mu: – Bez odbioru.

Bez trudu zasnęła podczas podróży na statek. W rzeczy samej, miała wrażenie, że ledwie zamknęła oczy, a już uruchomił się alarm. Spała zapewne przez bite trzydzieści godzin, ale nie czuła się wypoczęta. Czuła się brudna, skóra swędziała niemiłosiernie, a zwichnięte ramię pulsowało wściekłym bólem.

Cała trójka czekała na jej przybycie, nawet Norm przypląnął przez służbę nieobrotowego przedziału towarowego statku. Jego oczy lśniły urazą, ale i szacunkiem. George jako pierwszy wyciągnął dłoń.

– Gratulacje – powiedział po prostu, gdy Mary ściągnęła hełm.

Coś w niej pękło, gdy usłyszała typowy dla niego pojednawczy ton głosu. Gdyby jej posłuchali, nigdy by do tej awarii nie doszło, a teraz stali tu całą trójką i udawali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Słodycz, blask, chwała, a do tego

świadomość: „Cóż, przecież musimy na sobie polegać”. Co za pierdoły.

Zignorowała wyciągniętą dłoń.

– Zejdź mi z oczu, ty niekompetentny tchórze! – syknęła. – Gdybyś wcześniej zdobył się na odwagę i zajął jakieś stanowisko, nie musiałabym tego robić!

George, zaskoczony jej reakcją, był zbyt zmęczony na okazywanie uprzejmości. Cofnął dłoń i powiedział: – Wiesz, jak brzmi definicja odwagi, Mary? To wdzięk w chwili stresu.

Po czym odwrócił się i odszedł, a Norm i Ivan nie powiedzieli ani słowa, gdy Mary weszła na pokład.

Martwa natura ze złomem, pomyślał Norm, wpatrując się w monitor. Widział tam istne złomowisko, sterty metalowych ochłapów, powyrywanych ze wszystkiego, co nie było absolutnie niezbędne, a zgromadzonych po to, by zapewnić odpowiednią ilość jonów metalu do zneutralizowania kwasowej wody, którą mieli nadzieję zdobyć. Złom wypełniał do połowy ogromny podłużny zbiornik na wodę, który zamocowali do masy balastowej u podstawy windy. Zadaniem kontenerów, wyposażonych w pomniejsze zbiorniki, było czerpanie stamtąd wody i transportowanie jej bezpośrednio na statek.

Tak sobie to przynajmniej obmyślili.

George zerknął na zegarek.

– Zaraz będzie – powiedział niepytany przez nikogo. – Zaraz się dowiemy, czy to rzeczywiście zadziała.

Nie spojrział przy tym na Mary, ale i tak się najeżyła. Norm uśmiechnął się zadowolony, że znalazła kogoś innego, na kim mogła wyładować wściekłość. Nim jednak Mary zdążyła się odgryźć, jej uwagę przyciągnęło poruszenie na monitorze.

Woda, naładowana kwasem i tlenem, wystrzeliła z tuby i

rozbryzgnęła się na dnie zbiornika, wśród usypanych stert złomu. Wszędzie tam, gdzie natrafiała na metal, uwalniał się wodór, a gdy łączył się z tlenem, wybuchała reakcja egzotermiczna, która sprawiała, że więcej tlenu wydzielano się z kipiącej wody. Zbiornik był otwarty na przestrzeń kosmiczną, więc płomień nie miał możliwości rozrosnąć się i uczynić szkody.

Po chwili czterech ocalałych członków załogi dojrzało, jak poziom wody w zbiorniku zaczyna powoli rosnąć.

Norm spojrział na najniższy monitor, który pokazywał obraz z końca węży. Założona na niego ceramiczna klatka, której zadaniem było powstrzymywanie mieszkańców oceanu podczas pompowania, chyba trzymała, lecz dookoła rozgrywały się sceny rodem z koszmarów. Bestie, które wydawały się złożone z samych tylko kłów, atakowały klatkę, szarpały ją z wściekłością, aż woda pociemniała od krwi. Norm miał nadzieję, że ich fizjologia nie dostarczy kolejnych nieprzyjemnych niespodzianek, ale pewności nie miał żadnej. Trzeba będzie przefiltrować i przedestyłować każdą kroplę tej wody, nim załaduje się ją na pokład.

Chyba że Mary miałyby ochotę wykąpać się przed oczyszczeniem. Szansa ujrzenia jej w tej sytuacji byłaby niemalże warta złamania zasad kwarantanny.

George nigdy jeszcze nie był bliższy osiągnięcia pełnej harmonii. Sam zapach słodkiej wody był dlań równie piękny jak aromat perfum. Przez prawie pół godziny siedział w pozycji kwiatu lotosu pod gorącym prysznicem i gdyby recykler nie wstrzymał dopływu, siedziałby tak przez resztę dnia. Właściwie to mógłby tam pozostać i przez resztę podróży, bite siedem lat.

Sama myśl, że po zakończeniu wyprawy może zostać obwołany bohaterem, ubawiła go setnie. Koloniści po

wybudzeniu z hibernacji nazwą jego imieniem góry, a może nawet kontynent. Potomkowie pionierów będą się uczyć o czterech dzielnych żeglarzach kosmicznych, którzy pokonali przeszkody, by ocalić statek, a matki przez wiele pokoleń będą nadawać swym synom i córkom imiona członków załogi. Nikt nie zająknie się ani słowem o kłótniach i uszczypliwościach, które towarzyszyły owym bohaterskim czynom, nikt nie wspomni o długich latach wstydlivej wrogości, które dzieliły ich od dotarcia do celu.

George z ochotą zamieniłby to wszystko na błogi sen w kapsule hibernacyjnej, ale wiedział, co usłyszałby od innych, mniej więcej to samo, co sam powiedziałby, gdyby ktoś poprosił o taki przywilej: przecież nie stać ich na utratę jednej czwartej wyszkolonych członków załogi. Przed dotarciem do celu oczekiwało ich mnóstwo rekonstrukcji.

Nie, Nakamoto utknął z towarzyszami na dobre, a oni z nim, i to na wieczność. Uniósł twarz ku wspaniałym kaskadom wody, łagodzącym wszelkie rany w jego duszy. Usiłował nawet ułożyć haiku na tyle ironiczne, by pasowało do obecnej sytuacji.

Bo przecież wszyscy przeżyli.

Tysiące kilometrów pod statkiem kosmicznym toczyło się kolejne starcie. Winda oraz perypompa z krzemianów zostały wciągnięte na statek, ale ceramiczna klatka, nadwerężona niezliczonymi atakami, w końcu odpadła i ruszyła na dno wszechplanetarnego oceanu. Woda pieniała się purpurowo niczym rana płuc, gdy stworzenia z koszmarów nadal kontynuowały ataki, to rzucając się na siebie, to na obojętną klatkę. W miarę upływu czasu zamęt i kotłowanie stawały się intensywniejsze, gdyż coraz więcej mięsożerców wyczuwało smak krwi i brało kurs na rzeźnię, by włączyć się do jatki.

Klatka opadała zaś powoli między oszalałymi potworami, przebijała się w dół niczym pyłek kurzu wirujący w popołudniowym słońcu. Zmierzała na dno, ale czekała ją jeszcze długa, bardzo długa droga.

Autorzy pragną podziękować Poulowi Andersonowi za pomysł planety składającej się wyłącznie z wody.

Robert Reed Oto opowiadanie, którego tytuł nie mówi absolutnie nic. Oto wpełzamy do labiryntu fantastycznej ekstremalności.

Robert Reed (ur. 1956) należy do nowego pokolenia pisarzy. Większość z jego twórczości science fiction jest stosunkowo nieskomplikowana – o ile, rzecz jasna, opisy prób podejmowanych przez obcych, by zmienić rzeczywistość, można nazwać nieskomplikowanymi. Oto główny temat jego powieści *Beyond the Veil of Stars* (1994), *Beyond the Gated Sky* (1997) oraz *An Exaltation of Larks* (2000). Niemniej w *Marrow* (2000) Reed wykonał krok w innym kierunku. Powieść opowiada o grupie obcych oraz genetycznie zmienionych ludzi, którzy podróżują przez wszechświat na statku tak ogromnym, że mieści całą planetę. Poniższe opowiadanie, które zostało napisane na potrzeby tej antologii, rozgrywa się w tym samym uniwersum. Losy bohaterów wciągają do tego stopnia, że zaczyna się akceptować ekstremalne pomysły równie łatwo jak codzienność. Dopóki nie zacznie się o nich myśleć.

Robert Reed

HOOP BENZOL

Młoda pani kapitan została wyznaczona do wykonania zadania dlatego, że nie wydawało się ono szczególnie istotne, a oficerowie wyżsi rangą mieli ważniejsze bądź ciekawsze obowiązki. Przekazane jej informacje ograniczały się do minimum – poznać lokalizację mieszkania, garść danych o jego przeszłości oraz nazwę i gatunek jego obecnego właściciela. Pani kapitan przystąpiła jednak do działania z energią, uzbrojona w przejrzyste rozkazy i świadomość świętości swej funkcji. Ponadto po kilku stuleciach treningu była przyzwyczajona zarówno do noszenia munduru, jak i emanującej z niego aury naturalnego autorytetu.

– Dzień dobry panu – zaczęła, pozdrawiając obcego w standardowy sposób. Była wysoką kobietą obdarzoną naturalnym wdziękiem, piękną w ludzkich kategoriach, czarującą uśmiechem, który tymczasem skrywała. Mówiła wyraźnie, w jej głosie pobrzmiwał lekki gniew. – Nazywam się Washen – oznajmiła.

Obcy wpatrywał się w nią przez diamentowe drzwi i nie odezwał się ani słowem.

– Hoop Benzol! – wykrzyknęła. Z przedstawicielami gatunku harum-scarum należało rozmawiać podniesionym głosem. – Jeśli tak się pan nazywa, chcę z panem rozmawiać. Jeśli jest pan kimś innym, proszę przyprowadzić tu Hoopa Benzola!

Obcy rozwarł usta do oddychania.

– Ja jestem Hoop.

– Sir! – powtórzyła powitanie. – Za trzy dni jeden z moich przełożonych odwiedzi ten dystrykt. Ów dobry kapitan wyraził pragnienie, żeby zajrzeć do swojego poprzedniego mieszkania, które, jak się złożyło, należy teraz do pana.

Usta zmarszczyły się.

– Czy ów dobry kapitan ma imię?

– Na tę chwilę nie, albowiem ceni poufność. Zapewniam pana jednak, że znajduje się wśród ulubionych oficerów Głównodowodzącej.

– To kapitan drugiej rangi, tak?

– Być może – zgodziła się Washen. – A może nie.

– Za trzy dni, powiada pani. – Ogromna ręka przyłgnęła do drzwi. – Ale dlaczego za trzy dni? Czy może mi pani zdradzić choć tyle?

Washen zastanowiła się. Społeczeństwo harum–scarum ceniło ceremonie, rangi, status i głośnie przechwałki.

– Jestem pewna, że słyszał pan, sir... Pięć tysięcy lat temu moi rodacy otworzyli luki tego wielkiego statku. Zaprosiliśmy wszystkie gatunki naszej Galaktyki, by wzięły udział w wielkiej wyprawie. Mamy za sobą pięćdziesiąt stuleci sukcesów, a w tym roku, który jest okrągłą rocznicą, kapitanowie chcą uczcić to osiągnięcie serią uroczystości.

– Słyszałem o tym – przyznał Hoop.

– Kapitan Głównodowodząca ma odwiedzić ten dystrykt. Będą jej towarzyszyć wszyscy kapitanowie drugiej rangi oraz setka kapitanów niższych rang. Głównodowodząca weźmie udział w dwóch ucztach wydanych na jej cześć oraz w januzjańskim weselu, a potem otwarty zostanie nowy habitat. Jeśli zaś chodzi o

owego kapitana bez imienia, póki co... Jego wizyta w pańskim domu nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy. No, może trochę więcej. Ten człowiek nie jest wielkim sentymentalistą i zapewniam pana, że zakłócenia w pańskim życiu będą ograniczone do minimum.

– Nie.

– Słucham?

– Nie – powtórzył Hoop. – Nie zgadzam się, żeby to ludzkie stworzenie odwiedziło moje mieszkanie.

Washen wyobrażała sobie taki obrót sprawy, ale nigdy by się nie spodziewała, że do niego dojdzie.

– Na czym polega trudność, sir? – zapytała, kryjąc zdumienie. – Czy to kwestia terminu?

– Dlaczego? – zapytały usta do oddychania. – Czyżby ów dobry kapitan był skłonny odbyć wizytę w innym terminie?

– Niewykluczone.

– Coś mi się nie wydaje – zdecydował Hoop. – Kapitanowie to niezwykle uparta grupa rasy ludzkiej i sądzę, że próbujesz mnie wprowadzić w błąd.

Washen pozwoliła sobie na uśmiech.

– Tak, sir. Przeniknął pan przez moją cienką, małą skórę i przejrzał mnie. Harmonogram kapitana jest niezwykle napięty i zapewne już długo, bardzo długo nie powróci do tego dystryktu.

Harum-scarum spojrział na człowieka. Nawet jak na przedstawiciela swej rasy, Hoop był ogromnym stworzeniem – wysokim dwunogiem o muskularnym ciele pokrytym lśniąco błyszczącymi płytami pancerza i porośniętym długimi złotymi kolcami. Miał dwoje dużych czarnych oczu, pod którymi znajdowały się dwie pary ust – jedna do mówienia i oddychania, a druga przeznaczona do jedzenia i wygłaszania najgorszych zniewag

pod słońcem.

– Mój plan również jest bardzo napięty – oznajmiły usta do oddychania. – A ponieważ nie mam zamiaru zabawiać gości ani za trzy dni, ani przez najbliższe trzy tysiące lat, nie udzielam zgody na tę wizytę.

Usta do jedzenia wydały cichy, ale bardzo obraźliwy odgłos.

– Odmowa przyjęcia gościa należy do moich praw – ciągnął obcy. – Znam przepisy. Mogę nawet zacytować odpowiednie paragrafy, jeśli sobie pani życzy. Nawet kapitan głównodowodzący nie ma prawa wejść do mojego mieszkania, jeśli sobie tego nie życzę. Wyjątek stanowią skomplikowane sytuacje prawne, które nie zachodzą w tych okolicznościach. Jednak nawet w sytuacjach najpilniejszych i wymagających natychmiastowego działania należy przedstawić niezbędne nakazy, odpowiednio zapieczętowane i zarejestrowane, a potem przekazane przez stosownych urzędników.

I znów wydał ów nieuprzejmy odgłos.

Oczy Washen były niemalże tak ciemne jak Hoopa. Jej twarz wyrażała zaciekawienie, cierpliwość i jedynie lekkie ślady zaniepokojenia.

– Ponadto nadal nie zdradziła pani imienia owego oficera – wytknął obcy.

– Mam ściśle rozkazy. Mój przełożony życzy sobie pozostać anonimowy – odpowiedziała, a potem uśmiechnęła się lekko i dodała: – Powiem tylko, że jest bardzo wpływową osobą na Wielkim Statku. Dysponuje władzą, z którą należy się liczyć, a rozgniewany potrafi się srodze zemścić.

Harum–scarum cechował instynktowny lęk wobec tyranów.

Hoop jednakże cmoknął, jakby słowa kobiety go rozbawiły.

– Przypuszczam, pani kapitan, że czuje się teraz pani raczej

niezręcznie.

Washen przełknęła ślinę, ale się nie odezwała.

– A zatem proszę mi powiedzieć...

– Tak, słucham pana?

– Dlaczego tę wpływową, mściwą personę tak bardzo interesuje, kto przechadza się po moich malutkich pokojach?

– Nie potrafię odgadnąć jego zamysłów, sir.

– Nie ma pani zamiaru o nich rozmawiać – poprawił ją Hoop. – A zatem być może powinienem pani przypomnieć, że mamy do czynienia z dwoma istotnymi potęgami.

– Celna uwaga – przyznała Washen, a potem mrugnęła i z promiennym uśmiechem stwierdziła: – A pan powinien wziąć pod uwagę sytuację nieszczęsnej wysłanniczki, która stoi tu w tej chwili. Nie zna ona nawet nazwy tej gry, nie mówiąc już o jej zasadach.

Harum–scarum ponownie mlasnął.

– Zapewne chodzi o ważne zadanie – zauważył. – Skoro wybrano tak bystrą panią kapitan...

– Wszystkie zadania są ważne – przerwała mu.

Hoop zamilkł, być może po to, by zastanowić się nad dostępnymi mu możliwościami.

– Jeśli nie uda mi się skłonić pana do współpracy – przyznała Washen – zwierzchnicy przyślą tu kolejnego kapitana, tym razem wyższego rangą. Lub dwudziestu podwładnych uzbrojonych w legalną ciężką broń. Jak sam pan stwierdził, kapitanowie to uparte istoty, a ten wręcz słynie z uporów. Zaplanował, że przejdzie przez te drzwi o ściśle określonej godzinie dokładnie za trzy dni i nikt ani nic go nie powstrzyma. To nieuniknione.

– Czy ja wyglądam na bezradnego? – zapytał Hoop.

– Nazywam się Washen – powtórzyła młoda kapitan. – Właśnie udostępniłam panu moje pliki służbowe. Proszę się z nimi zapoznać w wolnej chwili, a ja okłamię mojego przełożonego. Powiem mu, że chce się pan ze mną spotkać jutro. Sam. I wtedy uzgodnimy, co zrobić z owym problemem, który stał się utrapieniem zarówno dla mnie, jak i dla pana.

Zanim Hoop zdążył odpowiedzieć, młoda pani kapitan odwróciła się i odeszła, stawiając harum–scarum w sytuacji bez wyjścia. Gdyby zdobyła się na odwagę i raz jeszcze stanęła przed jego drzwiami, Hoop Benzol nie mógłby odmówić jej żądaniom.

Ludzie znaleźli Wielki Statek, penetrując obrzeża Galaktyki. Była to porzucona, opuszczona jednostka przerastająca rozmiarami większość planet, starsza od Słońca. Nie znajdowało się na niej nic poza tajemnicami. Odkrywcom dopisało więc prawdziwe szczęście – ogłosili, że Statek stanowi ich własność, po czym na własny koszt wyremontowali kadłub i silniki i wyruszyli na wyprawę, która miała trwać przez najbliższe ćwierć miliona lat. By choć częściowo zrekompensować sobie poniesione wydatki, w każdym mijanym systemie słonecznym ściągali bogatych pasażerów. To, czy należeli do rasy ludzkiej, czy innej, nie miało znaczenia, każda rasa mogła znaleźć dla siebie miejsce. W Statku znajdowały się ogromne jaskinie i prawdziwe oceany, a także mnóstwo pomieszczeń i sfer różnej wielkości, dzięki czemu konfigurowanie przestrzeni życiowej tak, by pasowała do delikatnej fizjologii poszczególnych gatunków obcych ras, stało się łatwym zadaniem. O wiele trudniejsze okazało się utrzymanie tej menażerii w na tyle dobrych i obojętnych nastrojach, by wszyscy jej przedstawiciele byli w stanie mieszkać razem przez wieki.

Utrzymywanie pokoju – najistotniejsze zadanie kapitanów i

największy powód do dumy.

Harum–scarum należeli do najzamożniejszych i najważniejszych pasażerów. Byli rasą starszą od ludzkości, a ewoluowali na wodnym, niemalże pozbawionym metali świecie. Niewielkie kontynenty i skromne zasoby naturalne ukształtowały ich długą historię, a znakiem rozpoznawczym ich dojrzałej cywilizacji była bezlitosna konkurencja. Dziesiątki milionów lat spędzonych na obronie tych samych skrawków suchego gruntu doprowadziły do wykształcenia skomplikowanych formalnych rytuałów zaufania. Podczas gdy przodkowie praludzi nadal skakali na lianach w dżungli, harum–scarum pozyskiwali aluminium i budowali statki kosmiczne. Zanim *homo habilis* wyruszył na wędrówkę po Afryce, harum–scarum uzyskali hiperwłókna i ulepszyli napęd międzygwiazdny, dokonali również wielu innych przełomowych wynalazków, dzięki którym ich ciała i umysły stały się praktycznie nieśmiertelne.

Harum–scarum było nazwą nadaną im przez ludzi. Jedynym sensownym tłumaczeniem nazwy, którą nadali sobie sami, był Klan Wielu Klanów. I podobnie jak większość zaawansowanych technologicznie ras, gdy tylko poznali sekret długowieczności, Klan praktycznie przestał ewoluować. Na tysiącach planet członkowie tej rasy uparcie pielęgowali swą pierwotną naturę. Nadal byli istotami o potężnych ciałach, przepełnionych zimną, wyrachowaną wściekłością, ale również zdolnych do zaskakującej spolegliwości.

Z perspektywy Klanu lud Washen należał do galaktycznych nowicjuszy – wydawali im się niewypróbowani, niezahartowani, a do tego komicznie optymistyczni, zupełnie jak dzieci. Na każdy skolonizowany przez ludzi świat z atmosferą tlenową przypadła

setka kolonii Klanu. Tryliony obywateli żyło rozrzuconych na ogromnych przestrzeniach Galaktyki, a statki międzygwiazdne harum–scarum przewyższały jednostki innych ras zarówno rozmiarami, jak i jakością. Gdyby dostrzegli Wielki Statek zagubiony w przestrzeni kosmicznej, dotarliby do niego jako pierwsi i uznali artefakt za własny. Nie spostrzegli go jednak na czas. Wyprzedzili ich ludzie, którzy dzięki temu uśmiechowi losu osiągnęli coś, co wydawało się całkiem nieprawdopodobne. Z tego właśnie względu Hoop i jego rodacy czerpali sporo radości z obrażania swych gospodarzy. Najpopularniejszym używanym przez nich określeniem ludzi było „małpoludy” oraz „gołoskóre bachory”. Najbardziej uszczypliwym jednak było „spasieni fuksiarze”.

Ludzie wychodzili z założenia, że harum–scarum byli zgorzkniali, zazdrośni i czasami mściwi, niemniej każdy odpowiedzialny kapitan wiedział, że należy zachować wstrzeźliwość w wyciąganiu podobnych wniosków. Gdy ludzie przejęli starożytny artefakt, co nastąpiło zresztą w zgodzie ze starożytnymi prawami Galaktyki, Klan skupił uwagę na innych sprawach. Kwestia własności została zamknięta. Konkurs wygrany był konkursem zakończonym. A jeśli było się dobrym obywatelem, pochodzącym z dobrej rodziny, należało odejść, ostrożnie nastroszyć swe kolce i powrócić do swego wspaniałego życia. Uraza, niechęć i mściwość były atrybutami słabszych ras.

Na przykład ludzi.

- To nie ma sensu – przyznał kapitan drugiej rangi. – Zapewniłaś go, że jestem ważną figurą?
- Co jest faktem niezaprzeczalnym – odparła Washen.
- I nadal jestem dla niego anonimowy, tak?
- Oczywiście, sir.

– A mimo to nie chce ustąpić?

– Póki co. Spotkam się jednak z nim jutro i spróbuję wzbudzić w nim wyrozumiałość.

– Harum–scarum – mruknął kapitan. – Wielokrotnie miałem z nimi do czynienia, wielokrotnie odnosiłem sukcesy. Gdy człowiek już się przebije przez ich humory i osobliwe zachowania, okazują się całkiem rozsądnymi potworami.

Washen opanowała grymas.

Mężczyzna miał na imię Ishwish. Wedle ludzkich kategorii był sędziwy, a podróżował przez niemal całe życie. Krążyły o nim niezliczone opowieści, ale w jego oficjalnej biografii podano zaskakująco niewiele faktów. Wyróżnił się w kilku wojnach toczonych między ludźmi i zdobył wysoką rangę w przynajmniej dwóch armiach. Niejednokrotnie zatrudniał najemników z obcych ras, w tym brygady harum–scarum, co pomogło mu w karierze. Po zdobyciu galerii orderów i odznaczeń zmienił diametralnie swój dotychczasowy styl życia i objął dowództwo nad statkami kolonizacyjnymi podczas pierwszej ludzkiej ekspansji na Drodze Mlecznej. Milenia doświadczeń uczyniły go zamożnym człowiekiem z lukratywnymi powiązaniem politycznymi. Kiedy odkryto Wielki Statek, Ishwish wykorzystał swą fortunę, by wyposażyć niewielką asteroidę w ogromne silniki i system podtrzymywania życia oraz wynająć załogę. Umyślił sobie bowiem, że odbędzie podróż poza granice Drogi Mlecznej, a kilka wieków później jego asteroida znalazła się wśród jednostek, które jako pierwsze dotarły do Wielkiego Statku. Od tego momentu Ishwish nie szczędził starań, by przyznano mu odpowiednio wysoką rangę wśród pierwszych kapitanów.

Przez kilka chwil milczał, najprawdopodobniej wykorzystując

nexus, by przejrzeć pliki Hoopa. Jego powieki zatrzepotały, a oczy błysnęły, co najprawdopodobniej miało jakieś znaczenie. Ale jakie? Potem westchnął łagodnie i z rozczarowaniem pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, spodziewałem się czegoś lepszego po ambitnej, młodej pani kapitan – oznajmił.

Washen pokiwała głową, mnąc kapelusz w dłoniach.

– Kapitan powinien poradzić sobie z każdym zadaniem – przypomniał jej.

– Wiem, sir.

Zadaniem Ishwisha na tę chwilę było siedzenie przy wielkim dębowym stole na tyłach niewielkiej restauracyjki, ulubionego lokalu kapitan Głównodowodzącej, dzięki czemu knajpka zyskała popularność wśród lojalnych kapitanów drugiej rangi. Ishwish, nawet siedząc, imponował wzrostem. Washen stała przy nim, a mimo to ich oczy znajdowały się mniej więcej na tej samej wysokości. Zadbany, choć pozbawiony gracji i wdzięku, i wolny od efektów starzenia się, wydawał się przystojnym człowiekiem. Miał jasne złote oczy i ostry uśmiech pozbawiony wesołości, a mówił niemalże bez gestykulacji, zdradzając każdym słowem arogancję, którą można było obdzielić dwóch innych oficerów.

– Czym są drobne prace? – zapytał.

– Niemożliwością natury – odpowiedziała, cytując odpowiedni ustęp ze swego szkolenia.

– A czym są drobne zaszczyty?

– Błogosławieństwami, które spływają na małych ludzi – zacytowała słowa, które nie raz od niego słyszała.

Ishwish pokiwał głową, a jego uśmiech znikł.

– Otrzymałem uznanie zasług od samej kapitan Głównodowodzącej.

– Proszę przyjąć moje gratulacje, sir.

– Za długą służbę na tym wspaniałym Statku otrzymam ów wspaniały zaszczyt.

– Tak, sir.

– Nasza kapitan zapytała mnie: „Gdzie twoim zdaniem powinna się odbyć ceremonia, przyjacielu? Na mostku Statku? Czy może w mesie, podczas uczty dla kadry oficerskiej?”. Jednak po wnikliwym namyśle zdecydowałem się na niewielką, krótką ceremonię w mieszkaniu, które zajmowałem na początku podróży. Dodam, że chciałem w ten sposób uczcić pięć tysięcy lat bezpiecznego rejsu wśród gwiazd.

Washen powtórzyła gratulacje, niemniej w głębi duszy wątpiła w szczerość wyjaśnień. Ktoś taki jak Ishwish w chwili tryumfu z pewnością życzyłby sobie możliwie największej publiczności. To, że kłamał w sprawie okoliczności, z pewnością również coś oznaczało, podobnie jak ów błysk jego oczu. Nie miała jednak pomysłu, co by to mogło być.

Kapitan zerknął na nią bystro.

– O ile dobrze pamiętam – rzekł cicho – pani urodziła się na Wielkim Statku, czyż nie?

– Tak jest, sir.

– A pani rodzice nie byli kapitanami?

– Byli inżynierami – przyznała, ale Ishwish z pewnością już o tym wiedział. Wydawał się zresztą wiedzieć wszystko o jej krótkim życiu.

– I nigdy nie opuściła pani granic Statku?

Trudno, by używać pojęcia „granice” w odniesieniu do maszyny o masie Urana, której zbadanie zajęłoby dziesięć miliardów lat. Niemniej dziewczyna po prostu skinęła głową na potwierdzenie.

– A więc nigdy nie odwiedziła pani planet harum–scarum?

– Nie, sir.

– A ja tak.

Czekała na jakąś radę lub przynajmniej drobną wskazówkę, ale Ishwish milczał. Tylko uniósł ciężkie szczypce do krabów i rozejrzał się po sali. Właśnie weszła któraś z jego znajomych w tej samej randze i Ishwish pomachał do niej szczypcami trzymanymi w eleganckiej, wypielęgnowanej dłoni.

Washen ukłoniła się nowo przybyłej, a potem zapytała Ishwisha: – Czy ma pan jakąś radę dla kapitan bez doświadczenia?

– Tylko to, że Wielki Statek zawsze potrzebuje inżynierów.

Washen skinęła głową, słysząc pogrózkę. Zerknęła przy okazji na kapitan, która szła do stolika zarezerwowanego tylko i wyłącznie dla niej. Miała na imię Miocene i mówiono, że należy do najbardziej lojalnych i najniebezpieczniejszych oficerów Głównodowodzącej. Od awansu Washen rozmawiała z nią jakieś pięć, sześć razy, lecz żadna z tych rozmów nie miała wielkiego znaczenia. Mimo to owa wysoka, władcza kobieta obrzuciła ją krótkim spojrzeniem i bez żadnego sensownego powodu skinęła, uśmiechając się lekko, lecz zauważalnie. I znów z jakiegoś niezbyt jasnego powodu ów uśmiech wydał się Washen ważny.

– Gdzie pani mundur? – spytał Hoop Benzol.

– Zajmuje się dziś rano własnymi sprawami – przyznała Washen i zatupała nogami. Stała przed diamentowymi drzwiami ubrana po cywilnemu, łącznie z sandałami, zwykłymi spodniami i parą jedwabnych pasków. Gdyby nie miała naszywka na rękawie bluzki, nie miałyby na sobie ani śladu umundurowania, co skończyłoby się dla niej całą serią dotkliwych, acz zasłużonych kar.

– Jestem tu zgodnie z obietnicą. I chcę wejść do pańskiego mieszkania.

– Nie.

Pokiwała głową, jakby jego słowa niezbyt ją obchodziły.

– Proszę mi więc powiedzieć, dlaczego nie.

– Nie lubię gości. Dlaczego tak trudno to zrozumieć?

Washen westchnęła.

– Z tego, co rozumiem, pański klan należy do największych. Pańscy krewni zajmują wysokie pozycje na około pięćdziesięciu planetach.

– Tak, jesteśmy wielkim klanem.

– Sukces pociąga za sobą odpowiedzialność.

– Nie tylko dla mojej rasy – dodał Hoop.

– Wedle waszych praw oraz szanowanych konwencji nie może pan odwrócić się plecami do najsłabszych. Jeśli obywatel znajdujący się na dnie drabiny społecznej stanie u pańskich drzwi, błagając o niewielki posiłek, pańskim obowiązkiem jest nakarmić go tak, żeby przeżył ten dzień.

Obie pary ust harum–scarum parsknęły, zdradzając rozbawienie przemieszane ze zde gustowaniem.

– Ale pani daleko do słabych! – wytknął.

– Czyżby?

– Być może pani nie zauważyła, ale nawet kapitan niskiej rangi budzi respekt tłumów.

– Ale o szacunku z pana strony nie mam co marzyć.

– Ależ szanuję panią! Szanuję pani urząd i rangę. Odmawiam jedynie oddania mojego domu jakiemukolwiek oficerowi.

Naśladując uśmiech harum–scarum najlepiej jak umiała, Washen zapytała: – A gdybym wyrzekła się tej rangi?

Czarne oczy wpatrywały się w nią przez dłuższą chwilę.

– Gdybym pozbyła się mojej rangi i mojego autorytetu... Jakie znaczenie by to miało?

– Żadne – oświadczył.

Washen jednak zachowała się tak, jakby usłyszała inną odpowiedź. Ściągnęła bluzkę z naszywką, zwinęła i zarzuciła na nagie ramię. Potem zsunęła sandały i odpięła oba paski, a spodnie opadły do kostek kobiety.

– Jako wędrowiec bez rangi i przywilejów – odezwała się – czy mogę wejść do twojego domu?

– Nie – rzekł Hoop.

Uklęknęła i pochyliła głowę, powoli liżąc granitowe podłoże alei, a potem odezwała się w znośnym harum–scarum: – Bez jedzenia umrę.

– Robi pani z siebie idiotkę – zapewnił ją obcy.

– Idę jedynie za twoim przykładem – odparła.

Hoop zamilkł. Przez długą chwilę pozostawał w bezruchu, zarówno jego palce, jak i kolce pozostawały rozluźnione. Ulicą sunął jednak stały pochód pieszych i w końcu kilku ludzi podeszło, by przyjrzeć się osobliwej scenie. Pojawiła się też para Januzjan, a potem stado psów z Fume. Niezwykły spektakl, w którym szalona ekskapitan, rozebrana do naga i leżąca na twardym, zimnym podłożu, mamrotała w szorstko brzmiącym obcym języku: „Bez jedzenia umrę”, przyciągał coraz większą uwagę i wkrótce zebrał się wokół milczący, cierpliwy półokrąg liczący około pięćdziesięciu osób.

Gdy na ulicy pojawiła się para harum–scarum, Hoop właściwie nie miał wyboru. Owa ludzka istota wypełniała rozkazy i jedyną sensowną reakcją w tej sytuacji było zaproszenie jej do środka.

Mimo to nadal się wahał.

Poddał się, dopiero gdy para jego rodaków zaczęła się

przepychać między psami z Fume, by przekonać się na własne oczy, co przyciągnęło uwagę tyłu zebranych. Hoop wydał niski, mokry dźwięk i cofnął się do domu. W chwilę później grube diamentowe drzwi rozsunęły się wzdłuż niewidocznych krawędzi.



Nie istniały żadne oficjalne dokumenty, które łączyłyby postać Ishwisha z tym mieszkaniem, ale nie było w tym nic dziwnego, gdyż kapitanowie zwykle utajniali swoje adresy. Ishwish mieszkał tu jedynie przez pierwsze kilka stuleci swego pobytu na Wielkim Statku. Potem dzielnica utraciła status, a on, jako kapitan drugiej rangi, wszedł w posiadanie o wiele bardziej przestronnego i imponującego mieszkania. Na boku sprzedał poprzednie ludzkiej parze, jednej z pierwszych pasażerów z bogatej kolonii. Przez następne tysiąc lat owa para dochowała się ośmiorga dzieci, od embrionu aż po dorosłość. Potem pojawił się trudny rozwód i mieszkanie zostało pospiesznie sprzedane grupie Higgersów – zmechanizowanych dusz, a te zalały pokoje i długie korytarze gorącym, sprężonym silikonem, w którym z przyjemnością pływały. Lecz Higgersów cechują przyspieszone procesy myślowe i rozpaczliwie niski próg tolerancji na nudę. Czternaście lat w jednym miejscu wystarczyło im aż nadto, po czym sprzedali mieszkanie koncernowi inwestycyjnemu, który zajmował się skupem nieruchomości w mniej atrakcyjnych rejonach. Inwestorzy płacili niewiele, ale wiedzieli, że populacja Statku będzie rosnąć i przy odpowiedniej dozie cierpliwości dystrykt w końcu wróci do łask.

Podobnie jak wiele innych mieszkań na Wielkim Statku, dom

Hoop z początku był częścią olbrzymiej jaskini. W odpowiednich miejscach wzniesiono ściany i zaślepiono tunele, ograniczając powierzchnię do przytulnych dziesięciu hektarów. Przez dwadzieścia pięć stuleci Hoop Benzol mieszkał tylko tam i w swoim czasie przeprowadził gruntowny remont, by mieszkanie odpowiadało jego potrzebom.

Washen nieświadomie podrapała się po uchu, a potem po obnażonej piersi. Boso podeszła do maty powitalnej w korytarzu, na której znajdowały się skomplikowane wzory złożone z niewyraźnych, zamazanych kręgów, przedstawiających imię Hoopa i ważne wydarzenia z dziejów jego rodziny. Po obu stronach ciągnęły się rzędy ogromnych posągów cenionych przodków, ustawione na ceremonialnej ziemi. Posągi wykonane były z czerwonego drewna, nieznanego ani ludziom, ani harum-scarum. W powietrzu unosił się ciężki, oleisty zapach, obrzydliwy dla ludzkiego nosa, ale Washen nabrała głęboko powietrza w płuca i odwróciła się do swego gospodarza.

– Tidecold-6 – szepnęła.

Hoop nie odpowiedział.

Wtedy, już w jego własnym języku, nazwała drzewo: – To dwakrwioć.

Jej dykcja była zaskakująco dobra, zważywszy na nieprzystosowany ludzki aparat mowy.

Harum-scarum przyjrzał się jej zębom i delikatnej tkance, przez którą dostrzegał bijące serce. Może po raz pierwszy miał do czynienia z nagim człowiekiem. Pozbawiona pancerza Washen wydawała się bezbronna i śmiesznie krucha, co było reakcją głęboko zakorzenioną w pierwotnych instynktach Benzola.

– Drzewa dwakrwiości rosną na Tidecold-6 – powiedziała

Washen tym razem w standardowym ludzkim języku.

– Czyżby interesowała się pani botaniką?

– Owszem, ale tak czy owak bym to odgadła. Przeprowadziłam rozległe badania na twój temat – przyznała z gestem wyrażającym szacunek.

Hoop się nie odezwał.

Dziewczyna ruszyła korytarzem, przyglądając się każdemu z posągów. Rzeźby najstarszych przodków były przeważnie antyczne, różowe drewno wyblakło i wyschło, lecz dalej stały coraz ciemniejsze, z widocznymi śladami dłuta. Każdy z posągów przystrojony był szatą i biżuterią oraz kolcami i płatami pancerza należącymi do każdego z uwiecznionych mężczyzn i kobiet. Korytarz skręcił ostro w prawo. Rząd posągów ciągnął się dalej, lecz Washen przystanęła nagle i uklękła, udając, że bada matę powitalną pod stopami.

– Wszedł pan na pokład mojego statku dwa tysiące pięćset siedem lat temu – powiedziała cichym, zamyślonym głosem.

Hoop patrzył obcej w oczy, usiłując odczytać jej intencje.

– Wszedł pan tu sam – ciągnęła. – Był pan młodym, stosunkowo bogatym osobnikiem, któremu marzą się przygody. Zapłacił pan za podróż, korzystając z uniwersalnego konta zarejestrowanego na rodzinnej planecie. Którą nie była Tidecold-6.

Hoop rozwarł ogromną dłoń.

– Ów świat, o którym pani bez przerwy mówi... Nigdy go nie widziałem.

Dziewczyna pokiwała głową, dotykając jednego z pięknych pierścieni utkanych w macie. Tkanina była nowa i czysta. Naciskając to tu, to tam, czuła, jak żywe włókna poruszają się, naradzając, czy kobieta stanowi zagrożenie, czy też można jej

pobłązać.

– Dwanaście lat świetlnych – wspomniała.

Nie odzywał się nadal.

– Gdy Tidecold-6 został opuszczony, grupka ocalałych przeniosła się na niewielką, surową planetę oddaloną o dwanaście lat świetlnych. Osadnicy przebudowali ją najlepiej jak umieli. To właśnie pański klan stworzył tam nowe domy i zdołał, jak sądzę, zatrzeć jej brzydotę.

Kolce obcego wyprostowały się, a płyty pancerza zsunęły, odruchowo przygotowując ciało do odpierania ciosów.

– Ta wasza paskudna wojna – ciągnęła.

Z ust do jedzenia wydobył się mokry odgłos.

– Apokalipsa harum-scarum – dodała.

– Nie ma mowy o żadnej apokalipsie. – Harum-scarum spojrział na drobną istotkę klęczącą u jego stóp. – Moja rasa to nie szalone małpy. Potrafimy się opamiętać, gdy toczymy wojnę.

– Przez co historia twojej rodziny staje się jeszcze tragiczniejsza – stwierdziła Washen i wydała ten sam mokry dźwięk co Hoop, możliwie najgorszą obelgę. Zgrabnie podkreśliła w ten sposób bezsensowność wojen i niewybaczalne straty, które za sobą pociągały.

W ciszy kontynuowali spacer przez dom Hoopa.

Minąwszy zakręt, przeszli obok ostatnich posągów. Washen zatrzymała się przed pustym spłachetkiem gleby, zastanawiając się, czyj przodek tam stanie, lecz wtedy jej gospodarz przepchnął się, uprzejmie wedle standardów harum-scarum, i wszedł do pokoju powitalnego przed kruchym gościem.

W długich urnach z szafirów wyrastał gęsty zagajnik obsypanych liściem drzew dwakrwiości, wszędzie też stały eleganckie meble przewidziane dla osób znacznie większych od

Washen. Salę wieńczyła piękna kolumna z wypolerowanego zielonego oliwinu. Światło sączyło się zewsząd, a zarazem znikąd. Jakiś niewidoczny służący właśnie rozstawił posiłek na stole powitalnym na środku pomieszczenia.

Martwy posiłek, zauważyła Washen.

W istocie, mięso pochodziło od nieśmiertelnych zwierząt, potrawę przyprawiono i ugotowano na ludzką modłę. W rogu pomieszczenia znajdowała się przestronna zagroda, w której dochodziło do siebie źródło owego mięsa, z uczuciem pewnego dyskomfortu jedzące z koryta. Rana szybko się goiła.

Kapitan nowicjuszka podziękowała Hoopowi za tyle starań, a potem zignorowała stygnący posiłek.

– Przyjrzałam się pańskiej biografii – powtórzyła.

Hoop przypatrywał jej się przez chwilę.

– I czego się pani o mnie dowiedziała?

– Że nie rozumiem praktycznie niczego.

Znów w milczeniu wymieniali się spojrzeniami. Nie padło żadne pytanie, więc młoda kapitan wyjaśniła: – No, wiem co nieco o wojnie, a przynajmniej znam jedną z wersji tej historii. Co kilka lat młody kapitan, ktoś jeszcze mniej doświadczony ode mnie, odciąga mnie na bok i pyta: „Czy słyszała pani historię o...?”.

– A o co chodzi w tej historii?

– Mój przełożony – kapitan drugiej rangi, który nie życzy sobie, żeby wymienić jego nazwisko – swego czasu dowodził statkami kolonizacyjnymi. Jego zadaniem było dowieszenie dziesięciu tysięcy żądnych przygód ludzi na niewielką planetę na skraju Galaktyki. Była to surowa, młoda planeta i wielkie wyzwanie dla małych ignorantów z bardzo ograniczonym doświadczeniem w terraformowaniu planet.

Usta do oddychania otwarły się i zamknęły, ale najwyraźniej Hoop zapomniał o oddychaniu.

– Była to nieszczęsna podróż – ciągnęła Washen. – jak zwykle pojawiły się problemy z silnikami i z systemem podtrzymywania życia, ale największe trudności związane były z kolonistami. Otóż wybuchały między nimi konflikty o charakterze politycznym i osobistym. Zadawnione spory odżyły w ciszy międzygwiazdnej pustki. Kapitan każdego statku kolonizacyjnego jest odpowiedzialny za jednostkę oraz pasażerów, a temu kapitanowi udawało się długo utrzymać rozdrażnione frakcje pod kontrolą. Stracił panowanie nad sytuacją dopiero podczas ostatnich dekad podróży, w korytarzach i habitatach rozgorzała wojna. Jego statek potrzebował pomocy, więc dowódca nie wahał się i zmienił kurs. Niedługo znalazł się na niskiej orbicie wokół Tidecold-6.

– Ishwish – wyrzekł jej gospodarz powoli, melodyjnym głosem.

– Nie użyłam żadnego nazwiska – przypomniała mu Washen, a potem przysiadła na skraju stołu powitalnego, bezwiednie przesuwając palcami po nagim brzuchu, mostku i szyi. – Owa historia, którą słyszałam dziesiątki razy, skupia się wokół tych samych faktów. Otóż Tidecold-6 był dużym, dojrzałym światem z tlenem, oceanem i bujną biosferą. Od eonów zamieszkiwały go dwa klany, między którymi panowała równowaga, jeśli chodziło o liczebność czy dostęp do zasobów. Równowaga ta nie wyniknęła z przypadkowego zbiegu okoliczności – w historii obu klanów doszło do pół tysiąca starć. To, co ludzie rozstrzygnęliby w formie krótkiej wojny, u was przybrało kształt sformalizowanych przepychanek, co nie powinno nikogo dziwić. Wasza rasa jest genetycznie uwarunkowana, żeby opluwać i szturchać się nawzajem, ale tylko po to, by wzmocnić *status quo*.

Hoop wpatrywał się w twarz kapitan. Obserwował niewielkie, słabe kości przemieszczające się pod jej cienką, praktycznie bezużyteczną skórą.

– Oto skutki waszego dziedzictwa. – Washen uśmiechnęła się ze szczerym uznaniem. – Wasz ojczysty świat jest dość stary, z wyeksploatowanymi do cna wyspami, spokojnymi morzami i skąpą działalnością wulkaniczną. Zwierzęta, które ewoluują w takich warunkach i mają do dyspozycji skąpe zasoby, często przejawiają tendencję do przewidywalnych zachowań.

– Jestem zwierzęciem?

– Bardzo niezwykłym zwierzęciem. – Pokiwała głową. – A każdy z pańskich przodków był wyjątkowo obszerną kolekcją kości, pancerza, mięśni i energii. Na planecie pozbawionej działalności wulkanicznej złoża niezbędnych minerałów znajdują się na dużej głębokości. Gleby są ubogie, a wody na wpół jałowe, dlatego dużo czasu mija, zanim białka i kalorie z jakiegoś skrawka lądu zwiążą się na tyle trwale, żeby zrodzić stworzenie tak wspaniałe jak pan. Ale ewolucja jest ni mniej, ni więcej, jak tylko łańcuchem skomplikowanych wyliczeń, wypisanych krwią. Wy zaś jesteście wspaniałą inwestycją, a jej efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Hoop cmoknął językiem z aprobatą.

– Ludziom, którym przyszło pracować u boku Klanu Wielu Klanów, często wydajecie się rasą porywczą i pełną gniewu. Mało kto, niestety, zdaje sobie sprawę, że większość z tego jest na pokaz. Nie chodzi mi o to, że to, co robicie i co mówicie, jest bezsensowne. Bynajmniej nie utrzymuję, że wrzawa i gniewne pomruki są pozbawione treści lub nieistotne. Ale, w niemal każdej sytuacji, gdy wasze potężne umysły widzą tylko grożącą wam katastrofę, poddajecie się. Po prostu poddajecie się. Każdy

odpowiedzialny, zdrowy na umyśle obywatel na którymkolwiek z tysiąca waszych szczęśliwych światów natychmiast skuli się i podda każdej rasie czy też każdemu klanowi, który wygrał bitwę.

– A niby jak mamy postępować? – zapytał Hoop.

– Racja. Każda rasa we wszechświecie powinna działać na swój sposób – stwierdziła dziewczyna. – Wiem, że mojej smutnej rasie przydałoby się nieco waszej pokory i mądrości. Zwłaszcza gdy mówimy o ludzkich kolonistach. Nawet podczas budowy nowego świata ludzie skupiają się przede wszystkim na mordowaniu rodaków. Gdyby jakikolwiek bezimienny kapitan miał za zadanie przewiezienie dwóch klanów harum–scarum przez całą Galaktykę, zapewniam pana, że ani przez chwilę nie pojawiłoby się zagrożenie ani dla statku, ani dla misji. Ani też dla mężczyzny, który zasiada na mostku i waży możliwości.

– Ishwish przybył na Tidecold–6 – powiedział Hoop.

– Żeby prosić waszą rasę o pomoc. Tak. – Washen zamilkła, a potem dodała: – Słyszałam tę historię ze dwadzieścia razy i zawsze brzmiała identycznie. Człowiek poprosił o pomoc i pomoc otrzymał. Niemniej pojawili się inni gracze, a wraz z nimi inna prośba, a w rezultacie to, co zapowiadało się niegroźnie i miało trwać zaledwie kilka godzin, rozciągnęło się w ośmiodniową masakrę nieszczęsnej planety.

Hoop szczelnie zamknął obie pary ust.

– Zapewne zna pan inną wersję tej historii, inną albo pełniejszą. Mam rację?

– Niewiele wiem – odparł Hoop. – Gdy owe wydarzenia miały miejsce, mój cień nie został jeszcze rzucony.

Naga kapitan nie odezwała się, pozwalając, by przemówiła cisza.

– Ale moja matka – odezwał się w końcu Hoop, lekko drżącym

głosem – gdy wszedłem w dojrzały wiek, opowiedziała mi tę historię. Która jest identyczna z pani historią, nie licząc różnic rasowych.

Hoop opisał przybycie ludzi: prymitywny, niezgrabny statek kosmiczny niespodziewanie wyłonił się z przestrzeni i bluznął ogniem z silników, by wyhamować straszliwy pęd. Głos Ishwisha był pierwszym ludzkim głosem, jaki harum–scarum usłyszeli. Kapitan, udając całkowitą uległość, poprosił rządzące klany o pomoc. Ci zezwolili mu na wejście na orbitę, ale ludzie mieli trudności z wykonaniem nawet tak prostego manewru. Ich statek, niegdyś wypalona przez słońce kometa, był pomysłowym zlepkiem silników umieszczonych w czarnej smole i porowatych skałach, wzmocnionym płataniną rusztowań z hiperwłókna oraz ogromną dozą szczęścia i dobrej woli. Dziesięć tysięcy ludzi, z zasobami i armią uśpionych dotąd robotów, miało za zadanie przekształcić nową planetę w miejsce nadające się do zamieszkania. Kolonistom brakowało jednakże doświadczenia w terraformowaniu. Stworzenie atmosfery nadającej się do oddychania i oceanów z wodą pitną wymagało o wiele większych sił niż te, którymi dysponowali ludzie, a do tego boskiej wręcz cierpliwości. Dla Klanów najbardziej niepokojące było jednak to, że uszkodzenia statku nie wyglądały bynajmniej na naturalne.

– Wewnętrzne eksplozje – odpowiedziała Washen.

– Ślady walki. Tak. – Obcy wpatrywał się w dal, wspominając wydarzenia, które tylko on mógł sobie wyobrazić. – Przeprowadziliśmy skanowanie, potem wysłaliśmy sondy. Po sondach pojawili się dyplomaci. Dowiedzieliśmy się, że wśród kolonistów wybuchła wojna domowa. Powstały dwa rządy, broniące przeciwstawnych idei, a każdy zajął inną część uszkodzonej jednostki.

Washen w milczeniu pokiwała głową.

– Nasz świat był stosunkowo odizolowany – ciągnął Hoop. – Nikt z nas nie miał bezpośrednich kontaktów z ludźmi. Wasza rasa wydawała nam się abstrakcyjnym wyobrażeniem, abstrakcyjnym, choć dobrze zarysowanym, ponieważ zebraliśmy obszerne dane na temat ludzkiej historii i natury. Jednak nikomu do głowy nie wpadło, że któregoś dnia możemy zostać sąsiadami, a już w ogóle, że ludzie zapukają do naszych frontowych drzwi, prosząc o pomoc.

– To kapitan wygłosił tę prośbę – pokiwała głową dziewczyna.

– Tak, skierował ją do mojego ojca. – Hoop wyciągnął ogromną dłoń w geście błagania o pomoc, znanym obu ich rasom. – Ponieważ był on Starszym w radzie klanu. Inni zalecali nieufność. Matka niejednokrotnie powtarzała, że ojciec uważał zawarcie przyjaźni z ludźmi za słuszną decyzję. Pani rasa jest bowiem śmiała, młoda i głupia, ale w tamtych czasach wkładaliście tyle energii w umieszczenie kilku rodaków na paskudnej, małej planecie, że przyjaźń nie wyglądała obiecująco. Ojciec chyba jednak was polubił. W osobie Ishwisha odkrył cechy, które uderzyły go przez... Nie bardzo wiem, jak przetłumaczyć to pojęcie. W każdym razie w jego oczach ludzki kapitan wydał się osobą jednocześnie pełną współczucia, jak i żalostną, honorową, jak i zdolną do niezwykle przebiegłych intryg.

– Łagodność rodzi potęgę, dobroć dowodzi siły – Washen zacytowała truizm Klanu.

– Siła – Hoop powtórzył to słowo kilkanaście razy w obu językach. Potem zamknął pięść i obrócił ją powoli. – Mój ojciec przewodził delegacji, która miała się spotkać z Ishwishem. Kapitan, załoga oraz lojalni koloniści skupili się przy silnikach,

podczas gdy buntownicy kontrolowali dziób i większość najistotniejszych habitatów. Walki trwały przez cały czas, ale toczono je dość nieskutecznie, dzięki czemu statek pozostał nietknięty. Zginęło zaledwie tysiąc ludzi, choć ich śmierć była tymczasowa. Ich poturbowane drobne ciała zostały zmumifikowane i zamknięte, czekały, aż wyłoni się zwycięzca i pokładowy szpital zostanie znów otwarty.

Washen ujrzała ów koszmar tak wyraźnie, jakby siedziała na fotelu kapitana.

– Niebezpieczna sytuacja – stwierdziła.

– Trudna do opanowania i przerażająca, a dla nas ciężka do pojęcia. Jak dwie strony konfliktu mogą się zmagać od dekad i nadal nie wyłonić zwycięzcy, który unosi głowę wśród dymiących zgliszczy? – Spojrzenie Hoopa skupiło się na Washen. – Mimo to mój ojciec, gdy stał naprzeciwko owego stworzenia zwącego się Ishwish, rozmawiał z nim i oddychał tym samym powietrzem co on, uległ fascynacji. Gdy powrócił do domu, opowiedział mojej matce, jak w trakcie rozmowy czuł, że ów człowiek to jego przyjaciel od dziesięciu tysięcy lat. Stworzenie owo idealnie dobierało słowa, nierzadko przemawiając w naszym języku. Jego mowa była płynna, uspokajająca, niebudząca podejrzeń. Zaś postawa drobnego ciała... Cóż, nie ma co się pani z nim równać. Wydawał się imponujący, stojąc na czarnym, brudnym podłożu, poznaczonym smołą i ludzką krwią. Ishwish wyznał, że nie jest w stanie ocalić przeklętego, skazanego na zagładę statku.

– Ów człowiek miał spore doświadczenie w obchodzeniu się z waszą rasą – wyjaśniła dziewczyna.

– Tak, zdobył je podczas dawnych wojen między ludźmi. Ishwish przywoływał bitwy i daty, które odnajdowaliśmy

głęboko zagrzebane w naszych archiwach, i udowodnił ponad wszelką wątpliwość, zachowując wielki szacunek, że nam ufa, a więc my możemy zaufać jemu. Wykazał też, że z naszą drobną pomocą może odzyskać panowanie nad statkiem. Potem jako ostateczny dowód Ishwish przedstawił mojemu ojcu swoje imię oraz oddał do jego dyspozycji swoje bogactwo, prosząc nasz potężny klan o przekazanie pod jego rozkazy paru rodaków, niewielu, garstkę zaledwie, dzięki którym mógłby odzyskać inicjatywę, pokonać wrogów i zakończyć tę obrzydliwą wojenkę.

Washen usiłowała wyobrazić sobie dumnego kapitana drugiej rangi doprowadzonego do takiego stanu.

– To nie była wielka prośba – stwierdziła wyrozumiale.

– Fakt, chodziło mu tylko o kilku wojowników – przyznał Hoop. – Ale, czego mój ojciec już, niestety, nie wiedział, delegacja zbuntowanych kolonistów zdążyła nawiązać kontakt z sąsiednim klanem. Inni ludzie błagali moich rodaków w ten sam sposób, prosząc o kilku wojowników, żeby mogli doprowadzić szlachetną walkę do końca.

Jak dotąd nie zaskoczył jej ani jednym faktem. Washen знаła przebieg wydarzeń, które doprowadziły do katastrofy. Teraz jednak dostrzegła elementy, których wcześniej nie widziała, sygnały, które nawet kapitan nowicjusz powinna wychwycić, gdyby tylko wsłuchała się w rozmowy swych rówieśników...

– Wiele, wiele dni po tym wydarzeniu – ciągnął olbrzym – moja matka objęła mnie, zmiażdżyła w uścisku i szepnęła, że właśnie w tej chwili powinniśmy przejrzeć na oczy, że powinniśmy dostrzec prawdę. Tak, Ishwish miał doświadczenie w układaniu się z naszą rasą. Wydawał się jedynym człowiekiem dysponującym taką wiedzą. Powinniśmy byli zadać sobie pytanie, dlaczego przywódcy buntowników potrafili mówić

równie doskonale i działać w identyczny sposób jak kapitan, dzięki czemu zdobyli poparcie i obietnicę wierności od naszych sąsiadów.

Washen nabrała tchu i długo nie wypuszczała go z piersi.

– Nawet pomimo naszej ignorancji – mówił dalej Hoop – nadal panowaliśmy nad sytuacją. Powinniśmy byli przerwać walkę po tych pierwszych kilku chwilach. Widzi pani, oba klany wysłały żadaną liczbę ochotników i choć wydawało się to jedynie nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, obie grupy natarły na siebie w tym samym momencie. Wojownicy korzystali z broni plazmowej, co oznaczało, że każdy z trafionych zostawał unicestwiony. To wtedy trzeba było się cofnąć i poczekać, aż obeschnie krew.

Opancerzona dłoń otwierała się i zamykała, palce jednak były miękkie i bezwładne.

– Oba klany jednak złożyły przysięgę, obie strony też chciały zasłużyć sobie na szacunek przybyszów. Z tego względu wymiana ciosów szybko przybrała na sile, sięgnięto po potężniejszą broń i wnet w przestrzeni wokół naszej planety rozgorzał ogień walk.

Hoop ściągnął usta do jedzenia w małą, twardą kulkę.

– I znów o mały włos nie zaprzestano walk. Po pięciu dniach starć, skutkujących coraz większą liczbą ofiar, nastąpiła przerwa i potrzebna wszystkim chwila wytchnienia. Zaraz potem zawarliśmy oficjalny rozejm. Pojawiły się nawet propozycje pokoju i wystarczyłby dzień, może dwa, żeby zawrzeć porozumienie.

Washen wpatrywała się w zwiotczałą, pustą dłoń gospodarza.

– Trzy bomby trytowe – odezwał się i urwał. Przez chwilę zbierał się w sobie, nim wreszcie podjął opowieść: – Po tym jak

zawarto rozejm i zapanował spokój, trzy wyrzutnie wystrzeliły pociski o mocy stu megaton precyzyjnie w trzy miasta. Zdradzieckim ciosem zniszczono jedną czwartą naszej populacji oraz większość bogactw znajdujących się na tych terenach. Co gorsza jednak, złamano warunki rozejmu, a tego nie wolno. Nigdy. Pod żadnym warunkiem. Ów haniebny czyn wymagał odpowiedniej zemsty, więc moi przodkowie skonstruowali i odpalili trzy pociski o identycznej mocy. Gdyby nasi wrogowie wykazali zdrowy rozsądek, byłby to koniec wojny. Ci jednak dalej brnęli w kłamstwo, utrzymując, że owe trzy pierwsze pociski nie pochodziły z ich arsenału.

– Rozumiem – powiedziała Washen, choć słowa Hoopa Benzola nie miały dla niej sensu.

– Bomby trytowe po prostu musiały należeć do naszych wrogów – ciągnął Hoop. – Mój ojciec przejrzał każdy raport i wykluczył wątpliwości. Pociski były ceremonialnymi Nosicielami Śmierci, o czym świadczył zarówno rodzaj użytych izotopów, jak i oznaczenia na diamentowej powłoce. Zostały odpalone z wrogiej bazy na wysokiej orbicie, ale ekranowano je na naszą modłę, zaś kłamstwa odnośnie winy za zdarzenie pogorszyły tylko sytuację. Z tego właśnie względu za karę należało zniszczyć jeszcze jedno wrogie miasto. A wtedy przeciwny klan zburzył kolejne trzy nasze miasta, a oprócz tego święte miejsce, gdzie po raz pierwszy postawiliśmy nogę na tym wspaniałym świecie. Przez resztę dnia nie byliśmy już Klanem Wielu Klanów.

Twarzą giganta zawładnęła rozpacz, oczy stały się mętne.

– Staliśmy się tym, czym nas nazywacie. Harum–scarum. Staliśmy się szaleńcami przepełnionymi ślełą furiją, a nasze czyny utraciły sens. Dopiero gdy większość z nas padła, oprzytomnieliśmy na tyle, żeby zawrzeć pokój, i to tylko pod

warunkiem, że oba nasze nieszczęsne klany porzucą ojczyznę, którą i tak skaziło promieniowanie oraz, co gorsza, nasza własna głupota.

Washen płakała.

– Czy pański ojciec zginął podczas walk? – zapytała cicho.

– Nie. – Kolce Hoopa wyprostowały się odruchowo. – Przeżył i powrócił do swojego dobrego przyjaciela, Ishwisha, a potem zrobił to, co jego zdaniem było najlepszym rozwiązaniem. Poprosił ludzi o pomoc. I pomoc otrzymał. Kapitan spotkał się z pozostałymi kolonistami i w geście niezwykłego współczucia nasi ludzcy przyjaciele zaproponowali nam ów mały świat, ku któremu podróżowali. To niewiele, jak przyznał Ishwish, ale być może ów świat okaże się dobrym miejscem, żeby zacząć na nowo.

Washen zamruła.

– Czyli pański ojciec spotkał się z każdym kolonistą?

Obcy rozchylił usta do jedzenia, ukazując gąszcz małych, ostrych zębów.

– Tak. Podczas kiedy my wyrzynaliśmy się nawzajem, koloniści zawarli między sobą pokój.

Washen oddychała szybko. Powietrze wydawało jej się gorące i zatęchłe.

– Mieliśmy dokładnie tyle statków kosmicznych na podróż, ile było potrzeba – ciągnął. – Moi rodzice przeszli do nowego świata, a klan naszych przeciwników wycofał się w głąb Galaktyki tylko po to, by zaznaczyć dystans między nami. Trzeba było pokonać dwanaście lat świetlnych, ale podróż okazała się owocna. Mimo ofiar wojny pod koniec podróży okazało się, że jest nas więcej niż ludzi, mieliśmy też wystarczająco dużo doświadczenia, żeby zamienić nowy świat w miejsce nadające się do zamieszkania,

może nawet wygodne i przyjemne. Mój klan poczynił plany i doskonalił je, aż był gotowy. A wtedy otrzymaliśmy wieści od naszych dobrych przyjaciół i sojuszników. Ludzcy koloniści pospiesznie oczyszczali naszą dawną ojczyznę ze skażeń i odnawiali jej ekosystemy. Raz jeszcze w należyty sposób podziękowali nam za okazaną pomoc i obiecali, że zamienią nasz stary dom w prosperujący świat, żeby uczcić w ten sposób wspólną przeszłość. Między wierszami wyczytaliśmy, że kapitan Ishwish za inicjatywę i ogromną odwagę otrzymał w nagrodę jedną dziesiątą wartości planety.

Washen zdawała sobie sprawę, że kapitan jest majątny, lecz Tidecold-6 należał obecnie do niezmiernie bogatych światów, stanowił ulubione miejsce zamożnych emigrantów z każdej rasy i dziesięć procent praw własności do takiej planety zapewniało jednemu człowiekowi przywileje i władzę króla.

Hoop zamilkł.

Washen przypomniała sobie puste miejsce w korytarzu.

– Pański ojciec – odezwała się. – Jak się kończy ta historia?

– Cierpiał – przyznał cicho obcy. – W końcu przejrzał na oczy.

– Co pan ma na myśli?

– Obudził się pewnego poranka, gdy nasze nowe słońce świeciło już mocno na niebie. Obudził się i wreszcie poczuł w sobie siłę, żeby zadać pytania, których się do tej pory obawiał. Zwrócił się do mojej matki i rzekł, jakby myślał na głos: „A co by było, gdyby mój dobry przyjaciel, mój drogi Ishwish... Gdyby okazało się, że nie jest tym, kim się wydaje?”.

Washen zagryzła wargę.

– Jego siła zaczęła gasnąć, mimo to zapytał jeszcze: „A co by było, gdyby wszystko okazało się inne, niż się wydaje? Nasza wojna domowa, zropanieni ludzie, te trzy pociski, które

pojawiły się nad naszymi głowami... Cóż by to wszystko oznaczało, ukochana?”.

– Może... – powiedziała Washen, czując w ustach smak krwi.

– Może – zgodził się Hoop.

– Może kapitan skłócił ze sobą kolonistów, doprowadził do konfliktu, ale utrzymywał go pod kontrolą. Może zawiązał spisek z kilkoma buntownikami, niekoniecznie nawet wtajemniczonymi w cały plan. – Washen zamknęła oczy, wyobrażając sobie to, co było zarówno możliwe, jak i konieczne. – Może kupił owe trytowe bomby gdzieś indziej, wykorzystując wojskowe kontakty, może ukrywał je i w odpowiednim momencie umieścił na wyższej orbicie, żeby przyspieszyć wybuch wrogości.

Jej głos zadrżał, minęła chwila, nim odzyskała nad nim panowanie.

– To oznacza jednak, że ten sukinsyn miał wszystko zaplanowane na kilka stuleci naprzód.

– To właśnie uświadomił sobie mój ojciec – rzekł Hoop. – A wtedy owładnęła nim ogromna rozpacz, owładnęła nim bez reszty. I o tym honorowym, wspaniałym człowieku nie chcę już mówić.

Jego ojciec nie żyje, uświadomiła sobie Washen. Popełnił samobójstwo. To najbardziej haniebnny rodzaj śmierci, zwłaszcza dla kogoś tak znacznego, i to z tego powodu w korytarzu zabrakło posągu ojca Benzola.

Młoda kapitan poczekała, aż Hoop weźmie się w garść.

– Proszę mi teraz pomóc – rzekła. – Gdy kupił pan swój dom, ów pokój i korytarz, czy wiedział pan, kto tu wcześniej mieszkał?

Czarne oczy zabłyśły.

– Wiedziałem o Higgersach – przyznał. – Wygrzebywałem ich silikon ze szczelin i porów przez lata.

– A wiedział pan o ludzkich właścicielach?

– Nie. Niczego nie podejrzewałem. Nie miałem pojęcia – urwał i zamyślił się. – Niczego nie wiedziałem, dopóki pewna znajoma nie wspomniała imienia Ishwisha.

– Znajoma?

– Kobieta z Klanu. Powiedziała jego imię i zapytała, czy wiem, kto to jest. Chciała wiedzieć, czy go wcześniej spotkałem. Wyjaśniłem jej, kim ów człowiek może być, a wtedy spytała, jak się z tym czuję. Chciała wiedzieć, jakie myśli wywołuje świadomość, że ten okropny człowiek kiedyś srał w moich pokojach.

Washen pokiwała głową zamyślona.

– Kiedy to było?

– Rok temu.

– Zaledwie rok?

– Rok i parę dni – dodał Hoop. W przestrzeni kosmicznej, gdzie czas rozciąga się na milenia, oznaczało to mniej więcej tyle, co wczoraj.

– Ciekawy zbieg okoliczności – napomknęła Washen. – Ze wszystkich pasażerów to właśnie pan zamieszkał w dawnej kwaterze kapitana.

Hoop opuścił głowę, co w Klanie uchodziło za gest równoznaczny z przytaknięciem.

– Wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności? Na tak ogromnym statku kosmicznym, przy tylu miejscach, które mógłbym uznać za swoje, dlaczego akurat to, gdzie kiedyś mieszkał Ishwish?

– Prawdopodobieństwo rzeczywiście niewielkie – przyznała Washen.

– Z tego właśnie powodu oboje myślimy w tych samych kategoriach – odparł nieco zdumiony. – Co za sprawca, co za siła, co za złośliwy duch jest odpowiedzialny za to zamieszanie?

Miska niebywale słodkiej herbaty stygła na stole. Washen podeszła tak blisko, by powąchać obce przyprawy. Gdy temperatura opadła do krytycznego punktu, kapitan drugiej rangi wzięła szczyptę sacharozy z drugiej miski i zaczęła sypać ją na parujący wywar. Sacharoza prószyła niczym śnieg. Reakcja nastąpiła błyskawicznie. Przesycone cukry wytrąciły się z roztworu i to, co jeszcze przed chwilą było aromatycznym wywarem, zamieniło się w gęsty biały syrop, który można było nakładać na inne potrawy bądź spożywać łyżeczką.

Kapitan poczęstowała się. Potem zerknęła na Washen: – Wcześniej dziś pani przyszła. Ishwisha zaś coś zatrzymało. Wygląda na to, że jakaś nagła sprawa przykuła jego uwagę.

– Tak, proszę pani.

– Proszę usiąść, jeśli ma pani ochotę przyłączyć się do mnie.

– Wolę stać, proszę pani – odparła Washen. Znów była ubrana w mundur. – Ale dziękuję.

– Jak sobie życzysz. – Miocene była elegancką kobietą, wysoką i ujmującą, ale w każdej chwili bez wysiłku mogła stać się nieprzystępna. Miała też melodyjny, mroczny głos i zaskakująco czarujący uśmiech, z którego robiła użytek, gdy zachodziła potrzeba. Uśmiech ten pojawił się zresztą na jej twarzy po pierwszym kęsie. Potem, po długiej chwili milczącego namysłu, zapytała: – Czy coś cię gnębi, moja droga?

– Myślę o Ishwishu, proszę pani.

– Tak?

– I o Tidecold-6.

Kapitan nie powiedziała nic, ale sądząc po wyrazie jej twarzy i

zachowaniu, była gotowa poruszyć ten temat.

– Czy mój przełożony jest bezpośrednio odpowiedzialny za tragedię?

Miocene wzruszyła ramionami.

– Nie wolno mi przekazywać szczegółów. Niemniej powiem ci, że pojawiły się wątpliwości. A potem oficjalne zapytania. Wiele agencji przeprowadziło śledztwa, zarówno wśród nas, jak i harum–scarum.

Zacisnęła usta, być może korzystała z nexusa, by zajrzeć do starych plików.

– Przesłuchano większość pierwszych kolonistów oraz każdego członka załogi. Sam Ishwish przez długie lata znajdował się w cieniu podejrzeń. Dochodzenie nie wykryło jednak wiarygodnych dowodów na to, że istniały jakiegokolwiek plany zaszkodzenia harum–scarum. Pierwsi osadnicy oraz załoga zostali oficjalnie oczyszczeni z winy.

– To dobrze. – Washen skinęła głową, a potem przygryzła wargę i dodała: – To bardzo ostrożny człowiek.

– Zgadza się.

– I przenikliwy.

Miocene zaśmiała się cicho.

– Lubisz naszego kolegę. To dobrze. Ponieważ wykazał on pewne zainteresowanie twoją karierą, a warto doceniać zalety zwierzchnika.

– Tak, proszę pani.

Miocene poczęstowała się kolejną porcją syropu i dolała sobie herbaty.

– Lubi pani Ishwisha? – zapytała Washen.

Druga kobieta pochyliła się i przełknęła ślinę. A potem tonem ostrym jak brzytwa odpowiedziała: – Mam nadzieję, że potrafi

pani wyobrazić sobie, co o nim myślę.

Washen pokiwała głową.

– A więc proszę powiedzieć – ponagliła Miocene.

– Pani kolega to człowiek ambitny, co jest doprawdy wspaniałą cechą. Jest też wyrachowany i subtelny, kiedy jest mu to potrzebne. Te zalety również są nieodzowne u kapitana.

– Mów dalej.

– Niemniej autorytet i odpowiedzialność, które Ishwish dźwiga... Wywodzą się bezpośrednio z decyzji, które podjął tysiące lat temu. Tidecold-6 dała mu niewyobrażalne bogactwo, a to umożliwiło mu dostęp do Wielkiego Statku. Tu z kolei dzięki ambicji awansował na kapitana drugiej rangi. Czy to właściwe wyjaśnienie jego historii?

– Nie sposób zapomnieć o bogactwie, dzięki któremu jest z nami – zgodziła się Miocene. – Proszę pamiętać jednak, jak trudno było dostać się na Statek. Przypomnieć sobie, jakie problemy sprawiał i nadal sprawia ładunek. Ishwish zmobilizował całą planetę, dzięki czemu otrzymaliśmy więcej inżynierów i pieniędzy do naprawy starych pomp i systemów środowiskowych. Potem zapewnił nam tłumy zamożnych ludzkich pasażerów, którzy migrowali z dobrze prosperujących światów.

– Kupił swoją rangę – skonstatowała Washen z niesmakiem.

– Ja wolę postrzegać to w innych kategoriach – zaproponowała Miocene.

– A więc akceptuje pani jego pozycję, tak?

– Tak jak akceptuję każdy mijający dzień.

– A myśli pani o Tidecold-6? Na przykład dzisiaj? Czy kiedykolwiek przestała pani myśleć o Tidecold-6?

– A ty, Washen? Przestanieś kiedyś o tym myśleć?

– Nie sprawuję ważnej funkcji. Nie jestem kapitanem drugiej rangi.

– Okazujesz skromność w bodaj najgorszy możliwy sposób.

– Może. – Washen ukloniła się lekko. – Otrzymałam rozkazy i mam zamiar wypełnić je najlepiej jak potrafię.

– Czyli tak jak należy.

– Grupa inwestycyjna – rzekła Washen.

Przez chwilę na szczupłej twarzy Miocene widać było zdziwienie.

– Kogo masz na myśli?

– Przeprowadziłam małe dochodzenie – wyjaśniła Washen. – Wydaje mi się, że za maską korporacji kryje się tylko jedna osoba. Ów niezidentyfikowany człowiek jest właścicielem majątków w wielu dystryktach. Myślę też, że to kobieta i że swego czasu dysponowała prawami do niewielkiego domostwa, które w chwili obecnej dziwnym zbiegiem okoliczności należy do wściekłego kolesia o nazwisku Hoop Benzol.

Uśmiech Miocene był pełen szacunku. Wyczuwało się w nim nawet nieco uznania.

– Proszę, moja droga. Mów dalej.

– Ponad dwa tysiące lat temu, gdy Hoop poszukiwał siedziby, pewien agent związany z rzeczoną grupą inwestycyjną polecił mu ten dom. Warunki były bardzo korzystne dla nabywcy. Ktoś dołożył wszelkich starań, żeby Hoop kupił dom, w którym przebywa do dzisiaj.

– Czy stoi za tym jakiś kapitan?

– Wiem to, co wiem, nawet jeśli nie jestem w stanie niczego udowodnić.

Deser stygł, tracił niezwykły, delikatny smak, lecz kapitan całkiem o nim zapomniała. Odłożyła łyżeczkę i skupiła się na

młodej nowicjuszcze.

– Niedawno Hoop dowiedział się, kto wcześniej mieszkał w jego domu – ciągnęła Washen. – Nie łączą pani żadne związki z harum–scarum, która przekazała mu tę informację. Z tego, co wiem, jest pani całkiem bez winy. O ile ktokolwiek ponosi tu jakąkolwiek winę.

– Miło słyszeć.

– Hoop nie chce, żeby ten człowiek wszedł do jego domu.

– Trudno mu się dziwić.

– Ma zamiar stawić czoła agresorowi za pomocą każdej dostępnej mu broni.

– I cóż mu to da? – Miocene wykrzywiła się w ponurym uśmiechu. – Sądzę, że ściągnie na siebie tylko zgubę. Taki los czeka tego nieszczęsnego osobnika.

Washen westchnęła.

– Niemniej decyzja przyznania Ishwishowi nagrody, przyznania jej akurat teraz i zorganizowania ceremonii w tym właśnie miejscu... Nietrudno sobie wyobrazić, że to pani uruchomiła tę śliską intrygę.

– A podejrzewa pani może jeszcze kogoś? – spytała Miocene, mierząc Washen lodowatym spojrzeniem.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

Washen przybliżyła się i wyjaśniła.

– Do wczoraj Ishwish nie zdawał sobie sprawy z tego, co Hoop o nim myśli. Do chwili gdy zaniósłam mu odpowiedź odmowną, zakładał, że harum–scarum z radością zgodzi się na to, żeby słynny kapitan spacerował po jego pokojach. Ale jeśli zaczniesz podejrzewać kłopoty, zrobi wszystko, żeby ów problem znikł.

– Wszystko jest możliwe – zgodziła się Miocene, a potem,

mruwnąwszy do Washen ledwie dostrzegalnie, dodała: – W chwili obecnej mój kolega ma spotkanie z zespołem doradczym. Tak, moja droga, dał sobie już spokój z tobą i z cierpliwymi metodami. Rozważa się teraz nowe rozwiązania i wyciągnięcie brutalnych konsekwencji. Problem zostanie załatwiony do końca dnia.

– Jak?

– Nie wiem – odparła Miocene. – Niemniej kilka minut temu jeden z podwładnych Ishwisha dowiedział się, że mamy w gronie mordercę. Brutalnego przestępcę, który jest mężczyzną, a do tego harum–scarum.

– To nie Hoop – szepnęła Washen.

– Tą kwestią zajmą się sądy, moja droga. Nie kapitanowie.

Washen chciała krzyknąć.

Przez dłuższą chwilę Miocene milczała, a potem cicho zapytała: – Po co tu przyszedłeś? Czego się spodziewałaś po naszej rozmowie? Jakie miałaś oczekiwania?

– Co mam teraz począć?

Miocene wzruszyła ramionami.

– Tysiące lat temu umieściła pani Hoopa w domu Ishwisha – rzuciła Washen. – W ten czy inny sposób jest pani odpowiedzialna za całą tę sytuację. Teraz ja zostałam pani agentką, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, co chce pani uzyskać.

– Piastujesz rangę kapitana czy nie?

Washen wyprostowała się.

– Tak.

– Ten Statek jest nadal niemal pusty – rzekła Miocene. – Niemniej przed końcem naszej wyprawy będziemy chodzić po tych korytarzach z przedstawicielami setek tysięcy innych ras, a wówczas zespół dobrych kapitanów będzie dla nas bezcennym

skarbem. Tak, zespół dobrych, mądrych kapitanów, oficerów z ludzkiej rasy, którzy zasłużą na szacunek rzeszy obcych stworzeń.

– Tak, proszę pani.

– Jeśli chcesz się stać ważnym oficerem na Statku – ciągnęła Miocene – musisz umieć znaleźć najlepszą drogę do celu. Bez niczyjej pomocy, pozwolę sobie dodać. Nawet jeśli to oznacza, że w ten czy inny sposób robisz coś, co dopiero później okaże się słuszne.

Po raz ostatni Washen powróciła przed diamentowe drzwi. Przez chwilę wydawało jej się, że Hoop cieszy się na widok nowej znajomej. Ale wtedy powiedziała mu, czego chce, nie przedstawiając żadnych wyjaśnień. W duszy Hoopa obudziły się instynkty – stanął na szeroko rozstawionych nogach, z rozwartymi ramionami i ustami do jedzenia ściągniętymi w gniewną fałdkę. Młoda kapitan zaś powtórzyła proste żądanie, dodając: – Jeśli nie zechce pan oddać mi tego, będę zmuszona z panem walczyć.

– Nie – odparł Hoop. – Odrzucam pani wyzwanie.

Nie pozostało wiele czasu. Dzięki jednemu nexusowi Washen wytropiła nakaz aresztowania, który krążył po trybunałach z dala od przyjaźnie nastawionych sędziów, a inne węzły pomogły jej śledzić grupy oficerów bezpieczeństwa zbierających się w pobliskich bunkrach i gotujących się na chwilę, gdy podpisy na dokumentach zostaną złożone.

– Nie może pan odrzucić wyzwania – uparła się Washen, a potem ściągnęła mundur i przyjęła postawę do walki. – Domagam się swoich praw! – wykrzyknęła głośno i zacytowała fragmenty kodeksu starszego od jej własnej rasy.

Hoop niemalże odwrócił się od drzwi.

Wtedy pojawiła się grupa – ogromni wojownicy harum–scarum, z kolcami pomalowanymi w charakterystyczne znaki przynależności do klanu. Hoop natychmiast zorientował się, że należeli do tego samego klanu, który ongiś toczył z jego rodziną nieszczęsną zacieklą wojnę o świat, którego żadnej ze stron nie udało się utrzymać.

Harum–scarum przyjrzał się nowo przybyłym, a potem skupili uwagę na drobnej Washen.

– To pani ich tu ściągnęła – oskarżył.

– W ich obecności wyzywam pana do walki! – zawołała Washen.

– Zabiję cię!

– Połam moje kości i rozszarp serce – rzuciła. – A ja zalecę rany i znów tu stanę. I znów rzucę ci wyzwanie!

Diamentowe drzwi rozsunęły się.

Ogromny Hoop wyszedł i ściągnął ubranie, bez zaangażowania przybierając postawę obronną.

– Co się dzieje? – spytał przyciszonym głosem.

– Przegrał pan – szepnęła.

– Nie.

– Ale można przegrać na wiele sposobów – dodała młoda kapitan, a potem na oczach harum–scarum oznajmiła: – Wyzywam, więc atakuję!

Hoop płynnie odbił pierwszy cios.

Potem drugi.

Później dwadzieścia kolejnych.

Jego kolce pozdzierały ramiona Washen do krwi, każdy palec wydawał się zmiażdżony od uderzeń o gruby pancerz, ale kapitan nie zaprzestała ataków. Zdyszana coraz bardziej, wmawiała raz po raz olbrzymowi, że został pokonany, nieważne

jak, i że jedyną rozsądną decyzją będzie zawierzyć przyjacielowi, który potrafi znaleźć najlepsze wyjście.

Czterdziesty trzeci cios zaskoczył widzów.

Harum–scarum był zalany krwią młodej kapitan, choć pozostał nieporuszony. Jednakże, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, pozwolił sobie na chwilę nieuwagi – opuścił głowę zbyt nisko, przez co jego drobna, krucha przeciwniczka nagle odnalazła punkt, o którym wiedzieli jedynie znawcy fizjologii obcych.

Washen wyskoczyła i w płynnym, pełnym gracji uderzeniu wbiła prawą stopę w odsłoniętą część szyi.

Po wszystkim przyglądający się walce harum–scarum uznali, że ciało dziewczyny kryje w sobie mnóstwo siły.

Głowa Hoopa odskoczyła, olbrzym osunął się na ziemię.

Kilka chwil później, gdy przybyły siły bezpieczeństwa, dowodzący nimi oficerowie przekonali się, że dom stanowiący przedmiot sporu należy do młodej kapitan i każdy dokument prawniczy w ich rękach jest równie ważny jak zły sen.

– Doskonale – rzekł Ishwish, idąc przed swą protegowaną. – Wspaniała robota, wykazała się pani wielką śmiałością. No, było nieco za dużo hałasu, przyznaję, ale przynajmniej udało się pani znaleźć rozwiązanie tego trudnego problemu.

– Nie ma trudnych problemów – odparła Washen. – Nie jeśli człowiek ma do dyspozycji proste rozwiązanie.

Mężczyzna zaśmiał się z uznaniem.

Washen poczuła się jednocześnie szczęśliwa, jak i chora. Nie wiedziała, w co ma wierzyć, lecz niespodziewanie uświadomiła sobie, że ma już pewność.

Procesja dotarła do drzwi frontowych jej nowego domu. Kapitan Głównodowodząca wraz z Miocene szły tuż za Washen,

rozmawiając o rzeczach, które dla nich wydawały się proste, ale dla młodej kapitan były nie do pojęcia. W pochodzie wzięli udział wszyscy kapitanowie drugiej rangi oraz wielu innych, niektórzy młodzi jak Washen. Dziewczyna omiotła ich twarze spojrzeniem i pobiegła ku diamentowym drzwiom, które rozwarły się natychmiast.

– O, nie zmieniono wystroju – zauważył Ishwish.

Drewniani harum–scarum stali na swoich pozycjach.

Nad posągami górowała jeszcze jedna figura, przyglądając się rozwojowi wydarzeń.

– Cóż. Byłaś pewnie zbyt zajęta, żeby się wszystkim zająć – dodał Ishwish z niecodzienną łaskawością, a potem się odwrócił. Jego złote oczy błyszczały dziecięcą radością.

– Witajcie! – powiedział. – Witajcie wszyscy! Ogromnie się cieszę, że tu jesteście. Jak wspaniale wrócić do niewielkiego domu, który pamiętam tak dobrze. Ten powrót sprawił mi wielką przyjemność.

– Do mojego domu – szepnęła Washen.

– Witam wszystkich – powtórzył Ishwish i raz jeszcze się obrócił.

Wyglądał niczym najszczęśliwszy człowiek pod słońcem.

– To pani pierwsze przyjęcie w cudownym nowym domu – powiedział młodej kapitan.

Washen pokiwała głową i szybko podeszła do drzwi.

– Zapraszam do środka – zwróciła się do zgromadzenia najważniejszych ludzi na Wielkim Statku, a potem spojrzała na Ishwisha.

Podeszła do niego i wyszeptała kilka słów, od których ugięły się pod nim kolana, a twarz pokryła śmiertelna bladość.

– Z wyjątkiem pana, sir – powiedziała Washen. – Pańska noga

nigdy tu nie postanie.